

A misty landscape with a lake and a forested island. The scene is atmospheric, with soft light filtering through the fog. The water is calm, reflecting the surrounding greenery and the white text. The island in the center is densely packed with trees, including several tall, thin evergreens. The overall color palette is dominated by greens, blues, and greys, with a striking red element in the text.

MICHAŁ WIERZBA

**WYSPA
ŁOTRÓW**

Gdzie w tafli jeziora przegląda się Śmierć

MICHAŁ WIERZBA

**WYSPA
ŁOTRÓW**



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska*

© by Michał Wierzba

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2024

ISBN 978-83-287-3054-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2024

–*fragment*–

Dla Ani

*Uważaj, czego pragniesz. Twoje marzenia mogą się
spełnić.*

przysłowie chińskie

*Moralność to „my” w „ja”. To głos przyzwoitości, który
nas ratuje. Ale jest to również głos ograniczający „ja”,
przeciwieństwo prawdy i wolności, które nam
przeszkadza.*

Karl Ove Knausgård

Spis treści

I FIFTY
II GLACA
III SIRENE
IV PIOTREK
V ŚMIERĆ
OD AUTORA

I FIFTY



– Zawsze go tutaj widzę – powiedział Emil, ruchem głowy wskazując jastrzębia. Drapieżnik siedział na uschniętym drzewie, które tkwiło na przydrożnym polu jak samotna grzęda.

Fifty mruknął coś, co mogło oznaczać, że też go widzi albo że ma to gdzieś. Gapił się w ekran komórki, ani przez moment nie wypuszczając jej z łap odzianych w czarne mechanixy.

Poranne słońce wyłoniło się zza wiszących nisko chmur. Emil, który kierował służbowym volkswagenem caddy, założył przyciemniane okulary. Był chudy i ruchliwy. Wiercił się, nawet siedząc za kierownicą. Kiedy teraz wyprzedzał, zredukował bieg i energicznie wyprostował nogę wciskającą gaz. Caddym rzuciło, żyłowany diesel wydał z siebie wyścigowy warkot. Emil uśmiechnął się triumfująco.

Fifty zaklął, bo komórka prawie wypadła mu z rąk.

– Płacą ci od przejechanych kilometrów czy od godziny? – zapytał.

– Co?

– Nic. Po prostu uważaj. Ktoś cię nagra i będzie dym.

Jastrząb rozpostarł skrzydła i przeleciał na drugą stronę drogi. Widzieli go w bocznych lusterkach.

– Patrz, jaki... Poleciał.

– Nie lubię ptaków – stwierdził Fifty.

Sprawiał wrażenie powolnego, ale pod fałdami tłuszczu, które rozciągały konwojencki uniform, kryła się cała masa

mięśni. Miał niewielkie brązowe oczka i szeroki nos, a większość jego twarzy pokrywał gęsty kasztanowy zarost.

– A ja lubię. Nawet taki gołąb. Patrz, niby taki głupi...

– Możesz się zamknąć? Mówiłem, że nie lubię ptaków. Jak ktoś czegoś nie lubi, to nie chce o tym gadać.

– Będziesz mieć okres?

– Co?

– Czepiasz się jak moja stara przed okresem, to pytam. Nic osobistego.

Wściekły Fifty spojrzał na niego. W kabinie zrobiło się ciasno.

– Dobra, kurwa, sorry. Mówiłem hipotetycznie – zreflektował się Emil. – Już ani słowa o ptakach. Obiecuję. – Wcisnął samochodową zapalniczkę i włożył do ust papierosa. – Kurde, chłopie, aleś ty nerwowy... Nie będzie ci przeszkadzać, jak zapalę?

– Jeśli dzięki temu na chwilę przestaniesz gadać, to nie.

Kabina wypełniła się dymem.

– Naprawdę ci nie przeszkadza? – zapytał Emil.

– Nie czuję zapachów.

– Przez covid?

– Nie wiem przez co – odparł Fifty. – Zwisa mi, jak co pachnie.

Jechali eską w kierunku Poznania. Napis na zielonej tablicy głosił, że niedługo miną Rawicz.

Emil palił w milczeniu. Włączył radio, ale nigdzie nie puszczały muzyki. Zniechęcony ściszył je niemal do zera i spróbował dowiedzieć się czegoś o swoim nowym koledze.

– Długo robisz w Baszcie? – zapytał.

– Nie.

– Zwykle jeździłem z Frankiem, ale znalazł coś u Niemca. Nawet mi proponował, ale ja tam wolę robić u siebie. Po niemiecku to nie mogę nawet słuchać. Za żadne pieniądze. – Emil się zaśmiał, ale nie zrobiło to wrażenia na kumplu, który wydawał się pozbawiony także poczucia humoru. – A ty? Z kim jeździłeś?

– Z Łydą.

– To ten chudy, co zadaje się z Koksem?

– No.

– To prawda, że ma tatuaż z Podsiadłą na łydce?

Fifty skinął głową.

W kabinie znowu rozległ się śmiech Emila. Suchy rechot zakończony mokrą nutą, która kojarzyła się z połykaniem smarków.

Obrzydliwy typ, pomyślał Fifty.

Emil zamierzał wyprzedzić jadącego sto dwadzieścia kilometrów na godzinę forda mondeo, ale przypomniał sobie złośliwą uwagę partnera. Płacą mi za godzinę, ale jeżdżę dla przyjemności, chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język. Zateśnił za Frankiem, z którym można było pogadać o wszystkim.

Minęli wyściełany zielenią mostek. Na poboczu stał passat na awaryjnych. Ubrany w odblaskową kamizelkę facet uwijał się przy bagażniku.

Emil poczuł się dziwnie w towarzystwie uzbrojonego faceta, o którym wiedział coś tylko z plotek.

– To prawda, że kiedyś chciałeś być raperem? Mówili na ciebie Fifty Grosz? – zapytał.

Fifty podniósł głowę znad ekranu. Wyglądał, jakby ktoś niespodziewanie wsadził mu patyk w tyłek.

- Kto? – syknął przez zaciśnięte zęby.
- No, na dzielni. Edzia od Konia mówiła, że rapowałeś.
- Edzia od Konia gównu wie – powiedział, gotowy do ataku.
- Tak samo głupia jak Koń.
- Dobra, luz.

Fifty wytarł rękawiczką kroplę potu, która spływała mu po skroni. Zatrudniał się na lewych papierach, miał być anonimowy, a tymczasem od trzech dni pracuje z kolesiem, który wychowywał się na tym samym osiedlu. Pieprzony niefart. Spojrzał w szybę. Przypomniało mu się dzieciństwo, które spędził na jednym z poznańskich osiedli. Bloki, zaułki, graffiti. Jasne, że chciał być raperem. Dwadzieścia lat temu każdy chciał być. Miał nawet talent. W wieku czternastu lat już układał rymy. Marzył o tym, żeby rapować jak Peja, Tupac albo Fifty Cent. To dopiero goście! Twardziele i gangsterzy, do których kasa przychodziła sama. Nosił za duże podkoszulki, marzył o złotym łańcuchu i nagraniu płyty. Co z tego, skoro rodzice nie śmierdzieli groszem. Trójka młodszego rodzeństwa też miała swoje potrzeby. Ojciec pracował w warsztacie samochodowym za jakieś sześćset złotych. Matka w osiedlowym spożywczaiku zarabiała jeszcze mniej. Na wspomnienie tego cholernego sklepu nawet teraz przechodził go dreszcz. Kierowana matczyną troską postanowiła pomóc synowi zbierać kasę na nagranie kilku kawałków. Na ladzie umieściła puszkę. Obok niej stało zdjęcie dwunastoletniego Fiftiego, który jeszcze wtedy nazywał się Hubert. Mama opatrzyła je napisem: „Pomóż Huberciovi spełnić marzenie”. Lekko otyły chłopak miał czapkę z daszkiem, biały podkoszulek bez rękawów, a na szyi wszystkie łańcuszki, które znalazł w domu. Wygłupiał się, śpiewając do

banana i rzecz jasna nie podejrzewał, że zrobione przez siostrę zdjęcie zacznie żyć własnym życiem. No i oczywiście dowiedział się ostatni.

Koledzy i koleżanki wybuchali śmiechem, kiedy tylko zjawiał się w pobliżu. Ktoś dał mu ksywkę Fifty Grosz. Pewnego razu na długiej przerwie wyciągnął z plecaka banana, a klasa dosłownie legła na ziemi, zanosząc się spazmatycznym śmiechem. Kiedy w końcu odkrył przyczynę, z trudem powstrzymał się od zdemolowania spożywczaka. Rzucił puszką w regał z pieczywem. Ale najgorszy był wstyd. Nie tylko za siebie, za obnażone i wyśmiane marzenia, ale też za rodziców, sklepową i mechanika, którzy nie mieli pojęcia, jak bardzo są obciachowi.

Krótko potem zaczął chodzić na siłownię. Hormony zaczynały buzować. Jako szesnastolatek był o dwadzieścia centymetrów wyższy i trzydzieści kilo cięższy niż parę lat wcześniej. Jeśli tylko ktoś przy nim robił aluzję do rapu, zarabiał plombę. Ale ksywka została. Wszyscy wiedzieli, kto to Fifty Grosz, chociaż nikt nie mówił tak przy nim. Potem, kiedy wyjechał do Anglii, mówili na niego Fifty. Dorobił się złotego łańcucha i dobrego auta z kierownicą po prawej. Testosteron w zastrzykach, którym się szprycował, dawał o sobie znać. Po kolejnej bójce postanowił wracać. Bujał się od pracy do pracy, aż poznał Glacę. Glaca miał kontakty i dzianych mocodawców. To on załatwił mu papiery i namówił go, żeby zatrudnił się w Baszcie...

Emil ciągle się uśmiechał.

- Ja tam myślę, że to dobra ksywa – stwierdził.
- Tak? – Fifty mimowolnie zacisnął pięści.
- Mówię serio, stary. Nawijka sama leci. – Emil wyrzucił peta przez okno i kilka razy uderzył dłonią w kierownicę. – Jestem Fifty Grosz, to więcej, niż wysrosz.

Fifty się naprężył. Chciał wcisnąć jego uśmiech w kierownicę, ale telefon znowu zawibrował. Musi być spokojny. Po prostu musi... Powoli rozluźnił pięści i poklepał się po udzie.

– Ha, ha, ha! Dobrze! – powiedział.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

– No, kurwa, wiedziałem, że jesteś w porządku – stwierdził Emil, któremu najwidoczniej ulżyło. – Ja tam jestem jak Jezus. Wierzę, że nie ma złych ludzi, tylko nie każdy ma dobry nastrój. Mogę ci mówić Fifty?

– Jasne.

Podali sobie dłonie.

– Fifty.

– Emil. Ale mówią na mnie Emilio.

Na przeciwległym pasie stała policyjna suka z włączonym kogutem i dwa osobowe auta. Nie widzieli ich dokładnie z powodu barierek oddzielających jezdnię.

Emil odruchowo zdjął nogę z gazu i spojrzał w lusterka. Ruch był niewielki, warunki na trasie dobre, wypełniona gotówką walizka leżała z tyłu jak każdego innego dnia.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby spierdolić? – zapytał.

– Co?

– No bo na przykład ja. Czasem, kiedy tak jadę, to sobie myślę: płacą nam najniższą krajową, chociaż pierdolą, że każdy mijany samochód albo każda, jak to mówią, anomalia mogą być zagrożeniem. Hipotetycznie mówię, nie? Ale jednak ryzykujemy życie, no nie?

– Nie wiem, chyba. A co? – zdziwił się Fifty.

– No nic, tylko głośno myślę. Bo popatrz, wieziemy ponad dwa miliony. Niby mają nasze dane, ale założę się, że gdybym

poszukał, to znalazłbym miejscówkę, gdzie można wygodnie żyć i nikt nie zapyta cię o dowód.

Fifty przyjrzał mu się uważniej.

– Ty tak serio? – spytał.

– Nie no, kurwa, hipotetycznie mówię. Ile musiałbyś pracować na taką kasę? Zarabiamy jakieś czterdzieści tysięcy na rok. Na to, co wieziemy, musielibyśmy pracować pięćdziesiąt lat. Dzieląc na dwa, to dwadzieścia pięć. Ale przecież i tak nie uzbierasz, bo żona, dzieci, kredyt... Chuj nie życie.

– Za Rydzyną skrećisz w prawo, dobra?

– Nie możemy. Znasz regulamin.

– Muszę się odlać. Dostałeś kiedyś premię za przestrzeganie regulaminu? Bo ja nie.

Emil myślał o czymś przez chwilę.

– Dobra, też skorzystam – powiedział i wrócił do wątku, który czasami pojawiał się w jego głowie. – No więc wystarczyłoby się gdzieś skitrać i zaczekać, aż sprawa ucichnie. Nie wydawać za dużo, nie pokazywać się w necie, zmienić komórkę i wygląd. O, ty na przykład mógłbyś zgolić brodę. –

Emil uśmiechnął się, ale jego żart najwidoczniej nie został zrozumiany. Fifty ani drgnął. – Dobra, dobra, wrzuć na luz.

– Jestem wyluzowany.

Chwilę jechali w milczeniu.

– Następny zjazd – zakomunikował Fifty, który regularnie podnosił wzrok znad komórki, aby spojrzeć na oznakowania drogi.

Biała furgonetka z firmowym logo, wpisaną w okrąg basztą, zwolniła i skręciła w prawo. Po minucie była w niewielkim lesie. Zatrzymała się. Otworzyły się drzwi po obu stronach.

Ochroniarze stali w lekkim rozkroku, wpatrując się w efemeryczne sosny.

– Ale ulga – powiedział Emil, zapinając rozporek. – Idziesz?

– Chwila...

– Ej, a ten co? – Emil chciał wejść do auta, kiedy zobaczył, że z przeciwnej strony nadjeżdża bmw.

Samochód zwalniał.

Emil poczuł się nieswojo. Jego dłoń odruchowo powędrowała ku kaburze z glockiem 17, w którego wyposażony był każdy konwojent Baszty.

– Dalej, kurwa, jedź i spierdalaj – powiedział, nieświadomy, że naprawdę wypowiada te słowa.

Auto mijalo go powoli. Kierowca przypatrywał mu się z wielkim zaciekawieniem. Jego łysa głowa była wytatuowana. Nad lewym uchem miał Jokera, który szczyrzył zęby w uśmiechu. Bmw przejechało jeszcze trzydzieści metrów i zatrzymało się na leśnym parkingu po drugiej stronie drogi.

Emil spojrział w prawo, tam gdzie – jak przypuszczał – powinien stać jego kompan. Nie było go.

– Widziałeś tego palanta?! On chyba nie wie, że jesteśmy uzbrojeni... – powiedział. Słowo „uzbrojeni” dodało mu otuchy i pewnie było też słyszalne po drugiej stronie drogi. – Ej, Fifty, gdzie ty, kurwa, łazisz?

Kumpel okrążył samochód i zjawił się tuż za nim, z bronią wycelowaną w policzek Emila.

– Kluczyki! Ale już!

Emil stał zupełnie otępiały. Tego nie uczyli na kursach.

– Kluczyki i dokumenty! Szybko, kurwa, nie żartuję!

Oczy Emila były wielkie jak kurze jaja, ale on sam nawet gestem nie zdradzał, że zamierza wykonać jakiś ruch.

– Nie zmuszaj mnie, żebym... – Lufa służbowego glocka wbiła się w pokryty piegami policzek. – Dalej, stary, rób, co mówię, to jeszcze pożyczysz.

Emil nagle odzyskał fason. Wyprostował pierś.

– Odłóż broń. To nie jest śmieszne – powiedział.

Nagle jego głowa odskoczyła. Struga krwi obryzgała białą maskę caddiego. Emil zwiotczał i upadł na bok. Oczy miał ciągle otwarte.

– Nie musiałeś – stwierdził Fifty.

Głaca schował pistolet. Pochylił się nad ciałem i sięgnął po kluczyki, które tkwiły za paskiem spodni Emila. Zrobił dwa duże kroki, aby ominąć fragmenty mózgu, które rozchlapały się po jezdni, i otworzył tylne drzwi caddiego.

– Jakby, kurwa, po prostu nie mógł dać tych cholernych kluczyków...



Horst Miler z roku na rok coraz mniej przypominał dawnego siebie. Upływ czasu oszczędzał jego twarz, której – jak powiedzieliby złośliwcy – i tak niewiele mogło zaszkodzić. Niewielka głowa z wydatnymi łukami brwiowymi, łysiną i kalafiorowatymi uszami z godnością opierała się starości. Reszta ciała była w teraz zdrowsza i sprawniejsza niż w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Tylko przez ostatnie pół roku schudł osiem kilo. Zwiotczała skóra na ramionach wypełniła się mięśniami, a klatka piersiowa lekko się zaokrągliła. Był to skutek regularnych treningów, które aplikował sobie z żelazną konsekwencją i właściwą dla siebie dokładnością.

Zmrużył oczy, a maska tlenowa, zasłaniająca nos i usta, wypełniła się skroplonym powietrzem. Biała podkoszulka na ramiączkach była przepocona, a krótkie spodenki lepiły mu się do tyłka, powodując nieznośne swędzenie. Brzuch i klatka piersiowa poruszały się szybko, jakby zaczynało mu brakować tchu.

– Wszystko pod kontrolą, Horst, jeszcze trochę – powiedział umięśniony facet, który miał na sobie obcisłą koszulkę z logo leszczyńskiej siłowni.

Emerytowany gliniarz zerknął na niego wzrokiem skazańca i zacisnął zęby. O powrót do formy walczył właśnie tak – z ogromnym wysiłkiem przesuwając granicę swoich możliwości, wręcz balansując na granicy życia i śmierci. Nawet teraz recytował w myślach litanie bezpieczeństwa.

Nie jesteś jeszcze taki stary, myślał Horst, starając się nie wypowiadać tego na głos. Rozrusznik serca włączy się sam. Alarm w zegarku na pewno zadziała. Kiedy pociemnieje ci przed oczami, wciśnij czerwony przycisk.

Horst spojrział na lewy nadgarstek.

Podłączony do pulsometru zegarek wskazywał dziewięćdziesiąt sześć uderzeń na minutę. Szybkim tempem przeszedł cztery kilometry. Nie jest źle. Dwa tygodnie temu taką zadyszkę miał już po trzech.

– Jeszcze kilometr. Dasz radę! – Trener personalny najwidoczniej zrozumiał, że częścią jego pracy jest doping.

Wskaźniki, do których podłączona była aparatura, zaczęły wspinać się w górę, rysując na ekranie całkiem strome wzniesienie. Horst zmrużył oczy i przyspieszył. Był na granicy biegu. Jego stopy ledwo nadążały za szybko przemieszczającym się podłożem. Zacisnął pięści na poręczach i próbował nie myśleć o poważnej operacji, którą przeszedł zaledwie kilka miesięcy temu. Przez chwilę czuł, że widmo kolejnego zawału jest bliskie jak nigdy dotąd.

– Osiemset metrów. Dajesz! – Dobrze opłacony byczek naprawdę starał się zbadać jego wydolność.

Gdyby Horst powiedział mu, że zapisał się do nich zaledwie trzy miesiące po operacji serca, pewnie kazaliby mu spadać. Uśmiechnął się do tej myśli. Powrót do sportu po trzydziestu latach był bardziej bolesny, niż przypuszczał, ale sprawiał mu niemal masochistyczną przyjemność. No i nie lubił odpuszczać. We wszystko, co robił, angażował się w stu procentach. Zawsze.

Kiedy był milicjantem, jego zespół musiał dawać z siebie wszystko, żeby zakończyć śledztwo. Dwadzieścia lat pracował nad tym, aby sprawiedliwość dosięgnęła ludzi winnych śmierci jego córki. Firma, którą rozwijał w latach dziewięćdziesiątych,

była teraz jedną z największych agencji ochroniarskich w kraju. A kiedy na trzy lata przed siedemdziesiątką po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochał, uczucie to wypełniało każdą komórkę jego ciała, sprawiając, że robił rzeczy, które wcześniej wydawały mu się zupełnie bez sensu.

Mimowolnie przypomniał sobie to, co zdarzyło się kilka dni przed sylwestrem. Ze swoją nową miłością pojechał w Karkonosze. Było jak w bajce. Kochali się przy kominku, mając za oknem ośnieżone góry. Pili wino i robili długie wycieczki. Podczas jednej z takich wypraw chcieli zdobyć Śnieżnik. Było mroźno i wietrznie. Minus kilkanaście stopni, dużo śniegu i sporo zapału godnego lepszej sprawy. Szli wolno. Przystawali, żeby pociągnąć z piersiówki albo rzucać się śnieżkami jak para zakochanych nastolatków. Gdzieś na tysiącu metrów, kiedy przemierzali jedno ze wzniesień pełne pokrytych śniegiem choinek, Horst poczuł, że organizm odmawia mu posłuszeństwa. Szedł dalej, coraz bardziej świadomy tego, że wszechobecny śnieg przykrył ślady innych turystów i wszystkie znaki. Widział coraz mniej. W głowie i w klatce piersiowej czuł niepokojący ucisk. Łapał zimne hausty powietrza, z coraz większym trudem stawiał kolejne kroki. Krajobraz zaczął falować, a on poczuł, że zalewa go strach, który przyszedł do niego wraz z nową falą zimna. Powiedział, że musi usiąść, coś go zakłuło i urwał mu się film.

Umarłby, gdyby nie ona. Rozpięła mu kurtkę i zaczęła reanimację. Dwa wdechy, trzydzieści uciśnień. Dwa wdechy i uciśnięcia. Uratowała go. W końcu otworzył oczy, a ona przykryła go swoją kurtką i poszła po pomoc. W szpitalu okazało się, że miał zawał.

„Niech pan podziękuje swojej córce, zachowała się wzorowo”, powiedział lekarz, nieco złośliwie interpretując

różnicę wieku. Horst tylko przytaknął. Wiedział więcej niż lekarz. Kobieta, która była od niego młodsza o dwadzieścia trzy lata, przywróciła go do życia w każdym możliwym znaczeniu tego słowa. To dzięki niej zaczynał rozumieć, że to wszystko może mieć sens.

Zegarek pikuął ostrzegawczo. Zostało zaledwie dwieście metrów. Horst zbliżał się do końca testu. Jeszcze tylko sto metrów...

– Pięć kilometrów! Brawo! Wydolność jak u nastolatka! – żartował trener personalny, klepiąc go po ramieniu.

Horst zwolnił, czekając, aż elektryczna bieżnia wyhamuje. Ciężko dyszał, a kiedy ściągnął maskę i pochylił głowę, pot zmoczył mu buty. Uśmiechał się. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek.



Janek usłyszał skandowanie własnego nazwiska. Zaczęło się gdzieś po prawej stronie, przy ozdobionych białymi różami stołach, a potem narastało, przelewając się falami przez parkiet, głośniejsze i coraz bardziej radosne. „Vincent-kto? Vincent-kto? Vincent-Vincent-Van-Love!”. Kompletna żenada. Najchętniej by się schował, wyszedł pod byle pretekstem i nie wracał, aż wytrzeźwieją, ale Bartek, patyczakowaty wokalista, sprawiał wrażenie, że tylko na to czekał. Kiedy kilku pijanych facetów zauważyło Janka na scenie, światło reflektora skierowano na jego bladą ze wstydu twarz, a Bartek wydarł się do mikrofonu ile sił w płucach:

– Panie i panowie, przed wami Szczupaki i legendarny Vincent Van Love! Gość, który nigdy nie traci zimnej krwi! A ponieważ krew najlepiej chłodzi zimna wódka, po tej piosence zapraszamy do stołów na małe co nieco! Niech żyje młoda para, niech żyje bal!

Keyboardzista puścił w ruch swoje długie paluchy. Jego wielki krawat ze szczupakiem kołysał się nad instrumentem. Bartek wznosił ręce jak Freddie Merkury, a Janek nie miał innego wyjścia jak pochylić się nad gitarą i trącać struny w rytm nieśmiertelnego przeboju Maryli Rodowicz, który – jak przekonali się już wiele razy – sprawiał, że rodzice i teściowie kołysali się ze łzami w oczach, być może zyskując także poczucie dobrze wydanych pieniędzy. Sala tańczyła, darła się, kelnerzy przynosili kolejne flaszki i zakąski, a członkowie zespołu – dwóch facetów około trzydziestki i o dziesięć lat

starszy Janek – prężyli torsy, na których błyszcząły krawaty z zielonym szczupakiem.

Dziesięć minut później, kiedy siedzieli przy suto zastawionym stoliku, Bartek przepił do Janka, szeroko się uśmiechając.

– To niesamowite, prawda?

Janek, który właśnie nakładał na talerz zieloną pastę niewiadomego pochodzenia, podniósł głowę.

– Co takiego?

– Ten program był wieki temu, a oni ciągle cię pamiętają.

– Magia telewizji – stwierdził Janek, chociaż dawno już zapomniał, że jako dwudziestoletni gówniarz otarł się o sławę. Tyle czasu minęło od finału tamtego *talent show*. Tak, to naprawdę niesamowite, że ktoś jeszcze go kojarzy.

– Kojarzą go raczej jako brata zaginionej Kaśki. – Maciek, klawiszowiec, poczuł się w obowiązku sprostować fakty. – Ta golonka naprawdę niezła, próbowaliście?

– To jest najlepsze na weselach – stwierdził Bartek, uśmiechając się do kelnerki, która na ich stoliku postawiła schłodzoną butelkę wyborowej. – Możesz się tak najeść, że potem przez kilka dni wytrzymujesz bez obiadu.

Janek zakrył dłonią szkło.

– Mnie nie lej – powiedział.

– Serio? Mamy opłacony pokój.

– Serio. Staram się nie jeść mięsa, a po alkoholu na pewno się na coś skuszę.

Janek zawsze używał tego pretekstu w miejscach, gdzie serwowali alkohol. Było to dużo łatwiejsze niż tłumaczenie

komuś, że antydepresantów, które bierze, nie można mieszać z procentami.

– Jak tam chcesz. – Bartek wzruszył ramionami. – To się ze sobą wiąże. No wiesz, młodszy znają cię z netu, a tam jest wszystko. Jak ktoś słyszał o porwaniu twojej siostry, to pewnie sprawdził też ciebie. No i trafił na dawne piosenki.

– Dają radę nawet dzisiaj – zgodził się Maciek. – Myślałeś o tym, żeby nagrać kolejną płytę?

Janek się zamyślił. Jasne, że tak, chciał powiedzieć, niemal każdego dnia marzę o tym, żeby robić coś wartościowego. Już nawet otworzył usta, ale ktoś przy stole zaintonował: „A kto się w styczniu urodził...”. Rozległy się brawa i śmiechy, które zagłuszały ich rozmowę.

Janek przełknął kęs pasty. Szpinak, bób i coś jeszcze, nie wiedział co. Pięć lat temu nie wzięłby tego do ust. Teraz pasta wydała mu się całkiem niezła.

– Zaraz wrócę – powiedział, uśmiechając się do kolegów. – Zawsze jak słyszę pytanie o kolejną płytę, chce mi się srać.

Janek wyszedł na zewnątrz. Lubił Bartka i Maćka, chłopaki mieli dobre serca i trochę wyobraźni, ale czasami zastanawiał się, czy banały, które głośzą z pełnym przekonaniem, to ich prawdziwe myśli, czy tylko wyrafinowana gra, mająca na celu sprawdzić jego inteligencję. W każdym razie ich kontakty najczęściej nie wykraczały poza sferę zawodową, dwa, trzy wesela w miesiącu. To oni zgłosili się do Janka, a kiedy zaproponował zaporową, jak mu się wydawało, stawkę trzech tysięcy złotych, oni zaproponowali mu połowę i powiedzieli: „Pokrywamy koszty dojazdu i jesz, ile chcesz”. Janek miał zamiar odmówić, ale matematyka była nieubłagana. Za trzy wieczory w tygodniu zarobiłby dużo więcej niż przez dwadzieścia dni w Radiu Wolność – rozgłośni, którą z takim

trudem rozwijali. „Dobra, zobaczymy, jak to będzie wyglądać”, powiedział.

To początek kwietnia, ale niebo było gwiaździste, a w powietrzu dawało się wyczuć przyjemną rzeźkość. Kilku facetów w rozpiętych pod szyją koszulach paliło, rozmawiając. Przemknął obok nich, kierując się ku torowi przeszkód, za którym rozciągał się las. Minął drążki do podciągania i wysikał się, patrząc na cienie drzew rysujące się na granatowym niebie. Miał jeszcze chwilę, więc zapalił papierosa i pomyślał o tym, że kiedy go skończy, będzie o siedem minut bliżej tysiąca pięciuset złotych.

Kiedy wrócił, chłopacy byli już gotowi do dalszej części koncertu.

– Był tu pan młody – powiedział Bartek, z którego twarzy zniknął alkoholowy uśmiech. – Powiedział, że goście chcą już tańczyć.

– Brzmiał tak, jakby chciał powiedzieć, że nie płaci nam za obijanie się – dodał Maciek.

– Dalej, Wincent, zbieramy się. Na początek *Jesteś szalona*.

– Żartujecie, prawda?

Nie żartowali. Po chwili ze sceny wznosiły się dźwięki kolejnego weselnego szlagieru. Janek stał tak blisko ściany, jak było to możliwe, leniwie trącając struny. Dobrą stroną w graniu chałtur było to, że nie musiał nawet znać chwytów. Najczęściej wystarczyło tylko grać w rytm keyboardu, który i tak brzmiał, jakby wszystkie te piosenki wgrano na niego wcześniej.

Janek kołysał się, obserwując zgromadzonych gości. Niestety nie widział nic godnego zapamiętania. Otyli wujkowie, podchmielone ciotki, brylująca na parkiecie młodzież. Kiedy grał, odhaczając kolejne przeboje, zobaczył, że na salę wchodzi

facet, który przypomina jego samego sprzed dziesięciu lat. Długie dredy, tania marynarka i swingujący krok. A ten skąd się urwał? – zapytał sam siebie, ale wtedy zauważył, że piękna kobieta, która trzyma go za rękę, wygląda dość znajomo. Salomea, o kilka lat starsza, poważniejsza, ale z całą pewnością ona, dziewczyna, z której dziadkiem wiele go łączyło.

Chwilę po otrzęsinach, kiedy atmosfera zrobiła się naprawdę swobodna, spotkał ją przy stoliku z przekąskami. Jej kasztanowe włosy pachniały lasem, a czarna suknia opinała się na kształtnych biodrach.

– Cześć – powiedział.

Obróciła się i przez chwilę mu się przyglądała. W końcu jej twarz rozpromienił serdeczny uśmiech.

– Janek? Ty tutaj?

Padli sobie w ramiona.

– Kilka lat minęło, co? – zapytał retorycznie. – Wyrosłaś.

– Tobie posiwiały skronie.

– Ej... – Chciał coś dodać, ale poklepała go po brzuchu.

– Dobrze się trzymasz, jak na staruszka. Serio.

– Chodźmy gdzieś, gdzie można zamienić słowo – zaproponował Janek i odruchowo spojrzał w poszukiwaniu faceta, bo ten mógł przecież wyłonić się skądś w każdej chwili. – O ile możesz.

Bartek, który po wypiciu pół litra, z wokalisty zamieniał się w didżeja, puszczał teraz stonowaną muzykę. Cisza przed burzą. Janek przechodząc obok niego, rzucił na scenę krawat. Rozmowa z piękną kobietą i wielki krawat z rybą zupełnie do siebie nie pasowały. Bartek chyba zrozumiał, bo puścił do niego oko i o nic nie pytał.

Wyszli na zewnątrz. Zrobiło się chłodniej. Od czarnej połaci pól zawiewał zimowy wiatr. Zbliżyli się do ściany hotelu, który graniczył z salą bankietową. Nad nimi zapaliło się światło.

Salomea zgięła nogę w kolanie i obcasem oparła się o ścianę.

– Przyszłam z kolegą, nie znam tu nikogo. A ty?

– Ja gram.

– W tym zespole? – Dziewczyna wykonała nieokreślony ruch ręką. Jakby chciała wskazać scenę, ale niespecjalnie wiedziała, gdzie się znajduje. – Nie obraż się, ale, szczerze mówiąc, wokalistę macie do dupy.

Janek wzruszył ramionami.

– Palisz? – zapytał.

– Co?

Janek spojrzał w jej oczy. Uśmiechały się. Smutek, który kiedyś zawsze zalegał na dnie jej spojrzenia, teraz gdzieś zniknął.

– Możesz palić zioło? A twoja... epilepsja?

Salomea zamiast odpowiedzieć, rozejrzała się i wyciągnęła z torebki jointa.

– Muszę uważać. Palę tylko to, co mnie rozluźnia. Wiesz, *indica*, podwyższona zawartość CBD. Chyba byłeś w temacie...

Jankowi wydało się niezwykle, że tak wyrosła. Pamiętał ją jako dwudziestolatkę, nieobliczalną trzpiotkę uparcie traktującą go jak starszego kolegę. Teraz miał przed sobą kobietę, która wydawała się wiedzieć, czego chce.

– Gdybym grywała na weselach, zawsze byłabym upalona. – Wzięła kilka machów i poczęstowała go.

– I tak ledwo to znoszę. Podwyższona percepcja nie pomaga.
– Janek poczuł, że gwiazdy, których kilka błyszczało nad

pobliskim lasem, zamigotały jaśniej. – No dobra, może czasem trochę pomaga... A co u ciebie? Ciagle Poznań?

– Piła.

– Policja? Serio?

– Wiesz, jestem dopiero na drugim roku, jeszcze wiele może się zdarzyć.

Janek oddał jej jointa i wsadził ręce w kieszenie. Stał tuż obok niej i oparł się o ścianę. Ubrani na czarno, ładni i lekko rozchełstani wyglądali jak reklama Hugo Bossa.

– To Horst cię namówił?

– Można tak powiedzieć. Mój dziadek zawsze powtarzał, że jak chcę zmarnować sobie życie tak jak on, to najlepiej wstąpić do policji.

Janek się zaśmiał.

– Dawno go nie widziałem. Co u niego?

Salomea westchnęła, a Janek nieoczekiwanie zorientował się, że poruszył drażliwy temat.

– Dobrze... Aż za dobrze.

– To problem?

– Sama nie wiem. Raczej tak.

– Chyba nie nadążam. Znalazł dziewczynę czy co? – Miał to być żart, ale okazał się kiepski, bo Salomea spoważniała.

– Serio? – spytał Janek, niemal dławiąc się dymem. – Znalazł dziewczynę i jest szczęśliwy? Wybacz, ale nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Na szczęście nie musisz.

Chwilę milczeli. Salomea nie poruszyła się, stała jak dotąd sztywna, niemal naprężona, ale Janek odniósł wrażenie, że

włączył się w niej jakiś system alarmowy, który w każdej chwili może sprawić, że ucieknie.

– Ej, Salka...

– W porządku. Wiem, że za bardzo się przejmuję.

– Ile on właściwie...

– Sześćdziesiąt siedem. Ale twierdzi, że czuje się na czterdzieści. Serio. Niepokoję się o niego. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że miał zawał. W ogóle nie zamierzał mi powiedzieć. Kupił sobie sportowe ciuchy i katuje się na siłowni.

Janek westchnął. Najchętniej wykorzystałby okazję i przytulił Salomeę, ale lekko kręciło mu się w głowie. Podpieranie ściany wydało się bezpieczniejszą opcją.

– Kiedy wracasz do Piły? W sensie... Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy się spotkać. Ja, ty, on, Alicja...

– Jasne, chętnie. W poniedziałek muszę być na zajęciach, ale w święta jest to jak najbardziej realne.

Pogadali jeszcze chwilę o mało istotnych rzeczach, a potem od strony hotelu zjawił się facet o swingującym kroku i ponurym spojrzeniu. Ignorując Janka, zwrócił się do Salomei.

– Dzwoniłem. Zaczynałem się martwić.

– Spotkałam dawnego kolegę. Janek. Kosma.

Żaden z nich nawet nie podniósł ręki.

– Dobra, trzymaj się – powiedziała Salomea. – Umówcie się i dajcie mi znać.

Janek kiwnął jej na pożegnanie. Zanim wrócił do chłopaków, spojrzął w duże okna naprzeciwko. Goście bawili się w najlepsze. Z pewnego oddalenia wyglądali jak zamknięte w akwarium ryby, które na chwilę podłączono do prądu. To wrażenie nie opuściło go nawet, kiedy wszedł do środka.

Bartek ledwo trzymał się na nogach i wyglądał jak kowboj, który próbował okiełznać ogromnego elektrycznego węgorza złożonego z kilkudziesięciu trzymających się za biodra osób.

– I w przód! I w tył! Tak jest! A teraz pingwiny ruszają do przodu!

Miałem rację, pomyślał, po gandzi jest jeszcze gorzej niż na trzeźwo.



Dwa tygodnie później Janek siedział na balkonie, patrząc na poranne słońce, które niedawno wspięło się nad drzewa przy minizoo. W pobliżu, gdzie powstawał kolejny apartamentowiec, najwidoczniej coś spawano, bo powietrze miało zapach rozgrzanej do białości blachy. Pił kawę i palił papierosa. Dziesięć minut relaksu w sobotnie przedpołudnie.

Drzwi uchyliły się i weszła Alicja. Widział ją kątem oka, ale nie odezwał się. Jego dziewczyna chwilę patrzyła na niego, poprawiając szlafrok, który i tak odsłaniał jej dekolt i zgrabny brzuch. Niedawno przekroczyła trzydziestkę, ale dojrzałość tylko dodawała jej urody. Kiedy zrozumiała, że Janek jest bardziej zamyślony niż zwykle, pocałowała go i zapytała:

- Kombinujesz coś, o czym powinnam wiedzieć?
- Nie. Chciałem w spokoju wypić kawę. Chyba dobrze, że cię nie obudziłem, prawda?

Alicja usiadła mu na kolanach i spojrzała w oczy.

- Rafałek jest u babci – powiedziała.

Janek zaciągnął się dymem. Obrócił lekko głowę, aby słońce nadal ogrzewało mu twarz. Zazwyczaj lubił te leniwe sobotnie przedpołudnia, kiedy jej syn był we Wrocławiu, a oni mogli kochać się, ile dusza zapragnie. Teraz jednak nie był w nastroju do amorów. Myślał o popołudniowym spotkaniu z Horstem. Przypominało mu o całym bólu i strachu, jakich zaznał cztery lata temu, kiedy na własną rękę szukali zemsty. Od tamtego czasu widywali się rzadko, mniej więcej raz na rok. Gdyby nie

wnuczka Horsta, Salomea, pewnie nie planowałby spotkania z nim.

– Ej, co jest? – spytała Alicja.

– Nic. Nie mam nastroju.

Spojrzała mu w oczy.

– Chyba nie odstawiłeś tabletek? – spytała.

– Nie. Ale niedługo to zrobię. Czuję się, jakbym patrzył na świat przez szybę.

Zbliżyła się do niego. Dłonią czule pogładziła jego szyję.

– Mam owulację – szepnęła. – Chodź do sypialni.

Nie poruszył się. Spłodzenie potomstwa było jedną z ostatnich pozycji na długiej liście jego marzeń.

Alicja spoważniała. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Facet, co z tobą?

Zawsze kiedy była na niego wściekła, mówiła do niego „facet” albo „koleś”. Umiała przeklinać, nie używając ani jednego wulgaryzmu.

– Mamy Rafałka – powiedział Janek, ale najwidoczniej był świadomy tego, że brzmi to jak kiepska wymówka, bo zaraz dodał: – Nie czuję się gotowy. A poza tym nie masz umowy o pracę.

Rzeczywiście nie miała. Praca w knajpie na pięć ósmych etatu, której podjęła się, żeby mieć kontakt z ludźmi, zaspokajała tylko część ich finansowych potrzeb. Jej były mąż przestał płacić alimenty, a ona nie chciała rozgrzebywać starych ran. Wolała zapomnieć o nim i jego pieniądzach.

– Teraz to sobie uświadomiłeś?

– Nie. Już jakiś czas temu. Kiedy poroniłaś, to...

Zacisnęła usta. Wstała i tłumiąc złość, patrzyła mu w oczy. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

– Przepraszam – powiedział. Chciał ją przytulić, ale wróciła do mieszkania.

Godzinę później udało mu się ją udobruchać. Tym razem to ona odmówiła seksu.

– Nie robisz mi łaski – stwierdziła.

– To nie tak...

– Rozumiem, że tak ci wygodniej. Żadnych zobowiązań. Żadnych dokumentów. Może jestem staroświecka, ale czasami zastanawiam się, czy to ma sens.

– Chodzi ci o nasz związek? – Nie rozzłościł się, chociaż być może powinien. – Myślę, że ma...

– Myślisz?

– Wiem to. Kocham cię.

Leżeli na łóżku. Jego dłoń wędrowała po jej plecach i koronkowych majtkach.

– Nie chcę, żebyśmy robili sobie dziecko tylko dlatego, że czujesz się zobowiązany.

– To nie tak – powiedział najłagodniej jak potrafił. – Po prostu miałem popieprzone życie. Nie wiem, czy chcę obciążać nim swoje dziecko.

– Janek, rozmawialiśmy o tym.

– Wiem, przepraszam. Zacząłem myśleć o Horście i wtedy przypomniałem sobie to wszystko... Sama mi mówiłaś, że najbardziej na świecie boisz się o Rafałka. Nie wiem, czy zniosę myśl, że mojemu dziecku może przytrafić się to, co spotkało moją siostrę.

Alicja patrzyła mu w oczy. Była spokojna i piękna.

– Kiedyś mówiłeś, że zawsze sobie poradzimy. Jeśli tylko będziemy się kochać, to wszystko będzie dobrze.

– Bo będzie. Ale wiesz, że ciągle zdarzają się rzeczy, na które nie mamy wpływu. Złe rzeczy.

Zamilkła. Zrozumiała, że mówi o śmierci jej ojca, która spadła na nich niemal dokładnie dwa lata temu. Jej tata jechał do biura. Na skrzyżowaniu, kiedy czekał na zmianę świateł, dopadł go wylew. Umarł pośród odgłosów klaksonów śpieszących się do pracy ludzi. Alicja miała z nim słaby kontakt, ale to wcale nie zmniejszyło jej bólu.

– Ale na niektóre jednak mamy wpływ – powiedziała. – Na przykład na to, żebyśmy byli dla siebie dobrzy.

– Na to akurat tak. – Janek się uśmiechnął. Poznał ją dobre cztery lata temu i ciągle szalenie mu się podobała. Pocałował ją.

– Skończyłam pisać *Persefonę* – oznajmiła, lekko się odsuwając.

– I jak ci z tym?

– Nie wiem, chyba dobrze. Chciałabym to wystawić.

– Oswojenie się z Królową Podziemi trochę ci pomogło?

Alicja się zamyśliła.

– Trochę. Na pewno bardziej niż terapia. No i sam mówiłeś, że pisanie jest tańsze.

– Czysty zysk – stwierdził cynicznie. – Przyjdiesz z tym do naszego radia? Posłucha tego może z dwieście osób, ale lepsze to niż nic.

– To oficjalne zaproszenie? – Alicja uśmiechała się, patrząc mu w oczy.

– Zazwyczaj wysyłamy zalakowany list pisany złotym atramentem, ale z uwagi na to, że trochę się znamy...

– To miłe. – Z nocnej szafki wyciągnęła krem nawilżający. Rozpięła bluzkę i mruknęła jak kotka, układając policzek na wierzchu swoich dłoni. – Możesz nasmarować mi plecy? Masz okazję pokazać mi, że naprawdę chcesz, żebym przyszła.

Kilka godzin później ich połatany multivan wyjeżdżał ze strzeżonego parkingu, aby skierować się na północ, gdzie po kilkunastu minutach miał dojechać do malowniczo położonego domku. Kiedy sprzedawali swoje mieszkania, aby kupić czteropokojowy apartament, musieli zorientować się w cenach nieruchomości, więc wiedzieli, że ta Horsta pewnie teraz warta była majątek. Wjechali do lasu. Po chwili zza drzew wyłoniła się niewielka wioska. Minęli ją, aby znowu znaleźć się między drzewami. Po chwili stanęli przed solidnym ogrodzeniem. Wyszli z auta.

– Wzięłaś zakupy? – spytała Alicja.

– A, tak... – Janek otworzył boczne drzwi i wyjął torbę z napojami.

– Zapomniałam swetra...

– Dam ci swój polar.

Janek wyciągnął go z auta, otrzepał i podał Alicji. Było rzeczywiście chłodno. Narzuciła polar na ramiona i ruszyli do furtki.

Salomea, która otworzyła im drzwi, serdecznie ich przywitała i wyściskała.

– Chodźcie – powiedziała. – Zobaczycie pewnie kilka zmian. Wspominałam już Jankowi, że mój dziadek przeżywa drugą młodość.

Weszli na teren posiadłości. Po chwili znaleźli się w dużym ogrodzie. Janek wiedział, że Horst wybudował sobie basen, ale dopiero teraz dostrzegł, że musiał wydać na to fortunę.

Marmurowe obrzeża i rzeźby w narożnikach kojarzyły się bardziej z zachcianką arystokraty niż jesienią życia byłego gliny. W narożniku działki w sąsiedztwie porośniętego różami muru stała wiata z grillem i kominkiem, w którym palił się ogień. To właśnie przy nim krzątał się Horst. Dostrzegli też, że na dużym ogrodowym krześle w cieniu glicynii siedzi kobieta. Jej wyciągnięte nogi spoczywały na ratanowym stołku. Nosiła okulary przeciwsłoneczne i całą uwagę poświęcała drapieżnemu ptakowi, który ufnie siedział na sokolniczej rękawicy. Na głowie miał karnal i pozwalał głaskać się po grzbiecie.

– To prawdziwy ptak? – spytał lekko zdezorientowany Janek.

– Tak, jastrząb. I Sirene – powiedziała Salomea z lekkim przekąsem.

Zrobili kilka kroków. Alicja zagwizdała pod nosem, kiedy mijali jedną z rzeźb – zatrzymaną w tańcu nimfę.

Horst podszedł do nich. Alicję pocałował w dłoń, a z Jankiem serdecznie się uściskał.

– Wymłodniałeś, staruszkę – powiedział Janek, bo gliniarz rzeczywiście sprawiał takie wrażenie. Jego błękitne oczy błyszczały mocniej i nawet jeśli było to zasługą kontrastu z opaloną łysiną, to bijąca z nich żywotność i tak była czymś niespotykanym. Horst wyraźnie schudł, a Janek mógłby przysiąc, że klepiąc go po barkach, wyczuł mięśnie.

– Też się trzymasz, młokosie – stwierdził Horst. – A ty, Alicjo, wyglądasz coraz młodziej.

– Dziękuję – powiedziała. Podobnie jak Janek zerknęła w stronę siedzącej na krześle kobiety. Była pewna, że Horst ich sobie przedstawi, zrobiła nawet krok w jej kierunku, ale nic z tego. Horst nawet nie zająknął się na jej temat.

Janek był bardziej bezpośredni.

– Nie zapoznasz nas? – zapytał, wskazując na Sirene, która właśnie próbowała zainteresować jastrzębia kawałkiem surowego mięsa.

– Za chwilę – odparł Horst, człapiąc w kierunku grilla.

– Miałam koleżankę zajaraną sokołami – powiedziała Alicja.
– Chodziła nawet na kurs, ale ptak uciekł jej przy pierwszej okazji. Zniechęciła się.

– A, tak. – Horst dopiero teraz zrozumiał, że goście zainteresowani są nie tylko jego dziewczyną. – Znaleźliśmy go w lesie. Nie mógł latać, ale chyba nie miał nic złamane. Weterynarz stwierdził, że to młody osobnik. Może nie było dla niego miejsca w gnieździe.

– Udaje się wam go nakarmić? – spytał Janek.

– Sirene ma podejście do zwierząt. Jastrząb zachowuje się przy niej jak zaczarowany. Wraca do zdrowia.

Janek położył torbę i raz jeszcze przyjrzał się wybrance Horsta. Jej nogi były zgrabne i opalone. Okrywało ją lekkie niebieskie poncho. Miała długie blond włosy i białe dredy (prawdopodobnie doczepione), a także lekko spiczasty nos, kształtne usta i wystające kości policzkowe. Z całą pewnością mogła podobać się facetom.

– Janek, z tym mięsem to poważnie? – zapytał Horst, do którego najwidoczniej doszła plotka o zmianie diety.

Janek przytaknął.

– Czasami chapnę szyneczkę – powiedział, klepiąc się po brzuchu. – Prawie zrezygnowałem z pieczywa i ziemniaków. Chcę się jeszcze trochę powspinać. Ale dzisiaj karkówką albo stekiem chyba jednak nie pogardzę.

Do rozmowy wtrąciła się Alicja.

– W kwestii diety i palenia fajek jest wyjątkowo wybiórczy – stwierdziła. – Mówił ci, co wymyślił?

– To tylko luźny projekt – usprawiedliwił się Janek, który doskonale wiedział, że Horst zawsze uważał go za lekkomyślnego.

– Janek ubzdurał sobie, że teraz będzie się wspinał bez asekuracji.

– Napomknąłem o tym tylko raz, miesiąc temu, a Ala rozpowiada wszystkim, że chcę się zabić.

– A nie jest tak? – spytała Alicja, przyglądając mu się badawczo.

– Nie. Gdybyś mi o tym nie przypominała trzy razy dziennie, pewnie już bym zapomniał – stwierdził Janek.

Kłamał. Projekt solowej wspinaczki zrodził się w jego głowie dobry rok temu i zamiast zniknąć, tylko się rozrastał.

– To dobrze. Bo jakbyś przeżył, to chyba bym cię zabiła.

– Zachowujecie się jak stare małżeństwo – skwitował Horst. Uśmiechał się. Jeszcze nigdy nie widzieli go w tak dobrym nastroju.

Z przyniesionej torby wyjęli sześciopak piwa i soki. Rozglądali się po ogrodzie, który budził się do życia po zimowej przerwie.

Horst podał im szklanki.

– O, jesteście! – powiedział, bo zobaczył, że Sirene skierowała się w ich stronę. Jastrząb siedział na grzędzie kilka metrów za nią. – Poznajcie się. To Janek i Alicja.

Sirene zdjęła okulary. Miała zmarszczki wokół oczu, a jej lewa powieka unosiła się tylko do połowy.

– Miło mi poznać – powiedział Janek, całując ją w nadstawione policzki.

– Salomeę już znacie. A to jest Sirene, miłość mojego życia – oświadczył Horst z całkowitą powagą.

Alicja i Sirene wymieniły uścisk dłoni.

Ma jakieś czterdzieści lat, a w dzieciństwie chorowała, oceniła Alicja. Oprócz tego dostrzegła w niej przede wszystkim sztuczność. Piercing w nosie, tatuaże i kolczyki z kolorowych ptasich piór. Podobne ozdoby i te same flegmatyczne ruchy widziała u ludzi spotkanych lata temu na imprezie u samozwańczego proroka. Zawsze patrzyła na ten nurt z życzliwym uśmiechem, ale w Sirene było coś, co ją wkurzało. Może to, jak patrzyła na Janka, który wydawał się nie odrywać wzroku od jej bluzki. Lekka batikowa tkanina wyglądała, jakby za chwilę miała zsunąć się z jej opalonych piersi. Nie nosiła stanika.

Pewnie zaraz mu powie, że słuchała jego płyty, pomyślała Alicja, ale myliła się.

Sirene swoim prawym okiem spojrzała na Janka.

– Horścinek mówił, że kiedyś uratowaliście świat.

Janek zamaskował napad śmiechu dyplomatycznym wyszczerzeniem zębów.

Horścinek poruchał i przepadł, pomyślał.

– Drobnostka – przyznał. – Właściwie to nawet nie wiem, czy nie skazaliśmy świata na wieczne potępienie. Tamten facet rzeczywiście wyglądał na proroka.

Alicja kopnęła go w kostkę na znak, że przez wzgląd na obecność Salomei nie warto ciągnąć tego tematu. Objęła go ramieniem.

– Kochanie, nie wiem jak ty, ale ja robię się trochę głodna. Siadamy? – zapytała.

Gdzieś z dala dobiegło nawoływanie sójki. Jastrząb poruszył się dopiero teraz. Pokręcił głową, ale karnal czynił go ślepym i na wpół głuchym.

Zanosiło się na deszcz. Wyposażona w kominek wiata stanowiła miłą oazę.

Horst wydawał się całkiem odmieniony. Jak zawsze spokojny, emanował taką pewnością siebie, że Janek był skłonny pozazdrościć mu szczęścia. Sirene spoglądała na niego z czułością i dotykała przy każdej możliwej okazji. Wyglądało to dość szczeniacko, ale przecież nie wyrządzali nikomu krzywdy. No, może z wyjątkiem Salomei, która nie siedziała z nimi długo. Wypiła swoje arbuzowe piwo i poszła do domu.

– Kiedy się poznaliście? – spytała Alicja, gdy zostali we czwórkę.

– Jesienią. Na festiwalu wody – odparł Horst.

– Co robiłeś na festiwalu wody? – spytał Janek, który ostatnie dwa słowa wypowiedział z innym akcentem, jakby „festiwal wody” był w obcym języku.

– Salcia mnie wyciągnęła. Chciałem upolować kilka fajnych fotek, a upolowałem ją. – Horst przytulił Sirene. Szeroki uśmiech łowcy, który rozpromienił jego usta, był pełen dumy.

– Jestem tam co roku – powiedziała Sirene, głaszcząc łysinę ukochanego. – Zresztą staram się regularnie bywać na warsztatach. To dla mnie dobra motywacja, aby dbać o duchowy rozwój.

– Dogadasz się z Jankiem, on też ceni duchowy rozwój. – Alicja powiedziała to w tak miły sposób, że tylko Janek zrozumiał, że robi sobie jaja.

– Ale przede wszystkim *movement* – stwierdził Janek. Alicja była czuła na językowe niuanse. Nieraz wspólnie żartowali z tej specyficznej nowomowy, której ostatnio pełno było w necie.

– *Movement* to podstawa – przyznała Sirene, która wzięła go całkiem serio. – Uwielbiam tańczyć, ale nie tylko. Potrzebuję zmiany. *Change is a challenge*, jak mawia moja arcykapłanka.

– Arcykapłanka? – Alicja nie umiała powstrzymać ciekawości.

– Tak. Co w tym dziwnego?

– W sumie nic...

– Jak właściwie poznałaś Horsta? – spytał Janek.

– Horścinek robił mi zdjęcia, a ja tańczyłam. Inni widzieli w nim twardego faceta, ale ja ujrzałam wrażliwego mężczyznę, który wszystko co najcenniejsze chowa pod maską wojownika.

– Horst jest wojownikiem – stwierdził Janek. Nawet Alicja nie wiedziała, czy jego uśmiech to efekt wypicia piwa, czy cynizm.

– Oczywiście, że jestem – przyznał Horst, który najwidoczniej zachował resztkę dystansu do siebie.

– Tak, kochanie, w głębi duszy ciągle nim jesteś, ale przyznasz, że odkąd zdekonstruowałam twoją maskę, lepiej ci z samym sobą.

Alicja trąciła Janka w kolano. Była bliska śmiechu.

– Lubiłam jego maskę wojownika – powiedziała.

– Maską ogranicza i blokuje przepływ energii – odparła Sirene. – Horst ciągle jest wojownikiem. Ale to jego uśmiech sprawia, że umie czerpać z energetycznych zasobów.

– Myślałam, że viagra – zdziwił się Janek.

Alicja zachichotała, a Horst posłał mu spojrzenie, które sugerowało, że jeszcze jeden żart, a jego wewnętrzny wojownik wejdzie w tryb turbo.

– Okej, okej – powiedział Janek, rozkładając ręce.

– Każda z wielkich idei najpierw była czyimś snem, potem przedmiotem szyderstw, a w końcu czymś, co zmieniło świat – wyrecytowała Sirene.

– Dokładnie tak jak viagra – zauważył Janek, uroczo się uśmiechając.

– Janek, jesteś małostkowy – wtrąciła się Alicja. – Sirene mówi o wynalazkach, o wielkich sprawach.

– Ale ja się nie spieram. Naprawdę chętnie posłucham.

– Konkretnie to mówię o reiki. Mam dopiero drugi *level*, ale kiedyś chciałabym zostać kapłanką. Horst miał blokady energetyczne, ale terapia, którą zastosowałam w połączeniu z rozmowami, przyniosła skutek. Okazało się, że śmierć córki całkowicie zablokowała przepływ życiodajnej prany. – Sirene miała ładny głos, w którego tle można było usłyszeć zmysłową chrypkę. Mówiła spokojnie i z pełnym przekonaniem, co na pewno uwiarygodniało jej słowa.

Janek patrząc na Horsta, był gotowy jej uwierzyć. Jego kolega wyglądał, jakby naprawdę odkrył tajemne receptury zapewniające wieczną młodość.

– À propos prany, to idę zapalić – oświadczył.

Poszedł w stronę domu, przy którym spotkał Salomeę. Siedziała na ławce, przeglądając w komórce internetowe wiadomości.

– Wiesz już, o co mi chodzi? – spytała, kiedy usiadł obok.

– Chyba tak. Ale nie wygląda to tak źle. Twój dziadek się zakochał. Zdarza się.

Dziewczyna westchnęła.

– Dziadek spytał mnie ostatnio, czy miałabym coś przeciwko temu, żeby kiedyś się ożenił.

– Każdy z nas ma prawo do szczęścia.

– Nie rozumiesz? Ta kobieta całkiem zawróciła mu w głowie. Janek przez chwilę milczał. Potem zapalił papierosa.

– Tak działa miłość. Nie postępujemy racjonalnie. To właśnie jest w niej piękne – powiedział najspokojniej jak umiał.

Salomea obróciła się w jego stronę i spojrzała mu w oczy. Z drugiej części ogrodu dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji.

– Janek, wybacz, ale jestem wyczulona na takie pierdolenie. Sirene, czy jak tam naprawdę się nazywa, gada o aurze, a ja patrzę na nią i nie widzę żadnej aury. Nic. Rozumiesz?

– Wiesz, jeśli sugerujesz, że wierzę, że zostanie kapłanką...

– Jak dla mnie może sobie być nawet papieżem, ale duchowości w niej tyle, co kot napłakał.

– No nie wiem, Sala.

– Faceci... – westchnęła. – Wystarczy pokazać wam kawałek cycka i już tracicie rozum.

– Tak działa przyroda. – Janek się uśmiechał. Był wypoczęty, a antydepresanty działały prawidłowo.

– Sirene stwierdziła, że musi być blisko wody, więc Horst wybudował jej basen. Tutaj, w lesie. Ta kobieta jest niebezpieczna.

– Moim zdaniem przesadzasz. Jest specyficzna, ale nikomu nie robi krzywdy.

Salomea chwyciła go za rękę.

– Obiecuj mi, że jak przyjdzie mu do głowy się żenić, to dopilnujesz, żeby podpisał intercyzę. A najlepiej całkiem wybij

mu ten pomysł z głowy.

– O intercyzie mogę mu wspomnieć – przyznał Janek. – Ale nie zamierzam ingerować w wybory dorosłego faceta. A jak ten twój znajomy z wesela?

– Nie zmieniaj tematu – fuknęła Sala i weszła do domu.

Janek siedział na murku, paląc papierosa, kiedy nagle poczuł na karku czuły kobiecy dotyk. Obok niego usiadła Sirene, której zdrowe oko wpatrywało się w niego z sympatią.

– Słyszałam o twoim wspinaczkowym projekcie.

– Alicja rozpowiada o tym na prawo i lewo. To ona prosiła cię, żebyś ze mną pogadała?

Sirene uśmiechnęła się do niego. Uśmiech miała uroczy.

– Nie – powiedziała. – Też kiedyś się wspinałam.

– Fajny sport, co?

– Fajny. Wymagający. A ten twój projekt... Masz wybraną konkretną drogę?

– Mandala Życia. Znasz?

– Nigdy nie zrobiłam końcówki.

– Mnie do niedawna też się nie udawało...

Sirene najwidoczniej zauważyła jego zawahanie, bo zmieniła ton.

– Jeśli wierzysz, że to ma sens, to ja to rozumiem. Są sprawy, z którymi musimy się zmierzyć, chociaż innym wydają się straszne. Tak już po prostu jest. To my odpowiadamy za swoje życie, nikt inny.

– Nie myślisz, że to głupie?

Sirene pokręciła głową.

– Pielęgnuj w sobie cząstkę, w której rodzą się głupie pomysły. Czasem tylko ona oddziela nasze życie od banalności.

Janek zgasił papierosa. Na szyi ciągle czuł jej dotyk.

– Idę coś przekąsić – powiedział, wstając. – Dzięki... kapłanko.

Spojrzeni na siebie. Zdrowe oko Sirene mrugnęło.

Janek wrócił do stołu. W radiu, które brzdąkało koło grilla, nadawali właśnie wiadomości. Spikerka mówiła, że sprawcy napadu na konwojenta ciągle są na wolności. Firma znalazła się w ogniu krytyki, ale facet, który wypowiadał się w imieniu Baszty, twierdził, że trwają kontrole systemu i podobna sytuacja nigdy się nie powtórzy.

– Żałujesz, że sprzedałeś udziały? – spytał Janek.

– Żartujesz? – odparł Horst. – Teraz mogę mieć to gdzieś.

– To wydarzyło się bardzo blisko Leszna – zauważyła Alicja.

– Szkoda chłopaka...

– Pewnie, że szkoda, ale takie rzeczy się zdarzają. Nie bez powodu konwojenci są uzbrojeni.

– Ciekawe, gdzie teraz jest ten facet, który go zastrzelił – zastanawiała się Sirene. – Horst, myślisz, że go złapią?

Stary gliniarz pokręcił głową i podszedł do grilla. Warzywa były już gotowe; mięso potrzebowało jeszcze chwili.

– Jeśli ma trochę oleju w głowie, to nigdy go nie znajdą – stwierdził Janek.

– Dwa miliony to sporo forsy. – Alicja wyglądała na rozmarzoną. – Można zainwestować w coś, co naprawdę chce się robić.

– Ja otworzyłabym studio jogi – stwierdziła Sirene.

– Ja zainwestowałbym w rozgłoszenie – powiedział Janek.

– Zejdźcie na ziemię, moi drodzy. – Horst niósł tacę jeszcze dymiących potraw. – Częstujcie się.

Spróbowali. Mięso rozpływało się w ustach.

– I jak? – spytał Horst.

Janek miał wrażenie, że nie chodzi mu o ich opinie na temat mięsa, ale o zmiany, których są świadkami.

– Jakbym miała tyle pieniędzy, to podzieliłabym je na dwie kupki. – Alicja, której najwidoczniej poprawił się humor, miała ostatnio coraz silniejszą potrzebę rozmowy z ludźmi. – Na mniejszą i większą. Większą odłożyłabym na inwestycje, a mniejszą... A mniejszą roztrwoiłabym na głupoty.

– Na głupoty wydajesz swoją wypłatę – zauważył Janek.

– Zachowujecie się jak stare małżeństwo – powiedziała Sirene, czule dotykając Horsta. – Przydałoby wam się trochę tantry.

Alicja spojrzała na nią. Chciała coś powiedzieć, ale dłoń Janka, która znacząco ścisnęła jej udo, sprawiła, że w porę ugryzła się w język.



Fifty siedział przy barze, wlewając w siebie kolejny kieliszek wódki. Ubrany był na czarno, co trochę go wyszczuplało. Pod rozpiętą koszulą widoczny był złoty łańcuch, a czapka z daszkiem miała logo New York Yankees. Po zaroście, który zapuszczał przez ostatnie dwa miesiące, nie było ani śladu.

– Jeszcze jedną – polecił barmanowi. – I się, kurwa, nie gap.

Wypił i poczłapał w stronę sceny, na której srebrzyły się rury do pole dancingu. Muzyka była bardzo głośna. Bas dudnił w żołądku, sprawiając, że wypity alkohol uderzał do głowy szybko i mocno. Na scenie tańczyło kilka dziewczyn. Szczupłe, prawie nagie, ładne. Kilkanaście następnych krążyło w pobliżu, lepiąc się do dobrze ubranych mężczyzn. Fifty znalazł wolne miejsce i usiadł, wyciągając kilka banknotów.

Jedna z dziewczyn, długonoga brunetka, odnalazła wzrokiem jego spojrzenie i wypięła pupę. Zakręciła się na rurze i zdjęła stanik. Uśmiechała się do niego, kiedy wsadził jej stówę za pas do pończoch. Kiedy wetknął dwusetkę w majtki, od ich zdjęcia powstrzymał ją tylko fakt, że w jego dłoni wciąż tkwił dobry tysiąc.

– Zatańczę tylko dla ciebie – powiedziała i zeszła z niewielkiej sceny.

Fifty uśmiechnął się i wygodniej rozsiadł na krześle.

Wiła się, ocierając się o jego krocze i pozwalając całować się po piersiach. Szeptła mu, że jest przystojny i twardy jak dąb, a on nawet nie zauważył, kiedy plik banknotów znalazł się w jej

majtkach. Światło migotało coraz szybciej, na klatce piersiowej czuł jej język, jej ręka ślizgała się po jego udzie, podczas gdy druga pomagała mu sięgnąć po portfel. Chyba nie miał już gotówki, ale nie przejął się, bo ostatnio niemalże srał kasą. Gorzej, że ta dziwka, dotąd wijąca się wokół niego jak pyton, zniechęciła się i ani myślała go pieścić. Warknął i kazał jej kontynuować, ale ona przestała szeptać, patrzyła na niego i gadała coś, czego nie rozumiał. Kiedy przed jego oczami zjawiała się kasa fiskalna, stało się jasne, że to koniec zalotów. Nawet nawalony nie był takim kretyńcem, żeby przewalać uciulane z trudem oszczędności.

– Idę do kibla – oświadczył, wstając. – Czekaj na mnie.

Powiedziała, że zaczeka, ale kiedy spróbował ją pocałować, syknęła, żeby trzymał język przy sobie.

Zataczając się, ruszył w kierunku toalety. Chciał się odlać albo wyrzygać, jeszcze nie wiedział co, czuł tylko, że musi zamknąć się w kabinie i chwilę pomyśleć, bo od tej dudniącej w skroniach muzyki zaraz pęknie mu łeb. Wszystkie trzy były zajęte. Z ostatniej dobiegały kopulacyjne jęki. Zapukał do drzwi, a kiedy ktoś powiedział mu, że ma spierdalać, wykopał drzwi i wywalił bzykającą się parkę. Chłopak w spuszczonej do kostek spodniach protestował tylko przez chwilę. Kiedy zobaczył, jak Fifty jest potężny, spotulniał, wycedził kilka przekleństw i zniknął pożegnany kopniakiem w dupę. Fifty zamknął się w kabinie i myślał. Myślał intensywnie, aż rozbolała go głowa. Myślał, gdzie się podział cały hajs, który ze sobą zabrał. Jak przez mgłę pamiętał, że włożył do portfela dobre trzy tysiące.

Cholerna pizda, pomyślał, przypominając sobie tę kształtną i sprawną jak wąż brunetkę, gdyby nie ona, nie sterczałbym tu z erekcją, bez szans na ruchanie. Ponieważ nie mógł się odlać, wyrzygał się i poczuł, że w głowie trochę mu się rozjaśnia.

Zaczął nawet słyszeć. Dudniący przez ściany bas ucichł na tyle, że Fifty usłyszał nawet dzwonek swojego telefonu.

– Gdzie jesteś, cwelu? – pytał głos w słuchawce.

– Glaca?

– Nie, twoja stara. Gdzie jesteś?

Tak, to na pewno Glaca, pomyślał. Odkąd obrobili Basztę, nie spuszczał go z oka, chociaż umawiali się, że kiedy to się skończy, każdy pójdzie w swoją stronę.

– Co cie, kurwa... Co cie to ochodzi, gdzie jesteś?

– Nazwa miejscówki! Ale już!

Glaca miał łeb na karku i lepiej było go nie wkurzać. Nawet kompletnie narąbany Fifty dobrze to wiedział.

– Błękitna la... la... Błękitna Laguna – wypowiedział z odcieniem triumfu.

– Zostań tam, gdzie jesteś, i nie rób nic głupiego. Zrozumiano?

– Luz, Glaca. Ta gupia ziwka... Ta ziwka wisi mi dwa koła. Muszę poruchać. Żeby być kwita z nimi. Rozumiesz, Glaca?

– Ja pierdolę... Zostań, gdzie jesteś, kretynie.

– Pie... Pierdol się, Glaca.

Nie mógł znaleźć na ekranie czerwonej słuchawki, a Glaca jeszcze ciągle na niego wrzeszczał. Rzucił telefonem o drewniane przepierzenie kibli, ale zaraz uświadomił sobie, że w środku ma numery, internet, wszystko. Podniósł telefon i ruszył w stronę muzyki. Dziwka odda hajs, inaczej pożaluje.

Kręcił się po sali. Światła, ostre granatowe i srebrne impulsy, otaczały go z każdej strony, sprawiały, że jedyne, co dostrzegał, to tłum ludzi, ocierające się o niego ciała, między którymi musiał się rozpychać, a one i tak potraçały go to w prawo, to

w lewo, cholerni złośliwcy, niemal upadł, kiedy jego nogi zaplątały się w podstawę hokera.

Rozpoznał ją od razu, tak mu się przynajmniej wydawało. Czarne włosy, czarne body, apetyczne piersi i kasa wsadzona w majtki. Jego kasa.

– Oddawaj – powiedział, wyciągając rękę.

Dziewczyna zdzieliła go w pysk i podniosła wrzask.

Jebana. Odmachnął się, ale zanim jej oddał, czyjeś łapy złapały go za ręce, czyjaś pięść walnęła go w głowę. Chciał powiedzieć im, że mają przejebane, że kurwa, która ich wysrała na ten świat, też ma przejebane, już on tego dopilnuje, ale język mu się plątał, a ich było więcej, czterech, może nawet pięciu, każdy trzeźwy i przypakowany. Dał się przeciągnąć przez parkiet, właściwie to leciał jak duch, nawet nie dotykając stopami ziemi. Drzwi huknęły go w głowę, zabolowało, dopiero teraz poczuł, że traci równowagę. Nie zdążył nawet podeprzeć się rękami, runął na pysk, a czyjaś noga kopnęła go w brzuch.

Skulił się. Ból trochę go otrzeźwił. Wiedział już, że musi zmienić narrację, rozprawi się z nimi następnym razem, wróci tu z Glacą i pokaże tym grubym lujom, co to walka uliczna, ale teraz musi przystopować, bo łeb pęka, a brzuch... brzuch też pęka, kurwa, ale bo...

Wyrzygał się na chodnik.

Widocznie wykopali go tylnym wyjściem, bo kiedy podniósł głowę, nie zobaczył ani zapraszającej do klubu dziewczyny, ani srebrnych barierek, ani nawet czerwonego dywanu. Ochroniarze stali nad nim, czekając, aż dojdzie do siebie. Porządne chłopaki chciały najpierw upewnić się, że zrozumie, wytłumaczyć mu, że łapy trzyma się przy sobie.

– Rozumiesz?

Coś tam rozumiał, piąte przez dziesiąte, kiwnął głową.

– Rozumiem, że macie przesrane, ćwoki – powiedział, a oni byli tak uprzejmi, że spytali go znowu, tym razem nie czekając na odpowiedź. Chociaż przesadził z wódką, czuł każdy spadający na twarz cios. Odruchowo zrobił zółwia, ale kopali mocno, nawet w dupie poczuł rozpędzony but i pomyślał, że może już nie pokaże im, co to prawdziwa uliczna walka, nie dzisiaj, kiedy nagle usłyszał głos, basowy mocny pomruk. Glaca, pierdolony kochany Glaca.

– Czy was, kurwa, pojebało? Chcecie go zajebać, kiedy gówniarz lata tu z kamerą?

Zatrzymali się. Dyszeli. Ale nie byli głupi.

– Jaki gówniarz?

– Ten szczył w czarnej koszulce. Tam pobiegł. – Glaca wskazał dłonią na ulicę. Podszedł do Fiftiego, który zdążył już przewrócić się na bok.

– A ty coś za jeden? Znasz go?

– To mój ziomek.

Wyprostowali się. Stanęli w rozkroku. Jeszcze nie atakowali. Stojący przed nimi facet wzbudziłby respekt u samego diabła.

Glaca uśmiechnął się. Uśmiechnęły się wytatuowane na jego głowie postacie. Jego lewa dłoń sięgnęła po portfel. Ale wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Fifty podniósł się i chociaż ledwo stał na nogach, zdołał wyszarpnąć skądś glocka. Jego zakrwawiona twarz pałała żądzą mordy.

– Zajebię... – warczał, podnosząc broń.

Ochroniarze cofnęli się o krok. Stracili pewność siebie.

– Zajebię skurwieli – mówił i pewnie gdyby nie musiał się skulić, żeby wykaszleć krwawy skrzep, pociągnąłby za spust.

Glaca zareagował błyskawicznie. Znalazł się pomiędzy nim a ochroniarzami i podniósł ręce do góry.

– Spokojnie, ja to załatwię. Wszyscy spokój! Ty też, baranie!
– powiedział.

W dłoniach Glacy pojawił się gruby plik banknotów. Podzielił go na cztery jak zawodowy cinkciarz i dał każdemu z ochroniarzy.

– To dla was, chłopaki. Ciężko pracujecie, a nas tu nie było, zrozumiano?

– Zajebię ich – warczał Fifty.

Glaca wycelował w niego ozdobiony sygnetem paluch.

– Zamknij się, kurwa, i waruj. Mówiłem, że to załatwię.

Fifty spokorniał.

– Już znikamy – mówił Glaca. – Idźcie do środka. Ja zajmę się kolegą.

– Jeszcze raz go tutaj zobaczymy, to wyłowią go z Warty – powiedział jeden. Ociągali się, ale w końcu weszli do środka.

Glaca mógł odetchnąć.

– Zbieraj się, szuszwolu – powiedział. – Spadamy stąd. I wisisz mi cztery koła.



Następnego dnia Fifty spał do południa, a kiedy się obudził, to pożałował, że go nie wykończyli, bo głowa pękała mu z bólu, a posiniaczone ciało pulsowało i piekło. Wziął garść tabletek i spróbował ponownie zasnąć, ale nie udało mu się, bo jakkolwiek się układał, wczorajszy wieczór przypominał o sobie. Dopiero następnej nocy, kiedy na melinie zjawił się Glaca i wstrzyknął mu coś mocniejszego, odpłynął w sen, który przypominał dryfowanie przerdzewiałego kutra na zimnym wzburzonym morzu.

Pogadali dopiero następnego dnia. Nie była to miła rozmowa.

– Szuka nas policja – mówił Glaca. – Mają twoje dane, wiedzą, gdzie mieszkałeś, jak wyglądasz, wiedzą wszystko. A ty, idioto, robisz zadymę w klubie, chociaż i bez tego zainteresowaliby się tobą, bo pewnie współpracują z policją, nie udawaj, że od wczoraj żyjesz na tym świecie.

– Twój szef to załatwi. Musisz powiedzieć mu, że te luje pasiaste rzuciły się na mnie bez powodu...

– Z dupą się na łby zamieniłeś? Mamy knajpy i kebaby. Go-go w centrum należą do Cygana. Nie ruszamy go, on nie rusza nas.

– I... I co z tego?

– To, że jak dalej będziesz takim imbecylem, to sam nakopię ci do dupy. Musimy zmienić plan. Za bardzo rzucasz się w oczy z tą kasą.

– Ale jak?

Głaca westchnął. Na razie pewien był jednego: nadmiar gotówki to więcej zagrożeń niż szans. Widząc, że Fifty wpatruje się w niego pokornym psim spojrzeniem, podał mu fajkę.

Palili, spoglądając na pełną gotówki torbę, leżącą w kącie pokoju.

– Jutro zmieniamy melinę – powiedział w końcu Głaca. – Jak będzie trzeba, to ukryjemy też kasę. Pamiętasz, co ci mówiłem?

Fifty wypuścił dym i pokręcił głową. Dzisiaj pamiętał tylko, że dał się skopać lujom, których mógł odstrzelić.

– A pamiętasz, dlaczego nie pójdziemy z tym do banku? – Głaca ponownie wskazał wzrokiem czarną torbę.

Fifty milczał. Oczywiście gadali o tym nieraz. Numery seryjne, system bankowy, wydział przestępstw gospodarczych, całe to pierdolenie sprowadzało się do jednego: wydasz dużo gotówki w jednym miejscu, to namierzą cię szybciej, niż ci się wydaje. W Baszcie konwojenci nie sprawdzali numerów seryjnych przed transportem, ale nie był pewien, czy ktoś nie załatwiał tego za nich.

– No to co robimy? – spytał w końcu Fifty.

– Na razie wracam do pracy. Chociaż z taką kasą to powinienem byczyć się na Seszelach.



– Co o tym myślisz? – spytała Alicja, kiedy usiedli w salonie, żeby obejrzeć odcinek *The Crown*.

– O Horście?

Skinęła głową.

Janek zapadł się w miękkie siedzisko sofy.

– Myślę, że minie sporo czasu, zanim mu przejdzie. Jeśli w ogóle.

– Wybudował dla niej basen.

– Miał kasę, to wybudował. Nie mów, że nie chciałabyś mieć basenu.

– Jasne, że tak.

– No widzisz.

Alicja podniosła kubek z herbatą, ale zanim wzięła łyk, zatrzymała serial. Mieli jeden z nielicznych weekendów dla siebie. Chciała pogadać.

– Kiedy mieszkałam we Wrocławiu, bywałam w Kalamburze.

– Przechodziłem obok dziesiątki razy. To takie miejsce, gdzie każdy chce być artystą?

– Trochę tak. Ja patrzyłam na to jak na glebę, z której czasami wyrasta prawdziwy talent. Chodzi mi o to, że takich Sirene było tam na pęczki.

– Mieszkamy na bezrybiu, Aliś. – Janek ostentacyjnie spojrział w prawo i w lewo. – Właściwie to wygląda na to, że

mieszkamy w miejscu, gdzie nie ma syren. Rozejrzyj się. Wokół rozciąga się kompletne bezsyrenie.

– Ty się nabijasz, a laska bajeruje twojego przyjaciela aż miło.

– Właśnie w tym sęk. Miło. Nie robi nikomu krzywdy, a jeśli Horstowi to odpowiada...

– Nie żartuję, Janek. Jak zniknąłeś, to poprosił, żebym w poniedziałek się z nim spotkała. Odbierzesz Rafałka z przedszkola?

– Skoro cię prosił...

– Wspominał o zakupach.

Janek spojrzał na nią. Wyglądała na lekko zdezorientowaną, co tylko upewniło go, że nie żartuje.

– To niedobrze – powiedział. – Przypominam sobie jedną jedyną sytuację, kiedy poprosiłem koleżankę, żeby poszła ze mną na zakupy.

– Jaką?

– Chciałem kupić pierścionek zaręczynowy.

– Serio? Boże... Nie mówiłeś, że byłeś zaręczony. – W głosie Alicji słychać było lekką urazę.

– Bo nie byłem. Zanim go wręczyłem, zmieniłem zdanie. Też byłem otumaniony, ale chyba...

– Chyba co?

– Nie aż tak jak Horst.

Zaśmiali się. Alicja usiadła koło niego i dłonią przeczesła jego włosy.

– Do środy mogę robić, co tylko zechcesz – powiedział Janek.

– Ale na weekend jadę w Sokoły. Pogoda ma być ładna.

Alicja zeszywniała, bo wciąż miała w pamięci filmik ze wspinaczem wążącym bez asekuracji na całkowicie gładką

ścianę, ale wkrótce, kiedy dotarło do niej, że ten duży rozczulający się nad sobą dzieciak i tak nic nie rozumie, postanowiła zmienić strategię.

– Obiecuj, że nie zrobisz nic głupiego – poprosiła, patrząc mu w oczy.

– Muszę zaczerpnąć oddechu. Rozumiesz?

Pokręciła głową. Nie rozumiała.

– Mam dobry humor, ale to pozory. Przecież wiesz. Tabletki tłumią, ale naprawdę tylko ja sam mogę coś zmienić. Chcę poczuć, że żyję, że wali mi serce, że ze strachu pocą mi się ręce... Wrócę w jednym kawałku. Obiecuję.

Pocałował ją, ale się odsunęła.

– Jest jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia – powiedziała.

– Nie ma co wyjaśniać. – Janek patrzył w jej duże piwne oczy.
– Poradzimy sobie we czwórkę.

Teraz, odwrotnie niż rankiem, to Alicja wyglądała na wystraszoną.

– Sama widzisz – stwierdził Janek. – Kiedy ktoś wspomina o dzieciach tuż przed seksem, to robi się niezręcznie.

Alicja chciała coś powiedzieć, ale położył jej palec na ustach. Kiedy całował ją w szyję, ściągając bluzkę, patrzyła na niego z miłością. Rozpięła stanik i położyła się na kanapie.

– Jak wspomniała o tantrze, myślałam, że ją uduszę – powiedziała Alicja.

– Zawsze się zastanawiałem, czy to teoria, czy praktyka. – Pieścił jej piersi. Niedawno zrobiła sobie piercing. Musiał uważać bardziej niż kiedyś.

– Horst twierdzi, że całokształt.

– Mieliście ciekawą pogawędkę – stwierdził Janek. W jego głosie czaiła się nutka zazdrości.

– Zmienił się. – Alicja ściągnęła majtki. – Widziałam, jak na ciebie patrzy.

– Kto?

– Sirene.

– Rozumiem, że cię drażni. Ale i tak myślę, że pod tym pieprzeniem o arcykapłankach kryje się ciekawa i wrażliwa kobieta.

Alicja stopą dotknęła jego krocza. Przez antydepresanty miewał kłopoty z erekcją, jednak teraz wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Pochylił się nad nią i pocałował wewnętrzną stronę jej uda.

– Kręci cię? – spytała.

– Sirene?

– Nie. Moja cipka.

Roześmiali się.

– Niezmiennie – przyznał, pochylając się nad nią. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak bardzo podobał mu się jej zapach.



W poniedziałek około południa Alicja stała przy wejściu do galerii handlowej i od niechcienia patrzyła na przejeżdżające auta. Pogoda była ładna i mimo wczesnej pory obok niej przewijało się sporo osób, głównie uczniów leszczyńskich szkół, którzy mieszczące się na pierwszym piętrze fast foody traktowali jako miejsce spotkań. Horst zjawił się dokładnie o dwunastej, tak jak się umówili. Już z daleka usłyszała warkot jego odrestaurowanego kubelwagena, który skupiał na sobie uwagę przechodniów. Horst przez chwilę szukał miejsca, a kiedy zaparkował i wyłonił się spośród samochodów, ledwo go poznała.

Ten dobiegający siedemdziesiątki mężczyzna miał na sobie marynarkę z harris tweedu i kaszkiet w takim samym odcieniu wełny. Z kieszeni wystawał łańcuszek, a laska, którą trzymał w dłoni, dostojnie stawiając kroki, błyszczała srebrem i elegancją.

– Cześć – powiedziała, kiedy ucałował jej dłoń. – Wyglądasz jak generał na emeryturze.

– Mój tata mawiał, że mężczyzna w pewnym wieku musi dobrze pachnieć i dobrze się ubierać, bo samym wyglądem już nic nie zwojuje.

– Masz ochotę na kawę? – zapytała Ala, która ku swojemu zdziwieniu nabrała ochoty, żeby chwycić go pod ramię. Kiedy to zrobiła i ruszyli ku wejściu, zrozumiała, że naprawdę wziął sobie do serca ojcowską radę. Perfumy, którymi skropił się obficie, pachniały całkiem przyjemnie.

Weszli do środka.

– Cappuccino będzie odpowiednie? – zapytał Horst, kiedy usiedli przy kawiarnianym stoliku.

Obok siedziało dwóch nastolatków. Oglądane w telefonie filmiki kwitowali stekiem przekleństw. Jeden z nich, blondynek w zielonym dresie, śmiał się tak głośno, że oboje szybko pożałowali wyboru tego miejsca.

Jedynie wolne stoliki były pod McDonalodem; nie chcieli się przesiadać.

– Nie jesteście tu sami – powiedział Horst. – Przeszkadzacie.

Spojrzeli na niego tępo i wrócili do swoich zajęć. Ich język niewiele się zmienił.

– Zostaw, Horst. Nie warto – stwierdziła Alicja. – Cappuccino będzie okej.

Jest poirytowany, pomyślała Alicja, a więc jednak zaręczyny... Zrobiło jej się trochę smutno. Janek nigdy nawet słowem nie wspomniał o zalegalizowaniu ich związku. Trochę szkoda. Gdyby kochał ją naprawdę mocno, pewnie też biegałby za pierścieniem.

Horst przyniósł ich kawę i poszedł po stojące na ladzie ciasta. Kiedy wrócił, Alicja dostrzegła, że trzęsą mu się ręce. Czyżby ten wystylizowany od stóp do głów facet się denerwował? Horst uciekał wzrokiem i długo milczał, a kiedy wreszcie zaczął mówić o swoim ojcu, o tym, że był oficerem, utalentowanym wojskowym szkolonym do pracy wywiadowczej, kiedy plótł o swojej rodzinie, przerwała mu. Nie chciała przedłużać jego i swoich cierpień.

– Janek mówił mi, że tylko raz poszedł na zakupy z koleżanką.

– Czyli kiedy? – zapytał Horst.

– Kiedy chciał się oświadczyć.

Horst niemal zakrztusił się kawą, czym ponownie skupił na sobie spojrzenia siedzących przy sąsiednim stoliku chłopaków.

Alicja zaśmiała się uroczo.

– No więc? – zapytała. – Szafir? Szmaragd?

Horst zastygł. Po prostu siedział jak zamurowany.

– Ma niebieskie oczy – powiedział w końcu. – Chyba szafir...
Jeśli kamień wybiera się pod kolor oczu.

– Można, ale nie trzeba. Najważniejsze to znać rozmiar.
Znasz?

– Nie. Nie znam.

– A masz może przy sobie inny jej pierścionek? Może być jakiś stary, którego nie nosi.

Horst drgnął, jakby coś sobie przypomniał, i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej czarną sakiewkę, a jej zawartość wysypał na blat.

– Ja pierdolę, stary obrobił bank i idzie się oświadczyć – powiedział blondynek przy sąsiednim stoliku. Zawtórował mu śmiech kompana.

Alicja, która miała nadzieję, że zdenerwowany Horst tego nie słyszy, podniosła jeden z pierścionków i założyła go na serdeczny palec. Potem wzięła jeszcze dwa inne, z którymi zrobiła to samo.

– Z tego, co widziałam, to ma mniej więcej takie palce jak ja.
Dość szczupłe, prawda?

– Raczej tak – odparł Horst.

– Myślę, że możemy spróbować z trzynastką. Umówimy się, że jakby nie pasował, to możemy wymienić na inny rozmiar.

– Tak można?

– Chyba tak. Duże sieci mają bogatszą rozmiarówkę – mówiła Alicja tonem znawczyni, ale tak naprawdę nie pamiętała, kiedy była w miejscu takim jak to. Żyjąc z Jankiem, zaczęła kupować ciuchy w lumpie albo internecie.

Horst nabił na widelec kawałek sernika. Kiedy go przełknął, zapytał:

– Jak ja mam to zrobić? No wiesz... Zabrać ją gdzieś czy co?

Przez gwar rozmów i sączącą się z głośników muzykę słysząc było głos gówniarzy siedzących przy stoliku obok.

– Zabierz ją do sanatorium miłości, dziadku.

– I dopilnuj, żeby nie uciekła. Ha, ha.

– Nie zwracaj na nich uwagi, Horst – powiedziała Alicja, która tym razem nie mogła się łudzić, że tego nie słyszał.

Horst zachował spokój. Tok jego myśli pozostał niezmienny.

– Może zabrać ją do SPA? – zapytał.

– Dobry pomysł. Albo po prostu w jakieś malownicze miejsce. Park, góry, morze... To prostsze, niż się wydaje.

– Czy ja wiem... – Horst wyglądał, jakby bił się z myślami. Jego pewność siebie gdzieś wyparowała.

– Głowa do góry. – Alicja czule poklepała jego żylastą łapę. – Jeśli się kochacie i chcecie ze sobą być, to z pewnością przyjmie zaręczyny. Wiek nie gra roli.

– Pewnie dziadek zabierze ją do tych, no... katakumbów.

– Ha, ha, ha, do katakumbów...

– Jak chcesz, pójdziemy, gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać w spokoju – powiedziała Alicja. – Dzisiaj mam czas.

– Dziękuję, Alicjo. Nigdzie mi się nie spieszy.

Nie było możliwości, żeby porozmawiać o poważnych sprawach, bo co chwilę rozbrzmiewały śmiechy dwóch małolatów. Alicja wiedziała, że ponowne zwrócenie im uwagi będzie przyznaniem się, że głupie żarciki mogą być bolesne dla stremowanego Horsta. Spokojnie jedli więc ciasto i popijali kawę.

Wkrótce smarkacze znaleźli sobie nowy obiekt drwin, a w końcu oddalili się długim błyszczącym korytarzem. Alicja nawet nie zauważyła, że Horst zerka w ich kierunku. Wydawał się bez reszty pochłonięty swoimi dylematami.

– Nie jestem na to za stary?

– To już sam powinieneś wiedzieć. – Alicja uśmiechnęła się do niego. – Zabrzmiałoby to jak banał, ale nigdy nie jest za późno na miłość.

– Niby tak, ale...

– Ale co?

– Prostata już nie taka jak kiedyś. Kawa szybko daje o sobie znać. – Tym razem to Horst się uśmiechnął, a potem wsparł na łasce i oddalił w kierunku toalety.

Wszedł do kabiny i nasłuchiwał. Obok, jakieś dwa przepierzenia dalej, ktoś właśnie spuszczał wodę. Horst poczekał, aż usłyszy jego kroki w umywalni i wyszedł. W toalecie było jasno i pusto. Od razu zauważył, że ręce myje blondynek w zielonym dresie. Dokładnie tak jak się spodziewał. Najspokojniej w świecie ruszył w stronę drzwi wejściowych, ale kiedy był tuż obok nastolatka, z całej siły zdzielił go laską w zgięcie pod kolanami. Stara milicyjna szkoła. Chłopak skulił się, a Horst chwycił jego głowę jak piłkę do koszykówki i uderzył nią o umywalkę. Młodziak nie zdążył nawet krzyknąć. Upadł, zalewając się krwią ze złamanego nosa. Pewnie nawet nie

wiedział, co go spotkało. Horst umył dłonie i opierając się na lasce, wyszedł z toalety.

– Białe złoto czy klasyczne? – zapytał, wróciwszy do stolika.

Alicja chwilę mu się przyglądała. Była prawie pewna, że wcześniej nie miał na brodzie tej plamki krwi.

– Chyba białe, prawda? – zastanawiał się Horst.

– Sirene jest dość opalona. Może jednak żółte byłoby lepsze.

– Zobaczymy, co mają. Idziemy?

Alicja wyciągnęła chusteczkę, pochyliła się nad stolikiem i przetarła Horstowi brodę.

– Musiałeś coś rozdrapać – powiedziała. – Teraz możemy iść.

Dwie godziny później, kiedy złoty pierścionek z szafirem za dwadzieścia pięć tysięcy spoczywał już w kieszeni Horsta, Alicja uświadomiła sobie, że musi poruszyć pewien trudny temat.

– Janek prosił, żebym przekazała ci... – Alicja nie wiedziała, jak ubrać to w słowa. Mówienie o ostrożności facetowi, który właśnie podjął decyzję o oświadczeniach, wydawało się tak absurdalne, jak proponowanie komuś rzucającemu się w ogień, żeby się uczesał. – Jak wiesz, dobrze znam temat rozwodów...

Horst spojrzał na nią badawczo.

– Co masz na myśli? – zapytał.

Wyszli z galerii i szli chodnikiem w kierunku pozostałości sosnowego lasu po drugiej stronie ulicy. Kwietniowe niebo znowu zasnuło się deszczowymi chmurami, ale im naprawdę się nie spieszyło.

Alicja odpowiedziała po dłuższej chwili namysłu.

– Znam dobrego notariusza – powiedziała. – Świetny facet, ogromna wiedza.

– Nie rozumiem...

– No wiesz, warto pomyśleć o intercyzie. W dzisiejszych czasach to właściwie konieczność.

Horst się wzdrygnął. Czy wszyscy muszą traktować jego miłość jak jeszcze jedną fanaberię zbzikowanego staruszka?

– Nie będę żył wiecznie – powiedział. – Chcę, żeby w razie mojej śmierci była zabezpieczona.

Alicja wzięła go pod ramię.

– Horst, ja to doskonale rozumiem. Wszystko możesz zapisać w testamencie. Intercyza po prostu reguluje pewne sprawy. To normalny dokument w przypadku związku... takiego jak wasz. – Chciała powiedzieć „w przypadku związku, kiedy ktoś, kto ma kasę, żeni się z kimś, kto jej nie ma”, ale mógłby się obrazić.

– Sirene mnie kocha. A ja ją.

Alicja miała wrażenie, że Horst poczuł się urażony. Nie miała wyboru, musiała sięgnąć po mocniejszy argument.

– A Salomea? – spytała. – Wiesz, że wnuczki nie dziedziczą po dziadkach? Jeśli coś ci się stanie, a nie spiszesz intercyzy, to Salcia zostanie z niczym. Nie dostanie po tobie nawet guzika.

Horst westchnął i zwolnił kroku. W końcu się zatrzymał.

Alicja widziała, że zaczyna docierać do niego sens wypowiedzianych przez nią słów.



Dni mijały spokojnie. W piątkowe popołudnie, kiedy Janek jak co tydzień prowadził w Radiu Wolność swoją autorską audycję, na krześle obok niego zjawiła się stremowana Alicja, a on zapowiedział ją na antenie.

Drodzy słuchacze, za oknami wiatr, słońca i nieliczne przebłyki słońca, czyli przedwiośnie, czas, kiedy zimowa chandra bywa najbardziej dotkliwa. Nie mówię o tym przypadkowo. Naszym dzisiejszym gościem jest Alicja Gardias, aktorka, matka, a od niedawna także dramatopisarka. Jej najnowszy dramat, który, miejmy nadzieję, zostanie niedługo wystawiony, bardzo przypomina mi przedwiośnie. Smutek i nadzieja walczą o pierwszeństwo, ale jest w nim coś jeszcze, cichy bohater drugiego planu, o którym chyba najlepiej opowie ona sama.

Niewielkie studio w wynajętym mieszkaniu było rozdzielone na dwie części dźwiękoszczelną szybą. Po drugiej stronie siedział Sylwester, który pochylił swoje masywne cielsko nad konsolę i uśmiechnął się do Alicji na znak, że wszystko jest w porządku.

– Dzień dobry – powiedziała.

– Nie jest chyba tajemnicą, że się znamy. Będę jednak całkiem szczery, kiedy powiem, że twój dramat zrobił na mnie duże

wrażenie. Podobały mi się mroczna atmosfera, to, jak akcja mknie w kierunku odkupienia, i dobrze skonstruowane postaci.

– Dziękuję.

– Naszą rozmowę chciałbym jednak zacząć od czegoś innego. Czy wiesz, kogo lub co miałem na myśli, mówiąc, że to cichy bohater drugiego planu?

– Nie wiem. Przypadek?

– Tak. Twój dramat przypominał mi grecką tragedię, ale fatum zastąpiłaś przypadkiem. Czy naprawdę uważasz, że to właśnie przypadek rządzi ludzkim życiem?

– Rządzimy nim my sami, ale to właśnie przypadek kształtuje je i zmienia. Swojego obecnego partnera poznałam właśnie przez przypadek...

– To nie było fatum? – Janek z trudem opanował śmiech.

– Przypadek. Jakby nie zjawił się ten, to pewnie pojawiłby się inny.

– Ejże, drogi gościu!

– Dobra, żartuję. Wiesz, Janek, ojciec mojej bohaterki zginął, bo odganiał muchę. Nie zauważył jadącego z przeciwka TIR-a. To tylko próbka, niewielki ułamek tego, jak wiele w życiu zależy od czystego przypadku. Realne życie bywa dużo bardziej zaskakujące. Kiedy byłam w liceum, moi najlepsi koledzy zakochali się w tej samej dziewczynie, nie mając pojęcia, że żaden z nich nie jest tym jedynym. Jeden poznał Olę w Bieszczadach, a drugi spotkał ją dwa tygodnie później nad morzem. Cała sprawa wyszła na jaw zupełnym... no właśnie, przypadkiem, kiedy pod koniec wakacji spotkaliśmy się, żeby pogadać. Takie zdarzenia można mnożyć. Kształtują też historię. Hitler kilka razy miał zginąć w zamachu, ale niezmiennie jakiś drobiazg ocalał mu życie.

– Ale to, że doszedł do władzy, nie było przypadkiem.

– Oczywiście, że nie. Nie mówię, że przypadek kształtuje wszystko. Życie byłoby nieznośne, gdybyśmy nie mieli na nie wpływu, ale może nasze postępowanie to tylko reakcja na ciąg przypadków, które przypominają rozrzucone karty. Możemy grać tylko tymi, które mamy. Życie to loteria. Jeden dożywa dziewięćdziesiątki, drugi ginie w wieku dwóch lat w wypadku albo umiera na nowotwór. Bóg tak chciał? Nie, to loteria. Nie ma w tym żadnego drugiego dna.

– Robi się za bardzo filozoficznie. Jak możesz zachęcić słuchaczy do pójścia na spektakl? Oczywiście, o ile zostanie wystawiony, ale jestem pewien, że to wkrótce nastąpi...

– To sztuka o każdym z nas, niewydumana i nieprzesadzona. Każdy człowiek ma swoją jasną i ciemną stronę. Każdego może spotkać nieszczęście. A może już spotkało. Warto zasiąść na widowni i z boku, z bezpiecznego dystansu, zobaczyć, jak radzą z nim sobie bohaterowie Persefony.

Janek spojrział na Sylwestra, który zakreślił palcem na znak, że jeśli chcą, mogą jeszcze rozmawiać. On zadba o całą resztę.

– Nasz dźwiękowiec pokazuje, że mamy jeszcze czas. Może wykorzystamy go, żeby porozmawiać o twojej wizji dramatu. Pewnie jako aktorka, która grywała na scenie, inaczej patrzysz na pracę reżysera...

Wieczorem, kiedy leżeli w łóżku, wspominali tę rozmowę. Żartowali, zastanawiając się, co by było, gdyby John Lennon nie poznał McCartneya, a Lars Ulrich Jamesa Hetfielda. Albo co by było, gdyby Mozart urodził się we współczesnych czasach. Czy także byłby wielkim kompozytorem, czy skończyłby jako

kompozytor muzyki pop, z mózgiem przeżartym pochlebstwami i kokainą.

Janek przypomniał jej, że jutro jedzie się wspinać, a ona spojrzała mu w oczy.

– Znam swoje możliwości – stwierdził bez przekonania.

– Masz nie robić głupot – powiedziała, akcentując każde słowo.

– Nie będę. Tylko to, co naprawdę muszę.

Alicja obróciła się twarzą do ściany. Ostatnio była niemal pewna, że wkrótce zdarzy się coś złego, jednak winę za wybujałą fantazję zwała na to, że zbyt dużo czasu poświęciła pisaniu, które uwrażliwiało ją i odsłaniało. Nawet zastanawiała się, czy mu o tym powiedzieć, ale wydawało jej się to co najmniej tak samo głupie jak wspinaczka bez asekuracji.

– Jeśli to zrobisz, to pożałujesz – powiedziała, wtulając twarz w poduszkę.

Janek milczał. Leżał na plecach i patrzył w sufit.



Była niedziela. Zlot militarystów powoli dobiegał końca. Horst nie mógł zaliczyć tej imprezy do udanych. Od rana siąpił deszcz, szumnie zapowiadana potyczka z Amerykanami okazała się marnym przedstawieniem, w którym wzięło udział najwyżej dwadzieścia osób, a jego starzy kumple zmyli się, kiedy tylko podano grochówkę. On sam należał do tych najwytrwalszych. Może przez to, że skórzany płaszcz SS doskonale sprawdzał się w taką pogodę, a może dlatego, że ciągle jeszcze w głowie miał echa porannej kłótni z Sirene, którą sam spowodował. Właśnie zastanawiał się nad tym, czy powinien zadzwonić i ją przeprosić, kiedy podszedł do niego facet przebrany za partyzanta.

– Herr Sturmbannführer, macie może papieroska? – zapytał, uśmiechnięty.

– Przykro mi, *banditten*, nie palę.

– Trudno – odparł facet, przyglądając się Krzyżowi Żelaznemu, który zdobił szyję Horsta. – Bardzo dobra kopia.

– Chyba o to w tym chodzi, prawda?

– Ja tam najbardziej lubię materiały wybuchowe. Nie tylko tutaj. Chciałem studiować chemię, ale żona zaszła w ciążę...

– Samo życie – powiedział Horst, przesuwając się w stronę swojego kubelwagena. – Muszę zadzwonić. Miło było poznać.

– Wzajemnie – stwierdził facet i ruszył w kierunku gościa w amerykańskim mundurze z dwoma koltami przy pasie.

Generał Patton właśnie wyciągał zapalniczkę, więc szansa na szluga była zdecydowanie większa.

Horst sięgnął po komórkę i wybrał numer Sirene. Był sygnał, ale nie odebrała. Ściągnął czapkę i wsiadł do auta. Brezentowy dach sprawdzał się całkiem nieźle. Teraz mógł obserwować spadające na szybę krople i spokojnie pomyśleć o tym, co w ciągu ostatnich dwóch dni wydarzyło się w jego życiu.

A wydarzyło się całkiem sporo. Wczoraj oświadczył się i został przyjęty. Zrobił to w swoim ogrodzie. Sirene roześmiała się, kiedy zobaczyła go na kolanach, ale uroda pierścionka zrobiła swoje.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała, ale jej głos zdradzał, że sama nie bardzo wierzy w to, co mówi. W końcu rzuciła mu się na szyję ze słowami: – Dobra, stary głuptasie, skoro tak ci zależy, to jasne, że za ciebie wyjdę!

Sięgnęli po butelkę wina. Horstowi trzęsły się ręce. Wypił dwa kieliszki, żeby ochłonać, i dopiero wtedy poczuł, że upragniony spokój wraca. Sirene siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie kuchennego blatu, uporczywie patrząc mu w oczy. Jakby chciała odczytać z nich czekającą ich przyszłość.

Wkrótce znaleźli się w sypialni. Zrobiło się dziwnie. Tak przynajmniej odebrał to Horst, kiedy Sirene ustawiła statyw i umieściła na nim swój telefon.

– Będziemy nagrywali nasze najlepsze momenty – powiedziała.

Chciał zaprotestować, ale rozpięta bluzkę. Rzadko nosiła stanik.

– Co czujesz? – spytała.

– Ja?

– Tak, właśnie się oświadczyłeś. Powiedz mi, co czujesz.

– Nie wiem, chyba szczęście, trochę niepewności. Dziwnie się czuję z tym, że to filmujesz.

– O to chodzi – stwierdziła z uśmiechem. – Na początku zawsze jest dziwnie, ale wyobraź sobie, że za kilka lat możesz do tego wrócić. Obserwować siebie. Nas. Możesz wyciągać wnioski.

– Wnioski?

Horst naprawdę czuł się niekomfortowo. Niemal poczuł radość, kiedy wyszła z sypialni. Wpatrywał się w telefon, próbując odgadnąć, o co tak naprawdę jej chodzi. Odpowiedź przyszła krótko potem. Sirene wróciła w koronkowej bieliźnie. W dłoniach trzymała miskę z lodem.

– Połóż się – powiedziała.

Spełnił prośbę, a ona rozpięła mu flanelową koszulę i chwyciwszy w zęby kostkę lodu, pieściła jego owłosioną klatkę piersiową. Pocałowała pooperacyjną bliznę na jego sercu.

– Kocham cię – wyszeptał, zamykając oczy.

Była powolna i dokładna. Kiedy rozpięła mu spodnie, poczuł się jak nastolatek, którego uwodzi szkolna królowa piękności.

– Jest bardzo twardy – powiedziała, kiedy lód się rozpuścił.

Obróciła się tak, żeby nie zasłaniać kamery. Horst widział ich na ekranie telefonu.

– Wszystko przemija, ale takie pamiątki pozostają – szepnęła Sirene.

Nawet teraz na wspomnienie ostatniej nocy przechodził go dreszcz. Oparł głowę na siedzeniu, mając nadzieję, że czarny płaszcz SS dobrze przykrywa erekcję. Kochali się dobrą godzinę. Potem zasnęli, a kiedy się obudzili, zaczęli wszystko od nowa. Mimo to śniadanie jedli w milczeniu. Horst jak zwykle wstał wcześniej i jak zwykle myślał więcej, niż powinien. Czuł, że po

takiej nocy musi zaczerpnąć oddechu. Wspomniął jej o militarnym zlocie, na który planował pojechać już od dawna. Powiedziała, że jeśli chce, to nie będzie go zatrzymywać, a on wziął to za dobrą monetę.

– Myślałem o naszej przyszłości – zaczął. – I o przyszłości Salomei. Nie posiadam jakoś strasznie dużo, ale mam więcej niż przeciętny człowiek... Wierzę, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebyśmy załatwili formalności.

– Co przez to rozumiesz? – spytała, a w jej tonie czaiła się złość. Nie wyczuł jej albo zrobił to odrobinę za późno. W każdym razie zaczął gadać o intercyzie, o przyszłości swojej jedynej wnuczki, a wtedy Sirene się wściekła.

– Masz mnie za dziwkę? – spytała, a w jej oczach błyszczały łzy. – Jedź na ten cholerny zlot i poproś kogoś, żeby walnął cię w twój zakuty łeb!

Wyjechał. Przecież chciała. Ale teraz wydawało mu się, że postąpił strasznie głupio.

Kiedy patrzył przez przednią szybę, uświadomił sobie, że nie tylko bitwa z Amerykanami była dość żałosna. Żałosny był także on sam, uciekający od teraźniejszości przebieraniec, który rani najbliższą sercu osobę. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w stronę domu. Po drodze zatrzymał się na stacji benzynowej i kupił bukiet kwiatów. Mimowolnie spojrzął na ekran telefonu. Nie oddzwoniła. Pomyślał, że ciągle jest zła.

Mniej więcej po godzinie niemiecki kubelwagen z czasów drugiej wojny światowej stał przed otwieraną na pilota bramą. Horst wjechał do garażu i wszedł do domu. Bukiet kwiatów był tak duży, że musiał trzymać go nisko, aby coś widzieć. Dla postronnego obserwatora pewnie wyglądałby zabawnie. Podstarzały esesman z ogromnym bukietem czerwonych róż.

W skrzeczeniu jastrzębia, które dobiegało z ogrodu, był niepokój.

– Sirene! – zawołał. – Kochanie...

Wszedł do salonu, ale nie zobaczył w nim żadnego śladu obecności narzeczonej. Podeszedł do dużego okna. W ogrodzie też jej nie było. Suczka Mucha, która już wcześniej przywitała go szczekaniem, nadal biegała po trawniku i merdała radośnie ogonem.

– Sirene...

Dom wydał mu się pusty. Na ławie ciągle stały kubki po porannej kawie. Na kanapie wisiała jego bluza, którą zakładał w chłodniejsze wieczory. Wszedł na piętro. Zajrzał do gabinetu i każdej z trzech sypialni. W największej znalazł pudełko po zaręczynowym pierścionku. Stało na szafce nocnej Sirene, tak jak je wczoraj zostawiła. Pomyślał, że pewnie się kąpie. Kwiaty położył na łóżku, zamknął sypialnię i wszedł do łazienki. Zastał w niej tylko jej kosmetyki. Leżały w nieładzie na szafce i szklanej półce przed lustrem. W kubku były dwie szczoteczki. Ich widok trochę go uspokoił. Nie uciekłyby od niego bez szczoteczki. Tak przynajmniej pomyślał, odrobinę się uspokajając. Mimo to czuł się nieswojo.

– Sirene, nie wygłupiaj się... – Sięgnął po komórkę. Jeszcze raz wybrał jej numer. Wytężał słuch.

Usłyszał dźwięk telefonu. Dobiegał z dołu. Dziwne...

Kiedy zszedł do kuchni, zobaczył go na blacie. Na ekranie wyświetlało się jego zdjęcie, ale po Sirene nie było nawet śladu. Drżącą ręką otworzył szafkę i nalał sobie whisky. Zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć.



Co ja wyprawiam, pomyślał Janek, kiedy w poniedziałkowy poranek rozejrzał się po niemal pustym polu namiotowym. Jeszcze wczoraj były tutaj tłumy. Wspinacze chrapali w pokrytych rosą namiotach, kursowali pomiędzy kuchnią a toaletą, upychali do plecaków wspinaczkowy szpej, nawoływali się i gawędzili. Po południu wracali, żeby spakować wysuszone namioty, wsiadali do aut i rozjeżdżali się do domów. Janek został. Pożegnał się z Wojtkiem, któremu powiedział, że chce jeszcze połązić po Rudawach, ale wieczorem, kiedy słońce różowiło zasnute cumulusami niebo, poszedł na Krzyżną Górę, usiadł na jednej z malowniczo położonych skałek i długo wpatrywał się w panoramę Dolnego Śląska.

Kiedy kończył pierwsze piwo, zadzwoniła Alicja. Powiedział, gdzie jest, a ona się rozłączyła. Spodziewał się takiej reakcji. Sam nie rozumiał tego, co zamierzał zrobić. Jak więc mógł wytłumaczyć jej, że ma już dosyć? Że życie, które prowadzi, wyjaławia go i ogłupia? Przepraszam, mógłby powiedzieć, ale duszę się w codzienności i nie ma w tym niczyjej winy. To ja. Tylko ja jestem odpowiedzialny za to, że wszystkie głupie pomysły nawarstwiały się tak długo, że wyłoniła się z nich idea. Mógłby powiedzieć to wszystko, ale wolał milczeć. Wiedział, że wpadł w pułapkę. Może to obłąd, jakiś rodzaj nerwicy? Próbował z tym walczyć, ale im bardziej się starał, tym mizerniejszy był skutek. Idea stawała się namacalna.

Mandala Życia. Może zwariował, ale naprawdę wbił sobie do głowy, że przejdzie bez asekuracji drogę, która była na granicy

jego możliwości nawet z liną. Wojtek zdziwił się, kiedy w sobotę przeszli tę drogę aż trzy razy. Jakieś dwadzieścia metrów czujnego krawądkowego wspinania plus mocna końcówka. Za drugim razem odpadł. Pomylił sekwencję, zmęczył się, przedramiona zapiekły odrobinę zbyt mocno. Oczywiście Wojtek wyłapał go bez problemu, ale wtedy po raz pierwszy pojawiła się ta myśl: „Co ja, do cholery, wyprawiam?”.

Odpoczęli, zjedli coś, zmienili skałę. Kiedy pod wieczór wrócili na Mandagę, Jankowi poszło trochę lepiej, chociaż z najwyższym trudem wykonał ostatnie przechwyty. Utrzymał się na ścianie, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie ma żadnego zapasu sił.

Wczoraj, w niedzielę, wspinali się bardzo mało. Nie padało i na miejsce dojechało jeszcze sporo nowych osób, spragnionych wrażeń po zimowej przerwie. Pod skałami były kolejki, na większości dróg wisały wędki. Weszli po dwa razy na drogi, które akurat były puste, i pojechali coś zjeść.

W knajpce przy dworcu było kilku klientów. Wkrótce na stole zjawiono się piwo, obok niego placek po węgiersku i surówki.

– Żywcowaleś kiedyś? – spytał Janek, dbając o to, żeby jego ton był jak najbardziej obojętny. Wojtek spojrzał na niego. Chyba zrozumiał, co chodzi mu po głowie, bo powiedział:

– Tylko kilka razy. Jak byłem w życiowej formie. Ale to proste drogi, prostsze od Mandali.

– No i jak?

– Normalnie. Bez fajerwerków. Ale słyszałem kiedyś, że droga, którą żywcujesz, musi być tylko trochę poniżej twojego maksymalnego poziomu. Kiedy ta różnica jest zbyt duża, nie sprawia to takiej frajdy i łatwiej o błąd. – Kawałek placka znalazł się w jego ustach. Gryzł powoli, popijając piwem. –

Mówił mi o tym koleś w Oslo. Ale to nie najlepszy przykład, bo pół roku później już nie żył.

Janek spróbował się zaśmiać, ale dreszcz, który poczuł na plecach, był zbyt zimny, żeby go zignorować. „Frajda” i „śmierć” – niemal w jednym zdaniu, cała prawda o cholernych górach.

Kiedy w niedzielny wieczór siedział na Krzyżnej Górze, myślał o tej rozmowie. Wrócił na pole namiotowe spokojniejszy, skupiony na sobie i swoim celu. Posiedział chwilę przy ognisku, ale rozmowy stałych bywalców dotyczyły wyłącznie wspinania. Nie miał ochoty na słuchanie o sekwencji chwytów na Zniku czy Głowie Żubra, a zapal czworga kursantów, którzy przyjechali tutaj chwilę wcześniej, za bardzo go rozpraszał. Wszedł do namiotu i opatulił się śpiworem. Długo nie mógł zasnąć. Patrzył na pokrywającą się kroplami tkaninę, na światło księżycy, który wschodził nad dużą łąką. Słuchał dobiegających z okolic ogniska głosów. Gdzieś w dali zacykał świerszcz, może pierwszy tej wiosny. Robiło się ciszej, chłodniej, w końcu obrócił się na bok i zasnął.

Teraz, kiedy w poniedziałkowy poranek wychynął z namiotu, aby rozejrzeć się po niemal pustym polu namiotowym, widział rzeczy wyraźnie, takimi, jakie są. Minuty płynęły powoli, przejrzyste i rześkie. Na niewielką patelnię wbił dwa jajka. Zjadł, zagryzając chlebem. Na tym samym palniku zrobił sobie kawę. Do plecaka spakował buty, linę i kilka ekspresów. Wychodząc z pola namiotowego, minął się z dziewczyną, która się do niego uśmiechnęła. Wydała mu się najpiękniejsza na świecie.

Szedł pod górę, próbując nie dopuścić do siebie żadnej logicznej myśli. Ale one były, szły za nim krok w krok, ciche i stanowcze. Telefon zostawił w namiocie. A co, jeśli go nie znajdą? Może lepiej, żeby miał go przy sobie. W razie czego

namierzą sygnał i ktoś się zjawi. Po namyśle wrócił do namiotu i spakował komórkę, ale kiedy ponownie szedł w górę, uporczywe myśli nie ustępowały. Czy to dobrze, że pił wczoraj alkohol? Nie było tego dużo, dwa piwa to tyle co nic, ale chyba czytał kiedyś, że po alkoholu organizm prawie się nie regeneruje. Głupio postąpił, przecież powinien być w najlepszej formie. Szedł pod górę i sapał. Po weekendowej wspinaczce bolały go plecy i przedramiona. Nieduże zakwasy, normalna sprawa, ale może lepiej by było zrobić to jutro? Na pewno będzie świeższy, bardziej wypoczęty.

Dotarł do skrzyżowania szlaków. Z każdej strony miał las, ale dobrze wiedział, że tutaj Sokoliki się rozdwiają. Z odległości wyglądają jak dwie kobiece piersi. On jest gdzieś w dekolcie. Musi pójść wydeptaną przez wspinaczy ścieżką, aż dojdzie do osuwiska pełnego granitowych głazów, przejdzie między nimi i wtedy wyłoni się skała, majestatyczna, gładka, chyląca się w jego stronę Jastrzębia Turnia.

Po chwili zziębły patrzył na drogę, o której w ciągu ostatnich miesięcy myślał częściej niż o swojej dziewczynie. Mandala Życia. Już wcześniej postanowił sobie, że zaniecha planu tylko w dwóch wypadkach. Jeśli skała będzie mokra albo jeśli w bezpośredniej bliskości pojawią się wspinacze.

Było pusto i cicho. Ubrudzony magnezją granit wyglądał na suchy.

Co ja, do cholery, wyprawiam?

Oczywiście techniczną część planu także obmyślił już wcześniej. Jak uda mu się wspiąć na Mandalę, przejdzie kawałek grzbietem i zejdzie łatwym technicznie zacięciem. Problemem było – i to przerażało go już w sobotę – położenie skały. Głazy i duże granitowe kamienie, które miał przed sobą, nie pozostawiały złudzeń. Żadnej trawki, miękkiej ziemi, gałęzi,

niczego, co zamortyzuje upadek. Jeśli spadnie, to po nim. W najlepszym razie rozwali sobie głowę i umrze natychmiast. O pozostałych przypadkach próbował nie myśleć.

A jednak myślał. Nie umiał zatrzymać swojej wyobraźni, chociaż starał się układać palce w mudry, panować nad swoim oddechem, robić wszystko, co być może robiliby hinduscy mistrzowie koncentracji. Wszystko na nic. Znowu wyobraził sobie ten moment. Stopa ślizga się i odpada. Leci na tyłek, potem uderza o skały plecami, chwilę po nich głową.

Wszyscy umrzemy, pomyślał, a potem pojawiła się wątpliwość, co będzie, jeśli nie umrze od razu. Złamania, których liczby nie umiał sobie wyobrazić, mogą cholernie boleć. Może wyć z bólu przez dobę, a nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Poczuł, że pocą mu się palce.

Kurwa, co ja wyprawiam?

Janek postanowił zaczekać dziesięć minut w nadziei, że uspokoi mu się oddech. A może ktoś się zjawi, powie mu „cześć” i spyta „co słyhać?”. Jakoś głupio będzie odpowiedzieć, że właśnie wspina się bez asekuracji, więc lepiej dać mu spokój.

Minęło dziesięć minut. Nikt nie przyszedł.

Trudno, pomyślał Janek. Potem powoli, najwolniej jak mógł, założył buty wspinaczkowe. Wziął głęboki oddech. Stanął pod skałą. Zanurzył ręce w magnezji i położył palce na granitowych chwytach. Zaraz weźmie jeszcze jeden głęboki oddech, podniesie lewą nogę, umieści ją na krawędce. Nie będzie już odwrotu...

Naprężył się jak gotowy do skoku kot, kiedy usłyszał znajome brzęczenie. Dochodziło z jego plecaka. Chciał je zignorować. Jakie znaczenie wobec spotkania z losem ma głupi telefon? Ale telefon dzwonił uparcie, burząc cały wąty spokój.

Nie zaszkodzi spojrzeć, pomyślał Janek. Skoro już go wzięłem...

Oderwał palce od skalnej ściany i wytarł w spodnie nadmiar magnezji.

Podszedł do plecaka. Sięgnął po telefon.

Na wyświetlaczu widniało krótkie poniemieckie imię.

– Tak? – Janek nie miał ochoty na wylewne przywitania.

– Musisz mi pomóc – powiedział Horst. Był roztrzęsiony.

– Co się stało?

– Powiem ci, jak przyjedziesz.

– Powiedz mi teraz. Co się stało?

– Porwano Sirene.

– Co takiego?!

– Porwano Sirene.

– Mówisz poważnie? O kurwa... A może... – Janek chciał powiedzieć, że pewnie wyjechała, ale się powstrzymał.

– Mówię całkowicie poważnie. Dostałem wiadomość od porywaczy. Zagrozili, że jeśli skontaktuję się z policją, odeślą mi jej głowę. Jedynie ty możesz mi pomóc.

– Dobra, Horst, tylko spokojnie. Będę u ciebie najszybciej jak to możliwe.

– O której?

– Po południu. Zaraz wracam z Sokolików.

– Dzięki. Czekam... Janek?

– Tak?

– Nie rób nic głupiego. Potrzebuję cię w jednym kawałku.

Janek wcisnął czerwoną słuchawkę. Czuł się jak skazaniec, któremu odroczone wyrok na chwilę przed egzekucją. Usiadł na

skale i spojrzął na swoje wspinaczkowe buty. Były o dwa i pół numeru za małe i zawsze kiedy je zdejmował, oddychał z ulgą.

Tym razem jednak to było coś więcej niż ulga...

II GLACA



Głaca siedział przy barze, opierając o kontuar masywne przedramiona. W ogromnych dłoniach ogrzewał szklanę whisky, która wydawała się niepozorna jak kieliszek. Patrzył na równe rzędy butelek i na kolorowe reklamy pomiędzy półkami. Neon z palmami i napisem „Malibu” przyciągał wzrok bardziej niż biust barmanki, która uśmiechała się do niego z zawodową obojętnością.

– Zawołaj szefa – powiedział, kiedy ponownie wymienili spojrzenia.

Dochodziła siedemnasta. W Whisky & Soda było niemal pusto, jeśli nie liczyć chichoczącej pod ścianą parki i Młodego, który przywłókł się tutaj razem z nim.

– Szef wyjechał po towar – powiedziała brunetka.

Była bardzo ładna. Duże oczy i zgrabne ciało.

Głaca cmoknął zniecierpliwiony, ale zachował spokój.

– Zadzwoń do niego.

Dziewczyna odniosła wrażenie, że Joker wytatuowany na jego starannie ogolonej głowie uśmiechnął się złośliwie.

– Coś przekazać? – zapytała lekko zaniepokojona.

– Że chcę z nim pogadać.

– Tylko tyle?

Głaca skinął głową. Młody zarechotał głupkowato. Łatwo było dostrzec, że brakuje mu górnej jedyńki.

Dziewczyna sięgnęła po leżący na barze telefon. Ociągając się, wybrała numer.

– Kochanie, słuchaj, przyszli panowie...

Glaca podniósł dłoń znad szklanki. „Daj mi to”, mówił ten gest.

Dziewczyna albo go nie dostrzegła, albo zignorowała.

– Nie przedstawili się – powiedziała. – Taki duży wytatuowany pan i mniejszy, młody. Pytają, czy możesz przyjechać.

Facet po drugiej stronie słuchawki powiedział coś, co pewnie było odmową, bo dziewczyna spojrzała na Glacę i pokręciła głową.

Zawieszona w powietrzu dłoń zacisnęła się w pięść.

Młody podniósł trzymany przy nodze kij bejsbolowy. Podeszedł do baru i sprzątnął nim stojące tam szklanki.

Brzęk tłuczonego szkła zagłuszył wszystko inne.

Parka udała, że niczego nie widzi. Siedzieli naprzeciwko siebie, kontynuując rozmowę.

– Dej mu, kuwa, ten jebany telefon – powiedział Młody, celując w nią końcem bejsbolowego kija.

Kobieta posłusznie spełniła prośbę.

– Słuchaj, Kanar – powiedział Glaca do słuchawki. – Wiedziałaś, że dzisiaj mija termin, prawda?

W telefonie rozbrzmiały mało przekonujące tłumaczenia.

– Nie pierdol. Jesteś tu za dziesięć minut, rozumiano?

Facet najwidoczniej zrozumiał, bo Glaca oddał telefon barmance i najspokojniej w świecie dopił whisky.

– Podaj jeszcze jedną – powiedział.

– Czekomy? – zapytał Młody.

Glaca skinął głową, więc chłopak zakręcił bejsbolem i usiadł obok zakochanej parki. Uśmiechnął się do nich i sięgnął po papierosa.

Glaca po raz kolejny pomyślał o torbie pełnej gotówki, którą trzymał pod łóżkiem. Zamieszkali z Fitym w nowej melinie w blokowisku. Tak było bezpieczniej. Przecież musiał się pojawić w tamtym cholernym klubie, żeby ratować dupę kumplowi. W takich miejscach roiło się od tajniaków, a Glaca był dość charakterystyczny. Nie chciał ryzykować. Teraz pilnowali siebie nawzajem, snując plany na przyszłość. Klimatyczna siłownia, niewielki bar, Glaca pomysłów miał aż za dużo. A jednak coś nie dawało mu spokoju. Patrzył na te błyszczące neonowe palmy i zamiast wizualizować sobie drinki i zachody słońca, miał wrażenie, że zapomniał o czymś istotnym.

Barmanka postawiła przed nim kolejną szklanekę whisky. Buzię miała śliczną, chociaż naburmuszoną. Glacy przypomniała się matka, której nie widział, odkąd skończył cztery lata. Pewnego dnia po prostu ich zostawiła. Ojciec do końca życia mówił o niej „ta dziwka” i chyba miał rację, bo przecież nie zostawia się własnego dziecka. Pamięta, jak któregoś wieczoru ojciec poważnym tonem zapytał: „Wierzysz w diabła, synu?”. Glaca zrobił głupią minę, nigdy nie zastanawiał się nad takimi rzeczami. „A ja wierzę – stwierdził ojciec. – Diabeł jest kobietą”.

Glaca musiał przyznać, że coś w tym jest. Nigdy nie lubił kobiet. Nie rozumiał ich, gardził nimi. Jeszcze w technikum próbował się przełamać. Podobała mu się taka Aśka, on jej chyba też. Na jednej z imprez solidnie wstawieni zagrali w „pytanie czy wyzwanie”. Wybrał wyzwanie, a ona, ku uciesze

koleżanek z klasy, powiedziała, że na pewno nie pójdzie goły do sklepu. Był letni wieczór, a sklep mieścił się tylko sto metrów od domu.

– Co będę z tego miał? – zapytał Glaca.

– Pokażę ci je – obiecała Aśka, znacząco gładząc się po piersiach.

Koledzy zawyli. Koleżanki zachichotały.

– Zgoda – oświadczył Glaca.

Zrzucił ciuchy, włożył buty i ruszył.

– Zgrzewkę piwa – powiedział ekspedientce, która zachowywała spokój kogoś, kto widywał już dziwniejsze rzeczy.

Podążyła tatrę. Glaca zapłacił i wyszedł. Minął dwie wracające z kościoła babcie. Potem chyba jeszcze kogoś, bo słyszał za plecami śmiechy. Miał to gdzieś. Był pijany i chciał zobaczyć cycki Aśki. Blok, w którym urządzili imprezę, był dość stary – bez wiatrołapu, za to z domofonem. Glaca wcisnął przycisk. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Drzwi nikt mu nie otworzył. Otworzyło się za to okno na drugim piętrze. Koledzy i koleżanki zanosili się śmiechem.

– Otwierajcie! – wrzasnął Glaca, ale chyba nawet go nie słyszeli.

– Zboczeniec! – krzyknęła jedna z dziewczyn i znowu słychać było salwy śmiechu.

Glaca miał wrażenie, że patrzy na niego pół osiedla. W świetle pobliskiej latarni widoczny był doskonale.

– Kurwa, otwierajcie! – wrzasnął jeszcze raz.

Zyskał tylko tyle, że otwarło się kilka kolejnych okien. Ktoś kazał mu się ubrać, ktoś inny zagroził, że dzwoni na policję. Do

klatki wszedł dopiero, kiedy podjechał radiowóz. Pozwolili mu wziąć ciuchy i zawieźli na izbę wytrzeźwień.

Asia nie wywiązała się z umowy ani wtedy, ani później. Jeszcze tamtego wieczoru spiknęła się z Tomkiem z IV d, któremu pokazała nie tylko cycki.

Tak, Glaca nie lubił kobiet i miał ku temu powody. Jak słyszał o #metoo i innych bzdurnych akcjach, to dosłownie gotował się ze złości. Nie lubił kobiet, nie ufał im, rzadko myślał o seksie. Nie widział w tym nic złego i umiał z tego czerpać zyski. To, co w dwudziestym pierwszym wieku wyglądało na przestarzałą mizoginię, w jego pracy przynosiło doskonałe efekty. Istnieje grupa dłużników, która nic nie robi sobie z pogróżek. Można miażdżyć im palce młotkiem, można łamać kolana i nosy, a oni wyglądają, jakby uszczerbek na zdrowiu traktowali jak zło konieczne. Chwila bólu i po sprawie. Na filmach w końcu się ich zabija, ale Glaca wiedział, że to głupie, bo przecież nie prowadzi do odzyskania kasy, a ryzyko dużo większe. Oglądał kiedyś *Leona zawodowca*. „Bez kobiet i dzieci”, mawiał filmowy bohater.

– A niby dlaczego, kurwa, nie? – odpowiadał mu Glaca.

Wkrótce odkrył, że najbardziej skuteczna jest stara radziecka metoda. Każdy dłużnik, choćby naprawdę był bankrutem, zapłaci, jeśli uderzy się w czuły punkt. I tak Glaca został specjalistą od kobiet. W mafijnym poznańskim światku był znaną i szanowaną postacią, chociaż nie wiązało się to z wieloma przywilejami. Miał wręcz wrażenie, że jest zderzakiem, kimś, kto w razie problemów idzie pierwszy do odstrzału. To on stał za zniknięciami żon poznańskich i warszawskich biznesmenów, za brzemiennymi w skutkach zvarciami instalacji w ich mercedesach i wypadkami, które one same nazywały upadkiem z konia. Po prostu był w niewielkiej

grupie ludzi, którzy uważają, że równouprawnienie to nie tylko przywileje i parytety.

Drzwi Whisky & Soda się otworzyły. Kanar wkroczył dziarsko. Jaskrawa koszula i eleganckie spodnie zdradzały prawdziwego biznesmena. Jeśli się denerwował, to nie dał tego po sobie poznać.

Młody wstał z krzesła i wolno ruszył w stronę baru.

Głaca widział, jak podniósł bejsbola i znowu uderzył. Tym razem w stojące tuż za blatem butelki, których zawartość wylała się na dziewczynę.

Kretyn, pomyślał Głaca.

– Hej, hej, możemy już skończyć tę farsę? – zapytał Kanar.

Głaca dał mu znak, żeby usiadł obok niego.

– Zalegasz za dwa miesiące – powiedział.

– Czy kiedyś nie zapłaciłem? Sam widzisz, jaki tu ruch. – Kanar spojrzał na zakochanych studentów, którzy po raz kolejny pożałowali, że nie spotkali się w domu.

– Umowa to umowa.

– Dopiero co był Wielki Post. Posucha. Wkrótce oddam. Słowo.

Młody był nabuzowany. Pewnie nawciągał się amfy, bo źrenice miał rozszerzone, a ręce trzęsły mu się jak po kilku kawach. Ponownie uderzył kijem. Tym razem trafił w metalową kasę, która lekko się wgniotła.

– Czy możesz się na chwilę uspokoić? – zapytał Głaca, mierząc chłopaka takim wzrokiem, że ten nie tylko się uspokoił, ale też usiadł na krześle dwa metry od baru.

Cholerny półgłówek, pomyślał Głaca.

Podobnego zdania był zapewne Kanar, bo w jego oczach błysnął cień wdzięczności.

Glaca spojrział na kelnerkę, która stała naprzeciw nich, wsłuchana w każde słowo.

– To twoja dziunia? – zapytał.

Kanar się zawahał. Gdyby nie jej wpatrzone w niego oczy pewnie by zaprzeczył. A tak, chcąc uniknąć awantury, musiał powiedzieć prawdę.

– Tak. Ilona. Poznaliśmy się tej zimy.

– Ta whisky jest doskonała, Ilona – powiedział Glaca, uśmiechając się do dziewczyny. – Mogę dostać całą butelkę?

Kanar zachęcił ją gestem, więc dziewczyna wzięła z półki butelkę chivasa i postawiła ją przed Glacą.

Glaca cmoknął. Lewą dłonią błyskawicznie sięgnął po rękę dziewczyny, a prawą chwycił butelkę, którą rozbił na jej głowie. Dziewczyna zalała się krwią. Upadłaby, ale Glaca ciągle trzymał jej rękę. Półprzytomną wciągnął na bar i przystawił do szyi tulipana po chivasio. Patrzył na Kanara, z którego twarzy odpłynęła cała krew. Jego usta poruszały się jak pyszczyk wyciągniętego z wanny karpia.

– Posłuchaj, gnoju – powiedział. – Przyjdę tu jutro o dwunastej i nie chcę widzieć ani ciebie, ani jej. Chcę widzieć kopertę z kasą, która grzecznie na mnie czeka. – Ilona nie dawała znaku życia. Glaca trzymał ją za włosy jak szmacianą lalkę. – Rozumiemy się?

Kanar skinął głową. Rozumiał.

– Nie słyszę – powiedział Glaca.

– Rozumiemy się. Jutro o dwunastej.

– To do jutra. – Glaca wstał. Puścił dziewczynę, która zjechała pod bar, i ruszył w stronę wyjścia.

Młody podążył za nim.

Kiedy znaleźli się na Wronieckiej, Glaca kątem oka spojrzął na kompana, który szedł tuż obok, rysując końcówką bejsbola ściany kamienic. Po raz kolejny tego dnia pomyślał o pieniądzach, które spoczywają pod jego łóżkiem.

I pod łóżkiem tego debila, dopowiedział w myślach.

Młody, który najwidoczniej wyczuł na sobie jego spojrzenie, uśmiechnął się do niego swoim szczerbatym uśmiechem.

Fifty też nie jest zbyt bystry, pomyślał Glaca, czując, że niepokój, który towarzyszył mu od awantury pod klubem nocnym, tylko się wzmógł. W jakiś dziwny sposób związane to było z neonem, który widział nad barem. Palmy, wyspa, piraci, bezprawie.

– Spytam cię o coś, a ty ino się skup, dobra? – spytał Glaca.

– Jasne, szefie.

– Na spółę z kumplem kupujecie los na loterii. Wygrywacie milion. Dzielisz się z nim?

Oczy Młodego otworzyły się szerzej.

– Miliun? Kuwa, nie wiem...

– Podzieliłbyś się czy nie?

Mina Młodego wyrażała czysty sceptycyzm.

– Ni chuja, szefie. Oddałbym mu ino za los. Jakby chcioł wińcej, tobym go wyruchoł.

Właśnie, pomyślał Glaca. Albo ja wyrucham Fiftiego, albo on mnie. A kasę trzeba ukryć.

Wrócił na melinę. Fifty oglądał telewizję. Pokój aż szcerniał od papierosowego dymu.

– Musimy pogadać – powiedział Glaca.

Przez dobre pół godziny tłumaczył kumplowi, dlaczego muszą ukryć kasę i co jakiś czas zmieniać mieszkania. Fifty zrobił się czujny, nie chciał rozstawać się z kasą, a jeszcze bardziej nie chciał ponownie wrzucać gotówki do jednej torby.

– Chcesz mnie wychujać? – zapytał.

– Bym cię chciał wychujać, to już bym to zrobił. Chcę uratować twoją tłustą dupę, Fifty. I swoją przy okazji też.

Glaca umiał być przekonujący.

Fifty zgodził się w końcu, że muszą ukryć kasę i poczekać, aż sprawa przycichnie. Zostawią sobie trochę na życie, ale resztę schowają. Kiedy Glaca opowiadał mu o wyspie, gdzie można tę forszę ukryć, żeby wrócić po nią za rok, brzmiało to tak, jakby opowiadał o korzystnej bankowej lokacie.

– To w pobliżu Śremu – mówił Glaca. – Wyspa Edwarda. Nawet jak byłem szczyłem, to miejsce świeciło pustką, a ostatnio osiedliły się tam rybołowy.

– Co? – Fifty nie cierpiał ptaków, a miał wrażenie, że ostatnio ciągle słyszy o którymś z nich.

– Rybołów. Gatunek ptaka, debilu. W Polsce jest najwyżej trzydzieści par. Właściciele pensjonatów srają ze strachu na ich widok, bo jak się gdzieś te ptaki osiedlą, to koniec, rezerwat ścisły i taki zakaz, że w promieniu pół kilometra nie można nawet pierdnąć. Rozumiesz? Żadnej policji, żadnych turystów, żadnych poszukiwaczy przygód. Bezpieczniej niż w banku. – Glaca sięgnął po telefon i palcami powiększył mapę. – Patrz, odkąd zlikwidowali kładkę, nikt tam nie zagląda. Knajpa się spaliła, ośrodek wczasowy rozkradli. Będą tam tylko te jebane rybołowy, które przypilnują naszych pieniędzy.

Fifty wpatrywał się w ekran, intensywnie myśląc. Nie był przekonany, ale nie widział innej możliwości.

– Pokaż mi tego rybołowa – powiedział w końcu.



Siedzieli w jadalni przy dużym drewnianym stole. Za plecami mieli oszkloną ścianę, przez którą widać było błękit basenowej tafli. Z głośników, z których czasami sączyły się stare polskie przeboje, teraz wydobywał się tylko ściszony odgłos radia. Głos i muzyka zlewały się ze sobą, tworząc nieprzyjemny szum, ale ani Horst, ani Janek nie wpadli na pomysł, żeby je wyłączyć.

Horst sprawiał wrażenie spokojnego, chociaż kiedy otwierał ekran laptopa, trzęsły mu się ręce. Przekrwione oczy i wyraźny ślad zarostu na wystającej z czarnego golfu twarzy świadczyły, że musiał dowiedzieć się o tym już wcześniej, najpewniej wczoraj, a potem całą noc gryzł się, co zrobić i czy go poinformować. Janek znał przyjaciela wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że pod tą przypominającą neandertalczyka maską kryje się cała burza uczuć.

– Patrz uważnie – powiedział Horst. – Może dostrzeżesz coś, co przegapiłem.

Janek skinął głową, co miało oznaczać, że jest gotowy.

Na ekranie pojawił się filmik, amatorskie nagranie zrobione w jakimś ciemnym miejscu. Ostre światło oświetliło kobiecą twarz. Sirene. Miała przerażone spojrzenie. Nawet jej lewe oko, zazwyczaj przymknięte, sprawiało wrażenie otwartego na całą szerokość. Linię policzków przecinał wciśnięty w usta knebel. Jęczała. Kiedy kamera lekko się oddaliła, Janek dostrzegł jej szyję i nagi dekolt. Pewnie była do czegoś przywiązana, bo dłonie ani przez chwilę nie pojawiły się w kadrze. Po kilkunastu sekundach usłyszeli głos. Był zniekształcony przez modulator

i nie dało się stwierdzić, czy nagrywano go równoległe z obrazem.

– Jej życie zależy tylko od ciebie. Nigdy jej nie znajdziesz. Jeśli chcesz zobaczyć ją żywą, musisz robić, co ci każę. A teraz posłuchaj uważnie, dziadku. Jeśli spróbujesz zgrywać bohatera, Sirene umrze. Potnę ją kawałek po kawałku. Jeśli powiadomisz policję, Sirene umrze, ale wcześniej utnę jej wszystko, co można uciąć. Dopilnuję, żeby cierpiała. Jeśli powiesz policji, na pewno się o tym dowiem. A wtedy...

Oczy Sirene znowu się powiększyły. Janek mógłby przysiąc, że widzi w nich łzy. Do jej szyi przystawiono ostrze noża. Chwilę tkwiło nieruchomo, naciągając skórę, a potem pogładziło jej policzek. Janek kątem oka dostrzegł, że pięści Horsta mimowolnie się zaciskają.

– A teraz, dziadku, powiem ci, co zrobisz. Przygotujesz osiemset tysięcy. Używane setki i dwusetki. Będziesz siedział na dupie i czekał na dalsze instrukcje. Odezwiemy się.

Światło latarki znowu zaświeciło w przerażone oczy. Ręka w czarnej skórzanej rękawiczce wyrwała knebel, a Sirene zakaszła kilka razy. Przez chwilę patrzyła gdzieś w ciemność, ponad obiektywem telefonu albo przestarzałej kamery, a potem łamiącym się głosem powiedziała:

– Horst, błagam...

Emerytowany gliniarz zamknął ekran laptopa. Oddychał ciężko, chociaż pewnie oglądał to wiele razy.

Janek przetarł twarz dłonią.

– Kurwa mać... – powiedział. Nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy.

Wstał i krążył po salonie, próbując zebrać myśli. Sirene była mu obojętna. Prawie jej nie znał i skłamałby, mówiąc, że zdążył

ją polubić. Ale dzięki wspomnieniom, które nawiedzały jego myśli jak chmara much zlatujących się do świeżych zwłok, bardzo dobrze wiedział, co czuje ta czekająca na ratunek dziewczyna. Być może tak jak Kasia, jego zaginiona przed laty siostra, łudzi się, że ktoś właśnie robi wszystko, żeby jej pomóc.

– Chciałem ci tego oszczędzić – powiedział Horst.

Janek spojrzał na niego. Oczy doświadczonego gliniarza były wilgotne. Kiedy wyciągał szyję, zaciągając się elektronicznym papierosem, wyglądał jak sęp. Jak wielkie czarne ptaszysko, któremu ktoś okradł gniazdo.

– Doceniam – przyznał Janek i chcąc okłamać bardziej siebie niż jego, dodał: – Prawie już nie myślę o Kasi. Jej porwanie to odległa przeszłość.

W ciszy, która rozpostarła się między nimi, słyhać było dźwięki radia. Prowadzący audycję mówił o tym, że sprawców ataku na konwojenta mogło być więcej. Janek dostrzegł leżącego na komodzie pilota. Wziął go i wyłączył odbiornik.

– Wygląda na autentyczne, prawda? – spytał Horst, który wydawał się odzyskiwać dawny profesjonalizm.

Janek przytaknął. Usiadł na podłodze, opierając się o balkonowe okno. Autentyczność nagrania nie wzbudziła w nim najmniejszych wątpliwości. Poczuli się niemalże, jakby to on, a nie zakochany po uszy Horst, był jego adresatem. Żeby nie zwariować, musiał zacząć działać.

– Kiedy to dostałeś? – zapytał.

– Wczoraj o szesnastej. Obejrzałem to dopiero około dwudziestej. – Horst obrócił krzesło i usiadł na nim twarzą do Janka. – Uprzedzę twoje pytanie. Nie wezwałem i nie wezwę policji.

– Może lepiej by było, gdyby...

– Nie. – Ton Horsta miał w sobie wagę podjętych postanowień. – Ktoś, kto to zrobił, nie jest głupi. Wie, że pracowałem w policji. Wie, że mam znajomości. On też je ma.

– Nie rozumiem...

– Nadawcą jest komenda w Poznaniu.

Janek wytrzeszczył oczy.

– Nie mówię, że to oni – wyjaśnił Horst. – Po prostu taki adres nadawcy widnieje na mailu. Zaczęła się gra. Skurwiel, kimkolwiek jest, chce powiedzieć mi w ten sposób, żebym z nim nie zadzierał. I że szybko dowie się, jeśli powiadomię policję.

– Myślisz, że to jedna osoba?

Horst dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Powiedziałem to odruchowo. Statystyki mówią, że porywaczy zazwyczaj jest kilku.

– Rozumiem... Masz jakiś pomysł?

– Oprócz zbierania ośmiu stów? Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że coś mi doradzisz.

Janek westchnął. No tak. Miał okazać się kołem ratunkowym, a zachowuje się jak dzieciak, który przyzwyczaił się do tego, żeby go niańczono. Wyciągnął rękę, by uchylić drzwi balkonowe, i sięgnął po paczkę z tytoniem. Do środka wbiegła Mucha, która zaczęła lizać go po twarzy. Odgonił ją i skręcił papierosa. Miał całą masę pytań. Co szkodziło zacząć je zadawać?

– Kiedy to się stało?

– Kiedy zniknęła? W niedzielę byłem na zlocie. Wróciłem po południu. Nie było jej, ale nie martwiłem się. Nie zniknęły jej rzeczy, nawet zostawiła telefon. Gdzie mogła iść bez telefonu?

– Ślady włamania?

Horst pokręcił głową.

– Widziałem ją na nagraniu z monitoringu przy furtce – powiedział Horst, który pogłaskał psa po pysku i kazał mu usiąść. – Wyszła do lasu wczoraj o jedenastej piętnaście. Z Muchą. Pies czekał na posesji. Pewnie przekopał się pod płotem. A Sirene zniknęła.

– Jak była ubrana?

– Zamierzasz rozwiesić plakaty? Jakie to ma, kurwa, znaczenie? Porwano ją. W najlepszym razie siedzi w jakiejś piwnicy i sra do podstawionego jej wiadra.

– Czyli ten ktoś musiał ją śledzić, tak? Pewnie wiedział, że cię nie ma. Wiedział też, że musi uważać na kamery.

Horst spojrzał na niego, jakby dopiero teraz usłyszał zadane pytanie.

– Jak palisz, to wyjdź na zewnątrz – warknął.

– Stary, spokojnie. Dobrze wiem, co przeżywasz, ale o to właśnie im chodzi. Chcą wyprowadzić cię z równowagi. Masz przestać myśleć logicznie i popełniać błędy.

Horst wziął głęboki oddech.

– Pewnie za jakieś dwie godziny przyjdzie ci do głowy, żeby sprawdzić ślady opon w pobliskim lesie. Sprawdziłem. Dzisiaj sfotografowałem pięć. Żadne nie wyróżniają się świeżością, ale pewnie jeszcze dzisiaj przejdę się po wszystkich sąsiadach. Przy okazji popytam, czy nie widzieli nikogo podejrzanego.

Jankowi faktycznie nie przyszło to do głowy. Horst od zawsze był kilka kroków przed nim i nic nie zapowiadało, że to kiedykolwiek może się zmienić.

– Dlaczego nie pojechała z tobą?

– Na zlot militarystów? Daj spokój... Zresztą rano trochę się pokłóciliśmy. Chciałem odpocząć.

Janek uświadomił sobie, że właśnie usłyszał najdłuższe i najbardziej szczegółowe wyznanie dotyczące życia osobistego przyjaciela.

– Pokłóciliście się?

– O drobiazgi. Nic takiego. – Horst milczał przez chwilę, a potem najwidoczniej uświadomił sobie, że Jankowi, skoro już chce mu pomóc, należy się więcej informacji. – A, bo ty nic nie wiesz...

– Czego niby nie wiem?

– W sobotę się oświadczyłem.

Alicja wspominała mu o pierścionku. Janek domyślał się, że to nastąpi.

– Przyjęła oświadczyzny? – zapytał neutralnym tonem.

– Oczywiście. Była przeszczęśliwa. Kochaliśmy się przez pół nocy...

Janek wykonał dłonią pełen zdecydowania gest.

– Takie opowieści zachowaj dla siebie. Ale ciekawi mnie jedno. W sobotę się oświadczasz, a w niedzielę wkładasz mundur gestapowca i jedziesz na zlot?

– Nie miałem zamiaru. Ale po tym jak się pokłóciliśmy, chciałem odsapnąć. Trochę pomyśleć. Wiesz, to poważna decyzja...

I według tego faceta to ja jestem dziecinny, pomyślał Janek, który jednak zachował tę uwagę dla siebie. Zamiast tego zapytał:

– O co się pokłóciliście?

– Wspomniałem o finansach. No wiesz, małżeństwo zawsze było pewnego rodzaju transakcją. Alicja uświadomiła mi, że takie rzeczy warto ustalić wcześniej, a przed oświadczeniami jakoś tak... – Horst miał minę dziecka, które nabroiło. Opanował emocje, ale mówił szybciej niż zwykle. – Myślałem, że się ucieszyła i pojechała do matki. Albo że chce zamknąć jakieś sprawy i pewnie niedługo zadzwoni.

– Skąd ona jest?

– Z Brzegu. Wiesz, myślałem, że takiej dziewczynie nie spadnie włos z głowy. Sirene wierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę. Tak pięknie mówiła o przeznaczeniu...

Janek westchnął. Pożałował, że daje się wplątać w sprawę, z której raczej nie wyniknie nic dobrego.

– Horst, kurwa, czy miałeś też w planach ślub w Vegas albo coś równie głupiego? Jak nie, to po co gadałeś o intercyzie? Na kobiety działa to jak płachta na byka. Kiedy wspomniałem Alicji, że za mieszkanie większość pieniędzy ja wyłożyłem, zaczęła się pakować. Kobiety to dumne stworzenia.

Horst się zasępił. Wstał i powoli, noga za nogą, zaczął chodzić po swoim dużym i – jak właśnie sobie uświadomił – okrutnie pustym mieszkaniu.

– Pomożesz mi czy nie? – zapytał w końcu.

– Jasne, że ci pomogę. Ale powiedz, co w ogóle zamierzasz zrobić?

– Jak to co? Zacznę zbierać pieniądze.

Janek się zasępił.

– Prawie nie mam oszczędności – powiedział. – Alicja ma jakieś dwieście tysięcy, ale odkłada na mieszkanie dla Rafałka.

Horst się zachnął.

– Pieniądże jakoś zbiorę. Dobrze sprzedałem Basztę, a nigdy nie wydawałem za dużo.

– To do czego jestem ci potrzebny?

– Jakbyś jeszcze nie zauważył, to potrzeba mi kogoś trzeźwo myślącego. Więc zacznij w końcu łaskawie trzeźwo myśleć.

Cały Horst. Rzeczowy i konkretny, pomyślał Janek. Za to właśnie go lubił.

– Mogę rozejrzeć się po mieszkaniu? – zapytał. Wiedział, że Horst nie będzie miał nic przeciwko temu.



Janek wrócił do domu około dwudziestej pierwszej. Matka Alicji siedziała w salonie. Niebieskawe światło telewizora oświetlało jej rozczochrane włosy. Odwróciła się w jego stronę, nie odpowiadając na przywitanie. Jej wzrok mówił, że ma trochę dosyć wychowywania ich syna.

– Alicja w pracy? – zapytał.

– Tak. Obiad zostawiłam ci w lodówce. Podgrzej w mikrofalach.

– Dziękuję.

Nie był głodny. Napił się soku i poszedł się wykapać. Potem zajrzał do Rafałka, który spał w najlepsze. Przypomniał sobie, że jeszcze dzisiejszego ranka miał na nogach swoje o dwa i pół numeru za małe la sportywy. Czuł się jak ostatnia świnia, bo wtedy pod Jastrzębią Turnią nie pomyślał ani o Alicji, ani o jej synu. Ostrożnie zamknął drzwi i poszedł do sypialni.

Założył słuchawki i włączył tidalową składankę, mając nadzieję, że szybko zaśnie, ale jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Zachciało mu się palić, ale na taras wychodziło się z salonu. Nie miał ochoty ponownie stykać się z matką Alicji.

– Zajrzę do Ali i przy okazji ją przyprowadzę – powiedział, wkładając buty.

– Jadłeś?

– Nie, dzięki. Wygląda pysznie, ale już trochę za późno.

– Kotlety lepiej zamrozić.

– Jak wrócę – obiecał.

Wyszedł, ostrożnie zamykając drzwi. Na klatce schodowej od razu zapomniał o schabowych.

Na ulicach było prawie pusto. Leszno jest niewielkie, a Janek mieszkał dość blisko centrum. Żeby zdążyć zapalić papierosa i trochę pomyśleć, musiał nadłożyć drogi. Przez park Jonstona dotarł na skrzyżowanie, skąd poszedł na plac Metziga, na którego środku rósł wiekowy dąb. Myślał o dzisiejszej wizycie u Horsta, roztrząsał w myślach zapamiętane szczegóły, analizował dane i wrażenia, które – tak mu się wydawało – zyskiwały konkretną wagę dopiero teraz, kiedy mógł złapać do nich dystans. Przypominał sobie sypialnię zakochanego emeryta, którą widział po raz pierwszy. Duże łóżko, grafitowe ściany, na komodzie kilka zdjęć – Sirene uśmiechnięta, jej kwiatowe suknie zdawały się więcej odsłaniać, niż przykrywać. Wyglądała na jego córkę, ale przecież nie było w tym nic złego. Pewnie każdy starszy facet marzy o takiej kobiecie. A Sirene była zgrabna i niegłupia. Janek ciągle czuł jej dotyk na swoim karku. Gdyby spotkał ją na innym etapie życia, pewnie sam mógłby się w niej zakochać.

Za pozwoleniem Horsta zajrzał do garderoby, która miała dobre dziesięć metrów. Spodziewał się, że większość miejsca w szafach będą zajmowały ciuchy Sirene, ale nie było tego dużo. Kobieta najwidoczniej umiała być oszczędna. Najdziwniejszą rzeczą, jaką znalazł, był syreni ogon.

– Sama go uszyła – powiedział Horst, a widząc zdziwioną twarz Janka, dodał: – Ona jest artystką. Ogon był częścią jej scenicznej osobowości.

– Jak naprawdę ma na imię? – spytał Janek, który raczej optował za tym, żeby sceniczną osobowość oddzielać od prywatnego życia.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Oświadczasz się kobiecie, której imienia nawet nie znasz?

– Helena. Chyba. Tak, na pewno Helena – gubił się Horst.

Janek chciał mu powiedzieć, że na starość głupieje, ale po pierwsze było mu go szkoda, a po drugie stwierdzenie to wydało mu się mało oryginalne.

Pytanie o imię uświadomiło im, że tak naprawdę niewiele konkretnego wiedzą o kobiecie, która była lokatorką tego przestronnego domu. Sirene, a może raczej Helena Bednarek, jak w końcu przypomniał sobie zafrasowany Horst, miała czterdzieści cztery lata i pochodziła z Brzegu, niewielkiej miejsciny, z której już dawno wyjechał każdy, kto tylko mógł. Emerytowany gliniarz nie umiał odpowiedzieć na pytanie, z czego się utrzymywała. Studiowała na wrocławskiej polibudzie, ale dyplomu chyba nie miała. Jej prawdziwą pasją było malowanie. Janek przechadzając się po domu, co rusz napotykał malowane przez nią obrazy (wodne abstrakcje, jak objaśnił mu Horst) – pastele na płótnie, gdzie jedynym stałym elementem była linia horyzontu przecinająca obraz dokładnie w połowie. Reszta krajobrazu była wariacjami na temat nieba, piasku i pogody (bo chyba właśnie tak trzeba było odczytywać kolorowe plamy umieszczane gdzie popadnie).

Im więcej elementów składało się na obraz osobowości Sirene, tym bardziej rozumiał, dlaczego związała się z Horstem. Najwyraźniej jego spokój i niezła sytuacja finansowa były tym, czego potrzebowała. Czy uczepliła się go tylko dla kasy? Janek był skłonny przyznać, że raczej nie. Spotkał w swoim życiu osoby tkwiące w dużo dziwniejszych związkach. Większość z nich okazywała się dość trwała. Całkiem możliwe, że Helena Bednarek vel Sirene po prostu czuła, że okres szaleństw ma już za sobą, i zdecydowała się na stabilizację.

Nie znaleźli niczego, co naprowadziłoby ich na jakiś trop. W szafie były jej torby, a na kuchennym blacie leżał jej telefon, na który od czasu do czasu przychodziły powiadomienia, gdyż Sirene – jak w sumie się domyślali – była dość aktywna w mediach społecznościowych. Janek zachęcił Horsta, żeby jeszcze raz sięgnął do przepastnych archiwów swojej pamięci i wygrzebał z nich maila albo coś, co pozwoliłoby im prześledzić jej konta. Horstowi poszło szybciej niż z przypomnieniem sobie jej imienia.

– B. Sirene. To właśnie wpisz na Instagramie – odparł Horst.

Przejrzenie mediów społecznościowych nie powiedziało Jankowi nic, czego już by się nie domyślał. Sirene była artystką, wegangą i pięknoduchem. Zanim wskoczyła w syreni ogon, była też instruktorką jogi. Wpisy z dwóch ostatnich lat wskazywały, że porzuciła to zajęcie. Z prześledzeniem jej dwóch tysięcy obserwujących postanowił wstrzymać się do momentu, kiedy będzie miał więcej czasu.

– I co? – spytał Horst. – Masz jakieś pomysły?

Janek pokręcił głową.

– Gdzieś tu jest ten, kto ją porwał albo przynajmniej jego znajomy – stwierdził bez przekonania, skrolując Instagram.

– Może go jakoś wywabimy?

– Bez zamieszczania informacji o porwaniu? Bez powiadamiania policji?

Horst się zasepił. Nie przychodziło mu do głowy nic rozsądnego.

Janek wyszedł od niego w dziwnym nastroju. Było mu szkoda przyjaciela, ale zupełnie nie wiedział, jak może mu pomóc. Od czasu zaginięcia siostry wzdrygał się na samą myśl

o porwaniach, a o rzetelnej policyjnej robocie, która – tak mu się przynajmniej wydawało – powinna być teraz wykonywana, nie miał zielonego pojęcia.

Skończył palić i ruszył w kierunku Korpo, knajpy, w której przez trzy wieczory w tygodniu pracowała Alicja. Kiedy wszedł, uświadomił sobie, że kiedyś nie widywał nikogo siedzącego przy barze, a odkąd jego dziewczyna stwierdziła, że się tu zatrudni, regularnie natrafiał tu na jakichś facetów opartych o kontuar. Tym razem ekipa fanów składała się z trzech typków – samotnego brodacza wyglądającego na alkoholika, i dwóch młokosów, którzy oddzielili się od siedzących przy stoliku znajomych, żeby spróbować szczęścia. Kiedy Janek usiadł tuż obok, poczuł się mile połączony ich obecnością.

Alicja ignorowała go przez jakiś czas.

- Myślałam, że nie wrócisz – odezwała się w końcu.
- Ala...
- Trochę się z tym nawet oswoiłam.
- Przepraszam.
- Jak jeszcze raz wywiniesz taki numer, to możesz nie wracać. Wiesz o tym?

Janek spuścił głowę. Naprawdę czuł się winny.

– Wiem – odparł.

Uwaga Alicji skupiła się na innych klientach. Po kilku minutach ponownie stanęła przed nim, uzbrojona w barmańską ścierkę.

- Chcesz piwa? – zapytała.
- Jasne – odpowiedział Janek, który z ulgą zobaczył, że się uśmiechnęła.
- Wszystko w porządku? Wyglądasz jakoś dziwnie.

Janek pokręcił głową.

– Opowiem ci, jak będziemy wracać. Zaczekam na ciebie, dobrze?

– Nie wiem, kiedy skończę...

– I tak zaczekam.

Powiedział, że zaczeka, i zamierzał być cierpliwy. Chłopaki najwyraźniej zrozumiały, że jest jej facetem. Brodaty pijaczek zmył się niemal od razu. Reszta dopiła piwo i wróciła do stolika.

Po półtorej godziny, kiedy wszyscy wyszli, Janek pomagał Alicji sprzątać. On zamiatał, ona myła podłogę.

– Nie uwierzysz, co się stało – powiedział, opierając się na miotle.

– Co się stało?

– Porwali Sirene. Byłem u Horsta. Dostał wideo z żądaniem okupu.

Alicja przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby wzięła to za żart, ale Janek był poważny.

– O Boże! – powiedziała, wypuszczając z dłoni mopa. – Serio?!

Janek skinął głową.

– Ale jak? Kto?

– Nie wiemy. Horst chce, żebym mu pomógł.

– Czemu ty?

– Porywacze zagrozili, że jeśli wezwiemy gliny, Sirene zginie. Film z żądaniem okupu wysłano z konta poznańskiej komendy.

Alicja była zdezorientowana i nie dowierzała własnym uszom.

– Horst wydawał się taki zakochany – powiedziała w końcu.
– Biedaczek. Jak on to znosi?

– Kiepsko.

– Ile chcą?

Janek podał kwotę.

– Niedużo jak na okup – stwierdziła Alicja.

– Ala!

– Przepraszam. Po prostu jeszcze to do mnie nie dotarło. Horst ma takie pieniądze?

– Ma. Ale odniosłem wrażenie, że to prawie wszystkie jego oszczędności.

– Zamierza zapłacić?

– Nie wiem. Chyba tak.

Przez chwilę tkwili nieruchomo, nie wiedząc, co robić, gdyż sprzątanie knajpy w takiej sytuacji wydało im się nieodpowiednie. W końcu się przytulili.

– Musimy skończyć – powiedziała Alicja.

– Jasne...

Janek wyniósł wiadro i wyczyścił toaletę. Alicja schowała do lodówki resztę sernika. Dwa hiszpańskie tapas zjedli na miejscu. Jutro byłyby niesmaczne. Zgasili światła i wyszli.

Później, dobrze po północy, kiedy leżeli obok siebie, nie mogąc zasnąć, Alicja zapytała:

– Nie wydaje ci się to dziwne?

– Co?

– To porwanie. – Obróciła się w jego stronę. – Horst to bystry facet. Nie zauważył, że ktoś ich obserwuje? A pies?

– Mucha? Została, jeśli o to ci chodzi.

– Na pewno była na jakimś szkoleniu. Myślisz, że tak po prostu pozwoliła porwać kobietę, która wyprowadzała ją na

spacer?

– Nie znam się na psach. Ale jeśli sugerujesz...

– Nie, Janek, nic nie sugeruję. To tragedia, współczuję im. Ale to trochę dziwne.

– Każde porwanie jest dziwne. Został jej telefon.

– No właśnie.

– Boże, Ala... – Miał już dosyć jej zabawy w domoroślą panią detektyw. Zwłaszcza o tej godzinie.

Alicja oparła łokieć o jego pierś i spojrzała mu w oczy.

– Ty wyszedłbyś z psem bez telefonu? Ja na pewno nie...

– Gubisz swój telefon co najmniej pięć razy dziennie. Mogła nie wiedzieć, gdzie go ma. Śpij już.

Janek był naprawdę zmęczony trzydniowym weekendem, pełnym stresu i wysiłku fizycznego. Zamknął oczy i spokojnie odpływał w głęboki sen. Obrazem, który jako ostatni pojawił się w jego głowie, były ubrudzone magnezją chwytty na Mandali Życia.



Przez trzy pełne napięcia dni nie wydarzyło się wiele. Rafałek został zapisany na treningi piłki nożnej, które nie angażowały go tak bardzo jak chodzenie do sąsiada i granie w FIFĘ, ale sprawiały, że spał jak kamień. Janek pracował w radiu, migając się od prób Szczupaków, i dużo myślał o pięknej Sirenie z wiecznie zmrużonym okiem, która pewnie tkwi w wilgotnej piwnicy, licząc na to, że jej ukochanemu uda się ją uratować.

Czwartkowego popołudnia Alicja weszła do gabinetu. Janek właśnie brzdąkał na gitarze, próbując ulepszyć melodię, która od kilku dni chodziła mu po głowie.

– Coś z tego będzie? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Chwilę patrzyła na jego chude palce przesuwające się po gryfie.

– Nie rozumiem, jak możesz myśleć o muzyce... – stwierdziła.

Janek podniósł głowę i spojrzał na nią. Stała oparta o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Twarz miała smutną.

– Horst się nie odzywał, jeśli o to ci chodzi – powiedział.

– Niedobrze...

– Wiem, ale co my możemy zrobić? Mówiłem, że mu pomogę, i dotrzymam słowa, ale według mnie sprawa jest prosta. Albo nie płaci i wzywa policję, albo płaci i siedzi cicho.

– Horst na pewno coś wymyśli. – Alicja usiadła na krześle obok zawalonego zabawkami biurka. – Bardziej chodziło mi o tę pannę, o tę Amfitrytę, czy jak jej tam...

– Doceniam, że jesteś na bieżąco z mitologią. Jak chciała, żeby ją nazywać Sirene, to czemu mamy tego nie robić?

– Bo mnie wkurza. Nawet teraz... Kiedy starzejąca się dupa doczepia sobie rybi ogon, to sprawa dla psychologa, a nie dla drużby. – Alicja przez dwie noce prawie nie spała, wyobrażając sobie, co musi teraz przeżywać Horst. – Zamierzasz uratować tę Meluzynę czy siedzieć tak i sobie brzdąkać?

Janek odłożył gitarę.

– Mnie to nie śmieszy, wiesz? Obrażanie dziewczyny, która być może w tej chwili walczy o życie, jest bardzo kiepskie.

– Dziewczyny? Ona ma prawie pięćdziesiąt lat!

– Nie lubisz jej, bo wydaje ci się za stara?

– Janek, nie lubię jej, bo wydaje mi się sztuczna. Widzieliśmy jej profil na Instagramie. Przecież to gadanie o symbiozie ze wszechświatem i ścieżce rozwoju jest oryginalne jak oglądanie Netflixa. Czysta głębia duchowości.

Janek rzeczywiście wczoraj pokazał jej profil Sirene. Miał nadzieję, że Alicja zwróci uwagę na coś, co mu umknęło. Nie sądził, że będzie się wyzłośliwiać tylko dlatego, że ukochana Horsta ma inny system wartości. Zmarszczył brwi.

– Nie lubisz jej, bo jest podobna do ciebie. Wkurza cię, bo ma odwagę się realizować.

Alicja się zaczerwieniła.

– Co?!

– Sorry, Ala. Sirene wkurza cię, bo ma odwagę robić to, co sprawia jej przyjemność. A co do Horsta, to myślę, że jakby leciał tylko na urodę czy młodość, to przygruchałby sobie dwudziestolatkę. Widocznie widzi w niej coś, co ci umyka.

– Właśnie o tym mówię! Musi wmawiać sobie, że widzi coś więcej, bo ta krowa morska zachowuje się jak infantylna dwudziestolatka!

– Dziewczyna właśnie przeżywa piekło. Trochę empatii!

– Mam empatię, dlatego patrzę na to inaczej niż wy.

Janek spojrzał na nią zimno. Podczas gdy każdy normalny człowiek żałowałby uprowadzonej dziewczyny, ona kpi z niej w prymitywny sposób, najwidoczniej próbując się dowartościować.

– Kochanie, nie sądziłem, że kiedyś ci to powiem, ale...

– Ale co? – spytała Alicja.

– Poluzuj gacie.

– Sam poluzuj swoje.

Spojrzeni sobie w oczy. Po chwili na ich twarzach pojawiły się uśmiechy.

– O co my się kłócimy?

Alicja chwyciła jego dłoń.

– Nie wiem – odrzekła. – Wkurzam się, bo lubię Horsta. Po prostu wydaje mi się to dziwne.

Janek westchnął.

– Spytam najspokojniej jak umiem. Alicjo, co takiego wydaje ci się dziwne?

– To całe porwanie. – Alicja przybrała minę serialowego detektywa. Nie chciała tego przyznać, ale odkąd Sirene zniknęła, czuła też pewien szczególny rodzaj intelektualnego pobudzenia. Bardzo przypominał on przyjemność. – Janek, dużo o tym myślałam. Nie wydaje ci się dziwne, że dopóki Horst nie wspominał o intercyzie, wszystko było okej, a gdy tylko pojawił się ten temat, Sirene zniknęła?

Janek też się nad tym zastanawiał. Ale nie wydawało mu się to dziwne.

– Też unikasz tematu podziału tego, co mamy.

– Janek, nie teraz! I nie w tym rzecz. Zadałeś sobie chociaż trud, żeby wpisać w wyszukiwarce „sfingowane porwanie”? Jest ich cała masa. A to tylko te, o których wiemy z całą pewnością.

– Horst to doświadczony przez życie człowiek i świetny profesjonalista. Myślisz, że nie wziął tego pod uwagę?

– Nie sądzisz, że trochę się starzeje?

Janek już miał powiedzieć, że ich rozmowa zmierza ku osądzeniu wszystkich facetów, którzy sypiają z młodszymi kobietami, kiedy w jego kieszeni zawibrował telefon. Przeczytał wiadomość i powiedział:

– À propos Horsta. Prosi, żebym do niego przyjechał. Pojadę, dobra? On mi pomagał, kiedy zaginęła Kasia.

– Jadę z tobą.

– A Rafał?

– Kończy trening za pół godziny, ale odbiorę go wcześniej. Weźmiemy go. Niech podgrzewany basen, który zbudował Horst, na coś się w końcu przyda.

Janek nie umiał się nie uśmiechnąć. Jej zapał do działania wzbudzał w nim pozytywne uczucia.

W ciągu godziny zjawili się u Horsta. Był blady. Wyglądał na zmęczonego.

Alicja serdecznie go przytuliła.

Janek nie musiał o nic pytać, żeby wiedzieć jedno: nic się nie zmieniło.

– Odezwali się wczoraj – powiedział Horst, kiedy usiedli przy ogrodowym stole.

Rafał bawił się z psem. Wiatr przybrał na sile, zrobiło się chłodno. Nie było sensu przypominać mu o basenie.

– I co? – spytała Alicja.

– Kazali mi przesłać zdjęcie gotówki.

– Przesłałeś?

Horst pokręcił głową.

– Kazałem im przesłać zdjęcie Sirene – powiedział. – Odpisali mi, że to oni dyktują warunki.

Zapadła niezręczna cisza.

Horst wyglądał, jakby w ogóle nie spał. Zarost, przekrwione oczy, wyciągnięta ze spodni koszula, wszystko to po prostu do niego nie pasowało.

Janek i Alicja wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia. Janek pokręcił głową. Alicja dźgnęła go łokciem w żebra i wymownie spojrzała na Horsta. Trzymaj się tego, co uzgodniliśmy, mówił ten gest.

– Słuchaj, Horst... – nieśmiało zaczął Janek. – Sam mówiłeś, że czasem potrzeba świeżego spojrzenia. Nie mówię, że zawsze, ale może warto rozważyć też inne opcje? – Przerwał, szukając właściwych słów. – Na przykład, że... Bo wiesz, wygląda na to, że Sirene nigdy nie pracowała.

– Sprawdziliśmy jej profile. – Alicja musiała przyjść mu w sukurs. – I statystyki. Nie znalazłam oficjalnych badań, ale natknęłam się na opisy sfingowanych porwań. Jest ich cała masa.

– Alicja ma na myśli, że... – gubił się Janek. – Oczywiście nie mówimy, że tak jest w tym wypadku, ale wydaje mi się, że to

także trzeba wziąć pod uwagę.

Horst zapadł się w krzesło. Jego dłonie bawiły się elektronicznym papierosem. Gryzł kawałek gorzkiej czekolady, który chwilę wcześniej wziął do ust. Kiedy go przełknął, powiedział:

– Macie mnie za idiotę? Kiedy zajmowaliśmy się porwaniami, samouprowadzenie było jedną z pierwszych opcji, które braliśmy pod uwagę. A może za idiotkę macie Sirene, co?

Alicja, która usiadła obok niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

Janek wiedział, że nikt lepiej od niej nie wytłumaczy mu, że to właśnie z troski o niego biorą pod uwagę różne możliwości, także zawiadomienie policji. Wstał z krzesła i przez chwilę chodził po ogrodzie. Przez okno widział, jak rozmawiają. Alicja wydawała się mieć w sobie dużo więcej łagodności niż wtedy, kiedy rozmawiała z nim.

Horst, w coś ty się, chłopie, wplątał? – pomyślał Janek, widząc, że jego przyjaciel jest zupełnie rozbity.

Zbliżał się wieczór i wszyscy zaczynali być głodni. Alicja poszła do kuchni, żeby zrobić coś do jedzenia, a Horst rąbał drewno do kominka, nie zważając na Janka, który stał tuż obok i dokładnie co minutę proponował, że się tym zajmie.

Kiedy rozbrzmiał dzwonek domofonu, Horst wbił siekierę w pień i znieruchomiał. Wyciągnął szyję, a kiedy dzwonek się powtórzył, ruszył do drzwi.

Okazało się, że to sąsiad, wąsaty pięćdziesięciolatek o dobrej, ciekawskiej twarzy. Trzymał pod pachą niewielką paczkę – obwiązane czarną folią zawiniątko.

– Napraw domofon albo słuch – powiedział, szczerząc zęby.
– Kurier zostawił to u mnie. Wiem, że robi się późno, ale wolę

oddać to dzisiaj, bo mój Brutus szczeka na to jak opętany. Zamawiałeś psie smakołyki czy co?

Mina zdezorientowanego Horsta zdradzała, że raczej nie zamawiał nic przez ostatnich kilka lat.

– Dzięki – bąknął. Wziął paczkę i zamknął drzwi.

Paczka leżała na niewielkim stole w przedpokoju, a oni siedzieli w ogrodzie i jedli przygotowaną przez Alicję sałatkę.

– Kto to był? – spytał Janek.

– Przyszła paczka – powiedział Horst. Jego głos lekko drżał.

Janek, który wiedział, że Horst swoją karierę policyjną spędzał właśnie w Poznaniu, powiedział:

– Sorry, że truję, Horst, ale może warto zastanowić się, czy ktoś mógłby nam pomóc. Na pewno znasz kogoś, kto umie zachować dyskrecję. Sami jesteśmy właściwie zdani na łaskę porywaczy.

– Bo jesteśmy – powiedziała Alicja, wymownie patrząc na Rafałka. Dla Horsta i Janka stało się jasne, że rozmowa o porwaniu musi poczekać.

Rozpalili w kominku i usiedli przy stole. Rafałek rozsiadł się na kanapie i oglądał bajki.

Horst krzątał się po domu, a po chwili wrócił, trzymając pod pachą dostarczoną przez sąsiada paczkę. Położył ją na stole i usiadł obok Alicji.

Janek wrócił do tematu.

– Znasz kogoś w Poznaniu? – zapytał. – Dyskretnego emeryta z dawnego wydziału albo znajomego prokuratora. Friske wydawał się w porządku...

Alicja, która jako pierwsza dostrzegła, że nadawcą paczki jest ktoś, kto podpisał się Jack the Ripper, kopnęła Janka w kostkę.

Janek podążył za jej wzrokiem. To nic dobrego, pomyślał, kiedy odkrył to samo co ona.

– Co się gapicie jak sroka w gnat? – spytał Horst. – Otwórzcie.

Janek wyjętym z kieszeni scyzorykiem przeciął czarną folię stretch. Ostrożnie wyciągnął z niej karton. Otworzył go i zajrzał do środka. Widział tylko zieloną piankę zabezpieczającą, więc wysypał całą zawartość na stół.

– Kurwa mać! – wrzasnął Janek i spojrzał na Alicję. Jej oczy były szeroko otwarte.

– Zajmij się Rafałkiem – szepnął. – Dopilnuj, żeby tu nie podchodził.

Dłoń Horsta mimowolnie podążyła w stronę piersi. Oddychał ciężko.

Na stole leżał ludzki palec. Niebieski paznokiec nie pozostawiał wątpliwości, że należał do kobiety.

– Wszystko w porządku? – spytał Janek, który teraz doskoczył do Horsta. Zgięty wpół przyjaciel wyglądał jak tuż przez zawałem. – Horst! Wezwać karetkę?

Stary policjant dał mu znak, że jakoś dojdzie do siebie.

Janek, ciągle w szoku, ponownie zajrzał do kartonu. Wyjął z niego karteczkę napisaną na komputerze.

Ostatnie ostrzeżenie, dziadku. Jeśli nie otrzymamy następujących zdjęć, to w kolejnej paczce będzie cała dłoń. Oto lista zdjęć:

Gotówka osiemset tysięcy rozłożone na stole.

Zbliżenia na numery seryjne.

Gotówka w torbie i dziadek, który ją trzyma.

Tym razem posłuchaj, jeśli chcesz zobaczyć swoją lalunię.



Janek i Alicja siedzieli przy stole, ściskając w dłoniach kubki z kawą. Ustalili, że wypiją i wychodzą, ale głupio im było zostawić Horsta samego. Wiedzieli, że gdyby oni znaleźli się w takiej sytuacji, to zrobiliby wszystko, żeby im pomóc. Zresztą starzejący się gliniarz zachowywał się, jakby stracił rozum. Ten zazwyczaj doskonale opanowany facet zaczął człapać po domu i znosić gotówkę, którą zdawał się trzymać w niezliczonej liczbie skrytek. Na kuchennym blacie rósł stos banknotów. Tylko raz zatrzymał się, zasapany, spojrzał na nich przekrwionymi oczami i zapytał:

– Nadal chcecie gadać mi o samouprowadzeniu?

Spuścili wzrok i milczeli.

To mniej więcej wtedy Janek zrozumiał, że Alicja jest silniejszą kobietą, niż mu się zawsze wydawało (albo bardziej upartą, jak podpowiadała mu ta dumniejsza część jego natury). Kiedy Horst wyszedł z domu i w jego szopie rozbłyły światła, Alicja szepnęła:

– Mówiłeś, że zostawiła telefon. Gdzie jest?

– Kilka dni temu widziałem go tutaj. Może być gdziekolwiek.

– Mógłbyś go przynieść? – Wobec braku jego reakcji dodała:

– Po prostu to zrób. Proszę.

Janek upewnił się, że Horst ciągle jest poza domem, rozejrzał się po kuchni, ale telefonu nie znalazł, więc poszedł na górę. Zajrzał do łazienki, potem do sypialni. Bez większych nadziei otworzył nocną szafkę, później kilka szuflad komody. Telefon

znalazł na stoliku. Leżał pod jakimś magazynem fotograficznym. Janek schował aparat do kieszeni i zszedł na dół. Przy stole zastał Alicję, która wpatrywała się w przysłany palec z niezdrowym zaciekawieniem.

– Co ty kombinujesz?

– Masz ten telefon?

Przytaknęła.

– Daj. Proszę.

Spełnił prośbę, ale kiedy zobaczył, co robi, niemal wrzasnął.

Alicja trzymała w dłoni przysłany palec, który zbliżyła do czytnika linii papilarnych.

– Zwariowałaś? – syknął. Chciał wyrwać jej telefon, ale odsunęła się. Z boku wyglądali pewnie jak dwójka dzieciaków kłócąca się o Pokemona. Horst mógł wejść w każdej chwili.

– Jak znasz hasło, to mi powiedz – odrzekła Alicja. – Palec jest w dobrym stanie...

Janek spasował, a ona nie poprzestała na jednej próbie.

Udało się dopiero, kiedy położyła telefon na stole i mocniej nacisnęła na niebieski paznokiec. Ekran telefonu rozbłysnął.

– Tak myślałam, że to będzie wskazujący – powiedziała Alicja.

– Czy ciebie...?

– Ććśś... Chcę tylko zerknąć w historię esemesów.

W salonie pojawił się Horst. Tym razem zamiast gotówki niósł czarną brezentową torbę.

Niemal podskoczyli. Kiedy ich mijął, Alicja przykryła telefon przedramieniem.

– Zamiast tak siedzieć, pomożecie mi z tym? – spytał Horst.

Alicja wymownie spojrzała na Janka. „Idź”, mówił ten wzrok.

– Porozmawiamy w domu – szepnął, mijając ją. Był wściekły.

Oprócz banderolowanych plików było sporo luźnych setek i dwusetek, które należało przeliczyć. Faceci mieli więc trochę zajęcia. Alicja mogła przejrzeć nie tylko historię esemesów, ale też wiadomości internetowych. Wszystko wyglądało poprawnie. Aż za bardzo. Alicja wpisała w wyszukiwarke swojego telefonu hasło: „Jak zmienić kod zabezpieczeń w...” i dodała model Samsunga porwanej kobiety. Po kilku minutach jej się udało. Do odblokowania ekranu wystarczył teraz znak krzyża nakreślony pośród dziewięciu kropek. Oba telefony schowała do swojej torebki. Wstała i podeszła do kuchennego blatu.

Janek i Horst powoli kończyli liczenie.

– Pięćset sześćdziesiąt – powiedział Janek, kładąc na blat kolejny zabezpieczony recepturką plik.

– Będzie nieco ponad sześćset – stwierdził Horst, patrząc na pozostałe banknoty. – Resztę wezmę z banku.

Alicja ominęła ich i otworzyła zamrażalnik.

– Potrzebuję miski, Horst.

Bez słowa wskazał jej szafkę.

Alicja wypełniła ją lodem. Potem umieściła w niej palec.

– To pewnie nic nie da – powiedziała, czując na sobie pytające spojrzenia. – Ale też nie zaszkodzi.

Horst milczał. Rzucił na blat kolejny związany gumką plik.

Janek chciał go pocieszyć, powiedzieć, że palec odcięty jest czysto i na pewno nie cierpiała, ale wydało mu się to głupie. Po pierwsze – pewnie podobnie jak Horst – doskonale pamiętał groźbę o przesyłaniu kolejnych części zakładniczki, a po drugie palca wcale nie ucięto czysto. Postrzępione fragmenty kości

i skóry zdradzały, że oddzielono go od reszty ciała tępym narzędziem. Musiało boleć.

Alicja zamknęła lodówkę. Miała wrażenie, że gdyby nie jej obecność, to faceci na pewno zaczęliby się kłócić, choćby tylko po to, żeby dać upust zdenerwowaniu, które wisiało w powietrzu razem z tą ciszą, nieznośną jak zapach papierosowego dymu.

Sytuację załagodził Rafałek, który znudził się wyświetlanymi reklamami i zapytał:

– Kiedy jedziemy do domu?

– Za chwilę, kochanie – powiedziała Alicja.

– Co robimy? – spytał Janek, wymownie patrząc na gotówkę. Trudno mu było uwolnić się od myśli, że za jedną dziesiątą tej kwoty mógłby zamknąć się w studiu na kilka miesięcy i wyjść z niego z płytą. Potem mógłby pojechać gdzieś, odstawić leki, po prostu spróbować cieszyć się życiem...

Horst otarł dłonią łysinę.

– Czekamy – powiedział. – Dam znać, jeśli będę potrzebował pomocy.

Zabrzmiało to tak, jakby miał ich dosyć.

Janek położył mu dłoń na ramieniu.

– Horst, stary byku, nie jestem zawodowcem, ale możesz na mnie liczyć. Wiesz o tym, prawda?

Doświadczony gliniarz spojrzał mu w oczy, jakby chciał jeszcze raz ocenić jego przydatność. Skinął głową.

– Trzymaj się – powiedziała Alicja, serdecznie go ściskając. – Jak będziesz potrzebował czegokolwiek, to dzwoń. Dobrze?

– Dziękuję. Traficie do drzwi, prawda?

– Idziemy? – Rafał przebiegł przez salon i włożył buty. – Pa, wujku!

Kiedy wychodzili, Horst gapił się na stos banknotów, drapiąc się po łysej czaszce.

W domu byli około dwudziestej. Nastroje mieli podłe.

– Co cię ugryzło? – spytał Janek, nie czekając, aż Rafałek skończy jeść kolację.

– Mnie?

– Tak, ciebie. Zachowujesz się jak robot. Prawie się ciebie boję.

– Trochę przesadzasz, nie sądzisz?

– Widziałaś Horsta. Facet ledwo żyje, a ty machasz palcem jego ukochanej jak jakąś cholerną zabawką. Dobrze, że nie podłubałaś sobie nim w nosie!

Alicja dała mu znać, żeby przeszli do salonu. Gdy się w nim znaleźli, ściszone głosem powiedziała:

– Przynajmniej nie stoję jak dupa. Palec już nie jest jej potrzebny, a nam może się przydać jej telefon.

– Po śmierci ojca stało się z tobą coś dziwnego. Czasami mam wrażenie, że cię nie poznaję, kobieto.

Wyszedł na balkon, żeby zapalić i uspokoić skołatane nerwy. Kiedy tak siedział, patrząc na granatowe niebo nad minizoo, coś go tknęło. Pobiegł do łazienki i otworzył swoją szafkę. Zawartość opakowania antydepresyjnego parogenu wysypał na pralkę i zaczął liczyć tabletki. Receptę zrealizował tydzień temu, a w opakowaniu zamiast sześćdziesięciu było tylko czterdzieści dziewięć tabletek. Cztery zniknęły. Przypomniał sobie wszystkie sytuacje, w których Alicja ostatnimi czasy zachowywała się

dziwnie. Nienaturalnie pobudzona, uśmiechnięta, odcięta od głębszych uczuć.

– Musimy porozmawiać – powiedział, kiedy wszedł do kuchni.

Po jego tonie poznała, że zauważył.

– Położę Rafałka i do ciebie przyjdę – stwierdziła.

Nie czekał na nią beczynnienie. Następnego ranka musiał być w radiu. Zamknął się w gabinecie i szkicował tematy, które poruszy jutro na antenie. Dostał trzy audycje w tygodniu, co początkowo cieszyło go, bo godzinowo dobijał do całego etatu, ale jednocześnie czuł, że rozmienia się na drobne. Co ważnego można mieć do powiedzenia przez dwanaście godzin w tygodniu? Czuł, że jego słowa zamieniają się w bezsensowne gładzenie, którego pełna była internetowa rzeczywistość. Dobrze, że chociaż nie musiał się wysilać z dobozem muzyki. Odkąd korzystali z licencyjnego algorytmu, wybór piosenek nie był problemem. Sylwester wpisywał w program długość kawałka i jego gatunek muzyczny, a do Janka należała tylko zapowiedź.

Alicja usiadła na kanapie i wpatrywała się w niego swoimi zielonymi kocimi oczami. Przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć mu, że dziwnie się czuje. Teraz, dziesięć dni po owulacji, powinna być wściekła, powinna zrobić mu awanturę i wyrzucić te cholerne wspinaczkowe buty, ale chciała tylko być blisko niego. Potrzebowała jego miłości i tego, żeby był, żeby docenił, ile ma, i przestał uganiać się za marzeniami, na które brak miejsca w dorosłym życiu. Chciała powiedzieć mu, że tamten sobotni seks może mieć konsekwencje, ale stwierdziła, że to nie jest odpowiedni moment. Nigdy nie jest odpowiedni...

– Wzięłam tylko kilka – powiedziała. – Wcześniej poczytałam o tym leku. Nie zrobiłam nic złego. Po konsultacji

z lekarzem można go brać nawet w czasie ciąży.

– Ala... – Nawet nie drgnął. Nie zrozumiał aluzji.

– Przyznaję, pozazdrościłam ci dobrego nastroju. Też przeżyłam śmierć ojca. To, że się z tym nie obnoszę, nie znaczy przecież, że nie cierpię.

– Nie mogłaś mi powiedzieć?

– Nie. Jesteś za bardzo skupiony na sobie. Próbujesz pomóc Horstowi, bo jak sadomasochista możesz pieścić się myślą o swojej uprowadzonej siostrze.

– Twoja interpretacja faktów jest...

– Jaka? – Wyzywająco patrzyła mu w oczy. Wiedziała, że jak zwykle będzie starał się uniknąć konfrontacji.

– Po prostu mnie nie okłamuj, dobrze? Kiedy wzięłaś jej palec, pomyślałem, że jesteś stuknięta.

Zaśmiali się. Trochę przez łzy.

– Musimy mu pomóc – powiedziała, odgadując, że ostatnia wizyta u Horsta jemu też nie daje spokoju.

– Jak? Słyszałaś, w jaki sposób powiedział, że odezwie się, jeśli będzie czegoś potrzebował? Dla niego jesteśmy tylko parą amatorów.

– Tym lepiej. Nie będzie niczego podejrzewał.

Janek przyjrzał się jej badawczo.

– Co niby miałyby podejrzewać?

– Witalij, barman z Korpo, jest informatykiem.

– No i?

– Pokażę mu telefon tej całej Sirene. Może znajdzie w nim coś interesującego.

– Myślisz, że Horst tego nie sprawdzał? Przecież pracował przy porwaniach.

– Jeśli sprawdzał, to raczej nic nie znalazł. Co nam szkodzi?

– Jak chcesz...

– A Salomea?

Janek drgnął. Myśl, że miałby mieszać w to wnuczkę Horsta, która starała się ułożyć sobie życie z dala od Leszna, była trochę poniżej jego godności.

– Nie patrz tak – powiedziała Alicja. – Sam mówiłeś, że spotyka się z jakimś gliniarzem. Może zna kogoś, kto umie być dyskretny.

– No nie wiem...

– Wystarczy dostęp do danych. Jak niby znajdziesz rodziców Sirene? Zamierzasz chodzić po mieście i pytać przechodniów? Ten gliniarz mógłby nam pomóc czegoś się o niej dowiedzieć. Gdzie pracowała, czy ma rodzeństwo, ile ma na koncie. To niby nic, ale raczej nie mówiła tego Horstowi...

– Nie do wiary... – Janek patrzył na Alicję jak na obcą osobę.

– Co?

– Ty ciągle ją podejrzewasz.

– Nie, Janek. Chcę tylko wiedzieć to, czego nie wiemy. Skoro możemy coś zrobić, żeby pomóc naszemu przyjacielowi, to dlaczego nie? Prawda?

Janek westchnął. Objął ją, subtelnie prowadząc w stronę drzwi.

– Dobra – powiedział. – Zadzwońię do Sali, a ty idź już spać, dobrze?

Chciała powiedzieć mu, że czeka na niego w łóżku, ale zamknął drzwi.

Janek zastanawiał się nad tym, co mu mówiła, i musiał przyznać jej rację. Nie zaszkodzi sprawdzić. Może Sirene miała długi albo gotowych na wszystko wrogów? A może ktoś obserwował Horsta? Swoją posiadłość kupił w latach dziewięćdziesiątych pewnie za bezcen, a obecnie była warta kilka milionów. Horst założył agencję ochrony, która teraz jest jedną z największych w Polsce. Sprzedaż udziałów, o czym wspominał, pewnie nieźle go ustawiła. Ktoś mógł dojść do wniosku, że skoro dziadek buduje kochance basen, to pewnie ma mnóstwo kasy. Jeśli tak było, to Salomea też powinna na siebie uważać. Podszedł do okna i wybrał jej numer.

– Hej, Janek z tej strony.

– Wiem. Wyświetla mi się twoje imię.

Wstrzymał oddech, a potem dużo poważniejszym głosem zapytał:

– Słyszałaś, co się stało, prawda?

– Tak. Biedny dziadek...

– Uparł się, żeby nie informować policji, co, jak się pewnie domyślasz, trochę komplikuje sprawę.

– Domyślam się – przyznała Salomea. – Pewnie masz jakiś pomysł.

– Dzwonię, bo pamiętam, że spotykałaś się z jakimś przystojniakiem z policji.

– Z Kosmą.

– Właśnie. Ufasz mu?

– Ciągłe jesteśmy razem.

– To dobrze. Słuchaj, ale jeśli powiesz Horstowi, że do ciebie dzwoniłem, to mam przesrane. Czy Kosma może trochę

poszperać w systemie? Albo zna kogoś, kto nas w tym wesprze? Pomyślałem, że nie zaszkodzi sprawdzić kilku rzeczy. Może ktoś z jej znajomych miał już sprawę za porwanie, może ktoś ma długi... Pewnie twoi koledzy będą wiedzieć, czego szukać.

– Jasne, zrobię, co będę mogła. Wszystko w porządku? Brzmisz jakoś dziwnie.

– Nie, po prostu dzisiaj... E, nic takiego. Śpij dobrze. Dzięki!

– Co dzisiaj?

– Nic, Sala, może niepotrzebnie zawracam ci głowę.

– Janek? – W głosie Salomei słychać było rosnący niepokój. – Co dzisiaj? Zacząłeś, to dokończ.

– Dzisiaj przysłali kurierem jej palec. Robi się naprawdę nieciekawie.

Salomea przez chwilę milczała.

– O kurwa... – powiedziała w końcu. – A mój dziadek? Trzyma się?

– Znasz go. Stres zabija działaniem. Dopóki coś robi, jakoś się trzyma.

– Dzięki, że o mnie pomyślałeś. Zrobię, co będę mogła.

– Dziękuję.

– Janek?

– Co?

– Dbaj o niego, dobrze? Jakby coś się działo, to dzwoń.

– Bądź spokojna. Zrobię, co będę mógł.



Całe umeblowanie dwupokojowego mieszkania stanowiły poplamione kanapy, zavalony naczyniami stół i regał, którego jedynym wyposażeniem był mały telewizor. Ściany w kolorze miętowej zieleni były puste, na parapecie stały doniczki z uschniętymi kikutami kwiatów. Dwóch odzianych w czerń drabów nadal tkwiło w tej melinie, mając siebie serdecznie dosyć. Na Wyspę Edwarda planowali jechać już wczoraj, ale nie dogadali się co do szczegółów.

– Połowę kasy chciałbym zostawić – powiedział nagle Fifty, ściskając torbę.

– Ochujaleś?

– Chyba twoja stara. Muszę jakoś przeżyć ten rok.

– Zamierzasz rozpierdolić pięćset tysięcy?

Głaca z trudem powstrzymał się, żeby mu nie przywalić. Nie jeden raz widział, jak chciwość i głupota prowadzą do pierdla kolejnych mafiosów. Nie zamierzał być następny. Przez lata siedział cicho, czekając na swoją szansę. A teraz przez jednego kretyna cały misterny plan mógł się zawalić. Pomyślał o utrzymanym za paskiem glocku. Gdyby nie to, że przez ścianę słyszeli każde stęknienie sąsiadów, pewnie pomyślałby też o zastrzeleniu współnika.

Głaca podrapał się po głowie.

– Zostaw sześćdziesiąt tysięcy – powiedział. – To pięć tysięcy na miesiąc, starczy ci.

– Nie zamierzam biedować – stwierdził Fifty.

Rozmowa trwała właściwie od wczoraj. Po całonocnym chlaniu Fifty zjechał do trzystu tysięcy.

– To absolutne minimum – stwierdził. – Muszę kupić sobie brykę.

Glaca spojrział na niego i uniósł brwi. Miał kaca, łeb mu pękał od wypalonych fajek. A jego kompan chyba naprawdę chciał szybko trafić za kratki.

– Gratuluję pomysłu. Ale na tę brykę daj odpowiednie blachy.

– Jakie?

– Zamiast numerów każ napisać sobie „debil”.

– Spierdalaj! – obruszył się Fifty. Zakręcił się na kanapie. Wyjął nóż. Kilka razy dźgnął w podłokietnik. – Masz jeszcze koks?

Glaca pokręcił głową. Jasne, że trochę miał, ale nie zamierzał się spłukiwać, żeby głąb, z którym przyszło mu mieszkać, zaczynał imprezę zaraz po wstaniu z łóżka.

Fifty rzucił wiązaną przekleństw i poczłapał do kibla. Po długiej serii pierdnieć wyszedł z niego i spojrział Glacy w oczy.

– Na pewno nie masz koksu? – spytał.

– Czy ja ci, kurwa, wyglądam na laboratorium? Chcesz koksu, to dylaj na dzielnię.

– Żebyś wiedział, że pójdę.

– Co? – Glaca nie mógł uwierzyć, że można być takim głupkiem. Zanim zorientował się, że jednak można, Fifty miał już na sobie skórzaną kurtkę i buty. – Ty tak serio?

– Ochujam tutaj.

– Mieliśmy jechać na wyspę.

– Pierdolę wyspę. – Fifty wziął klucze i trzasnął drzwiami.

Głaca podszedł do okna i obserwował, jak kumpel chwiejnym krokiem wychodzi z klatki i kieruje się do osiedlowego supermarketu.

Może nie jest aż taki głupi, pomyślał.

Blokowisko na poznańskich Ratajach było idealnym miejscem, żeby się ukryć. Dużo wynajętych mieszkań, mało policji, młodzież dyskretna i znająca zasady.

Głaca włączył telewizor, zjadł śniadanie, a potem uświadomił sobie, że Fiftiego nie ma już godzinę. Zrobił się nerwowy. Wstał i pokręcił się po mieszkaniu. Myśli o pozbyciu się współnika stały się bardziej natarczywe.

Nagle w drzwiach stanął uśmiechnięty od ucha do ucha Fifty. Miał rozwalony nos i zdarte pięści.

– Co tak krzywisz kalafę? – spytał Głaca.

Fifty wyciągnął z kieszeni woreczek z białym proszkiem.

– Wspominałeś, że muszę żyć skromnie, to stwierdziłem, że chuj, będę żył skromnie. Wyjebałem szczyłowi, jak tylko podał cenę.

– Co zrobiłeś?

– Wyjebałem. Miał w kieszeni dwa wory. Jednego już wciągnęłam.

Głaca podszedł do niego i bez ostrzeżenia zdzielił otwartą dłoń w roześmiany pysk. Plasnęło. Fifty chciał się odwinąć, ale Głaca wcisnął mu w nos lufę pistoletu.

– Jeszcze jeden taki numer i odstrzelę ci ten tępą łeb – powiedział. Spojrzenie miał lodowate. Nie żartował. – Jeden, kurwa, numer!

Fifty stał zdezorientowany. Oblizwał obolałe usta.

– Co się, kurwa, gapisz, debilu! – Glaca machnął bronią w kierunku salonu. – Siadaj na dupie i siedź, dopóki nie pozwolę ci wstać. Kurwa, co za szuszwol z opóźnionym mózgiem...

Fifty posłusznie usiadł na kanapie.

Glaca podszedł do okna. Stało się dokładnie to, czego się obawiał. Dzieciarnia, którą obserwował przez firankę, była podenerwowana. Ktoś błysnął kijem bejsbolowym, ktoś trochę zbyt ostentacyjnie bawił się scyzorykiem. Pojawiło się dwóch kolesi z szalikami Lecha. Glaca wiedział, że w każdej chwili może zjawić się tu dwudziestu innych. Nie to jednak zaprzętało mu głowę.

Na kwadrat wjechał radiowóz.

Policjanci zignorowali parkę, przy której stały otwarte piwa.

Są tu z ważniejszego powodu, pomyślał Glaca.

Gliniarze kręcili się, wylegitymowali jednego i drugiego, pogadali przez radio. Już mieli odjeżdżać, kiedy jedna z dziewczyn wskazała na klatkę, do której pięć minut wcześniej wszedł Fifty. Dziewczyna tłumaczyła coś gliniarzom. Pokiwali głowami i ruszyli w tym kierunku.

– Kurwa mać – powiedział Glaca.

– Co jest? – Fifty nie mógł usiedzieć w miejscu. Rozsadzała go energia. Motylkowy nóż krążył pomiędzy jego palcami. – No co?

– Do pokoju! – rozkazał Glaca. – Siedzisz tam, suko, i warujesz, dopóki nie powiem ci, że możesz wyjść.

Zanim Fifty zaszył się w sypialni, spojrział przez okno. Policjanci wcisnęli guzik domofonu. Ktoś im otworzył. Weszli do klatki.

Glaca przywarł do drzwi, nasłuchując.

Policjanci zapukali do mieszkania na pierwszym piętrze. Zamienili z kimś parę słów. Podziękowali i ruszyli wyżej. Szli powoli. Nie zatrzymali się na drugim piętrze. Nie zatrzymali się na trzecim.

Miejscowi o nas wiedzą, uświadomił sobie Glaca.

Po chwili ich sylwetki ukazały się w judaszu. Zadzwonili do drzwi naprzeciwko. Nikt nie otwierał.

Zadzwonili do drzwi, za którymi stał Glaca.

Nie zamierzał otwierać. Trzymał dłoń na pistolecie, który schował z tyłu za paskiem spodni, i przez wizjer gapił się na policjanta, który stał zaledwie trzydzieści centymetrów od niego.

Policjanci nie wiedzieli, co robić, ale drzwi na piętrze niespodziewanie się otwały.

– Przez całą noc hałasy, panie władzo – powiedziała starsza kobieta. – Pijatyki, dudnienie, człowiek spać nie może. Zróbcie z nimi porządek. Pewnie jeszcze odsypiają.

Głupia krowa, pomyślał Glaca.

Stukanie rozległo się na nowo, głośniejsze i bardziej zdecydowane.

– Chwileczkę – powiedział Glaca, który uświadomił sobie, że lepiej załatwić to szybko, niż narażać się na kolejne niezapowiedziane wizyty.

Otworzył drzwi.

– Dzień dobry, posterunkowy Murek – przywitał się policjant, uważnie mu się przyglądając. – Sąsiadka skarży się na hałasy. Możemy wejść?

– Jasne – zgodził się Glaca.

Zrobił krok w tył. Nerwy miał napięte.

Posterunkowy był brunetem o harmonijnej twarzy. Zupełnie inaczej niż jego kolega, nabity blondyn z krzywo zrośniętym nosem. Obaj rozglądali się po mieszkaniu z zawodową ciekawością.

– Ma pan rodzinę? – zapytał Murek.

– Nie.

– Przyjemna sprawa, prawda? Bez żony, dzieciaków...

– Gdyby jeszcze sąsiedzi nie parówili – zgodził się Glaca.

Blondyn zrobił się czujny. Zerknął do salonu. Stół na środku był zastawiony flaszkami i zawalony resztkami pizzy.

– Poimprezowało się? – zapytał.

– To chyba nie jest zabronione? – Glaca prawą dłoń ciągle trzymał z tyłu. Ścisnęła kolbę pistoletu. Cofnął się prawie pod samą ścianę.

– Nie, no jasne, że nie.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi – zgodził się starszy posterunkowy Murek. – Sąsiadka skarżyła się na krzyki i głośną muzykę. Może następnym razem da się trochę ciszej?

– Jasna sprawa. Przepraszam. Koledzy wpadli i tak jakoś...

– Rozumiemy – stwierdził Murek.

Blondyn, który właśnie doliczył się trzech pustych flaszek i dwóch kieliszków, zapytał:

– Ilu było tych kolegów?

– Co? – Glaca się uśmiechał. Patrzył na policjanta, który mierzył go uważnym spojrzeniem.

– Proste pytanie – powiedział gliniarz. – Widzę dwa kieliszki. – Trącił nogą leżące w przedpokoju buty. – Dwie pary męskich butów. Każda w innym rozmiarze.

– Weź, Jasiek, nie nasza sprawa – powiedział Murek, zbierając się do wyjścia.

– Nie lubię, jak mi się wciska kit – odparł blondyn, który podszedł do Glacy i wpatrywał mu się w oczy. Kołnier z napisem „policja” ledwie mieścił jego naprężoną szyję. Nie bał się konfrontacji. Dłoń trzymał na kaburze z bronią. – Jesteś ciepły?

Palec Glacy zacisnął się na spuście. Z trudem opanował nerwy.

– Coś powiedział? – zapytał, prawie wciskając swój nos w krzywy nos gliniarza.

– Spokojnie, synuś. – Blondyn się uśmiechał. – Jak to mówią: uderz w stół...

– Jasiek, kurwa...

– Tylko pytam. Chyba mogę, co? – Gliniarz nadal patrzył na Glacę, nie ukrywając swojej niechęci. – Masz tutaj kogoś?

Glaca pokręcił głową. W gardle zaschło mu ze zdenerwowania.

– Na pewno? Nie trzymasz tu chłoptasia, który lata po dzielni i szuka koksu?

– Nie. – Glaca przeżuł te słowa, a potem wypluł. – Możecie sprawdzić.

Jebane krawężniki, które chcą znaczyć więcej, niż znaczą, pomyślał.

– Skoro tak, to zerknijmy do pokoju. – Tym razem odezwał się starszy posterunkowy Murek. – Kolega sierżant ma swój instynkt. Zerknijmy i sobie idziemy...

– Pewnie. Tylko zerknijmy – zgodził się blondyn. – Chyba że wolisz, żebyśmy za godzinę byli tu z powrotem? Z nakazem od

prokuratora, z kolegami z antynarkotykowego i psem.

– Pies zawsze coś znajdzie – zgodził się Murek.

– A nawet jak nie znajdzie, to znajdzie. – Mina drugiego policjanta zdradzała, że podrzucanie dragów podczas przeszukania nie jest mu obce.

Głaca poczuł, że robi mu się gorąco. Plecy niemal bolały go od wciśniętego w nie glocka. Po swojej prawej miał przeszklone drzwi, za którymi pewnie warował Fifty.

– Jeśli musicie... – powiedział.

Policjanci wymienili spojrzenia. Posterunkowy Murek wyciągnął z kabury broń i uchylił drzwi do sypialni.

W przedpokoju było ciasno. Głaca stał metr za blondynem. Widział jego pas z osprzętem, pryszczę za uchem...

Nagle drzwi się zatrzasnęły. Usłyszeli hałas. Szarpanina. Coś spadło na podłogę. W przeszkleniu pojawił się duży cień. Był szybki. Dźgał jak maszyna. Zrobiło się cicho.

Drugi z policjantów spróbował sięgnąć po broń, ale Głaca był szybszy. Zdzielił go w potylicę i zaczął dusić przedramieniem. Pistolet spadł na ziemię. Szamotali się, spleceni.

Otworzyły się drzwi. Z pokoju wyłonił się posterunkowy Murek. Czołgał się, jedną ręką trzymając się za szyję. W jego oczach widać było przerażenie. Kiedy tak leżał, z pokoju wyłonił się Fifty. Był jak w amoku.

– Za ryj, skurwiela – powiedział do Glacy.

Blondyn próbował uderzać potylicą i łokciami, ale nogi Glacy oplotły się wokół niego, zabierając możliwość ruchu. Policjant chciał krzyknąć, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Wielka dłoń zaciskała się na jego twarzy, zasłaniając usta i nos. Wtedy dopadł do niego Fifty, dźgając go w brzuch i klatkę piersiową. Biodra policjanta podskakiwały, pięty stukały o podłogę.

W końcu znieruchomiały i ułożyły się na mokrym od krwi dywanie.

Głaca, który mógł w końcu obrócić się na bok, zobaczył, że ciężko ranny Murek prawie doczołgał się do pistoletu.

– Za tobą, Fifty – powiedział, nadal odcinając blondynowi dopływ tlenu.

Fifty wstał i odkopnął leżący na podłodze pistolet. Potem pochylił się nad Murkiem. W dłoni ścisnął zakrwawiony nóż.

Trwało to może trzydzieści sekund. Pół minuty ciszy przerywanej odgłosami zadawanych ciosów.

Gangsterzy spojrzeli na martwych policjantów. Potem na siebie.

– Pakuj kasę i spierdalamy – powiedział Głaca, bezskutecznie szukając czegoś, w co może wytrzeć zakrwawioną dłoń.

– Ale moje trzysta tysięcy...

– Zostaw tyle, ile możesz trzymać w gaciach. Resztę chowamy na wyspie. – Głaca wziął głęboki oddech. Adrenalina jeszcze z niego nie zeszła. – Chyba że chcesz zgnić w pierdłu...



Sobota była pierwszym pogodnym dniem od dłuższego czasu. Wiosna powoli dawała o sobie znać. Na osiedlu domków jednorodzinnych zakwitły magnolie. Ludzie krzątali się w przydomowych ogródkach, przez uchylone okna słysząc było muzykę i telewizyjne wiadomości.

– Pan na koncert? – spytał otyły mężczyzna około sześćdziesiątki. Siedział na ganku z papierosem i najwidoczniej postanowił zagadywać każdego napotkanego przechodnia. – Też kiedyś grałem. Akordeon. Muzyka to świetna sprawa.

Janek, który taszczył pokrowiec z gitarą, zwolnił kroku, żeby mu się przyjrzeć. Facet wyglądał przyjaźnie, więc zgodnie z prawdą stwierdził:

– Wesele. Koledzy na mnie czekają. Miłego dnia!

– Dziękuję! Wzajemnie.

Janek uśmiechnął się do siebie. Wystarczy trochę serdeczności, a świat wydaje się lepszym miejscem, pomyślał i różnym krokiem przeszedł dwieście metrów, które dzieliły go od końca ulicy, gdzie w myjni samoobsługowej umówił się z Bartkiem i Maćkiem.

Kiedy dotarł na miejsce, biały mercedes vito z zielonym szczupakiem wymalowanym na kabinie lśnił już czystością.

– O, jesteś – ucieszył się Bartek i na przywitanie klepnął go po plecach. – Zapowiada się dobry sezon. Tylko wczoraj dzwoniły dwie osoby.

– Świetnie – stwierdził Janek, otwierając tylne drzwi. Położył gitarę obok reszty instrumentów. Ściągnął marynarkę i powiesił z tyłu. Niewielki plecak z prowiantem i bielizną wziął ze sobą.

Za kierownicą siedział Maciej, który wyglądał na trochę skacowanego.

– Imprezowaliście wczoraj? – spytał Janek, po czym okrążył auto, żeby uścisnąć dłoń Maćkowi.

– Jak co piątek. Próba przeciągnęła się do rana. Spałem cztery godziny.

– Zatrzymamy się gdzieś na kawę. Ja też ostatnio mało śpię.

– Dużo pracy?

Janek nie zamierzał wtajemniczać ich w osobistą tragedię Horsta.

– Alicja uparła się, że chce mieć drugie dziecko – stwierdził z uśmiechem.

Maciej przyjął to ze zrozumieniem.

– Kobiety już tak mają. Moje koleżanki, też już po trzydziestce, urządzają chyba jakieś zawody w zachodzeniu w ciążę. Z dawnych kumpeli zostały mi może dwie, z którymi można pogadać o czymś innym niż ząbkowanie.

– Tendencja będzie się nasilać. Ja miałem kiedyś pełno koleżanek, a teraz zostaliście mi tylko wy.

Roześmiali się.

Wkrótce ruszyli w drogę.

Wesele ciągnęło się w nieskończoność. Studia kulturoznawcze, które kiedyś skończył Janek, przydawały się do snucia socjologicznych obserwacji odrobinę urozmaicających ciągłe przebywanie na scenie.

Wrocławski biznesmen zenił się z dziewczyną ze wsi, jej rodzina liczyła ponad sto osób. Szczupakom trudno było zagrać piosenkę, która nie byłaby wyeksploatowanym discopolowym hitem. Goście darli się i szaleli, gotowi tańczyć do upadłego. Najwidoczniej wiosenna energia udzieliła się wszystkim. Nawet Bartek, który jako konferansjer zwykle czuł się jak ryba w wodzie, wydawał się zmęczony poziomem pijackiej energii gości. Dobrze było tylko to, że kiedy przestawali grać, weselnicy śpiewali a capella biesiadne szlagiery, co pozwalało na chwilę odetchnąć.

Kiedy o czwartej nad ranem ledwo żywy Janek w ubraniu położył się na łóżku, wydawało mu się, że zaraz pęknie mu głowa. Wziął dwa ibupromy i środek nasenny, a potem zapadł w głęboką czerń bez marzeń i snów.

Obudziła go sprzątaczką i bez ogródek oznajmiła, że doba hotelowa za chwilę się kończy. Na śniadanie nie było czasu. Chłopacy podrzucili go na wrocławski dworzec, gdzie wsiadł w osobowy do Brzegu.

W telefonie miał adres do Barbary Wrzesińskiej, matki Sirene, która mieszkała w pobliżu centrum na ulicy Długiej. Salomea dopiero wczoraj przesłała mu namiary. Dodała, że rodzice porwanej kobiety rozwiedli się w pięćdziesiątym trzecim i że jej chłopak zlecił research komuś z gospodarczej, a to pewnie jeszcze trochę potrwa. Domyślił się, że danych o Sirene może być więcej, niż początkowo sądzili, i stąd zwrócenie się o pomoc jeszcze do kogoś innego.

Pociąg do Brzegu jechał powoli. Miarowy stukot kół był stokroć przyjemniejszy od wczorajszego rejwachu, który sprawił, że Janek czuł się, jakby miał kaca, chociaż nawet nie tknął alkoholu. Mógł teraz spokojnie pomyśleć. Stwierdził, że najlepiej mówić prawdę. Rzecz jasna, powie jej, że się tym

zajmują i żeby wezwanie policji pozostawiła im. Powie jej, że działają, że już uzbierali okup i pewnie wszystko będzie dobrze. O palcu oczywiście nie wspomni. Kiedy zyska zaufanie roztrzęsionej matki (tak przynajmniej ją sobie wyobrażał), spróbuje się rozejrzeć. Myślał o tym wszystkim, oparłszy twarz o szybę, o którą uderzały krople deszczu. Po wczorajszej ładnej pogodzie nie było już śladu.

W końcu dotarł na miejsce. Zarzucił plecak na ramię i wysiadł z pociągu. Według GPS-u miał do przejścia jakieś półtora kilometra, ale droga była tak oczywista, że na miejsce trafiłby i bez tego. Piastowska płynnie przechodziła w Długą. Dwupiętrowe kamieniczki sprawiały raczej ponure wrażenie. Zresztą całe miasto nie wyglądało na kwitnące. Na jednego młodego człowieka przypadało pięciu staruszków. Pewnie kto tylko mógł, wyjechał do Wrocławia albo za granicę. Janek po piętnastu minutach był na miejscu. Jeszcze raz sprawdził adres i wcisnął przycisk domofonu.

– Po kredens?

– Nie – odpowiedział lekko skonsternowany. – Mam ważne informacje dotyczące Heleny Bednarek. To jest pani córka, prawda?

Kobieta zrobiła się czujna.

– Kto mówi? – spytała chłodno.

– Jan Wincent Bogucki. Jestem kolegą Heleny.

Zapadła cisza. Po dziesięciu sekundach drzwi się otworzyły.

Klatka była obskurna i ciasna. Stare drewniane schody i łuszczące się ściany potęgowały to wrażenie. Jankowi przeszło przez myśl, że jeśli Helena wychowywała się w takich warunkach, to nic dziwnego, że zachwyciła się tymi, w jakich żyje Horst.

Na drugim piętrze czekała zadbana kobieta. Nawet bez makijażu wyglądała na sześćdziesiąt lat, chociaż spokojnie mogła mieć o dziesięć więcej, zważywszy na to, że Sirene miała czterdzieści cztery. Lekko kręcone czarne włosy przyprószone były siwizną. Miała sukienkę w grochy, na którą narzuciła landrynkowy sweter. Stała w progu, przypatrując mu się badawczo.

Janek wyciągnął ku niej rękę.

– Dzień dobry – powiedział. – Nie chcę się narzucać, ale chyba lepiej będzie, jak porozmawiamy w środku.

– Jest pan sam?

– Tak. Przyjechałem z Wrocławia.

Kobieta zerknęła mu przez ramię. Nie dostrzegła nikogo, więc zrobiła krok w tył, pozwalając Jankowi wejść.

Znalazł się w niewielkim salonie. Od razu rzucił mu się w oczy stary kredens, opróżniony z zawartości, która najpewniej znalazła się w ustawionych pod oknem kartonach. Wystrój mieszkania był skromny. Stół, cztery krzesła, dwa fotele ustawione naprzeciwko telewizora.

– Mają dzisiaj przyjechać po kredens – powiedziała gospodyni, przestępując z nogi na nogę. – Myślałam, że to oni, bo taki podobny głos. Mebel stary już, potrzebuję czegoś nowego.

Janek przez uchylone drzwi dostrzegł, że kartony stoją także w kuchni. Szare pudła zajmowały większą część blatu. Ściany, na których wisały tylko namalowane przez Sirene obrazy, sprawiały dziwne wrażenie.

Barbara Wrzesińska przez cały czas podążała za jego wzrokiem. Była czujna.

– Miałam wynieść do piwnicy, ale boli mnie ramię. Może jak będzie pan wychodził, trochę mi pan pomoże?

– Jasne, ale chciałem...

– Tak, wiem. Pamiętam. Chyba nic się nie stało Helence?

– Nie. To znaczy tak. – Janek nie cierpiał takich sytuacji. Wychowany na grzecznego chłopca za wszelką cenę nie chciał sprawić jej przykrości.

– To znaczy nie czy tak? – Kobieta wpatrywała się w jego oczy.

– Proszę pani, Helena została porwana.

– Co?

– Porwana. Urowadzona.

– Jak to porwana? Przez kogo porwana? Chyba coś się panu pomyliło. – Kobieta włożyła dłonie pod pachy. Usta złożyła w ciup z lekkim mlaśnięciem.

– Proszę się nie martwić. Mój przyjaciel, człowiek, który zajmuje się tą sprawą, jest... to znaczy był... świetnym śledczym, specjalistą od porwań. Zresztą już uzbieraliśmy okup.

– Okup?

– Tak. Mamy kontakt z porywaczami. Wszystko będzie dobrze.

Kobieta przez chwilę patrzyła w ścianę. Potem głośno westchnęła.

– Przepraszam, a pan to kim jest?

– Kolegą Heleny. Przyjacielem Horsta.

– Horst, Horst... – Matka Sirene ruszyła z miejsca. Chciała zrobić kółko wokół stołu, ale przeszkodził jej karton. Zawróciła.

– To jej chłopak, tak?

– Tak. To profesjonalista. Opanowany facet. – Janek nie mógł pozbyć się wrażenia, że kobieta coś przed nim ukrywa. Zastanawiał się, czy porywacze kontaktowali się także z nią, ale zamiast powiedzieć to głośno, zapytał: – Czy Helena ostatnio rozmawiała z panią?

– Nie. Dzwoniła na święta. Rzadko się widzimy. – Wydawało się, że matka Sirene nadal do czegoś wraca w myślach. – Porwana... – powiedziała sama do siebie.

Janek podszedł do ściany. W ramce widniała czarna pozioma linia, nad nią błękitne smugi i kilka białych kropek, być może były to mewy. W dolnym rogu widniał podpis i data.

– Ten obraz został namalowany w tym roku – stwierdził.

– Co? A tak. Helenka przesyła mi czasami swoje prace. Mówiłam, że rzadko się widzimy, a nie że nie mamy kontaktu.

– Mówiła pani, że dzwoniła na święta.

– Tak, ale wie pan, jak jest w dzisiejszych czasach, każdy ma Facebooka, prawda? Czy pan mnie o coś podejrzewa?

Janek chciał powiedzieć jej, że jak na kogoś, kto właśnie dowiedział się o porwaniu córki, nie jest zbyt przejęta i pomocna, ale zadzwonił domofon.

– Słucham? – spytała pani Barbara. Najwidoczniej szybko uczyła się na błędach. – Po kredens? Proszę.

Po chwili do mieszkania weszło dwóch facetów. Nie ściągając butów, obejrzelikredens, bezskutecznie spróbowali utargować stowę, po czym zapłacili, zabrali go i wyszli.

Gdy tylko zniknęli, matka Sirene położyła pieniądze na stole, przyciskając je szklanką, siadła w fotelu i przez dłuższą chwilę milczała.

Janek krążył wzdłuż ściany, czując na sobie jej spojrzenie.

– A wy? – spytała w końcu. – Macie z nią kontakt?

Janek zaprzeczył ruchem głowy.

– Czekamy. Staramy się być ostrożni.

– To czego pan tu, za przeproszeniem, szuka?

Janek zaczynał mieć już dosyć tej nieprzyjemnej kobiety, która zachowywała się tak, jakby porwano kogoś obcego, a nie jej własną córkę.

– Pani...

Cholera, pomyślał Janek, że też nigdy nie mogę zapamiętać imion.

– Pani Barbaro.

– Pani Basiu, czy są tutaj jakieś rzeczy Heleny? Ustaliliśmy z Horstem, że warto się rozejrzeć. Może w notatniku albo na jakimś starym zdjęciu jest ktoś, kto może być... niebezpieczny?

– Nie sędzę.

Janek tym razem nie zamierzał ustąpić.

– Czy pani córka miała wrogów? Może ktoś z jej znajomych wydał się pani podejrzany? Może jakiś jej kolega popadł w długi?

Matka Heleny pokręciła głową.

– Pani Basiu, postanowiliśmy z Horstem, że nie będziemy zawiadamiać policji, bo to może być ryzykowne. Część zadań, które normalnie wykonuje policja, musimy wykonać sami. Tylko ja i Horst. – Janek wydał usta i teatralnie pokiwał głową. Kobieta chyba zaczęła uświadamiać sobie powagę sytuacji. – Czy to jest jasne?

– Tam jest pokój, w którym kiedyś mieszkała – powiedziała po chwili wahania. – Może pan zajrzeć, tylko proszę niczego nie dotykać.

Janek wszedł do niedużej sypialni ukrytej za przeszklonymi drzwiami. Spodziewał się, że znajdzie tam co najwyżej kilka drobiazgów świadczących o obecności Sirene, a tymczasem sypialnia wyglądała tak, jakby ona ciągle tutaj mieszkała. Pod ścianą stało zaścielone kocem łóżko, obok niego biurko, szafki były zavalone książkami, z których sporą część stanowiły poradniki z zakresu szeroko pojętej psychologii. Na ścianie wisiało zdjęcie przedstawiające klimatyczną willę nad brzegiem oceanu.

– Pani córka tam była?

– Helenka lubi morze.

Z pewnością, pomyślał Janek, który nawet tutaj zdążył doliczyć się trzech „morskich abstrakcji”. Kiedy zrobił dwa kroki, aby otworzyć stojącą w progu szafę, matka Sirene zaprotestowała.

– To jej osobiste rzeczy. Wolałabym, żeby...

– Żebym nic nie dotykał. Wolałaby pani, żeby zrobiła to policja? Możemy do nich zadzwonić.

– Straszy mnie pan? – Stała w progu sypialni, śledząc każdy ruch gościa.

– Nie, a powinienem? – Wymienili wrogie spojrzenia.

Teściowa jak z koszmaru, pomyślał Janek. I ponownie zrobiło mu się żal Horsta.

Kobieta po chwili wahania wróciła do salonu. Janek w końcu miał odrobinę swobody.

W szafie było sporo sukienek i bluz, ale trudno było ustalić, które należą do córki, a które do matki, bo figury miały podobne. Na dole znalazł kilka kartonowych pudeł. W środku były rodzinne pamiątki, zdjęcia, drobiazgi, parę zabawek. Wąsaty mężczyzna, który stał obok ubranej w kwiecistą

sukienkę dziewczynki, musiał być jej ojcem. Sirene miała jego oczy i nos. Jej lewe oko jeszcze nie było zmrużone. Janek odłożył wszystko na miejsce i zamknął szafkę.

Na komodzie stało zdjęcie lepszej jakości, najpewniej z czasów studiów. Sirene w towarzystwie dwóch koleżanek i trzech kolegów. Stoją nad rzeką, obok widać namiot.

– Co studiowała pani córka? – spytał Janek.

– Mechatronikę. Dwa razy zdawała na aktorstwo, ale w dzieciństwie miała wypadek, długo dochodziła do siebie...

– Rozumiem – przytaknął Janek i podszedł do biurka.

W szufladach po prawej znalazł notatniki do hiszpańskiego i zeszyty, w których Sirene zapisywała luźne myśli; na przykład: *jesteśmy tym, co jemy, czy może jemy określone rzeczy, bo właśnie tacy jesteśmy, możemy się zmieniać przez całe życie, każdego dnia aż do późnej starości*. I jeszcze coś, co skojarzyło mu się z jej uciętym palcem: *ból jest chwilowy, sztuka pozostanie*. W jednej z szuflad znalazł gładki notatnik ze szkicami ołówkiem. Rysunki przedstawiały bezlistne drzewa, półnagich ludzi i baśniowe stwory. Były dość naiwne, ale podobały mu się bardziej niż jej obrazy. W dolnej szufladzie Janek znalazł niebieską kopertę wypchaną zdjęciami. Usiadł na krześle i przejrzał jej zawartość. Poczuł rozchodzące się po ciele ciepło.

Na zdjęciach była Sirene. Miała dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat i z całą pewnością lubiła swoje ciało. Przesycone erotyzmem akty były dobre jakościowo i nastrojowe. Sirene w opuszczonym zamku, w bluszczu, na falochronie. Sirene wyzywająco patrząca w obiektyw i śmiało wypinająca pupę, na której widnieje ślad męskiej dłoni. Na kilku zdjęciach pozowała z facetem, za każdym razem z innym. Janek stwierdził, że miała bogate życie erotyczne.

Drzwi otworzyły się szerzej.

Janek się wzdrygnął. Odłożył kopertę na miejsce.

– Czy mogę jeszcze jakoś pomóc? – W głosie matki słychać było zniecierpliwienie.

– Nie, dziękuję, już kończę. Bardzo mi pani pomogła.

Wstał od biurka. Początkowo chciał przejrzeć jeszcze szafkę po prawej stronie, ale czuł, że i tak zbyt obcesowo wtargnął w czyjąś prywatność. – Będę się zbierał. Gdyby pani przypomniała sobie cokolwiek, co może nam pomóc, to proszę dzwonić. – Dał kobiecie wizytówkę.

– Szczupaki?

Janek uśmiechnął się przepraszająco.

– Tak. Proszę dzwonić pod ten drugi numer. Ten pierwszy przyda się, jak będzie już znana data ślubu pani córki.

Twarz kobiety pozostała nieruchoma.

Janek jeszcze raz spojrzął na stojące pod oknem kartony. W końcu postanowił zadać pytanie, od którego powinien zacząć.

– Przeprowadza się pani?

– Miałam tu pomalować. Ale teraz już nie wiem...

Janek pożegnał się i wyszedł. Na schodach uświadomił sobie, że nie wziął od niej numeru telefonu.



Janek wrócił do Leszna wieczorem. Alicja, która szykowała się do pracy, przekazała mu Rafałka. Powiedziała, żeby ugotowali sobie makaron, a sos do niego mają w lodówce i wystarczy go podgrzać. Spędził wieczór na oglądaniu z dzieciakiem dokumentu o kosmosie. Rafał miał mnóstwo pytań dotyczących powstawania gwiazd i wulkanów (ostatnio przeżywał fascynację wszelkimi wybuchami), a Janek chętnie tłumaczył mu kosmogoniczne zawiłości. Pomagało mu to oderwać się od myślenia o dzisiejszej wizycie w Brzegu, która przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi.

Po dwudziestej położył dziecko spać. Wyjął z lodówki piwo, włączył muzykę i wyszedł na balkon. Przez uchylone drzwi sączyło się stare dobre Dire Straits, a pity z butelki bojan smakował doskonale. Patrzył na kwietniowe niebo i zastanawiał się, co ma myśleć o Sirene, tej dziwnej i niejednoznacznej dziewczynie, która zgodziła się zostać żoną jego stetryczanego przyjaciela.

Był skłonny twierdzić, że ją rozumie. Wiedział, że gdyby nie zazdrość Horsta, mógłby z nią przegadać niejedną noc. Zdjęcia, które widział, sprawiły, że zainteresował się nią jeszcze bardziej. Sirene wydawała się nietuzinkową osobą, ale i tak nie przychodziło mu do głowy, w jaki sposób ktoś mógł wpaść na pomysł, aby porwać właśnie ją. Zazwyczaj cel przestępców stanowiły dzieci bogatych biznesmenów czy polityków. Ale czterdziestoletnia kobieta z przeciętnej rodziny, narzeczona mieszkającego na odludziu eksgliny?

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że możliwości są dwie. Albo Horst ma wrogów, o których nigdy mu nie wspomniał, i całą sprawę należy traktować jako rodzaj osobistej wendety, albo Sirene ma bogatszą przeszłość, niż to się wszystkim wydaje. Wiedziony tą myślą wyciągnął telefon i napisał Salomei, żeby zadzwoniła do niego, jak tylko będzie miała wolną chwilę. Potem zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Sąsiad z klatki obok głośno zatrzasnął okno. Mijał go dziesiątki razy, a tamten nigdy nie zająknął się, że przeszkadza mu palenie, więc Janek udawał, że nie rozumie aluzji.

Sala zadzwoniła po dziesięciu minutach.

– Jak wizyta u mojej prababci? – spytała. – Jest w ogóle jakieś słowo na matkę przyszywanej babci? Bo nowa żona dziadka to chyba jednak babcia, prawda?

– Skoro przyszywana matka to macocha, to może babcia to...

– Babocha.

Roześmiali się. Salomea była rozluźniona. Słysząc było, że ma czas na rozmowę.

– Nie wiem, co myśleć o twojej prababosze – stwierdził Janek. – To inteligentna kobieta, ale nie mogę powiedzieć, żeby dała się lubić. Była jakaś spięta...

– Nic dziwnego... Mów dalej.

– Nie wiem, Sala, pokój tej całej Sirene wyglądał, jakby ciągle tam mieszkała.

– Mieszkała u niej jeszcze cztery miesiące temu.

– Serio? To wiele wyjaśnia. Chociaż czterdziestolatka, która mieszka z mamą, to raczej rzadkie zjawisko.

– Częstsze, niż myślisz. Jak zareagowała, kiedy powiedziałeś jej o porwaniu?

– Sam nie wiem... Była zdenerwowana, ale sprawiała wrażenie, jakby chciała wyładować na kimś swoją złość. Prawie się pokłóciliśmy.

– Serio?

– No tak, niby rozumiem, że porwano jej córkę, że jest z pokolenia, które nie mówiło o swoich uczuciach, ale atmosfera była gęsta.

Na balkonie zabuczał szerszeń. Chyba obudził się o wiele za wcześnie, bo wydawał się zagubiony. Odbił się o szybę i poleciał dalej.

– To ciekawe, co mówisz. – Salomea sprawiała wrażenie osoby, która solidnie przemyślała sobie sytuację. Interesowały ją tylko rzeczy, których jeszcze nie wie. – Zauważyłeś coś dziwnego? Jakieś nazwiska? Zapiski?

Janek przez chwilę chciał jej powiedzieć o znalezionych w szufladzie aktach, ale stwierdził jednak, że to prywatna sprawa Sirene.

– Nie. Chodzi mi raczej o ogólne wrażenie. Nie podobał mi się ten cały Brzeg.

– Widziałeś może dokumenty ubezpieczenia?

– Ubezpieczenia? Nie...

– Chcesz wiedzieć, czego ja się dowiedziałam?

– Jasne. Czekał, tylko ściszę muzykę. – Janek wszedł do mieszkania i wyłączył wzmacniacz. – Mów, zamieniam się w słuch.

– Kosma ustalił, że Sirene... Janek, możemy mówić o niej po imieniu? Wkurwiają mnie te całe...

– Anglicyzmy. Jasne, że możemy.

– Właśnie. Im jestem starsza, tym bardziej, za przeproszeniem, wkurwiają mnie anglicyzmy – powiedziała z uśmiechem. – Więc Helena nigdy nie pracowała. Trochę dziwne, prawda?

– Może pracowała na czarno. Alicja też nie może doprosić się o umowę.

– Dobra, może tak, a może nie. Kolega Kosmy sprawdził historię ojca Heleny, Aleksandra Bednarka, i okazało się, że mamy go w kartotece. W latach dziewięćdziesiątych był sądzony za próbę wyłudzenia odszkodowania. Siedziba jego firmy spłonęła. Ubezpieczyciel przeprowadził śledztwo i nie wypłacił odszkodowania. Według niego zachodziło duże prawdopodobieństwo próby wyłudzenia. Firma miała beznadziejne obroty, a do lokalu wrzucono butelkę z łatwopalną substancją.

– To w żaden sposób nie świadczy na niekorzyść Sirene.

– Psychologowie są innego zdania. Słuchaj dalej. Okazało się także, że dwa lata wcześniej spłonął budowany przez niego dom. Z tym domem to niczego mu nie udowodnili, ale detektywowi wydało się, że to o jeden pożar za dużo. Sprawa trafiła w ręce policji.

– I co? Miała jakiś finał?

– Takie sprawy ciągną się latami. Ubezpieczycielowi zależy, żeby ich nie zamykać, bo może nie wypłacać odszkodowania, a policja wie, że bez świadków nikomu nic nie udowodni. Przesłuchali go, pobrali odciski i tyle.

– Może faktycznie nie miał z tym nic wspólnego.

– Janek, mój znajomy popytał kolegów, którzy prowadzili tamtą sprawę. Jeden z nich twierdzi, że ojciec Sirene to był

zwykły alkoholik, a nie żaden biznesmen. Ja mu wierzę. Zresztą to już bez znaczenia, bo facet umarł dwa lata temu.

Janek był dość sceptyczny wobec tego, co słyszał. Sirene wydawała się drażnić samą swoją obecnością wszystkie napotkane kobiety. Przecież Alicja też znieubiła ją od pierwszego wejrzenia.

– Sala, wybacz, ale muszę stanąć w jej obronie. Mój ojciec też pił. To nie znaczy, że się jest złym człowiekiem.

– Spokojnie, jeszcze nie skończyłam. Matka Heleny Bednarek jest emerytowaną nauczycielką biologii.

– Nie mam nic przeciwko nauczycielom.

Salomea syknęła ze złością.

– Daj mi skończyć – powiedziała zirytowana. – Nie możesz negować każdej informacji, która wydaje ci się niekorzystna, bo do niczego nie dojdziemy.

– Sala...

– Posłuchaj! Matka ubezpieczyła swoją córkę na dwa miliony złotych. A wiesz od czego? Nie zgadłbyś. Od uszczerbku na zdrowiu.

– Uszczerbek na zdrowiu?! Jeśli planowały to razem, bo chyba to chcesz mi powiedzieć... – Janek podrapał się po głowie. Dwa miliony były dla niego astronomiczną kwotą. – To, kurde, sam nie wiem... Sugerujesz, że to Sirene namówiła ją na płacenie składek?

– Nic nie sugeruję. Zbieram tylko fakty. Tego uczą nas w szkole.

Janek uświadomił sobie, że to już nie efemeryczna nastolatka, którą poznał kilka lat temu. Teraz rozmawiał z bardzo pilną studentką, która postanowiła być lepsza niż inni.

– Zadam ci jeszcze jedno pytanie – powiedziała Salomea. – Słyszałeś o karencji?

– Ogólnie tak. Pewnie przy ubezpieczeniach na życie to norma.

– Dokładnie tak. Wiesz, kiedy upłynęła dwuletnia karencja ubezpieczenia Heleny Bednarek? Dwa miesiące temu.

– Łał. – Janek wziął głęboki oddech.

Wszystko, co jak dotąd słyszał na temat Sirene, to były tylko poszlaki. Nie zamierzał dawać im wiary. Przed laty, kiedy zginęła jego siostra, wszyscy obstawiali, że wymknęła się z kochankiem, bo poszlaki właśnie na to wskazywały. Rzeczywistość okazała się dużo bardziej brutalna.

– Słuchaj, Sala, widziałem jej odcięty palec. Nie wiem, czym to zrobili, ale na pewno cholernie ją to bolało. Wybacz, ale historia jej ojca niezbyt do mnie przemawia...

– Tak myślałam. Wy, faceci, widzicie bezbronną kobietę i wyłącza się wam logiczne myślenie. Chcecie od razu ruszać na ratunek jak w jakimś pieprzonym rycerskim romansie.

– Wybacz, ale nie widzę w tym nic złego.

– Muszę kończyć – powiedziała. W jej głosie słychać było złość. – Obudź się, zanim będzie za późno.

– Nie musisz... – Chciał powiedzieć, że nie musi się o niego martwić, ale sygnał zakończonego połączenia skutecznie go zniechęcił. – Kurwa mać – powiedział sam do siebie.

Janek przyniósł sobie kolejne piwo i znowu zapalił papierosa. Nie wiedział, jak traktować ten ciąg oskarżeń. Wiedział za to, że nikt o zdrowych zmysłach nie pozoruje swojego porwania dla niespełna miliona złotych, a już na pewno nie ucina sobie palca. Opinie Salomei i Alicji były krzywdzące dla kobiety, która teraz musiała przeżywać koszmar. Nie znały jej, a z łatwością

ferowały surowe wyroki. W jednym musiał przyznać rację wnuczce Horsta. Podobnie jak jej dziadek, bardzo chciał ją ocalić.

Następnego dnia odprowadził Rafała do szkoły. Alicja odsypiała pracę, więc nie budził jej, tylko od razu pojechał do rozgłośni. Radio Wolność ciągle mieściło się w mieszkaniu Łukasza, ale coraz częściej przebąkiwali o tym, żeby zainwestować i wynająć coś większego. Odkąd zmienili kurs i postawili na lokalność, zyskali sporo nowych słuchaczy. Reklamy sprzedawały się nieźle, a koszty utrzymania były niewielkie. Mieli w planach stworzenie serwisu informacyjnego i platformy dla Ukraińców, którzy szerokim strumieniem wciąż napływali do podleszczyńskich fabryk.

Janek kończył właśnie rozmowę z lokalnym notabłem na temat nowej siedziby muzeum, które miało powstać w miejscu dawnej octowni, kiedy w kieszeni poczuł wibracje. Horst. Oddzwonił do niego o dziesiątej, kiedy radio nadawało serwis informacyjny.

– Jakież wieści?

– Inaczej bym nie dzwonił – stwierdził Horst. – Dostałem wiadomość od porywaczy.

Janek wszedł do kuchni i upewniwszy się, że nikt go nie słyszy, zapytał:

– Żyje?

– Mam nadzieję. Pojutrze wymiana.

Janek zaczął przypominać sobie oglądane kiedyś kryminały. Ponura okolica, narastające napięcie i ten jeden błąd, który prowadzi do tragedii.

– Gdzie? Jak? – zapytał. Był pełen złych przeczuć.

– Spokojnie, młody, poradzę sobie. Mówię ci o tym na wypadek, gdyby coś mi się stało...

– Horst, kurwa... Jadę z tobą.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Jakbyś naprawdę tak myślał, tobyś nie dzwonił.

Argument był trafny. Po drugiej stronie słuchawki zapadła głucha cisza.

– Będę u ciebie dzisiaj – stwierdził Janek.

– Nie musisz mnie niańczyć – warknął Horst.

– Siedemnasta? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał:

– Dobra, to siedemnasta. Cześć.

Janek czuł, że skoczyło mu ciśnienie. Ale i tak włączył ekspres do kawy. Wykonał kilka pojawiających się na wyświetlaczu poleceń. Po chwili trzymał w dłoni filiżankę z cappuccino. Jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, podsuwając mu kolejne obrazy i sceny. Uświadomił sobie, że Horst nie powiedział mu, gdzie dojdzie do wymiany. Zatłoczona galeria czy pustkowie? Było to tylko jedno z wielu pytań, które kołatały mu się w głowie.

Wrócił do studia i jak zwykle żartobliwie komentował doniesienia plotkarskich serwisów, ale myślami był już gdzie indziej. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, a kiedy wybiła czternasta, wsiadł na rower i pognął do domu.

W salonie Alicja piła kawę.

– Gdzie Rafał? – spytał.

– Też się cieszę, że cię widzę – powiedziała, lekko zawiedziona.

Zdjął buty, podszedł do niej i pocałował ją w usta.

– Musimy pogadać – oznajmił. Miał wrażenie, że jego głos brzmi jakoś dziwnie.

– Jak było w Brzegu?

– Za chwilę ci opowiem...

– Janek, wyluzuj trochę. Stresujesz mnie. Też mam kilka interesujących wiadomości.

Przerwał jej.

– Dzwonił Horst. W środę przekazuje okup.

Alicja spoważniała.

– Już pojutrze? Zebrał całą kwotę?

– Jeszcze nic nie wiem. Nie chciał, żebym mu pomagał, ale zadzwonił, czyli...

– Nie chce obarczać cię odpowiedzialnością. – Alicja patrzyła mu prosto w oczy. W rozszerzonych ciemnych źrenicach widziała chłopięcą żądzę przygody. Wydało jej się to tak głupie, że aż wzruszające. – Masz zamiar mu pomóc?

– Mogę?

– I tak w tym siedzimy. Obiecuj, że będziesz uważał. – Zamilkła. Może przypomniała sobie o nadprogramowym dniu spędzonym w górach, bo już bardziej obojętnym głosem dodała:

– Zresztą i tak zrobisz, co zechcesz. Uważaj chociaż na Horsta.

Janek chwycił jej dłoń.

– Pojadę dzisiaj do niego. Wieczorem będę wiedział coś więcej. Dam ci znać, okej? A teraz ty powiedz, czego się dowiedziałas.

– Czekaj... – Alicja wstała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła. W dłoni trzymała samsunga w niebieskiej obudowie. – Wczoraj był u nas informatyk, któremu dałam telefon Sirene.

– I co?

– Z telefonu sporo zniknęło. – Alicja miała minę osoby wszystkowiedzącej. Uśmiech, który błąkał się wokół jej ust, był jednak smutny. – Większość udało się odtworzyć. Patrz...

Przed oczami Janka zjawiły się zdjęcia zakochanej pary. Sirene obściskowała się z facetem, który z całą pewnością nie był Horstem. Rozczochrane włosy, chuda wysportowana sylwetka, koraliki i tatuaże. Para wyglądała na zakochaną i doceniającą uroki własnej seksualności.

– Nic dziwnego, że je usunęła – powiedział Janek. – Jak cię poznałem, też wykasowałem z telefonu zdjęcia moich byłych.

Alicja nie wyglądała na zbitą z tropu.

– Pamiętasz, kiedy poznała Horsta? – zapytała.

– Wspominali, że poznali się na jakimś festiwalu. Czyli pewnie najpóźniej jesienią.

– No właśnie... Facet na zdjęciach ma na imię Piotrek. Patrz na to. – Alicja pokazała mu zdjęcie ujawniające wszystkie walory Piotrka. – Zrobiono je zimą, tuż przed świętami.

Janek, który zdjęcia męskich penisów traktował dość obojętnie, zapytał:

– A esemesy? Było w nich coś interesującego?

– I tak, i nie. Sporo wyznań miłości i pikantnych szczegółów, ale nic o ich planach na przyszłość ani o porwaniu. – Alicja drgnęła, jakby coś sobie przypomniała. – Chociaż nie, czekaj...

– Jej palec ślizgał się po ekranie samsunga. – *Nasza chatka już tam czeka, a ocean będzie nucił nam do snu*, napisał trzeciego stycznia i dołączył fotografię.

Na ekranie telefonu widniało zdjęcie białego domu. Wkomponowany w skałę, z dużym tarasem, z którego kamienne schodki prowadziły wprost do oceanu, wyglądał iście bajkowo.

– Sprawdziałaś wyszukiwanie grafiką? – spytał Janek.

– Tak. To La Palma. Ponoć najpiękniejsza i najbardziej hipisowska wyspa na Kanarach.

Janek milczał. Nie wiedział, co o tym myśleć. On też miał marzenia. Śnił o domu w górach, wieczorach przy kominku i patrzeniu na śnieg za oknem, a osiadł w mieście, które reszcie Polski kojarzy się z dawno zamkniętym basenem i żużlem.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytała Alicja. Oczekiwała, że przynajmniej pochwali jej dociekliwość.

– Nie uśmiecham się. Ale chyba każdy miał takie marzenia... Nie widzę nic złego w tym, że zamiast młodzika z gołą dupą i jego mrzonek, wybrała willę Horsta. Miała basen, święty spokój i dwie godziny autem do matki.

– Janek, ogarnij się! Ona go zdradzała i właśnie pokazałam ci dowód. Nie udawaj ślepego. Niby dlaczego usunęła zdjęcia i esemesy? Dlaczego zostawiła telefon? Żeby wyglądać na niewinną ofiarę. Mieliśmy go znaleźć, pomyśleć sobie, że biedna niewinna syrenka wyszła tylko z psem, nawet nie wzięła telefonu. Przecież to śmierdzi na kilometr! I wiesz co? Oddam jej ten cholerny telefon, niech wie, że my wiemy.

Janek nie wyglądał na przekonanego.

– Jedno mnie zastanawia – stwierdził.

– Co takiego?

– Horst był gliniarzem przez dwadzieścia kilka lat. Czy myślisz, że nie przyszło mu do głowy sprawdzenie tej komórki?

– Nie wiem. Może się bał, a może o tym nie pomyślał, bo w jego czasach nie zaczynało się śledztwa od szukania telefonu.

Janek usiadł.

– Albo sprawdził ją od razu i uznał, że to, o czym mówisz, nie ma znaczenia – powiedział po namyśle. – Pojutrze się dowiemy, kto z nas miał rację.

Alicja niechętnie przytaknęła, jednak nie zamierzała rezygnować ze swoich planów.

– Masz – powiedziała, wręczając mu telefon. – Dyskretnie włożysz go do torby z pieniędzmi. Jeśli odzyskacie Sirene, to nic się nie stanie, ale jeśli okaże się, że nas oszukała, będzie wiedzieć, że wiemy. Poza tym...

– Mów. Słucham uważnie.

– Poza tym włączyłam opcję namierzania. Wyszukiwarka pokaże nam, gdzie jest torba z pieniędzmi.

Janek wstał z kanapy. Opanowanie się przychodziło mu z coraz większym trudem.

– Zwariowałaś?! Jeśli się dowiedzą, to ją zabiją. I wiesz, kto będzie za to odpowiedzialny?

– Nie zwariowałam i w przeciwieństwie do ciebie myślę trzeźwo! Jeśli porywacze znikną razem z Sirene, to co zrobicie? Jak niby zamierzacie ich znaleźć? Jeśli poczują się zagrożeni, to ją zabiją. To oni mają lepsze karty, pamiętaj o tym. – Alicja chwyciła jego dłoń i starała się mówić spokojnie. – Janek, posłuchaj, może się wkurzą, ale może spanikują albo go zlekceważą. Sirene wytłumaczy im, że telefon to jej własność, że jeśli chcą, to mogą go sobie wziąć, bo ona na pewno o niego nie prosiła. No, chyba że...

– Że już nie żyje. – Janek zbladł.

Po raz pierwszy tak naprawdę dotarło do niego, że igrają z czyimś życiem. Jeden głupi błąd, niewłaściwa decyzja, a kobieta, którą widział zaledwie wczoraj, być może już nigdy nie dowie się, co się stało z jej córką.

– Nie chciałam tego mówić.

– Wiem, Alicja...

– Poradzisz sobie? – zapytała, patrząc mu w oczy.

Janek milczał. Podeszedł do okna i długo gapił się na ciemne chmury wiszące nad miastem. Nie znał odpowiedzi na jej pytanie.



Była środa. Mglisty poranek przechodził w dżdżyste przedpołudnie. Nadwarciańskie łągi wyglądały na rozległą pustą krainę, na której gdzieniegdzie czerniły się gałęzie rozłożystych dębów i pochylonych nad wodą wierzb. Janek właśnie kończył kolejny kubek kawy. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Może pójdę się rozejrzeć, co? W razie czego po prostu się schowam.

– Siedź na dupie. – Lekko zachrypnięty głos Horsta nie pozostawiał przestrzeni na pertraktacje.

Już dwie godziny tkwili w jego terenowej toyocie, obserwując podmokłe łąki, nad którymi co jakiś czas przelatywał żuraw albo bocian.

– Zwariuję, jak nie wyjdę. – Janek zerknął na zegarek i sięgnął po papierosa. Okno po jego stronie było ciągle otwarte. Wpadał przez nie chłód kwietniowego poranka. – Na pewno pisali, że mamy tu być już o dziewiątej rano? Jest dziesiąta dziesięć...

– Mówiłem ci już, że działasz mi na nerwy?

– Dziesiąta dziesięć, Horst. Może zmienili plany...

Horst, jak zwykle niemal nieruchomy, spojrzął w lusterko. Na pace ciągle leżała duża czarna torba, którą wypełnił wszystkimi swoimi oszczędnościami. Jemu też nie podobało się, że tkwią tutaj jak gwóźdź w dupie, a jedyny ewentualny kontakt

z porywaczami stanowi internetowa poczta, która na tym pustkowiu praktycznie nie działała.

– Zaczekamy do jedenastej – powiedział Horst. – Jak się nie odezwą, to pomyślimy, co robić dalej.

Janek wypuścił dym i opadł na oparcie samochodowego fotela.

– Kurwa mać... – powiedział, wracając do wpatrywania się w przednią szybę. Znał już na pamięć każdą jej rysę i zabrudzenie. Miał czas, żeby zastanowić się nad tym, co spowodowało ich tutaj, na południowy brzeg Warty, między Zaborowem a Książem Wielkopolskim.

W poniedziałek, kiedy kilka minut po siedemnastej zjawił się u Horsta, zastał go z butelką wódki, chociaż nigdy wcześniej nie widział, żeby sięgał po alkohol.

– Napisałem im, że chcę dowód, że Sirene żyje, a oni kazali mi się zamknąć i robić, co każą – powiedział, nalewając sobie kolejny kieliszek. – Jak tylko ją odzyskam, uruchomię stare kontakty. Nie ukryją się. Znam ludzi, którzy wystrzelają ich jak kaczki... Albo nie. Sam ich wystrzelam. Zrobię to z przyjemnością.

Janek dopiero teraz zobaczył, że na stole obok butelki wódki leży rewolwer.

– Może odłożę to, zanim zaczniesz mieć jeszcze głupsze pomysły – powiedział Janek.

– Zostaw. – Dłoń Horsta nakryła broń. – Poprawia mi nastrój lepiej niż gorzała.

– Co napisali?

– Mamy być gotowi w środę rano. Podali współrzędne. W okolicy nic nie ma.

– Pytałeś o szczegóły? Dajemy im torbę, a oni dziewczynę czy jak?

Janek sporo się nad tym zastanawiał, a im dłużej się zastanawiał, tym bardziej upewniał się, że transakcja pomiędzy ludźmi, którzy mają ochotę się wystrzelać, to trudna sprawa.

– Powiedzieli, że się odezwą, jak będziemy na miejscu. – Horst wyjął z kieszeni kilka naboí i powoli wkładał je do bębna smith & wessona. W końcu spojrział na Janka. Wcześniej prawie go nie dostrzegął. – Zakładam, że jesteś gotowy jechać ze mną.

– Tak.

Horst wychylił kieliszek.

– Pisali, że mam być sam... Napisałem, że jesteś cywilem i że to ty zanieziesz im torbę i odbierzesz Sirene.

Janek przełknął ślinę. Nie pisał się na nic takiego, ale skoro powiedziało się „a”...

– Co odpisali?

– Nic.

Janek czuł, że telefon Sirene, który miał w kieszeni spodni, ciąży mu okropnie. Zastanawiał się przez moment, czy powiedzieć Horstowi o amatorskim śledztwie Alicji, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nagie zdjęcia Sirene i jej byłych chłopaków to nie jest to, co pokazuje się pijanemu i uzbrojonemu eksgliniarzowi. Inna sprawa, że ich ciężar dowodowy był nikły. Zresztą kiedy sam miał dwadzieścia kilka lat, nawet jeśli zmienił partnerkę, zwykle tkwił jeszcze w relacji z byłą. Potrzeba czasu, żeby odciąć się od przeszłości. Zdrada Sirene nie była czymś, o czym powinien paplać, walcząc o jej życie. Zresztą w lodówce ciągle tkwił jej palec. Świadomość tego krępowała go bardziej niż bliskość naładowanej broni.

– Szkoda, że nie umiesz strzelać – odezwał się Horst.

– Trochę umiem. Sam mnie uczyłeś.

– Tego walenia po ścianach nie nazywaj strzelaniem. Zresztą mówię o karabinie. Ulokowałbyś się gdzieś w krzakach i osłaniał mnie z bezpiecznej odległości.

Jankowi ten pomysł wydał się całkiem niegłupi.

– Może znasz kogoś? Poznańska policja na pewno ma strzelców wyborowych.

– Zapomnij o tym. Tylko głośno myślę.

Janek myślał po cichu. Chodził po salonie i zastanawiał się, dlaczego znowu wplątuje się w coś, czego pewnie będzie żałował.

– To jaki jest plan? – zapytał w końcu.

Horst sięgnął po butelkę i nalał sobie pełny kieliszek.

– Taki – powiedział.

Minęło kolejne dwadzieścia minut. Nad Wartą niewiele się zmieniło. Polna droga, którą tu przyjechali, kończyła się jakieś sto metrów od rzeki. Z tyłu, kilometr dalej, mieli ruiny pałacu, obok którego przejeżdżali dzisiejszego ranka. Poza tym nieliczne drzewa i ani śladu obecności człowieka.

Nagle usłyszeli brzęczenie. Odruchowo wychylili się, spoglądając w górę. Dron. Błyskająca diodami plamka wyłoniła się znad ciemnych chmur i krążyła nad łęgami. Horst odetchnął z ulgą.

– To oni – powiedział. – Wyjdę. Spróbuj nie rzucać się w oczy.

Janek chciał coś powiedzieć, ale na jego kolanach wylądowała kabura z rewolwerem, którą Horst odpiął od paska.

– Użyj w ostateczności – powiedział Horst i wysiadł z toyoty.

Janek patrzył, jak doświadczony gliniarz przechodzi trzy kroki do przodu, jak namierza wzrokiem drona, który robił chyba dokładnie to samo, bo zniżył się i znieruchomiał. Janek widział, jak Horst podnosi ręce do góry, podciąga kurtkę i odwraca się, żeby pokazać, że nie ma broni. Potem podchodzi do samochodowej paki, bierze torbę do ręki i ostentacyjnie podnosi. Starannie odkłada ją na miejsce i wraca do auta.

– Powinni się trochę ośmielić – powiedział, zatraskując drzwi.

Janek czuł, jak wali mu serce. Słyszał jego szalony rytm, ale nie miał czasu się bać, bo zobaczył, że z przodu, po drugiej stronie rzeki, pojawił się terenowy samochód. Auto zatrzymało się, zgasły światła. Wysiadł z niego mężczyzna. Był jakieś czterysta metrów od nich, na twarzy miał kominiarkę, a w ręku trzymał coś, co Jankowi skojarzyło się z ludzką głową. Spociły mu się dłonie. Z trudem łapał powietrze. Wytężył wzrok.

Nie, to nie ludzka głowa, pomyślał z ulgą, kiedy mężczyzna zbliżył się do nich na tyle, że mogli ocenić, czy jest gruby, czy chudy. Był chudy. Miał na sobie wojskową kurtkę, a w ręku trzymał megafon. Stał na brzegu, podniósł tubę do ust i powiedział:

– Włóż torbę do pontonu! Żadnych sztuczek, bo dziewczyna zginie! – powiedział i oddalił się w stronę auta.

Horst wyskoczył z toyoty i podszedł do brzegu rzeki.

– Chcę widzieć ją żywą! – zawołał. – Nie będzie kasy, jeśli nie zobaczę, że dziewczyna żyje!

Janek czuł się jak w kotle z wrzącą wodą. Chciał działać, adrenalina pompowała krew, ale był bezradny. Facet po drugiej stronie rzeki i tak mógł go zobaczyć. Jeśli uzna, że może być niebezpieczny, Horst już nigdy nie zobaczy narzeczonej.

– Pokaż mi ją! – wrzasnął Horst. – Pokaż ją albo biorę kasę i wracam do domu.

Samochód stał w cieniu drzewa. Szary jeep w cieniu szarego drzewa. Kiedy wyłączył światła, Janek prawie go nie widział. Widział za to Horsta. Wyglądał jak bezradny staruszek, który prosi o przywrócenie mu młodości.

Janek zauważył coś, co z tej odległości wyglądało na otwieranie drzwi. Jak się okazało, słusznie. Mężczyzna w kominiarce ponownie zbliżył się do rzeki, ale tym razem nie był sam. Obok niego ktoś stał.

Sirene.

Nogi najpewniej miała skrępowane, bo poruszała się drobnymi kroczkami, jak ktoś, kogo boli całe ciało. Dłonie trzymała na brzuchu. Janek wyjął ze schowka lornetkę. Zobaczył, że Sirene jest zakneblowana. Na prawej dłoni miała bandaż, ale poza tym wyglądała dobrze. Jej ubranie było brudne, ale całe, a na twarzy nie miała śladów pobicia. Facet zatrzymał się jakieś sto metrów od rzeki i ponownie podniósł megafon.

– Najpierw forsa – powiedział i chwycił dziewczynę pod ramię.

Sirene zachwiała się, ale nie upadła. Trzymał ją mocno.

– Nie zrobisz ze mnie durnia! – zawołał Horst. – Podjedź na tę stronę.

– Forsa, dziadku. Sirene wróci tym samym pontonem.

Horst stał chwilę, milczący i nieruchomy. W końcu obrócił się i ruszył w stronę auta. Nawet nie spojrzawszy na Janka, wziął pieniądze z paki.

– Znajdź na mapie najbliższy most – rzucił Horst, przechodząc obok otwartego okna pasażera.

Horst tymczasem doszedł do samej rzeki. W prawej dłoni trzymał czarną sportową torbę. Wydawała się ciężka. Przyjrzał się jeepowi, w którym siedziała Sirene i jej porywacz, a potem spojrział w kierunku brzegu. Był piaszczysty. Wierzba podgryziona przez bobry pochylała się w stronę tafli wody, jakby przeczyła prawom grawitacji. Obok niej, w trzcinach, zacumowano dziecięcy ponton. Do jego rufy przymocowano sznurek, którego większa część była zanurzona w wodzie. Nie miał wątpliwości, że sznurek przechodzi na przeciwną stronę. Drugi sznurek przymocowano do wbitego w piasek palika. Była też cuma. To ona trzymała ponton w jednym miejscu.

– Na co czekasz!? – odezwał się porywacz. – Ściągnij cumę, wkładaj kasę i spierdalaj do auta!

Horst stał, wahając się, co robić. W końcu włożył do pontonu torbę z pieniędzmi. Zdjął sznurek z kołka i powoli się wycofał. Kiedy był w pobliżu toyoty, zobaczył, że ponton przesuwają się w stronę przeciwległego brzegu, chociaż prąd spychał go w lewo. Z każdą minutą bliższy był brzegu. W końcu zacumował, a facet w kominiarce pochylił się nad nim i otworzył torbę. Wydawało się, że nawet stąd widać jego uśmiech.

– Gdzie jest most? – spytał Horst.

– Po drugiej stronie będziemy za czterdzieści minut – odparł Janek.

Facet wrzucił torbę do jeepa i usiadł za kierownicą.

Horst zrozumiał to, co podejrzewał od dawna.

– Dawaj broń! – krzyknął do Janka i jak tylko ten rzucił mu rewolwer, włożył go za pasek spodni i pognął nad rzekę.

Stał na brzegu, patrząc na jeepa. Sirene musiała być w środku. Nawet dostrzegł jej blond włosy. Może właśnie patrzyła na

niego, zastanawiając się, co dalej. Kiedy usłyszał odgłos silnika, zagotowało się w nim.

– Wypuść ją! Dostałeś tyle kasy, ile chciałeś! – Jego krzyk niósł się po okolicy, płosząc ukryte w trzcinach żurawie.

Jeep stał pod drzewem, ciemny i nieruchomy.

– Wypuść ją! Dotrzymałem słowa! – Horst wbiegł do wody, niemal się przewracając.

Jeep ruszył na wstecznym, nie włączając świateł.

– Wypuść ją, bo znajdę cię i zajebię, skurwielu! – Horst wyglądał, jakby stracił nad sobą panowanie. Stał po kolana w rzece, ściskając w pięści gotowy do strzału rewolwer.

Dzieliło ich dwieście metrów. Nie miał szans na oddanie celnego strzału.

Jeep zawrócił i zniknął za zakrętem.

Janek, który doskonale widział, co się dzieje, przesiadł się na miejsce kierowcy i podjechał do Horsta. Wskoczył z auta i wyciągnął go z wody, bo ten wyglądał, jakby chciał się rzucić wpław i gonić auto. Czuł taką samą wściekłość jak on.

III SIRENE



– Stój, to bez sensu – powiedział Janek, który czuł, że z każdym naciśnięciem pedału gazu zakopują się głębiej. – Masz łopatę?

Horst coraz mocniej zaciskał pięści na kierownicy. Wyglądał jak średniowieczny rycerz, który siłuje się, żeby złamać podkowę. Żyły na jego łysej głowie przypominały naprężony powróż.

– Kurwa mać! – zaklął. Potem wykonał gest, który przypominał przytaknięcie. – Skrzynia na pace jest otwarta.

Trasę, którą mieli przebyć w trzydzieści siedem minut, pokonywali już godzinę. Najpierw pędzili opłotkami, przez większą część drogi mając rozlewisko Warty po swojej prawej. Zaoszczędzili kilka minut, ale potem, jeszcze pod Śremem, wjechali w kilkusetmetrowy korek. Na moście trwały roboty drogowe. Trzech facetów w pomarańczowych odblaskach paliło papierosy, podczas gdy jeden rozgrabiał łopatą kruszywo. Gdy tylko mogli, ruszyli na wschód. Toyota dziarsko pokonywała kolejne wyboje, ale polne drogi urywały się, szlak gmatwał się pośród lasów i rozlewisk, a kiedy wydawało się im, że są najwyżej kilometr od miejsca, w którym ostatni raz widzieli Sirene, zakopali się na podmokłej łące, w którą niespodziewanie zamieniła się szutrowa droga.

Janek wskoczył na pakę i otworzył ocynkowaną skrzynię. Wyjął saperkę i podkopał przednie koła.

– Popchnę cię teraz, a ty ruszaj powoli – powiedział i naparł na ubłocony tył auta.

Silnik warknął, koła zabuksowały. Toyota zakołysała się i ruszyła przed siebie.

Janek wsiadł i przyjrzał się mapie.

– To gdzieś tam, za drzewami.

– Tam? – Paluch Horsta wskazywał dwie zdziczałe wierzby.

– Tak. Ale nie spodziewaj się, że coś tam znajdziemy.

Horst spojrział na niego z ukosa.

Jeszcze jeden głupi komentarz, a uduszę cię własnymi rękami, mówił jego wzrok.

Okolica widziana z innej perspektywy nie przypominała tej widzianej z drugiej strony rzeki. Drzewa wyglądały zupełnie inaczej, a asfaltowa droga, którą odjechał jeep, skryła się pomiędzy trawami. Natrafili na nią po dobrych dziesięciu minutach. Obaj nie mieli już nadziei, że znajdą cokolwiek, co naprowadzi ich na ślad porywaczy.

– Kurwa mać! – Teraz to Janek dał upust nerwom.

Pick-up zjechał na pobocze. Głęboko bieżnikowane opony poślizgnęły się na szutrze i stanęły w miejscu.

– Czego szukamy?! – krzyknął Janek. W ślad za Horstem wygramolił się z auta i ruszył w stronę rzeki.

Horst nie zareagował. Stał nad rzeką. Słońce, które wyłoniło się zza szarych chmur, przesuwano się po jego łysinie i po kołysanych nurtem falach. Janek widział, jak stary policjant ukucnął przy nadbrzeżnym piasku, a potem wstał i sięgnął po telefon.

– Chyba widziałem topielca – powiedział, wybrawszy 112.

– Kto mówi?

– Prześlę współrzędne, a wy wyślijcie tutaj Michała Gołasia albo Martę Szczygieł. Pracują u was jeszcze, prawda?

– Kto mówi?

– Horst Miler. Pracowałem u was dwadzieścia pięć lat. Jestem na emeryturze i lubię szukać nowych łowisk. Natknąłem się na ponton i ślady prowadzące do rzeki. Nie podoba mi się to.

Janek patrzył na niego z rosnącym zdziwieniem. Czy to nie Horst nalegał na to, żeby nie zawiadamić policji? Zanim zdążył zareagować, w telefonie Horsta rozległ się głos:

– Dobrze, przekażę wiadomość, ale sierżant Szczygieł jest na urlopie, a aspirant Gołaś w terenie. Przyślę kogoś, kto akurat jest dostępny.

– Dziękuję.

Janek stanął tuż za nim. Od razu dostrzegł dziecięcy ponton i prowadzące do niego ślady. Odciski butów były dość wyraźne. Może faktycznie mogły się na coś przydać.

– Zamierzasz powiedzieć im o porwaniu?

Horst milczał. Patrzył na drugą stronę rzeki. Zupełnie jakby nie miało znaczenia, że godzinę temu stamtąd przyjechali.

– Ufasz im? – zapytał Janek. Brzmiało to, jakby powtórzył poprzednie pytanie.

– Pracowali z Kamińską. Powołamy się na nią.

Janek przypomniał sobie policjantkę, która kiedyś zaimponowała mu swoim profesjonalizmem i spokojem.

– Masz fajkę? – zapytał Horst.

Janek starał się nie palić, ale zazwyczaj miał przy sobie tytoń i bletki – nawyk z czasów, kiedy dzień bez jointa uważał za stracony. Kiwnął głową i sięgnął do kieszeni.

– Skręcę ci.

Horst dreptał w miejscu, usiłując zachować spokój, ale Janek znał go wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nerwy ma

napięte jak postronki.

– Skurwysyny – powiedział, starając się nie patrzeć na ślady jeepa odbite w wilgotnym piasku. – Od początku wiedziałem, że zrobią nas w chuja. Jeśli chcesz oddać zakładnika, to o niego dbasz. Nie bijesz, a tym bardziej nie ucinasz mu palców...

Skoro o tym wiedziałeś, to dlaczego tu tkwimy? – chciał spytać Janek, ale szybko stwierdził, że to głupie pytanie. Wystarczyło spojrzeć na Horsta, żeby wiedzieć, że emocje wzięły górę. W życiu się do tego nie przyzna, ale zakochał się w tej pannie. Być może po raz pierwszy w życiu spotkał kogoś, komu udało się do niego dotrzeć. Stracił głowę, zgłupiał, miał nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Nadzieja. Janek myślał o niej, coraz bardziej wkurzony. Chcesz, żeby cię wyruchali, to jak najbardziej miej nadzieję. Chcesz, żeby napisali ci na czole „naiwniak”, także miej nadzieję. Miej nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Miej nadzieję na lepsze jutro, na ładną pogodę, na życie wieczne. Ileż miliardów zarobiono na ludzkiej nadziei!

– Nie chcę zabrzmieć chamsko – powiedział, rolując wypełnioną tytoniem bletkę. – Ale czy myślałeś o jakimś planie B?

Horst milczał. Opierając się plecami o kabinę auta, posadził tyłek na ziemi. Ciągłe patrzył na leniwie płynącą rzekę. W trzcinach pojawiła się rodzina kaczek. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie brzmiała nostalgia, o którą trudno było go podejrzewać.

– Opowiadałem ci kiedyś o niej? – zapytał.

– Niewiele z ciebie wyciągnąłem. – Janek podał mu papierosa i usiadł obok niego. Zaciągnął się dymem, co trochę go rozluźniło.

– Z Sirene dużo rozmawialiśmy.

Janek mógł tylko się uśmiechnąć.

– Nie patrz tak na mnie – zachnął się Horst. – Wbrew temu, co pewnie sobie myślisz, nasz związek opierał się głównie na zrozumieniu.

– Przecież nic nie mówię.

– Sirene miała ciężkie dzieciństwo. Na pozór normalna rodzina, matka nauczycielka, ojciec biznesmen.

– Biznesmen? – Janek był ciekaw, czy do Horsta też dotarły informacje o jej ojcu i jego przeszłości.

– Był pijakiem i utracjuszem. Jej matka przejrzała na oczy, kiedy Sirene miała kilka lat. Pewnie napatrzyła się dość na domowe awantury.

Janek naliczył w rzece pięć kaczątek. Z jakiegoś powodu wydały mu się zabawne.

Horst mówił dalej.

– Zjawiał się w ich mieszkaniu, żeby wynieść z niego kolejne rzeczy, które miały jakąkolwiek wartość. Sirene wspominała mi, że często opowiadał o sobie niestworzone historie, że przyjaźnił się z Trelą, że pisał lepiej niż Herbert, takie mitomańskie pierdolenie... Na pewno miał dużo kochanek, które przyprowadzał do domu pod nieobecność matki.

– A Sirene? Skąd o tym wiedziała? Przecież mówiłeś, że miała kilka lat.

– Sześciolatnie dziecko dużo już rozumie. Oczywiście po latach skojarzyła, kim były panie, które zjawiały się w domu rankiem albo wczesnym popołudniem, a potem zamykały się z tatą w sypialni rodziców. Dawał córce jakieś drobne na łakocie i mówił, że ma nie wracać przez dwie godziny, ale ona przecież nie znała się na zegarku. Opowiadała mi o obrazie, który zapamiętała z dzieciństwa. Siedzi na klatce schodowej, liżąc

loda, i zastanawia się, czy może już wejść, podczas gdy z mieszkania dobiegają dziwne odgłosy, które wydaje jej ojciec, i piski jakiejś pani. – Horst opowiadał to swoim zimnym jak stal głosem. Siedział na ziemi, ćmiąc papierosa, i jak Janek gapił się na rozlaną przed nimi rzekę. – Ojciec plótł, że kupi jej dom, że będą bogaci, że jest wielkim artystą, który niedługo stanie się sławny. Dziewczyna przesiąkała takimi historyjkami, nawet nie podejrzewając, że to kompletne bzdury.

– Każdy ma jakieś traumy – stwierdził Janek, który przypomniał sobie, że jego ojciec wysyłał go na lekcje rysunku, a potem rzucał jego obrazkami, wrzeszcząc i wyzywając go od nieuków.

– Widziałeś pewnie jej oko – stwierdził Horst, który nie miał nastroju do słuchania o traumach każdego. – Pewnie myślałeś, że to choroba?

– A nie?

– Pewnego razu matka wróciła wcześniej. W salonie zastała małą Sirene, która najspokojniej w świecie oglądała telewizję, podczas gdy za przeszklonymi drzwiami ojciec zabawiał się z jedną ze swoich dziewczyn. Matka wzięła to, co było pod ręką, i uzbrojona w patelnię wparowała do sypialni. Rozległy się wrzaski, prawdziwa domowa awantura, jeden wielki chaos. Sirene rzuciła się na pomoc ojcu. Przytuliła się do niego w dziecięcym odruchu. Chora z wściekłości matka chyba jej nie zauważyła, bo z całej siły przydzwoniła jej w głowę.

Janek zgasił peta.

– Poważnie? – zapytał.

– Sirene spędziła dwa miesiące w szpitalu, a przez wiele następnych dochodziła do siebie. Jąkała się, pojawiły się problemy ze słuchem i równowagą. Matka miała olbrzymie poczucie winy, w końcu prawie zabiła swoje dziecko, więc przez

następne lata rozpieszczała ją, ile tylko mogła. Po rozwodzie z nikim się nie związała, całą uwagę skupiła na córce. Jej oko jest, jakie jest, ale z resztą sobie poradziła. Studiowała na polibudzie. To mądra laska.

– Nie przeczę. A ojciec? Sirene miała z nim kontakt?

– Prawie o nim nie wspominała. – Horst się zamyślił. – Tak, chyba mieli ze sobą jakiś kontakt. Sirene czasami dawała się ponieść wyobraźni.

– Była mitomanką?

Horst spojrzał na niego groźnie.

– Dobra, tak tylko pytam – zreflektował się Janek. – Po prostu podświadomie przejmujemy cechy naszych rodziców, a sam mówiłeś, że jej ojciec konfabulował.

Horst milczał.

Janek nie miał lepszego pomysłu, więc zaczął skręcać kolejne papierosy. Siedzieli, patrząc na rzekę i rozmyślając o tym, co musi teraz przeżywać kobieta, która była tak blisko wolności.

Telefon w kieszeni Horsta zawibrował. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Tak? – ostrożnie zapytał Horst.

– Aspirant Michał Gołaś. To pan zgłaszał zaginięcie?

– Tak. Nad rzeką znalazłem dziwne ślady i porzucony ponton. Trzeba ściągnąć techników, żeby to zabezpieczyli.

– Ktoś się temu przyjrzy, ale proszę na wiele nie liczyć. Mamy tu podwójne zabójstwo policjantów. Sam pan rozumie...

Horst zrozumiał, że tylko tracą czas. Podziękował i wcisnął czerwoną słuchawkę.

Janek słyszał każde słowo. Wiedział, że o skutecznej współpracy z policją na razie mogą zapomnieć. Podał Horstowi

kolejnego papierosa, ale ten odmówił. Janek też nie miał ochoty palić. Schował go do paczki z tytoniem.

– Dlaczego mi o tym opowiedziałeś? – zapytał.

– Miałem wrażenie, że pochopnie ją oceniliście. Ty i Alicja.

– Prawie zdążyłem ją polubić. – Janek zrozumiał, że najrozsądniej będzie nie wspominać o Alicji i szybko zmienić temat. – A może jest jeszcze szansa? – Janek wstał i otrzepał wilgotny tyłek. – Pamiętasz jej telefon? Zostawiła go w domu, prawda?

Horst badawczo spojrział mu w oczy.

– Alicja uruchomiła go i kazała mi włożyć do torby z pieniędzmi. Twierdzi, że umie go namierzyć.

Horst wyciągnął rękę, aby Janek pomógł mu wstać.

– Dopiero teraz mi to mówisz? Dzwon do niej.



Jechali prawie godzinę. Minęli tylko jeden radiowóz. Kiedy zniknął we wstecznym lusterku, wymienili znaczące uśmiechy. Promem przedostali się na drugą stronę Warty i na terenie rezerwatu Czeszewski Las w jednym ze starorzeczy, które powoli zamieniało się w bagno, utopili jeepa. Tego dnia szczęście im sprzyjało. Nie musieli nawet wracać do Czeszewa, bo na parkingu leśnym stały dwa auta. Wybrali mitsubishi outlandera. Musiał należeć do leśnika (tak przynajmniej wynikało ze znalezionych w schowku papierów), śmierdział papierosami i leżącymi na tylnej kanapie brudnymi ciuchami, ale odpalił całkiem szybko. Wystarczyło, że Piotrek pomajstrował przy desce rozdzielczej, a silnik zachrobotał i załapał. Czarną sportową torbę Sirene trzymała na kolanach.

Spojrzeli sobie w oczy i namiętnie się pocałowali.

– Nie teraz, Syrenko – powiedział Piotrek, kiedy poczuł w spodniach jej dłoń. – Umieram z głodu.

Facet na promie mógł znać właściciela auta, więc nie chcieli ryzykować. Rzekę przekroczyli od południa dopiero w Nowym Mieście. Lokalnymi drogami dojechali do Zaniemyśla. Zatrzymali się w miejscowej restauracji. Do pizzy zamówili całą butelkę wina.

– Najlepsza pizza w moim życiu – stwierdziła Sirene, chociaż nie przyzwyczała się jeszcze do jedzenia lewą ręką.

Potem kochali się w toalecie. Szybko i mocno, jak para zwariowanych nastolatków. Sirene patrzyła na zasuwę, której zapomnieli zamknąć. Czowała, jak granitowy blat wbija jej się

w pośladki. Miała tak od zawsze. Wszystko, co było wbrew mieszczańskim zwyczajom i ciasnym poglądom, sprawiało, że czuła przyjemne łechtanie w żołądku. Uwielbiała dreszczyk emocji związany z ryzykiem, ale nawet nie przypuszczała, że zostawiwszy daleko w tyle swoją strefę komfortu, może osiągnąć pułap, gdzie rozkosz odbiera jej oddech. Doszła niemal od razu, ale ciągle miała ochotę na więcej. Jej miłosne jęki przerywał śmiech, czyste szczęście. Śmiała się w głos, ignorując to, że droga do kuchni prowadziła tuż obok drzwi do toalety.

– Zrobiliśmy to! – dyszał Piotrek. – Kurwa, jak ja cię kocham!

– Tak! Kochaj mnie!

– Jesteś... Jesteś wspaniała, obłędna...

– Kończ we mnie. Chcę cię czuć do końca. O tak...

Palce lewej dłoni wbiła w jego kark. Prawą wcisnęła w jego plecy. Ból, który promieniował w miejscu uciętego palca, sprawiał, że ciemniało jej w oczach, ale gdyby nie to, nie byłoby tak bosko. Uwielbiała ból. Uwielbiała, jak facet traci dla niej głowę, biorąc ją byle jak i byle gdzie, nie myśląc o konsekwencjach.

Zaczekała, aż złapie oddech, i spojrzała mu w oczy.

– Zrobiliśmy to – powiedziała. – Odważyliśmy się sięgnąć po marzenia!

– Kocham cię, mała.

– A ja ciebie.

Wrócili do stolika i dopili wino. Dziewczyna z obsługi patrzyła na nich spode łba, ale kiedy zobaczyła napiwek, rozpogodziła się.

– Zapraszam ponownie – powiedziała.

W lokalnym sklepie kupili prowiant i zapas wina. W torbie z pieniędzmi mieli także tablice rejestracyjne. Zmienili je na jednym z pustych parkingów i w dalszą drogę ruszyli pieszo. Kiedy ich oczom ukazało się jezioro, a na nim malownicza wyspa, odruchowo ścisnęli swoje dłonie. To właśnie tutaj przez ostatni tydzień przeżywali przygodę życia – mocną, niebezpieczną i wspaniałą. To tutaj czuli, że żyją. Aż szkoda, że czas na wyspie nieuchronnie dobiegał końca.

Nieco na północ od dawnej przeprawy promowej cumowała niewielka łódka. Wrzucili do niej bagaże. Piotrek chwycił za wiosła i odbili od brzegu.

Sirene lubiła patrzeć na jego smukłe ręce, które podczas wysiłku pokrywały się siatką żył. Był świetnie umięśniony, ale najbardziej kochała go za co innego. Uwielbiała jego odwagę i dziecięcą fantazję, bo sprawiały, że w jego towarzystwie była naprawdę sobą. Powiedzenie, że można z kimś konie kraść, było jakby stworzone specjalnie dla niego.

Kiedy dotarli na północny brzeg Wyspy Edwarda, zaczynało padać. Łódkę ukryli w trzcinach i ruszyli w stronę dawnego ośrodka wypoczynkowego, gdzie uwili sobie gniazdko. Kilka betonowych domków ustawionych szeregowo może nie wyglądało szczególnie okazale, ale za to nie rzucało się w oczy, co w ich sytuacji było bardzo pożądane. Obok, jakieś trzydzieści metrów dalej, stał duży drewniany dom. Wyglądał ciekawiej niż ich lokum, ale jeszcze nigdy w nim nie byli. Może dlatego, że aby do niego wejść, musieli minąć ustawioną na podeście armatę. Sirene była zawsze niespokojna, kiedy miała ją w zasięgu wzroku. Aura starej wiatówki zaburzała spokój tego miejsca i nie równoważyła tego ani energia ogromnych dębów, ani wody, której wokół mieli pod dostatkiem.

– Zrobię medytację – powiedziała Sirene, kiedy znaleźli się pod drzwiami domku, który wybrali na swój apartament.

– Jasne. – Piotrek pocałował ją i wszedł do środka.

Sirene przeszła obok dawnego placu zabaw i znalazła się nad brzegiem. Ściągnęła buty i zanurzyła stopy. Woda była zimna, niemal lodowata. Kwietniowe noce ciągle były chłodne, a zapowiadane ocieplenie miało nadejść dopiero za kilka dni. To dobrze, bo właśnie wtedy muszą wykonać ostatnią część planu, który dokładnie sobie obmyślili. Niedługo dotrze do nich matka. Byłaby tutaj już teraz, ale najwyraźniej Horst się wygadał, bo był u niej jakiś facet i węszył. Bezpieczniej było trochę poczekać. Umówiły się, że dołączy do nich za kilka dni. Piotrek kupi vana i z matką pojedą do Hiszpanii. Ona zostanie w kraju trochę dłużej. Zgłosi się na policję i do ubezpieczyciela. Powie, że została porwana i uciekła, że porywacze obcięli jej palec. Kiedy tylko to sobie przypomniała, wzdrygnęła się.

Ból sprawiał jej przyjemność wyłącznie w połączeniu z erotyzmem. Już jako dziecko bała się igieł, ostrzy, dentysty i laryngologów. Doskonale pamiętała sekator, który zaciska się na jej palcu, chociaż wypija ćwierć litra wódki. Kurwa, jak to bolało! Kupili najlepszy, taki, który – jak mówił obrazek na opakowaniu – miał półtoracentymetrowe gałęzie, ale okazało się, że kość to co innego. Piotr musiał zaciskać go kilka razy, nie wie ile, bo po drugim razie zemdląca. Krew była wszędzie, jak w rzeźni. Widziała nagranie. Początkowo chcieli wysłać je Horstowi, ale stwierdzili, że ma za słabe serce. Gdyby umarł, z okupu byłyby nici.

Sirene wróciła na brzeg i usiadła na ławce, czując, jak wiatr chłodzi jej bosc stopy. Woda od zawsze oddziaływała na nią silniej niż na innych. Gdyby miała wymieniać ulubione miejsca, bez wahania wskazałaby morze, rzeki, jeziora; nawet w wannie

potrafiła leżeć godzinami, czując, jak woda uspokaja jej myśli. Zabandażowaną dłonią przeczesła potargane włosy.

Ubezpieczenie od uszczerbku na zdrowiu to był jej pomysł. Przecież nikt nie posądzi jej o celowe ucięcie sobie palca, a do kasy z okupu dojdą w ten sposób kolejne tysiące. Regulamin polisy był prawniczym pierdoleniem, osiemdziesiąt stron drobnym drukiem, ale cierpliwie go przestudiowała. Kciuk wyceniono wyżej, ale palec wskazujący prawej ręki był zaraz za nim. Miała kumpla w jednej z firm sądzących się z ubezpieczycielami. Większość wezmą dla siebie (przynajmniej uczciwie to przyznał), ale renta i jakieś dwieście tysięcy będzie niezłym dodatkiem do kasy od Horsta.

Ucięcia palca nie traktowała w kategoriach czysto finansowych. Gdyby tak myślała, już dawno sprzedałaby nerkę albo oko, bo przecież i tak nie panowała nad opadającą powieką. Samookaleczenie traktowała symbolicznie. Była to kara za zdradzenie człowieka, który chciał dla niej jak najlepiej, kara za to, że musiała kłamać, a kłamia tylko słabi. Dała mu palec, to nie jej wina, że chciał całą rękę. No i został z palcem. Czytała kiedyś o autotomii, czyli sposobie na ucieczkę przed drapieżnikiem lub niekorzystnymi warunkami środowiskowymi. Skoro mogą robić to jaszczurki, to dlaczego nie ona? Widok czteropalczastej dłoni będzie przypominał jej, jaką cenę zapłaciła za wolność. Może Horst jeszcze tego nie wie, ale teraz są kwita.

Horst. To imię nawet brzmiało jak tkwiąca w mózgu drzazga. Na festiwalu była z Piotrkiem. Snuli plany na przyszłość, marzyli o domku na południu Hiszpanii, na Sardynii albo w Grecji, kiedy zjawił się on.

Uważała, że zesłał go Wszechświat, bo tak właśnie myślała o wszystkim, co się jej przydarza. Wszechświat miał wobec niej

plan, który musiała odkryć, a potem zrealizować. Piotrkowi nie podobało się, że przez jakiś czas będzie żyła z kimś innym, ale wytłumaczyła mu, że to niewielkie poświęcenie w porównaniu z późniejszą nagrodą. Raz na tydzień wymasuje dziadkowi plecy, postawi sflaczałego fiutka i wszyscy będą zadowoleni. „Chyba że wolisz iść na etat”, zaproponowała Piotrkowi, doskonale wiedząc, że równie chętnie zgodziłby się iść do piekła. Tak zaczęła się przygoda, w którą rzuciła się tak, jak w każdy nowy projekt – z zapałem i podnieceniem.

Teraz chciało jej się śmiać. Dosłownie czuła, że rozplywa się ze szczęścia. Najtrudniejszą część mieli już za sobą. Horst nie zapanował nad emocjami (dokładnie tak, jak się spodziewała). Grzecznie zapłacił i teraz pewnie modli się, żeby przeżyła. Spojrzała na zaręczynowy pierścionek, którego banalne piękno poprawiało jej nastrój, odkąd go założyła. Na jej twarzy po raz setny dzisiejszego dnia zagościł uśmiech. A Horścinek był taki przerażony, kiedy widział ją po raz ostatni. Miała wręcz ochotę ściągnąć knebel i krzyknąć mu, że wszystko będzie dobrze. To też było symboliczne. Przeszłość zostawiła po drugiej stronie rzeki i wreszcie będzie mogła się realizować. Czy potrzeba więcej, żeby uzmysłowić sobie, że jej działanie jest tylko spełnieniem woli Wszechświata?

Sirene czuła, że każda myśl o Horście oddala go od niej. Był jak blednący cień. Za kilka dni zniknie zupełnie, stanowiąc niewielką część wspomnień, związanych z tym ponurym krajem. Zauważyła też ciekawą rzecz. Im dłużej zastanawiała się, czy dostaną okup, tym bardziej dochodziła do wniosku, że ta kasa po prostu się jej należy. Zadowalała staruszka przez kilka ostatnich miesięcy, zamieniając jego życie w sen na jawie, a on zaraz po zaręczynach wyjechał z intercyzą. Bezczelny,

nieczuły skąpiec. Chciała powiedzieć mu, żeby wypchał się tą swoją kasą, ale jakoś głupio zabrzmiałoby to dzień po przyjęciu zaręczyn. No i miała plan B. Zawsze miała plan B.

– Chcesz ze mną przeliczyć kasę? – Piotrek zjawił się nie wiadomo skąd. Usiadł obok i podał jej kubek z ciepłą herbatą.

Sirene przysunęła się i oparła głowę na jego ramieniu.

– Jasne. Wypiję i idziemy.

Piotr wydawał się czytać w jej myślach. Patrząc na sosny po drugiej stronie jeziora, powiedział:

– Za rok będziesz dla niego tylko miłym wspomnieniem. Na starość lepsze takie niż żadne.

– Faceci, którzy traktują kobiety jak swoją własność, zawsze wydawali mi się zabawni.

– Zebrał kasę tak szybko. Mogliśmy zażądać więcej...

– Nie bądź chciwy. Nadmiar rozleniwia i zaśmieca myśli.

Piotrek uśmiechnął się i rozczochrał jej ufarbowane na blond włosy.

– Tak, mała, wiem, co teraz powiesz...

– Bogaty artysta to produkt, a nie posłaniec piękna. – To zdanie wypowiedzieli równocześnie. Potem wybuchnęli śmiechem. W końcu nie musieli traktować go poważnie. Czarna torba ważyła dobre pięć kilo. Wróciwszy do domku, postawili ją na stole i wyciągali z niej kolejne pliki banknotów. Nigdy nie mieli w rękach nawet jednej dziesiątej tej sumy.

– Czterysta dwadzieścia tysięcy... – mówiła Sirene, której przypadła segregacja setek. – Czterysta trzydzieści, czterysta czterdzieści.

– Dwusetek jest dużo mniej. Chyba naprawdę trochę się spłukał...

– Cicho, daj się skupić. Czteryście pięćdziesiąt... – Sirene nagle zbladła. Plik banknotów spadł na podłogę.

Piotrek patrzył na nią z rosnącym niepokojem.

– Co jest, malutka? – zapytał i zobaczył, że Sirene trzyma w dłoni swój telefon. Chciał powiedzieć, żeby nie panikowała, ale ona rzuciła telefon w najdalszy kąt pokoju, złapała się za głowę i chodziła w kółko.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – powtarzała, gorączkowo zastanawiając się, co teraz robić.



Sirene otulona nepalskim swetrem stała na północnym krańcu wyspy. Było już ciemno. Chmury zasłoniły niebo i wyglądało teraz jak pomarszczona kartka papieru, na którą ktoś wylał cały kałamarz atramentu. Nie czuła zimna, ale dygotała, sama nie wiedziała, czy ze strachu, czy z gorączki, którą, odkąd straciła palec, miała każdego wieczoru. Piotrek odpłynął, a ona czuła się samotna i bezbronna.

Dobre było tylko to, że właśnie zrozumiała prosty fakt – za kilka dni, kiedy jej facet wyjedzie z kraju, nie będzie miała problemów z odegraniem roli słabej i skrzywdzonej. Tak właśnie czuła się bez niego. Nie musiała udawać zagubionej, bo wystarczyło, że przez godzinę nie wiedziała, gdzie jest ukochany, i jej pewność siebie zniknęła. Pozostawał tylko wielki i bolesny projekt roboczo nazwany „Nowa ja”. Ogrom pracy nad sobą, wyrzeczenia i ryzyko. Kiedy go zrealizuje, już do końca życia nie będzie się bała, że pochłonie ją nijakość. Trochę z obowiązku a trochę dla zabicia czasu, przypomniawszy sobie ich rozmowę sprzed godziny.

– Co to tu, do cholery, robi? – spytał Piotrek, który jak zwykle czytał w jej myślach, tyle że tym razem szło mu to okropnie wolno.

– A jak myślisz?

– Nie wiem. Mówiłem wyraźnie: „żadnych sztuczek, bo dziewczyna zginie”.

Sirene nadal chodziła po pokoju, próbując się uspokoić.

– I co? – spytała, z trudem panując nad głosem. – Zabijesz mnie? A może teraz odetniesz mi rękę?

Sporunował ją wzrokiem.

– Przestań. Próbuję myśleć.

– Wyęcę cię – powiedziała Sirene. – Nie wrzucaliby telefonu do torby z gotówką, gdyby spodziewali się, że wymiana się powiedzie. To wiadomość dla mnie. „Masz, przyda ci się”.

Piotrek usiadł. Zafrasowany drapał się w głowę i trochę przypominał małpę. Lekko wydymał usta, a jego ozdobione kilkoma dreadami włosy wydawały się jeszcze bardziej rozczochrane.

– Może nie chodzi im o ciebie, tylko o gotówkę. Telefon można namierzyć, tak?

Wymienili spojrzenia. Był w nich strach.

– Gdyby chodziło o gotówkę, ukryliby chipa – powiedziała Sirene. – Horst był na bieżąco z najnowszą technologią. Z takiego Photoshopa był o wiele lepszy ode mnie.

– Daliśmy dupy. Trzeba było sprawdzić torbę jeszcze przy rzece. Rano o tym pamiętałem, ale potem... – Piotrek nie przestawał się drapać. Myślał tak intensywnie, że aż twarz mu się skrzywiła. – Mówiłaś, że Horst to kupił. Że traci resztki rozsądku, gdy tylko pomyśli, że coś ci się może stać. Sądzisz, że cię przejrzał?

Sirene pokręciła głową. Niewielu rzeczy na świecie była tak pewna jak tego, że dziany eksplina zakochał się w niej na zabój.

– To kto? Może ten samobójca?

– Jaki samobójca?

– Mówiłaś, że ma przyjaciela, który wspina się bez asekuracji. Może to on?

Przed oczami Sirene stanęła sylwetka Janka. Wysoki, szczupły, o skłóconym z życiem spojrzeniu. Pamiętała, że patrzył na nią z dystansem, ale bez ironii. Nie, to nie on, przemknęło jej przez głowę. I jego wspinaczkowe ambicje nie mają tutaj nic do rzeczy... Przypomniała sobie Alicję. Ta laleczka, która słała uśmiech za uśmiechem do jej narzeczonego, to zupełnie co innego. Samo jej wspomnienie zakłócało aurę.

– Janek? Widziałam, jak na mnie patrzył. Podobałam mu się. No i kiedyś stracił siostrę. Nie ryzykowałby, że historia się powtórzy.

– To o nim opowiadałaś, kiedy rozmawialiśmy o porwaniu? Nie skojarzyłem, że to ta sama osoba.

Sirene zdążyła już podnieść telefon. Wyjęła z niego kartę SIM, ale dostęp do baterii był niemożliwy bez narzędzi.

– Tak, o nim. – Telefon wyczyściła ścierką i schowała do reklamówki. Uśmiechnęła się, wręczając go Piotrkowi. – To właśnie historia jego siostry była inspiracją do tego, co robimy teraz. Raz, że to dobry pomysł. Dwa, że to czysta psychologia. Założyłam, że faceci po takich przejściach jak Horst i ten koleś będą poważnie podchodzić do żądania okupu.

– Myślisz, że Horst z kimś współpracuje? Że ktoś nas namierzył?

– Nie wiem. Na wyspie jesteśmy już jakąś godzinę, dwie. Może będziemy mieć szczęście i nikt się nie pojawi. Zabierz ten telefon gdzieś daleko. Zatrzymuj się w różnych miejscach, najlepiej takich, gdzie teoretycznie można kogoś ukryć. Miej oczy dookoła głowy.

Piotrek uśmiechnął się do niej. Lubił ją taką. W tej uduchowionej ślicznej główce kryła się inteligentna businesswoman, która nie zrezygnuje z raz powziętego planu.

– Posprzątaj tutaj – powiedział. – Do mojego powrotu musisz być czujna. Jeśli ktoś by się pojawił, ukryj się i przeczekaj.

Skinęła głową.

Przytulili się. Kikut obciętego palca, który wcisnęła w jego plecy, znowu przyjemnie zabolął, ale nie było czasu na amory.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

Teraz, późnym wieczorem, Sirene obserwowała migoczące kilkaset metrów dalej światło. Dźwięk doskonale niósł się po wodzie. Słyszała szelest sitowia i plusk wiosła.

Wraca, pomyślała z ulgą, ale na wszelki wypadek stanęła w cieniu. Kilkusetletnie drzewa, w dzień odległe od siebie, nocą zbijały się w jedną mroczną masę. Jakies trzydzieści metrów nad nią, pewnie na samej górze jednego z okazałych buków, musiało być gniazdo rybołówów.

Kiedy tylko o nich usłyszała, nie zastanawiali się dłużej nad wyborem kryjówki. Bezludna trzyhektarowa wyspa i majestatyczne ptaki – Wszechświat nie mógł zaplanować tego lepiej. Może jeszcze uda się zobaczyć któregoś z nich. Ponoć zawsze budują gniazda tak, żeby móc obserwować wszystko z góry. Szkoda, że nie może nawiązać z nimi kontaktu. Pewnie nawet w ciemności widzą dokładnie, kto siedzi w tej sunącej po wodzie łódce. Ostrzegłyby ją w porę, a ona kiedyś odwdzięczyłaby się nabożeństwem w intencji ich dalszych wcieleń.

Rozmyślając o ptakach, które – czuła to w sobie – w jakiś nie do końca zrozumiały sposób usiłują ją ochronić, zobaczyła charakterystycznie schylone plecy i włosy, które nawet stąd wyglądały na rozczochrane. Poczwała rozchodzące się w sercu ciepło. Ależ kochała tego szaleńca!

Kiedy tylko dobił do brzegu i ukrył łódkę w trzcinach, rzuciła mu się na szyję i obsypała go pocałunkami.

– Byłem aż w Gnieźnie – powiedział zasapany. – Robiłem, jak ustaliliśmy. Telefon ukryłem w lesie w pobliżu parkingu. Na załączonej do niego kartce napisałem kilka słów. Powinny dać mu do myślenia.

– Jesteś cudowny.

– Nie będę się kłócił. – Wsadził jej ręce pod bluzkę.

– Auu, zimne... – jęknęła, ale przytuliła się mocniej.

– Masz coś do jedzenia? Jestem głodny jak wilk.

– Mam siebie... – Sięgnęła do jego majtek.

– Ej, mówię serio.

Sirene zachichotała.

– Mamy wino. Chodź, należy nam się. – Wzięła go za rękę i prowadziła ścieżką pomiędzy dębami. – Kiedy tu płynąłeś, rozmawiałam z rybołowami.

– Z kim?

Sirene wymownie spojrzała w górę.

– Z ptakami, które są właścicielami tej wyspy. Zawarliśmy układ. Dadzą nam znać, jeśli ktoś będzie się zbliżał.

Piotrek się zaśmiał i ponownie ją pocałował.

– Ja zawarłem układ z właścicielką mieszkania – powiedział, wyciągając telefon. Odblokował ekran. – Patrz... – Wkomponowany w skałę dom, prowadzące wprost do oceanu

schody i ogromny taras wyglądały jak ze snu. – Właścicielka świetnie mówi po angielsku. Ponoć wewnątrz wymaga remontu. Jest w stanie opuścić cenę. Myślę, że sprzeda go za jakieś sto osiemdziesiąt tysięcy euro.

Oczy Sirene błyszczały. Kiedy tylko weszli do swojego pokoiku, rzuciła się na Piotrka, całkowicie ignorując jego prośby o posiłek.

Ale potem aż do północy jedli, palili jointy i pili hiszpańskie wino. Zasnęli po kolejnych miłosnych zapasach, wsłuchując się w subtelny poszum wody rozbijającej się o korzenie drzew na skraju wyspy. Dla ich zamroczonych szczęściem umysłów był to szum oceanu, którego fale rytmicznie uderzają o skaliste wybrzeże La Palmy.

Sirene obudziła się koło czwartej, czując przemożną potrzebę zrobienia siku. Włożyła buty, otuliła się swetrem i poczłapała w kierunku najbliższych drzew. Marihuana ciągle szumiała jej w głowie. Wyspa była spowita mgłą, którą oświetlał księżyc, więc wszystko sprawiało wrażenie filmowej dekoracji. Gałęzie rozłożystych dębów wyglądały jak ogromny układ nerwowy.

Dziwne, pomyślała, kucając. Wydawało jej się, że obok ustawionej na podeście armaty zarejestrowała jakiś ruch. Przeszedł ją dreszcz. Podciągnęła spodnie i wpatrywała się w kilkusetletnie działo z fascynacją i przerażeniem.

Ruch się powtórzył. Zyskał kształt, kontur, sylwetkę.

Sirene stała jak zaklęta, nie mogąc wykonać nawet najmniejszego gestu, ale wyraźnie widziała, że na podeście ktoś jest. Widziała gruby płaszcz, spod którego błyskały kawaleryjskie oficerki. Ten ktoś chodził jak człowiek, wyglądał jak człowiek, ale z pewnością nim nie był, bo przecież ludzie mają głowy, a to coś, czymkolwiek było, kończyło się

kołnierzem podbitego futrem płaszcza. Sirene włożyła dużo wysiłku, żeby wziąć oddech, a kiedy jej się udało, zjawa zniknęła. Chyba zeszła z podestu i rozpuściła się we mgle. Przerażona i trochę naćpana dziewczyna wzięła to za wytwór płatającej figle wyobraźni.

Poranek był bardzo zimny. Nie pomogła bliskość Piotrka i dodatkowy koc. Śniadanie jedli w ciszy. Kanapki zapijane „Gorącym kubkiem” nie smakowały szczególnie dobrze. Bolały ich głowy, w których błąkał się nie tylko kac, ale też pierwsze wątpliwości. A co jeśli ich złapią? Jeśli uda im się ustalić tożsamość Piotrka? Jeśli wyślą za nim list gończy? Na kogo wtedy będzie kupiony dom? Nie wypowiedzieli na głos żadnego z tych pytań, ale i tak krążyły między nimi, skutecznie psując nastrój.

Około dziesiątej niebo przejaśniło się, a oni jak na komendę zabrali karimatę i kubki z kawą i ruszyli w kierunku zarastającej trawą łachy piachu, która pewnie kiedyś była plażą. Sączyli rozpuszczalną neskę i wystawiali się na ciepłe promienie słońca. Byli naprawdę zmarznięci.

Sirene opowiedziała o swojej nocnej przygodzie. Ujrzenie bezgłowej zjawy nie brzmiało szczególnie wiarygodnie. Teraz, w dzień, jeszcze bardziej skłaniała się ku temu, że to było przywidzenie albo dalszy ciąg snu.

Piotrek chyba myślał podobnie, bo po prostu to zlekceważył.

– Co z twoją matką? – zapytał.

Sirene wzruszyła ramionami. Posmutniała. Z matką kontaktowała się tylko przez skrzynkę mailową. Zamiast wysyłać wiadomości, logowały się na to samo konto i sprawdzały folder „kopie robocze”. Po przeczytaniu wiadomości kasowały ją i pisały kolejną. Nic od matki nie było.

– Musimy wytrzymać do soboty – powiedział Piotrek. – Musimy założyć, że dzisiaj znajdą telefon. Z wiadomością, którą im zostawiłem, pewnie się prześpią, a my zyskamy trochę czasu. Jest czwartek. Nie przewiduję, że przez najbliższe dwa dni coś się wydarzy.

– Chyba że inwazja bezgłowych zombie. – Słońce i bliskość wody poprawiły humor Sirene; zaczynała się rozluźniać.

– Może po prostu o tym czytałaś. – Objął ją ramieniem. – Kiedyś po gandzi widziałem druidów. Jeździłem po Irlandii, nocą zapaliłem sobie w druidzkim kręgu i wszystko było pięknie do momentu, kiedy nie zaczęli się schodzić.

Zaśmiali się. Sirene słyszała już tę historię.

– O czym niby miałabym czytać? – spytała.

Piotrek obrócił się w stronę stojącej sto metrów za nimi armaty, wykonując głową nieokreślony gest.

– Serio nic?

– Czytałam o rybołowach. Dobrze wiesz, że historia niezbyt mnie interesuje.

Piotrek patrzył jej w oczy. Dopiero teraz opowiadka o zjawie wydała mu się interesująca.

– Hrabia Edward Raczyński, armata, jego szwajcarski domek. Dalej nic?

Sirene wzięła duży łyk kawy.

– Możesz mnie uznać za ignorantkę, ale nie wiem, o czym mówisz.

– A nie zastanawiało cię, dlaczego ta wyspa nazywa się Wyspą Edwarda?

– Niech zgadnę. Na cześć jakiegoś Edwarda? – Sirene zaczynała mieć już dosyć jego mądrzenia się. – Jak wiesz, to po

prostu powiedz. Budowania napięcia mam już serdecznie dosyć.

– Podobno ta wyspa należała do hrabiego Edwarda Raczyńskiego. Wiesz, taki miejscowy dziewiętnastowieczny magnat. Ponoć był ekscentryczny i przewrażliwiony na swoim punkcie.

– Jak każdy, kto myśli, że skoro urodził się w bogatej rodzinie, to od razu musi być wyjątkowy.

Piotrek się uśmiechnął.

– Coś w tym guście – stwierdził. – Zdaje się, że fundował różne rzeczy. Wiesz, biblioteki, kościoły, bitwy morskie...

– Serio? Te dwie ostatnie rzeczy mógł sobie darować.

– Słuchaj, mała, rzekomo ktoś oskarżył go o jakieś finansowe machloje, a wtedy dumny hrabia pewnej zimowej nocy przyjechał po łodzie na swoją ulubioną wyspę, nabił armatę, która stoi za nami, uklęknął przed wylotem lufy i podpalił lont.

– O kurwa – wyrwało się Sirene.

– Był dowódcą artylerii w armii napoleońskiej. Znał się na działach. Domyślasz się chyba, ile zostało z jego głowy...

Sirene nie musiała sobie tego wyobrażać. Opis Piotrka nie wymagał specjalnego uruchamiania wyobraźni.

– Milusio – powiedziała. – To dlatego czułam, że coś psuje mi aurę.

Piotr wstał i podał jej rękę.

– To była połowa dziewiętnastego wieku. Ludzie strzelali sobie w łeb z błahszych powodów. Widocznie hrabia działał z większym rozmachem niż inni romantycy. Chodź, przejdziemy się. Może zobaczymy te twoje rybołowy.

Przez dwie godziny spacerowali po wyspie. Widzieli zgliszczą dawniej restauracji zarastającą bluszczem, widzieli tabliczki

„pomnik przyrody” na ogromnych dębach, ale nie zobaczyli nawet cienia polujących na ryby ptaszysk. Potem zaczęło padać i schowali się do domku. Jego zagracone wnętrze wyglądało, jakby już nieraz gościło nieproszonych gości, ale było dość czyste, a resztki mebli, które zostały w kuchni i pokoju, wciąż były w niezłym stanie. Musieli tylko uważać na kable. W pobliżu drzwi wejściowych zwisały luźne przewody. Najprawdopodobniej ktoś nie dał rady wyrwać ich ze ściany.

– Jakbym miał jakieś narzędzia, mógłbym naprawić elektrykę
– powiedział Piotrek z przekonaniem.

– I tak stąd spadamy. Takie plany zostaw sobie lepiej na nasz nowy dom.

Pocałował ją.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł trochę pomajsterkować.

– Ja też.

Dalszą część dnia spędzili mniej więcej tak jak poprzedni wieczór. Wino, jedzenie, marihuana i seks. Spali, ogrzewając się własnymi ciałami, i zaczęli od nowa. Sirene słyszała kiedyś od koleżanki, że najlepszym spoiwem związku jest wspólna hipoteka. Teraz przekonała się, w jak wielkim błędzie była jej znajoma. Wspólne przestępstwo i pełna pieniędzy torba obok łóżka działały jak najlepszy afrodyzjak.

Nawet nie zauważyli, że zapadł wieczór. Było już zupełnie ciemno, kiedy otwierali oliwki i holenderski ser. Mieli jeszcze kilka butelek wytrawnego wina, ale zapas szybko się wyczerpywał. Właśnie otworzyli kolejną flaszkę, ale nie zdążyli wypić nawet łyka, bo ogarnęła ich senność. Zasnęli w nienaturalnej pozie, przykryci wełnianym kocem.

Sirene otworzyła oczy. W ciemności widziała tylko własne ręce i zarys męskiego ciała, które służyło jej za poduszkę. Za dużo wina, pomyślała, czując ucisk na pęcherz. Z zewnątrz wiało chłodem, a tutaj było całkiem znośnie. Nie miała ochoty wstawać. Obróciła się na plecy i naciągnęła śpiwór na koc, ale nie mogła zasnąć. Fale uderzały o brzeg mocniej niż zazwyczaj, a ciemność za oknem sprawiała nieprzyjemne wrażenie. Zacisnęła powieki i spróbowała wyobrazić sobie, że to fale na La Palmie, że kołysze się na nich, wygrzewając się w słońcu, ale nic to nie dało. Niechętnie wstała z łóżka.

Na zewnątrz było jaśniej, niż sobie wyobrażała. Gnane wiatrem chmury odsłoniły księżyc, któremu niewiele brakowało do pełni. Było mgliście, ale nie aż tak jak wczoraj. Szerokie pnie drzew rysowały się całkiem wyraźnie. Nagle usłyszała gwizd. Dźwięczny świergot, niemal jak sikorka, tyle że głośniejszy i dochodzący gdzieś z góry, sponad gęstwiny gałęzi. Mój rybołów, pomyślała i uśmiechnęła się. Wysikała się, nasłuchując, ale odgłos ptaka ucichł. Mimowolnie patrzyła w stronę armaty. Początkowo żałowała, że Piotrek opowiedział jej o tym nadętym hrabim, ale potem uświadomiła sobie, że takie rzeczy zawsze lepiej wiedzieć, niż ich nie wiedzieć. Tak właśnie myślała w chwili, kiedy zjawa wyłoniła się najwyżej dwadzieścia metrów od niej. Po ciele Sirene przebiegł zimny dreszcz.

Wariuję ze stresu, pomyślała, poprawiając spodnie.

Kilka razy mrugnęła oczami, ale kiedy je otwierała, wciąż dokładnie widziała zimowy płaszcz. Podbite futrem poły nie przypominały współczesnych ubrań. Chciała czmychnąć do domku, ale coś – może wrodzona żądza przygód, może chęć upewnienia się, że to zwidy – skłoniło ją do pójscia śladem

zjawy, która z prowadzącej do drewnianego domku ścieżki skręciła w lewo między drzewa. Sirene ruszyła za duchem.

Ścieżka prowadziła nadbrzeżną skarpą. Zjawa szła powoli, z każdym krokiem tracąc na ostrości, aż w miejscu, gdzie brzeg wyspy tworzył niedużą pozbawioną drzew zatoczkę, zniknęła zupełnie.

Sirene, której właśnie wydało się, że trzeźwieje, zganiła siebie w myślach. Jak mogła być tak głupia, żeby uwierzyć w coś takiego. Przecież duchy, jeśli istnieją, nie pojawiają się ot tak... Już miała zawrócić, ale usłyszała ten dochodzący z góry ptasi gwizd. Powtórzył się kilka razy, bliski i jakby... ostrzegawczy.

Sirene przyjrzała się jezioru, które z tej strony wyspy wydawało się zawsze spokojniejsze. Na jego tafli zobaczyła coś, co przstraszyło ją dużo bardziej niż bezgłowa zjawa.

Do wyspy zbliżała się łódka.

Sirene podbiegła do najbliższego drzewa i schowała się za pniem. Z ust wyrwało się jej przekleństwo, bo przecież wędkarze nie powinni podpływać do wyspy, która była rezerwatem ścisłym. Kiedy łódka ustawiła się dziobem do niej, zaczęła mieć złe przeczucia.

To nie są wędkarze, pomyślała, gdy od łódki dzieliło ją dwieście metrów. Chciała pobiec do Piotrka, obudzić go i ostrzec, ale bała się, że straci ich z oczu. Ostrożnie wystawiła głowę i obserwowała. W łódce siedziało dwóch mężczyzn. Jeden wiosłował. Drugi patrzył na wyspę, niemal dokładnie w miejsce, gdzie stała.

Powoli dobijali do brzegu.



Alicja obudziła się w podłym nastroju. Kiepsko spała, bolała ją głowa, a brzuch płatał jej figle, jakby nie należał już do niej. Taka myśl nawet przeszła jej przez głowę. Czy mój brzuch jeszcze należy do mnie? – zapytała samą siebie, a że nie znalazła odpowiedzi, zaraz po odprowadzeniu syna do szkoły poszła po test ciążowy. Po powrocie do domu położyła go na kuchennym stole i zrobiła sobie kanapkę. Popijała herbatę i zerkąła na niego, a im dłużej zerkąła, tym gorzej się czuła.

Chodziła po domu, próbując skupić się na czymkolwiek, jednak nie umiała przestać myśleć o kuchni i leżącym na stole teście. Zupełnie jakby zostawiła tam nie martwy przedmiot, ale zgraję nieproszonych gości, którzy mogą narobić szkód. W końcu weszła do kuchni, nastroszona i zła. Zaparzyła kawę i usiadła na krześle. Test ciążowy nadal leżał tu, gdzie go zostawiła – milczący świadek rozterek, zdolny artysta, w którego malarstwie liczy się każda kreska. Spróbowała napić się kawy, ale gdy tylko przystawiła kubek do ust, miała wrażenie, że smakuje, jakby ktoś dosypał do niej popiołu. Przecież mogę zrobić to później, pomyślała, przechodząc od salonu, aby włączyć muzykę.

Usiadła na kanapie.

Tinariwen zamiast przenieść ją na afrykańskie bezdroża, przeniosło ją w krainę lęku, a gonitwa myśli jeszcze przyspieszyła. Myśli nie były nowe, ale nowe mogły okazać się okoliczności; sama nie wiedziała, czy wychodzi na jedno, czy nie. Lista myśli była długa i monotonna jak litania.

Nie mam umowy o pracę.

Nie mam ubezpieczenia.

Nie robię tego, co lubię.

Nie kończę prawie niczego, co zaczynam.

Mój syn nie ma kontaktu ze swoim ojcem.

Mój partner wymyśla sposoby na zdobycie Nagrody Darwina za wyjątkowo głupie zejście z tego świata.

Chociaż jej były mąż rok temu przestał płacić alimenty, na które się umówili, wołała o nim zapomnieć, niż prosić o pieniądze albo uciekać się do szantażu. Nienawiść, którą do niego żywiła, minęła jej już dawno. Teraz był tylko odległym wspomnieniem i wołała, żeby tak zostało. Cała złość i niepewność skupiły się na Janku, który powinien być tutaj z nią, zamiast jeździć nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co.

Dorosły dzieciak, myślała, mając przed oczami jego słodko uśmiechniętą buzię. Nie poszedł do pracy, a potrzebujemy pieniędzy. Rafał wspominał o butach do piłki. Ze spodni, w których chodził jesienią, dawno już wyrósł, a ja? Nawet nie pamiętam, kiedy kupiłam sobie ciuchy w sklepie, a mój mąż nie mąż ma to wszystko gdzieś, bo przyzwyczył się, że kasa

po prostu jest, zupełnie jakby przynosiły ją krasnoludki. Przypomniała sobie ich ostatnią kłótnię i była zła na siebie, że potraktowała go tak łagodnie.

Wczoraj spała do późna, odsypiając pracę, a kiedy tylko otworzyła oczy i sięgnęła po telefon, zobaczyła, że na ekranie ma pięć nieodebranych połączeń od Janka.

– Co się stało? – spytała, kiedy tylko obudziła się na tyle, żeby skojarzyć, że to właśnie w środę mieli przekazać okup.

– Gównno się stało – powiedział Janek. – Wielkie gównno, a my tkwimy w tym po uszy.

– Może da się grzeczniej?

– Może chociaż spytasz, jak nam poszło?

– Jak wam poszło?

– A jak myślisz? Przecież mówiłem, że tkwimy po uszy w gównie. Masz te namiary?

Alicja wstała i podeszła do okna. Nie lubiła deszczowych dni, skoków ciśnienia i szczeniackich emocji u dorosłych mężczyzn, a wyglądało na to, że jeszcze dobrze się nie obudziła, a dostała wszystko naraz.

– Jakie namiary? – spytała, żeby zyskać na czasie.

– Kazałaś mi włożyć telefon do torby Sirene. Dziewczyna może zginąć, a ty śpisz w najlepsze!

– Janek, radzę ci ochłonąć, zanim powiesz o słowo za dużo. – Słyszała, jak facet, którego kocha, bierze głęboki oddech. – Już siadam do kompa. Powiedz, co się stało.

Janek streścił jej sytuację. Powiedział, że od dwóch godzin kręcą się w kółko i zupełnie nie wiedzą, co mają teraz robić.

– Okej, to chyba będzie to – powiedziała Alicja. – Cholerny internet...

– Co?

– Nie widzę dobrze. Chyba są w ruchu. Zaniemyśl... A nie, czekaj, Kórnik, Żerniki...

– To w końcu gdzie?! – spytał Janek.

Alicja słyszała w tle głos Horsta. Janek wypytywał ją, zupełnie jakby była informatykiem, a nie barmanką z prawie ukończoną polonistyką.

– Nie rozumiem tego programu. Działa jakby z opóźnieniem. Może wysyłał jakieś raporty czy coś... Jadą na Poznań. A nie, czekaj... Skręcili na wschód...

– Wielki dzięki – powiedział Janek i odłożył słuchawkę.

Potem rozmawiali jeszcze kilka razy, a każda kolejna rozmowa była bardziej nerwowa. Wysyłała ich gdzieś, a oni jechali na miejsce tylko po to, żeby zadzwonić do niej i powiedzieć, że jej szukali, że sprawdzili blok, pałac, ruiny, do których ich posłała, i nie znaleźli nawet śladu. Raz wdali się w sprzeczkę z miejscowymi, która prawie skończyła się bójką. Wszystko na darmo. Kropka na laptopie Alicji była jak mucha, która przysiadła tylko po to, żeby odlecieć, kiedy sięga się po klapkę.

Mieli już wracać, kiedy późnym wieczorem mucha usiadła w miejscu.

– To gdzieś przy drodze numer piętnaście – powiedziała Alicja, wpatrując się w ekran. Wygląda na leśny parking. – Dziwne...

– Mamy tam jechać czy to kolejny żart?

– Ej, uważaj, co mówisz, przecież to nie moja wina...

– Dobra, Ala, Horst mówi, że jedziemy. Odezwę się, jak będziemy coś wiedzieć. Pa.

I tak skończyła się rozmowa. Nie poszła do pracy, bo ktoś musiał zostać z Rafałem. Czekwała na Janka do północy, a później zapadła w coś, co trochę przypominało sen – było mgliste, ciemne i śliskie. Ale nie miało nic wspólnego z odpoczynkiem.

Spojrzała na kalendarz. Był czwartek. Okres powinna dostać dwa dni temu. Jeszcze nic nie wiadomo, pomyślała. Wyłączyła *Tinariwen* i wyszła na taras. Powietrze pachniało deszczem

i zbliżającą się wiosną. Wzięła kilka głębokich oddechów. Pomyślała o tym, że gorzej już być nie może, i wróciła do mieszkania. Chciała iść do łazienki, a żeby do niej trafić, musiała przejść obok kuchni. Test ciążowy ciągle leżał na stole.

Niech mam to już za sobą, pomyślała, sięgając po niego.

Robiła to kilka razy, ostatni raz siedem lat temu, ale nie pamiętała, żeby te cholerne piętnaście minut kiedykolwiek tak się dłużyło. Zerknęła już po dziesięciu. Druga kreska przypominała cyfry na wyświetlaczu wyłączonego radia; wyglądała, jakby prawie jej nie było, cień bez koloru i właściwości, ale była, tak, widziała ją na pewno, nawet czuła ją w swoim podbrzuszu.

Tylko nie to, przecież nie jestem gotowa...

Wyszła z łazienki na miękkich nogach. Mieszanina strachu i szczęścia to przedziwny koktajl. Chciała zadzwonić do Janka i spytać, kiedy będzie w domu, dodać, żeby na siebie uważał i że zrobi coś do jedzenia, ale to on zadzwonił pierwszy.

– Jest sprawa – oznajmił, zupełnie nie przejmując się tym, że zarwała noc, czekając na wiadomość od niego.

– Gdzie jesteście? Co się stało?

– Znaleźliśmy telefon.

Chłopie, będziesz ojcem, cieszysz się? – pomyślała, ale zapytała tylko:

– I?

– Nie jest dobrze. Porzucili go tam specjalnie. Już wiedzieli, że możemy go namierzyć. Stąd to kluczenie.

Są dwie kreski, kurde, Janek, kochanie, jak strzelisz, to od razu trafiony zatopiony, chciała powiedzieć, ale ton jego głosu zdradzał, że myślami jest daleko od niej.

– Może to czas, żeby sprawę przejęła policja? – zasugerowała.

– Nie, jeszcze nie. Horst chyba zwariowałby ze strachu...

Ciągle Horst i Horst... Chłopie, czy ty wiesz, że masz rodzinę, która cię potrzebuje? Czy myślisz, że samym urokiem osobistym i szczyptą amatorskiego szczęścia możesz wpłynąć na zawodowych porywaczy?

– A więc znaleźliście telefon...

– Właśnie dlatego dzwonię. Znaleźliśmy go na leśnym parkingu, tak jak sugerowałaś, leżał pod stołem, zawinięty w kartkę i przyciśnięty kamieniem, ale to jeszcze nie wszystko...

Halo, chłopie, obudź się, nie jesteś detektywem. Jesteś didżejem w amatorskim radiu i podrzędnym weselnym grajkiem.

Miała to na końcu języka, naprawdę, ale dialogowa konwencja wydawała się nieubłagana.

– Co jeszcze? – spytała.

– Słuchaj, możesz się przejść do banku? Filia jest na rynku, tak?

Nie, błagam, czy ty naprawdę chcesz mi powiedzieć to, co pewnie zaraz mi powiesz?

– Po co?

– Do telefonu załączona była wiadomość. Dla nas. Piszą, że złamaliśmy warunki umowy, że Horst miał przyjechać sam i że z tym telefonem to przegliśmy. I że... – Janek się zawahał. – Napisali, że jeśli chcemy zobaczyć Sirene żywą, musimy trzymać gęby na kłódkę (jakoś tak to ujęli) i dopłacić dwieście tysięcy.

Alicja przestała myśleć. Zalała ją fala złości i oburzenia.

– Co?!

– Horst mówi, że mam nie czuć się zobowiązany, ale on już wyprztykał się z kasy. Sam zaproponowałem...

– Czekaj, czekaj... Czy ja dobrze rozumiem, że oczekujesz ode mnie, że wypłacę resztę pieniędzy, które nam zostały, i dam porywaczom? Czy ciebie, za przeproszeniem, pojebało?

– Jeśli nie zapłacimy, dziewczyna zginie.

– W dupie mam dziewczyny, których nie znam i którym nie ufam. Oszczędzamy, na czym tylko się da, a ty najspokojniej w świecie oznajmiasz, że kasę, za którą mamy kiedyś kupić mieszkanie Rafałkowi, chcesz dać porywaczom? Janek, nie wierzę, że to zaproponowałeś!

– Ja nie wierzę, że możesz być tak bez serca.

– Co? Czy ty w ogóle słyszysz, co do mnie mówisz?

Usłyszała sygnał przerywanej rozmowy. Opadła na kanapę. Złość szybko zamieniła się w bezsilność. Poczowała płynące po policzkach łzy. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie dzień, kiedy jej mężczyzna dowie się, że Rafałek będzie miał rodzeństwo.



Alicja tkwiła na kanapie dobrą godzinę, momentami aż krztusząc się od płaczu. Emocje wylewały się z niej intensywnie jak wiosenna burza. Aż nagle przysłała ulga. Sama nie wiedziała, czy wyplakała wszystkie łzy, czy po prostu jej się znudziło, ale poczuła się pusta. Przyjemnie pusta i wolna. Wstała i zadzwoniła do swojej matki. Głos musiała mieć wciąż zachrypnięty od płaczu, bo matka nie pytając o nic, zgodziła się przyjechać i obiecała, że będzie za dwie godziny. Alicji zrobiło się głupio, że zaprzęta jej głowę swoimi problemami. Wstała, zrobiła sobie kolejną kawę i zaczęła sprzątać mieszkanie. Test ciążowy, który znalazła w łazience, ciągle wskazywał dwie kreski. Spojrzała na swoją spuchniętą twarz.

– Nic z tego, mój drogi – powiedziała głośno, chociaż nie wiedziała nawet, czy adresatem tych słów jest Janek, czy jej własny lęk.

Uśmiechnęła się, a blada twarz o zaczerwienionych oczach odpowiedziała jej w lustrze tym samym. Postanowiła, że zrobi wszystko, żeby kiełkujące w niej życie było bezpieczne.

Po południu spotkali się u Horsta. Wciąż nabuzowana, zawzięta i konkretna, stała na środku salonu, wymachując rękami, a oni siedzieli na kanapie jak trusie, dwóch dorosłych facetów, którzy doskonale wiedzieli, że dali ciała.

– Nie zapłacimy ani grosza więcej – powiedziała Alicja. – To, co powiem, będzie brutalne, ale powtórzę to jeszcze raz: gdyby chcieli ją oddać, to już by oddali.

Zapadła cisza.

– Wiem – powiedział Horst. Wyglądał, jakby chciał się położyć spać. Jego głowa ciążyła ku oparciu kanapy, a powieki się zamykały.

– Rozmawialiśmy o tym w drodze powrotnej – powiedział Janek. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nawet nie pamięta, że kilka godzin temu był gotowy pozbyć się wszystkich oszczędności. – Zrobili nas w chuja. Jeździli z miejsca na miejsce, żeby nas zmylić. Wiedzieli, że ich śledzimy.

– Inaczej nie zostawialiby wiadomości – stwierdziła Ala.

– Właśnie – zgodził się Janek.

– I co robimy? Horst, masz jakiś pomysł?

Stary policjant pokręcił głową. Z jego drugiej młodości został już tylko bardziej płaski brzuch. Przez ostatni tydzień bardzo się postarzał i skurczył.

Ta krętaczka go zamęczy, pomyślała Alicja, ale nie powiedziała tego głośno. Zamiast tego spytała:

– Wspominaliście, że dzwoniście na policję. Zgłosiliście zaginięcie? Zrobią coś z tymi śladami na pontonie?

Horst udał, że nie słyszy, natomiast Janek tylko wzruszył ramionami.

– Do granicy jest niedaleko. Pewnie już uciekli na zachód.

Ależ on ją wkurzał. Patrzyła na niego, doskonale pamiętając o swoim porannym lęku, i wydawało jej się, że to nie ciąża była jego źródłem, ale właśnie on – duży chłopiec, który najpierw rzuca się w wir zdarzeń, a dopiero później myśli o konsekwencjach.

– Oni, czyli właściwie kto? – spytała Alicja, znacząco patrząc na Janka.

– Nie wiemy.

– Dajcie spokój – powiedział Horst. – Żałuję, że zawracałem wam tym głowę.

– Janek, czy chociaż domyślacie się, kim oni są?

Janek zrozumiał, że tak naprawdę Alicja pyta go, czy wspomniał Horstowi o ich wcześniejszych wątpliwościach, o tym, że mają podstawy podejrzewać, że Sirene nie jest tak oderwana od rzeczywistości, jak mógłby sądzić ktoś, kto widzi ją pierwszy raz.

– Skąd mamy wiedzieć – powiedział, siląc się na obojętność.

Wyjął z kieszeni tytoń i zaczął skręcać papierosa.

– Trzeba mu powiedzieć – stwierdziła Alicja, kiedy wkrótce potem znaleźli się na tarasie.

Janek zerknął przez okno w salonie. Horst zasnął na siedząco. Widzieli czubek jego łysej głowy spoczywającej na oparciu kanapy pod nienaturalnym kątem.

– Widzisz, że ledwie się trzyma...

– Janek, szkoda czasu. Mamy pracę, mamy swoje życie i swoje problemy. Jak mu nie powiemy, to do końca życia może karmić się złudzeniami.

– Może nie musi wiedzieć, tak będzie dla niego lepiej.

– A ja myślę, że ma prawo wiedzieć. Porywacze chcieli od was dwieście tysięcy. Mają jego adres, pewnie wiedzą o nim całkiem sporo. A co jeśli kiedyś zażądają, żeby oddał im dom? Albo żeby co miesiąc wpłacał im określoną kwotę? Mogą go zamęczać do skutku, a biedny Horst będzie bulił i modlił się, żeby ona kiedyś do niego wróciła.

Janek wypuścił dym. Spojrzał na basen, który nagle wydał mu się absurdalny. Spojrzał na ścianę lasu, w którym według

opowieści Horsta dwadzieścia lat temu powiesiła się jego córka.

Alicja może mieć rację, pomyślał. Chyba lepiej spojrzeć prawdzie w oczy, niż żyć w otoczeniu duchów.

Przytulili się i weszli do środka. Dochodziła piąta po południu, ale było jeszcze całkiem jasno. Alicja zrobiła trzy kawy. Ustawiła je na ławie i dyskretnie trąciła Horsta w ramię.

– Może masz rację z tym, że niepotrzebnie się w to zaangażowaliśmy – powiedziała, łowiąc spojrzenie jego ledwie otwartych oczu. – Ale zanim pojedziemy do domu, chcemy z tobą porozmawiać o opcji, którą sprawdzaliśmy przez ostatnie dni.

Horst potrzebował tylko kilku sekund, żeby oprzytomnieć.

– Pewnie próbowaliście się czegoś o niej dowiedzieć – stwierdził. – Możemy o tym porozmawiać. Słucham.

Janek musnął stopę Alicji, a kiedy na niego spojrzała, znacząco kiwnął głową. „Ty zacznij”, mówił ten gest.

– Nie było to żadne śledztwo ani nawet profesjonalny research – zaczęła. – Po prostu wyszliśmy od opcji, którą każdy trzeźwo myślący gliniarz wzięłby pod uwagę...

Opowiedzieli mu o swoich podejrzeniach. O tym, że ojciec Sirene był oskarżony o oszustwo ubezpieczeniowe. O tym, że Helena Bednarek, zanim uszyła sobie syreni ogon, została dobrze ubezpieczona.

– Może wiedziała, że w oceanicznych głębiach czai się mnóstwo niebezpieczeństw – skomentował Janek.

Powiedzieli Horstowi o wizycie u jej matki, która niezbyt przejęła się zniknięciem córki, i o tym, że z jej telefonu wykasowano historię znajomości z niejakim Piotrusiem. Ostatnie wiadomości, które ze sobą wymieniali, nie świadczyły o tym, że uczucie się wypaliło.

– Wspominała kiedyś o nim? – spytała Alicja.

Horst zapadł się w oparciu kanapy. Jego poorana zmarszczkami twarz była niewzruszona jak grecka maska.

– Wspominała – powiedział. Zawsze mówił spokojnie, ale teraz jego głos był cichy, jakby dobiegał gdzieś z dna studni. – Wspominała też o Bogdanie, Pawle, Janku, Patryku... Gdybyśmy skupiali się na takich sprawach, to pewnie nie mielibyśmy czasu dla siebie.

Janek zauważył, że słowa „takie sprawy” wypowiedział inaczej. Był doświadczonym śledczym, oglądał ofiary morderstw i gwałtów, ale w opowiadaniu o swoich uczuciach był całkowicie bezradny.

– A wspominała o swojej matce? Jaki miały kontakt?

– Dzwoniły do siebie – powiedział Horst. – Trajkotały o bzdetach i aktualnościach. Jej matka mieszka sama, więc ma sporo czasu... Nic podejrzanego.

– Gdzie mieszkała Sirene, zanim ją poznałeś? – spytał Janek, nie przejmując się tym, że brzmi to dość niegrzecznie.

– We Wrocławiu.

– Sama?

– Nie wiem.

– Nie pytałeś?

Alicja dostrzegła, że Horst zmarszczył brwi. Najwidoczniej był na granicy wybuchu.

– Dobra, mniejsza z tym – powiedziała. – Nie mamy zbyt dużo czasu. Musimy skupić się na rzeczach najistotniejszych. Nie musisz odpowiadać od razu. Dobrze się zastanów, okej?

Horst westchnął ciężko. W jego przypadku znaczyło to, że rozumie.

– Czy Sirene wspominała o swoich planach? Może zdarzyło jej się napomknąć o ulubionym miejscu albo mieście, do którego zawsze chciała pojechać?

Horst milczał przez dłuższą chwilę. W końcu odpowiedział.

– Zastanawiałem się już nad tym. Uwielbiała wodę. Twierdziła, że dopiero w pobliżu wody czuje się naprawdę sobą. Marzyła o basenie i była wniebowzięta, kiedy nam go wybudowali. Nie wyglądała jak ktoś, kto się dokądkolwiek wybiera.

Alicja i Janek wymienili spojrzenia.

– Linia brzegowa mórz i oceanów, do których można dojechać w ciągu doby, to tysiące kilometrów – zauważył Janek, kiedy znaleźli się sam na sam. – Możemy tak się bawić bez końca.

– Nie wzięła swojego ogona – powiedziała Alicja.

– Jest jeszcze za zimno – półzartem stwierdził Janek.

Alicja uśmiechnęła się do niego. W końcu zaczął dostrzegać, że Meluzyna, jak nazywała ją w myślach, przypomniawszy sobie postać z *Podróży pana Kleksa*, jest dość groteskowa. Jak czterdziestoczteroletnia kobieta może zmieniać sobie imię na infantylne Sirene i święcie wierzyć w to, że tylko w pobliżu wody może odnaleźć szczęście?

– Może lepiej iść tropem pieniędzy? – zauważyła trzeźwo.

– I tak kręcimy się w kółko.

Wrócili do salonu.

– Horst, czy możesz przypomnieć sobie waszą ostatnią kłótnię? Wspominałeś jej o intercyzie, prawda?

– Chyba nie – powiedział Horst.

– Widzisz, Ala, to na nic.

Janek miał już tego dosyć. Im dalej od uprowadzenia, tym bardziej zatarty stawał się każdy ślad i każde wspomnienie. W taki sposób nie znajdą niczego, czego mogliby się chwycić.

– To o co się pokłóciliście?

Horst spojrział na Alicję zniechęcony. Też zdawał sobie sprawę z tego, że tracą czas.

– Wspomniałem o tym, że robię się stary i pewnego dnia może mnie zabraknąć, a Sirene prawie się rozplakała.

– Wzruszające.

– Janek, zamknij się. Horst, przypomnij sobie każdy szczegół. Co dokładnie jej powiedziałaś?

– Wspomniałem o Salomei, że muszę zabezpieczyć wnuczkę i trzeba uregulować pewne sprawy. Jakoś tak się wyraziłem. Nie pamiętam dokładnie.

Janek był coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Mówiłem, że to na nic – stwierdził. – Nawet jakby Horst powiedział jej, że zostanie bez grosza, to nie zdążyłaby zaplanować porwania w jeden dzień. Nikt nie planuje swojego porwania, bo obraził się na partnera.

– Zdziwiłbyś się. Ale masz rację. Musiała planować to już wcześniej.

– Tak, a o ucięciu palca marzyła co najmniej od liceum.

– Przestańcie. – Horst miał serdecznie dosyć tej dwójki amatorów. Stracił kobietę swojego życia, a oni urządzają sobie zabawę w detektywów. – Robi się późno. Jak coś się wydarzy, dam wam znać.

– Wyganasz nas?

– Jest zmęczony i ma rację. – Alicja chwyciła Janka za rękę. – W ten sposób niczego nie wymyślimy.

– Ale...

– Chodź, jedziemy. Trochę odpoczynku powinno dobrze nam zrobić. I Horstowi.

– Pierwszy raz to ty namawiasz mnie, żebyśmy jechali do domu – zdziwił się Janek.

Nie zauważył, że Horst, jak zwykle czujny, przyjrzał się uważnie twarzy jego dziewczyny.

– Jestem zmęczona. Horst pewnie też.

– Jedźcie, nie przejmujcie się mną – powiedział, ostentacyjnie ziewając.

Janek milczał, zerkając na Alicję. Był przemęczony i nie miał trzeźwego osądu, ale ewidentnie coś było nie tak. Alicja myślami błądziła gdzieś obok. Patrzyła też jakoś dziwnie.

– Nie lubię tej miny – bąknął Janek i ruszył w stronę wyjścia.

– Nie musisz – odparła Alicja i uściskała Horsta, który wciąż siedział na kanapie.

– Jestem w ciąży – szepnęła mu do ucha. Sama nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Może po prostu musiała komuś powiedzieć.

Horst objął ją i przycisnął do siebie, mocno i długo, jakby nie zamierzał jej wypuszczać. Miała ochotę się rozplakać, ale tym razem udało jej się powstrzymać emocje.

– Będzie dobrze – powiedział Horst.

– Tego się trzymajmy. – Alicja przetarła oczy i ruszyła do wyjścia.

– Pewnie, że będzie dobrze – powiedział Janek i otworzył drzwi. – Chodź, Ala. A ty pamiętaj, staruszkule, jak będziesz czegoś potrzebował, od razu dawaj znać.

– Dzwon śmiało i trzymaj się – dodała Alicja z dość smutnym uśmiechem.

Horst kiwnął im ręką na pożegnanie. Nadal tkwił na kanapie, pogrążony w myślach, ale kiedy przekroczyli próg, wstał i podreptał do kuchni. Do czerwonego kubka nasypał trzy łyżeczki rozpuszczalnej kawy. Miał dużo do zrobienia.



Łódka, w której siedziało dwóch rośliych mężczyzn, dobiła do brzegu sto metrów od miejsca, gdzie ukryła się Sirene. Ich sylwetki szybko zniknęły za drzewami. Słyszała tylko ich ciche przypominające warknięcia szepty. Chyba przez chwilę kłócili się o kierunek, w którym pójdą. Odgłosy oddalały się, co znaczyło najpewniej, że ruszyli wprost przed siebie.

Umysł Sirene mimo zamroczenia alkoholem działał na najwyższych obrotach. Faceci nie byli z policji ani nie przyплыnęli tutaj, żeby ich szukać. Gdyby tak było, ruszyliby w jej stronę, gdyż wszystkie wydeptane niegdyś ścieżki prowadziły do budynków w południowej części wyspy. W przyплыwie paniki zapragnęła ostrzec Piotrka, zabarykadować drzwi i obserwować okolice przez łazienkowe okno, ale zdołała uspokoić myśli. Było ciemno, a faceci nie wiedzieli o jej istnieniu. Gdyby zbliżyli się na niebezpieczną odległość, mogła zejść ze skarpy i przycząić się pod nią. Miała nadzieję, że nie będzie musiała tego robić, bo teraz woda rozbijała się o korzenie z nieprzyjemnym chlustem, który nie miał w sobie nic z romantycznej wizji. Zimny plusk czarnej toni, nic przyjemnego.

Cień drzew, który otulił ją ze wszystkich stron, był gęsty i nieprzenikniony. Księżyc schował się za chmurami. Przywarła do pnia i postanowiła nie ruszać się stąd, dopóki nie odpłyną. Co tutaj, do cholery, robią? I kim oni są? Przełamując strach, wyjrzała zza drzewa.

Faceci stali na końcu dawnej ścieżki, rozglądając się na wszystkie strony. Dwie ubrane na czarno postaci. Każda dużo potężniejsza od Piotrka. W ręku jednego z nich dostrzegła obły przedmiot, pewnie torbę, podczas gdy drugi niósł na ramieniu narzędzia. Kiedy obrócili się plecami, zobaczyła dziwny kształt, który zakrzywił się jak słoniowy kieł.

Kilof, pomyślała Sirene. Chcą coś zakopać?

Sylwetki mężczyzn zniknęły pośród zarośli, ale słyhać było ich głosy. Najwyraźniej poczuli się swobodnie.

– Muszę się odlać – powiedział jeden. – Czekał tu.

Sirene walczyła ze strachem. Zgubiła ich z oczu, a bardzo chciała wiedzieć, co robią. Najciszej, jak zdołała, przeszła kilkanaście metrów. Zobaczyła łódkę, którą przyплыnęli. Zaczumowali w pobliżu miejsca, w którym zaledwie kilka godzin temu Piotrek ukrył ich łódkę.

Zakradła się kolejne kilkanaście metrów. Nagle przeszedł ją dreszcz.

Facet, którego głos słyszała przed chwilą, stał całkiem niedaleko. Słyszała jego ruchy, trzeszczenie jego skórzanej kurtki. Sparaliżowana strachem, patrzyła, jak wyciąga coś z kieszeni, jak mocuje to do drzewa, pomagając sobie gwoździem i kamieniem.

– Glaca, kurwa, co ty tam robisz? – dobiegło z oddali.

– Czekał, szuszwolu. Idę. – Facet przeszedł kilka kroków i ponownie się pochylił. Znowu majstrował przy pniu na wysokości ludzkiej łydki. – Jeśli spróbujesz otworzyć zamek, to cię usłyszę.

– Pierdol się. To sam sobie tachaj tę torbę.

Sirene uświadomiła sobie, że facet nazwany Glacą zamontował jakąś pułapkę, o której nie wie jego kompan.

Zastygła, wtulona w pień drzewa.

Facet odszedł w kierunku kolegi.

Słyszała ich ściszone słowa. Słyszała dźwięk wbijanego w ziemię kilofa i szybko pracującej łopaty.

Postanowiła skorzystać z okazji i wrócić na miejsce, z którego mogła widzieć ich łódkę. Chciała upewnić się, że wracają bez torby i odpływają tam, skąd przybyli. Oglądając się za siebie, zakradła się w cień starego dębu tuż nad jeziorną skarpą. Plecami oparła się o drzewo. Patrzyła na nieliczne gwiazdy, próbując odmierzać czas.

Doliczyła się piętnastu minut, kiedy usłyszała zbliżające się kroki.

Wyjrzała.

Faceci wyłonili się zza drzew. Na dnie łodzi położyli łopatę i kilof. Już mieli do niej wsiadać, kiedy jeden z nich rozejrzał się po okolicy.

Sirene z całych sił wtuliła się w drzewo. Nie widziała ich, bała się spojrzeć, ale głosy przybyszów wydały się niebezpiecznie bliskie.

– Co robisz? – pytał jeden z nich.

– Nie widziałem tego, kiedy tu przyплыliśmy. Ktoś dobrze ją ukrył.

Rozmawiają o naszej łódce, pomyślała Sirene i poczuła, że pocą jej się dłonie.

– Myślisz, że ktoś tu jest?

Sirene nie usłyszała odpowiedzi. Słyszała za to łomot własnego serca.

– Musimy sprawdzić.

– Co?

– Musimy przeszukać wyspę. Jeśli ktoś nas widział...

– Kurwa, Glaca, ty tak poważnie?

Glaca, powtórzyła w myślach Sirene.

– Chcę się tylko upewnić.

– Wsiadaj do tej jebanej łódki i spierdalajmy stąd. Sam mówiłeś, że tu kasa jest bezpieczna jak u mamy.

– Ja nie mam mamy...

Rozmowa ucichła.

Sirene walczyła z pokusą, żeby co tchu pobiec do Piotrka. Nie widziała ich i nie słyszała. Czuła za to woń ich potu.

– Tylko się upewnię... – Głos był całkiem wyraźny. Dobiał zza sąsiedniego drzewa, nie dalej jak dziesięć metrów od niej.

Oddychaj, myślała przerażona, po prostu oddychaj...

Księżyc wyłonił się zza chmur.

– Stary, kurwa, jak chcesz, to tu zostań, ja wracam.

– Zaczekaj.

– Co zaczekaj?

– Daj mi kilof.

– Po co ci kilof, do chuja...

– Zamknij ryj i dawaj kilof.

Chce mnie zabić, pomyślała Sirene.

Obróciła się. Zaciśnęła pięści. Zabandażowany palec zabolął tak, że nieomal krzyknęła. Wtedy zobaczyła coś, co powinna dostrzec od razu. Głupi błąd, który może dużo kosztować. Cień jej głowy odbijał się na ścieżce. Jest ciemno, myślała, z trudem łapiąc oddech, to tylko kawałek czerni pośród ciemnej szarości, prawie niewidoczna zmiana, takie nic. Wmawiała sobie to

wszystko, próbując zaczerpnąć powietrza, ale płuca odmawiały jej posłuszeństwa.

Tylko nie krzycz, prosiła samą siebie. Błagam cię, nie krzycz.
Słyszała zbliżające się kroki.

Kroki, szelest sitowia i plusk.

– Glaca, kurwa, czegoś ty się naoglądał? Spierdalajmy już!

– Chwila.

Rozległ się zgrzyt dziurawionej blachy.

Zatapia naszą łódkę, pomyślała Sirene, czując, że sama już nie wie, czy łzy, które pociekły jej po policzkach, są łzami przerażenia czy ulgi.

– Chodź tu, do chuja, bo odpłynę sam.

– Już...

Przez chwilę było zupełnie cicho. Tak cicho, że Sirene rozpoznała odgłos bąbelków dochodzący z miejsca, gdzie jeszcze niedawno ukryli łódkę. Potem usłyszała plusk wiosła i niosący się po wodzie głos.

– Ta łódka wydała mi się podejrzana...

– Mogła tu stać od kilku lat.

– Mogła.

– Na ile dokładne są te współrzędne?

Sirene nie słyszała dalszej rozmowy, bo niemal biegiem ruszyła w stronę domku. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Miała ochotę śmiać się i płakać, ale przede wszystkim oddychać. Oddychać i działać.

– Piotrek! – krzyknęła, szarpiąc go za ramię.

– O rany, przecież jest środek nocy...

– Wstawaj! Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło...

Dwadzieścia minut później stali nad wrakiem swojej łódki.

– Mówiłam ci, że to prawda.

– Mówiłaś. – Przytulił ją. Ciągłe się trzęsła. – A jeśli to prawda, to? – Piotrek w geście triumfu podniósł łopatę. Jego oczy się śmiały. Wyglądał jak mały chłopiec, który właśnie przeżywa przygodę swojego życia.

– Chodź! – Chwyliła go za rękę. – Musimy zobaczyć, jaki prezent nam zostawili!

Biegli ścieżką, która najpierw prowadziła równolegle do brzegu, a potem zaczynała kluczyć pośród starych drzew. Dawny szlak zarósł trawą i mchem, ale ziemia ciągle była ubita i z łatwością można było lawirować między ogromnymi pniami dębów.

Byli już na północnym cyplu, kiedy Sirene szarpnęła go za rękę tak mocno, że niemal stracił równowagę.

– Stój!

Nie wiedział, o co jej chodzi. Nigdy nie słyszał, żeby krzyczała w ten sposób.

Sirene podniosła zabandażowaną dłoń i wskazała nią w kierunku ledwie widocznej ścieżki. Byli niemal dokładnie w miejscu, w którym jeden z drabów zatrzymał się na dłużej.

– Patrz – powiedziała Sirene, a jej dłoń poruszyła się z lewej na prawą, przecinając drózkę.

Teraz oboje zobaczyli coś, co w mdłym świetle brzasku wyglądało jak pajęcza nić; było cienkie, długie i metalicznie błyszczało.

– Co to jest? – spytał Piotrek. Wstał i ostrożnie podszedł do drzewa. Na pniu przymocowano granat. Zapalnik łączył się z metalowym drutem, o który prawie zaczepili. Na myśl, że mogli spowodować wybuch, zakręciło mu się w głowie.

– Co za skurwiele! – powiedział. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Przecież jakby ktoś przypadkiem...

– Nie spodziewali się przypadkowych gości – stwierdził Piotrek. – Jeden spodziewał się, że drugi będzie chciał tutaj wrócić.

– Ale przecież...

– Chodź, mała. – Wziął ją za rękę.

Bez trudu natrafili na miejsce, w którym świeża ziemia została przykryta darnią i kilkoma gałęziami, ale ślady wokół niej nie pozostawiały wątpliwości, że to właśnie tutaj ukryli to, co przynieśli.

– Tylko ostrożnie – powiedziała Sirene, kiedy Piotrek uprzętnął darń i wbił łopatę.

Ziemia była miękka, a on nie musiał kopać głęboko. Niebawem natrafił na czarną folię, pod którą ukryto jakiś przedmiot.

– To chyba to – powiedziała Sirene. – Jeszcze trochę.

Piotrek przekopał kolejny kawałek i rozgarnął ziemię.

– Torba. – Podniósł zawiniętą w folię sportową torbę. – Miałaś rację!

– Otwieraj!

Otworzyli.

– Nie wierzę! – krzyknął Piotrek.

– Jesteśmy bogaci! – zawołała Sirene, patrząc to na Piotrka, to na otwartą torbę wypchaną paczkami banknotów owiniętych banderolami.

Miała rację. Przed nimi leżały ponad dwa miliony złotych.

IV PIOTREK



W rodzinnych stronach Piotrka było takie powiedzonko: „Nie poznałem cię, będziesz bogaty”. Teraz, kiedy jego palce zmęczone były liczeniem kolejnych plików pełnych dwustuzłotówek, stwierdził, że może to i prawda.

Jakiś miesiąc temu spotkał znajomego, Grubego Micha, z którym widzieli się ostatnio z dziesięć lat temu. Wtedy obaj byli studentami drugiego roku wrocławskiej polibudy. Gruby wydawał się go nie dostrzegać, chociaż impreza odbywała się w bardzo ciasnym mieszkaniu, tak małym jak te, w których żłopali piwo w czasie studiów. Siedzieli nie dalej niż trzy metry od siebie, a on go i tak nie poznał. Piotrek pomyślał, że to dobry znak.

Na polibudzie nikt, łącznie z nim samym, nie spodziewał się, że ze zdolnego informatyka przeobrazą się w niechlujnie ubranego kolesia, że jego dłonie pokryją tatuaże, a ozdobione koralikami włosy będą wyglądały tak, jakby uderzył w nie piorun. Nawet wykładowcy obstawiali, że w przyszłości będzie szefował działowi cyfrowego bezpieczeństwa w jednej z wrocławskich firm, bo zawsze lepiej od innych potrafił znaleźć luki w systemie, a jego umysł analizował setki danych na sekundę. Wszystko zmieniło się nagle. Jednego dnia, a właściwie to nawet jednego wieczoru. Piotrek do końca życia zapamięta datę, kiedy jego osobowość wzięła rozbieg i skoczyła z najwyższego piętra, a potem zadziwiona patrzyła, jak wyrastają jej skrzydła. To był piątek trzynasty kwietnia dwa tysiące dwunastego roku, kolejny początek kolejnego

wrocławskiego weekendu. Domówka w oczekiwaniu na prawdziwą wiosnę. Byli starzy znajomi, był Gruby Michu, który nie pozna go za dziesięć lat, i trochę nowych ludzi – dwie laski z filozofii i Słoweniec w długich dredach, który na dzień dobry skręcił wielgachnego jointa. Piotrek miał sporo pracy, więc chciał tylko wypić piwo, a potem miał wsiąść na rower i pojechać na stację, gdzie czekał na niego nieskończony uczelniany projekt i piąta część *Cywilizacji*. Piwo już wypili, a jego suszyło nadal, pewnie przez solone orzeszki, których zjadł całą puszkę. Siedzący tuż obok Słoweniec miał lemoniadę. Spytałby go, czy może, ale ten akurat gdzieś zniknął. Suszyło, a lemoniada była ledwie napoczęta...

Wziął kilka łyków. Potem jeszcze kilka. Była słodka i smaczna, nie miała dużo gazu. Jak się będzie czepiać, to odkupię, pomyślał i wypił pół butelki.

Jego plany szybko wzięły w łeb, bo Słoweniec wrócił z kibla, spojrzął na butelkę, potem na Piotrka i wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– Piłeś tę lemoniadę? – zapytał, podstawiając mu butelkę pod nos.

– Tak, a co?

– Rozpuściłem w niej LSD. Dużo LSD.

Gościu trochę panikuje, pomyślał Piotrek, który najspokojniej stwierdził, że nic nie czuje.

– Wyrzygaj, póki możesz – poradził zdenerwowany Słoweniec.

Piotrek stwierdził, że nie lubi rzygać, a dragi na niego nie działają. Czekali pięć, potem jeszcze dziesięć minut. Nic.

– Mówiłem ci, dragi na mnie nie działają. Tak już mam – stwierdził Piotrek.

– Może zwietrzało – burknął Słoweniec.

Piotrek pożegnał się i wyszedł. Pojechał nad Odrę. Przypiął rower do płotu i czekał na kolejkę linową, która znacznie skracała drogę do domu. Coś było nie tak.

Wezmę go jutro, pomyślał, przypominając sobie o lemoniadzie i przerażonych oczach chłopaka z dredami, który mówił po polsku z zabawnym akcentem. Pomyślał, że Słoweniec przesadzał, ale właśnie poczuł, że odbiera świat trochę inaczej. Rzeka szumiała wyjątkowo głośno, a wiszący na ścianie regulamin przypominał bardziej runy niż alfabet łaciński. Wsiadł do kolejki, czując, że jego oddech przyspiesza. Kolejka ruszyła, ale tym razem jechała zupełnie inaczej. Zaczęła się huścić na boki jak w wesołym miasteczku. Piotrek patrzył na to urzeczony, mając wrażenie, że gdyby wystawił rękę przez okno, dotknąłby Odry. Odry a potem gwiazd. Odra-gwiazdy, Odra-gwiazdy.

Wow, pomyślał, nie mając pojęcia, w jaki sposób udało mu się z niej wyjść. Szedł w stronę zoo, ale miał wrażenie, że jest już w środku, bo wymalowane na płocie zwierzęta ożyły i akurat rozbiegały się po mieście. Antylopy, wilki, strusie przebiegały koło niego, zostawiając ślady w postaci świetlistych smug. Latarnie błyszcząły jak na obrazach van Gogha, a samochody były jak zgrzyt zakłócający harmonię. Położył się na wilgotnej ławce i patrzył na to wszystko z uśmiechem na twarzy. Przyszedł do niego błękitny archanioł, gadające drzewo, a potem sam Bóg pod postacią faceta w brudnej kurtce. Rozmowa z tym ostatnim była jak olśnienie. Piotrek leżał, urzeczony i szczęśliwy, a potem miał wrażenie, że tych kilka godzin spędzonych na ławce trwało dłużej niż całe jego dotychczasowe życie.

Wkrótce okazało się, że do narkotykowych olśnień można wracać. Zmienił towarzystwo. Zmienił zwyczaje. W końcu zmienił też studia. Ktoś niewtajemniczony pewnie powiedziałby, że je rzucił, ale Piotrek wiedział, że otwarty na oścież świat to najlepsza uczelnia. Zaczął podróżować, grać na bębnach i eksperymentować z dragami. Żył ze sprzedaży oprogramowania. AutoCAD, Lightroom, Word, zdobycie kodów okazało się dziecinnie łatwe, a internetowa sprzedaż była całkiem opłacalna i właściwie poza kontrolą.

A najlepsze nadeszło, kiedy poznał Sirene. Była starsza o dwanaście lat, ale tego właśnie było mu trzeba. Sirene miała szalone pomysły i ogromny temperament. Gdyby swoje łózkowe umiejętności mógł mierzyć w jakimś w specjalnym programie, to skromnie przyznałby, że osiągnął mistrzostwo. Mógł z nią robić wszystko i wszędzie, co dawało nieskończoną liczbę kombinacji. Ależ kochał tę szaloną artystkę!

To właśnie teraz spojrzał w jej zielone oczy, kiedy skończył liczyć pieniądze, które zajmowały każdy centymetr niewielkiego pokoju.

– Dwa miliony dwieście dwadzieścia – powiedział z lekkim niedowierzaniem.

– Jeśli dodamy do tego kasę od Horsta, to wyjdzie, że mamy...

– Ponad trzy miliony!

Kompletny absurd. Jakby znaleźli się w filmie, w którym ktoś bez ich wiedzy obsadził oboje w głównych rolach. Piotrek wznosił rękę, w której ścisnął plik dwusetek i rozrzucił je jak konfetti. Sirene poszła w jego ślady. Dosłownie tarzali się w forsie, całowali, a potem kochali, chichocząc, jak para nastolatków.

– Wymięte nie wzbudzą podejrzeń – powiedziała Sirene, rozkładając ręce.

– Jak my to przewieziemy? – Piotrek nie przestawał prężyć się nad jej rozciągniętym na podłodze ciałem. Uwielbiał patrzeć na jej falujące piersi i zachodzące mgłą oczy.

– Schowamy do toreb. Ile się da. W Niemczech zamienimy na euro. Znam jeden kantor. O tak! Facet nie zadaje pytań. Tak... Dwieście tysięcy... Tyle potrzebujemy na dom... Mówiłeś o... Piotruś... O kupnie samochodu... Kupimy ciuchy. Mocniej! Najlepsze wino... – Sirene przygryzła dolną wargę. Z trudem łapała oddech. – Piotruuuuśś... – jęknęła, wyginając plecy. – Będziemy mieszkać... Nad brzegiem oceanu!

Pięć minut później Piotrek opierał głowę na jej udzie, rozglądając się po pokoju.

– Nie jesteśmy w stanie wydać nawet połowy – powiedział.

– Tym lepiej. Będziemy wydawać po trochu przez kilka najbliższych lat. Nawet dobrze, że nie mamy więcej, bobyśmy się zanadto rozleniwili. – Sirene zakręciła się i wyciągnęła spod siebie zawilgotniałą stówę, która przylepiła jej się do tyłka. Obejrzała ją pod światło, uśmiechając się do Władysława Jagiełły. – Mamy kilka lat na swoje projekty. Założę studio jogi i będę malować. A ty?

– Zawsze marzyłem o projektowaniu wnętrz. Nie od podstaw. W tym są lepsi ode mnie. Ja zbierałbym pomysły i robił wizualizacje.

– Brzmi nieźle.

Przez okno wpadało kwietniowe słońce, które prześlizgiwało się po ich ciałach.

– Brakuje mi muzyki – powiedział Piotrek.

– A mnie łódki.

Zaśmiali się. Wiedzieli jednak, że kilka spraw domaga się szybkiego uzgodnienia.

– Musimy schować forszę.

Sirene pomyślała chwilę.

– Ta zjadana przez korniki willa powinna się nadawać – powiedziała.

– A co z twoją mamą? – Piotrek nie patrzył na Sirene, ale miał wrażenie, że zestresowana, napięta mięśnie.

– Napisała mi, żeby na nią nie czekać. Ktoś ją śledzi.

Piotrek podniósł się i spojrzał w jej oczy.

– Kto? Policja?

– Nie mówiła.

– Skurwiele... Musimy czekać, aż ktoś przyplynie.

– Wiem.

Patrzyli na zapleśniały sufit. W tej chwili wydawał się jedyną przeszkodą na drodze do nieba, którego właśnie posmakowali.

– I tak jest lepiej, niż się spodziewaliśmy – powiedział Piotrek. Przeciągnął się. Kiedy natrafił dłonią na banknoty, zaczął je przesypywać jak znudzone dziecko.

Sirene pogłaskała go po głowie.

– Wiem, kochanie. Wszechświat nam sprzyja.

Piotrek przewinął się po niej wężowym ruchem. Po chwili przytulał jej piersi i patrzył w oczy. Pocałowali się.

– Kocham cię, Syrenko.

– Kocham cię, Króliczku.



Przez ostatnie dni Horst cierpiał, gubił się w domysłach, ale nie zamierzał siedzieć beczynnie. Zaczął od obserwatorów profilu Sirene, których Instagram podawał mu jak na tacy. Analizował opisy, zdjęcia, miejsca pobytu, wszystko, co mogło być jakąkolwiek wskazówką. Długo nie znajdował nic, co okazałoby się przydatne. Ani śladu kogoś, kto kojarzyłby mu się z porwaniami dla okupu czy zabawy. Nie znalazł też profilu niejakiego Piotrusia. Wyszukiwarka również milczała na jego temat. Horst nadal nie wiedział, jak wyglądał facet, który mógł w zimie romansować z Sirene.

Było już po północy, chciało mu się spać, ale gonitwa myśli ani na moment nie zwalniała.

– Piotruś... – szeptał Horst głosem opętanego z nienawiści czarownika. – Jak ty w ogóle wyglądasz, szczyłu?

Horst zamiast snu wybrał wypicie kolejnej kawy. Są takie noce, kiedy sen nie przychodzi. Trudno. Podkręcił ogrzewanie, włożył najgrubszy ze swoich swetrów i ponownie przechadzał się po salonie, intensywnie myśląc.

Pomysł, który wpadł mu do głowy, wydawał się godny uwagi. Horst ponownie poczłapał do komputera, który tym razem zaniósł do gabinetu. Tam podłączył laptop do dużego monitora i wyjął z szuflady przenośny dysk. Miał na nim dziesiątki folderów z fotografiami, większość z nich była już obrobiona w Lightroomie. Szybko znalazł ten oznaczony jako „festiwal wody”. Przerzucał zrobione wtedy zdjęcia, przyglądając się

uśmiechniętym ludziom w kolorowych strojach, chłopcom, dziewczętom, kobietom w różnym wieku, z dziećmi i bez.

Na kilku fotografiach była Sirene. Uśmiechała się do obiektywu, batikowa błękitna bluzka zsuwała się jej z ramion, dłonie tańczyły, a przykryte cienką warstwą materiału piersi skusiłyby każdego. Znał te zdjęcia na pamięć. Każdy ich szczegół. Uśmiech jego późniejszej wybranki był naprawdę uroczy. Teraz bardziej interesowało go co innego. Zdjęcia, które odrzucił we wstępnej selekcji. Nie zapisał ich, więc sięgnął do pudełka z kartami pamięci, a potem wkładał do komputera każdą z nich. Większość była sformatowana, ale ta ze zdjęciami z jesiennego festiwalu jakimś cudem ocalała. Horst wgrał na komputer całą ówczesną reporterską pracę.

Przeglądał teraz jedno po drugim, dokładnie analizując tło i postać każdego człowieka, który siedział albo leżał pośród orientalnych dekoracji. Dość szybko dostrzegł Sirene. Rozmawiała z dziewczyną w pióropuszu, obok nich usiadło kilka osób.

To nie to, pomyślał Horst i pracował dalej.

Po jakimś czasie znalazł zdjęcie, którego szukał. Na pierwszym planie był zonglujący piłkami mężczyzna, a za nim, przy stoliku, siedziała Sirene. Jej dłoń spoczywała na kolanach odwróconego bokiem chłopaka. Czerwone szarawary, bordowa kamizelka i naszyjnik na nagiej piersi. To musiał być on. Horst na kilku następnych zdjęciach widział go dokładniej, ale samego, bez Sirene, dlatego trudno go było znaleźć, ale to z całą pewnością facet, z którym przyjechała. Bordowa kamizelka była dość charakterystyczna.

– Jesteś – westchnął Horst, robiąc powiększenie jego twarzy.

Ładny uśmiechnięty chłopiec z wiecznie rozczochranymi włosami.

– Piotruś – wyszeptał Horst.

Do znalezienia go było jeszcze daleko, ale tym akurat się nie martwił. Potrafił być systematyczny. I ciągle miał dostęp do policyjnej bazy danych.



Nadchodził wieczór. Glaca włożył pistolet za pasek i wysiadł z samochodu. Z bagażnika wytaszczył łopatę i wiosła, a potem ruszył w kierunku łódki. Była tam, gdzie ją wczoraj zostawili. Kiedy do niej wsiadł, zakołysała się i zanurzyła głębiej. Wiosłami odepchnął się od brzegu i ruszył w kierunku wyspy.

Płynąc, myślał o Fitym. Kiedy odkryje, że został oszukany, wpadnie w szal. Glaca wiedział przecież, że to Fity zadźgał dwóch gliniarzy. Zrobił to z zimną krwią. A jeszcze niedawno miał go za mięczaka...

Potem zataszczyli ciała do sypialni i zdjęli swoje zakrwawione ciuchy. Umyli się, przebrali i najspokojniej w świecie wyjechali z miasta. Przypominał sobie jego minę, kiedy powiedział mu, że kasę wezmą najwcześniej jesienią. Wydawało mu się, że w tej twarzy coś drgnęło. Ledwo dostrzegalny grymas i milczenie trwające o sekundę za długo. Najwyraźniej Fity też myślał o tym, żeby zagarnąć szmal dla siebie. Glaca dostrzegł to w jego twarzy i nie zamierzał czekać. Potajemnie spakował rzeczy, wsiadł do samochodu i znalazł się tutaj, na jeziorze, w pół drogi do Wyspy Edwarda, która w promieniach zachodzącego słońca wyglądała na oazę spokoju.

Noc była prawie bezwietrzna. Fale rozbijały się o burty z usypiającym spokojem. Glaca dobił do brzegu i przycumował łódkę. Wziął łopatę i ruszył w kierunku północnego cypla.

Pierwszym niepokojącym sygnałem był brak metalowej linki, którą rozciągnął w poprzek ścieżki. To wydawało się genialne w swej prostocie. Gdyby ktoś tutaj łaził – Fity, któryś z jego

kumpli albo ciekawskie dzieciaki – wyleciałby w powietrze. Media obiegłaby informacja o facecie, który zginął od wybuchu granatu. Dość czytelny sygnał, że kasa jest zagrożona. Wtedy zrobiłby to, co zamierzał zrobić teraz. Dopłynąłby tutaj i przeniósł ją w bezpieczniejsze miejsce. Ale tego cholernego granatu nie było! Zrobił kilka kółek, dokładnie sprawdzając każde drzewo, ale po jego pułapce nie było nawet śladu. Podniosło mu się ciśnienie, ale najważniejsza była kasa.

Grunt to znaleźć miejsce, gdzie ją zakopaliśmy, pomyślał, patrząc w mapkę na telefonie.

Dotarł do niego po kilku minutach. Wyschnięta gałąź tkwiła dokładnie tam, gdzie wczoraj została wetknięta, ale złe przeczucie go nie opuszczało. Przesunął ją, uprzętnął kwadrat ziemi o szerokości metr na metr i zaczął kopać.

Przerzucił kilka metrów ziemi, zasapał się, ale nie znalazł ani śladu torby, ani czarnej folii, w którą była zawinięta.

Kurwa, niech to szlag, pomyślał, nie przestając kopać. To na pewno było tutaj.

Przed sobą miał drzewa, które oglądane z tego miejsca tworzyły coś w rodzaju wąskiego „H”. Dokładnie tak jak wczoraj. Mapa też była dokładna. Może gdyby dotarł tutaj za rok, nie byłby tego taki pewny, ale przecież był tutaj wczoraj. Gdzie jest ta jebana torba?!

Fifty? Glaca pomyślał o kumplu, bo dobrze wiedział, że jeśli chodzi o kasę, to nie można ufać nawet rodzonemu bratu.

Nie, to nie on, stwierdził. Przez cały czas miał go na oku. Fifty mieszkał u niego. Dzisiaj pojechał załatwić lewe papiery, ale nawet gdyby zamiast tego pognął na wyspę, to pewnie by się minęli. Może nawet znalazłby ślady jego butów gdzieś na świeżo usypanej hałdzie ziemi.

Głaca przestał kopać i rozejrzał się po okolicy. Nie dostrzegł niczego niepokojącego, ale to dziwne wrażenie nie zniknęło. Ktoś zdemontował pułapkę. Ktoś się tutaj od wczoraj kręcił. Może Fifty wysłał tu kogoś ze swoich kumpli? Miał przecież czas, żeby zadzwonić. Głaca po namyśle odrzucił ten pomysł. Fifty nie byłby taki głupi. Po pierwsze ktoś taki pewnie wyleciałby w powietrze, a po drugie, gdyby tylko udało mu się zgarnąć dwa miliony, to raczej nie zaprzętałby sobie głowy oddaniem ich kumpłowi poszukiwanemu przez policję.

Który frechowny gruby luj zajął moją pierdoloną forszę? – zastanawiał się Głaca. Sapał, dziobiąc łopatą ziemię.

Przypomniał sobie o łódce, którą wczoraj zatopił. A co, jeśli ktoś był na wyspie? Na samą myśl ogarnęła go niepoohamowana wściekłość. Przecież już rozważał taką możliwość. Miał to sprawdzić, ale ten kretyn Fifty spieszył się nie wiadomo dokąd. Jeśli ktoś był na wyspie, to przecież mógł ich śledzić. Głaca westchnął. Wyjął tkwiącego za pasem glocka. Spojrzał na stare dęby, których rozłożyste gałęzie zasłaniały dopływ światła. Wyteńczył słuch i obrócił się na pięcie jak ktoś, kto właśnie uświadomił sobie, że może być obserwowany. Jego oddech przyspieszył. Zmysły się wyostrzyły. Adrenalina. Obok metanabolu i testosteronu ulubiona używka.

Ruszył w kierunku południowego cypla.

Łopatę odłożył na łódkę i nie wypuszczając pistoletu z dłoni, ruszył ścieżką wzdłuż wschodniego brzegu. Robiło się ciemno. Niebo było granatowe. Od wody bił wieczorny chłód. Czarną skórzaną kurtkę zapiał pod samą szyję. Stawiał kroki ostrożnie i nie zamierzał strzelać bez ostrzeżenia. Najważniejsza była kasa. Kogokolwiek spotka na tym cholernym pustkowiu, najpierw musi dowiedzieć się, gdzie ukrył torbę. Potem nauczy skurwiela szacunku dla cudzej własności.

Wyspa była nieduża. Odkąd zamieniono ją na ścisły rezerwat przyrody, cała zarosła wysokim zielskiem. Musiał być czujny. Ktoś mógłby iść zachodnią stroną, a Glaca nie miałby szans go zauważyć.

Kim jesteś, luj, pytał sam siebie, kiedy usłyszał coś niepokojącego.

Plusk wody i jakby prychnięcie.

Dźwięk, który mieścił się w rejestrze ludzkich odgłosów, już się nie powtórzył, ale powtarzał się plusk. Był głośny, nierytmiczny. Glaca skojarzył go z wakacjami. Tak. Taki odgłos wydaje ktoś, kto się kąpie.

Ujrzał stojącą na drewnianym podeście armatę i ruszył w jej stronę. Minął ją, kierując się ku dzikiej plaży. Teraz już na każdym kroku napotykał ślady ludzkiej obecności. Paczka po tytoniu. Butelka wina. Nadpalony karton w miejscu, gdzie niedawno ktoś rozpałał ognisko. Po lewej stronie rozciągały się betonowe domki letniskowe połączone w jeden szereg. Przed sobą miał łagodnie schodzącą ku wodzie skarpe, a pod nogami rozrzucone ciuchy. Podniósł wzorzysty sweter, czubkiem buta trącił damskie majtki. I wtedy ją ujrzał.

Wyłoniła się z za trzciny, naga i trzęsąca się z zimna. Na włosach miała resztki szamponu. Zobaczywszy go, otworzyła szeroko usta, ale nie krzyknęła. Wpatrywała się w niego z rosnącym przerażeniem, a on mimowolnie się uśmiechnął. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie kogoś, kto przywłaszczył sobie jego pieniądze.

Chwilę patrzyli na siebie, mierząc się wzrokiem. Nie było najmniejszych wątpliwości, kto ma przewagę. Nawet gdyby chciała ryzykować ucieczkę, to szybko by zmarzła albo on by ją zastrzelił. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo uśmiechnęła się głupkowato i odsłoniła piersi. Podrapała się po karku,

a Glaca dostrzegł bliznę po wyrostku i dwa serduszka wytatuowane nad kępką włosów łonowych.

– Dzień dobry – powiedziała, wykręcając włosy. Woda ściekała po jej zgrabnym ciele.

Glaca zrobił krok do przodu. Pistolet wsadził za pasek. Dziewczyna ciągle wpatrywała mu się w oczy. Już zamierzał jej powiedzieć, że zanim skręci jej kark, ma natychmiast przyznać się, gdzie jest forsa, kiedy usłyszał coś dziwnego.

Brzdęk, a potem echo, które odbijało mu się gdzieś w środku czaszki. Pocztał, że nogi się pod nim uginają. Odgłos się powtórzył i Glaca osunął się na kolana. Dotknął bolącej potylicy.

– Co jest, kurwa? – zapytał, widząc na dłoni krew. W oczach mu pociemniało, zacisnął powieki i poczuł, że musi się oprzeć.

Potem przez chwilę nie widział nic, a kiedy je otworzył, zobaczył, że oprócz tej nagiej cizi stoi nad nim chłopak z łopatą. To pewnie on walnął go w głowę.

– Jeszcze? – spytał Piotrek.

– Czekał – odparła Sirene. – Dopiero jak sięgnie po broń.

Glaca jęknął i usiadł na ziemi. Obraz był coraz wyraźniejszy. Stojąca przed nim kobieta skojarzyła mu się z diabłem, przed którym ostrzegał go ojciec.

– Zabiję cię – wychrypiał.

Kobieca twarz przysunęła się bliżej. Mógłby dotknąć jej mokrych włosów. A potem skręcić kark.

– Co powiedziałaś? – zapytała.

– Zajebię cię, szmato. Tylko wstanę...

Glaca podparł się, próbując wstać, ale Sirene była szybsza. Wyrwała Piotrkowi łopatę i wzięła silny zamach.

Potem kolejny.

I jeszcze kolejny.

Głaca upadł. Zanim stracił przytomność, usłyszał coś, co miało wszelkie znamiona furii.

– Nie cierpię. Obrażania. Kobiet. – Sirene co słowo brała zamach. Łopata spadała na wytatuowany łeb. – Po prostu. Kurwa. Nie!



Janek zastał Horsta w jego ogrodzie. Stary siedział na ziemi przy czerwonych tulipanach. Wokół ustawił statywy, na których umieścił lampy błyskowe. Wykonał kilka próbnych zdjęć i zmienił ustawienia aparatu.

– Nic nie rozumiesz – powiedział Horst. – Nieużytki zamieniają się w łąki. Pustka zarośnie kwiatami.

Janek, który chwilę wcześniej próbował go pocieszać, poczuł się jak kretyn.

– Ty tak poważnie?

Horst zbliżył obiektyw aparatu do tulipana, którego chwilę wcześniej skropił wodą.

– Myślisz, że to nie boli? Boli – powiedział. – Ale z wiekiem uczysz się odpuszczać. Uczysz się skupiać na rzeczach, które przetrwają dłużej niż nastroje i uczucia.

Aparat pstryknął. Błysk lamp jeszcze przez sekundę raził oczy.

– Przytrzymać ci to? – spytał Janek, widząc, że Horst mocuje się z blendą, którą próbował umieścić za kwiatkiem. – Jak możesz fotografować w takiej chwili?

Przyjaciel nawet na niego nie spojrział. Lampa znowu rozbłysła.

– Zapijać smutki już próbowałem. Nie moja bajka. Co niby mam robić?

– Zawiadomić policję?

– To ja jestem policja.

– Żartujesz, prawda? – Janek był wściekły. Poświęcił tyle czasu, żeby pomóc zrozpaczonemu Horstowi, a ten sprawiał wrażenie, że pogodził się zarówno ze stratą kasy, jak i stratą ukochanej. – A jej matka? Przecież mówiłem ci, że u niej byłem. Cała jej rodzinka jest z gruntu podejrzana.

Horst zignorował jego napastliwe pytania. Patrzył w ekran aparatu. Zdjęcia były obiecujące. Kiedy usunie kolory, podbije kontrast i fakturę, kwiaty, na których doskonale widać każdą kropelkę wody, będą wyglądały tak, jak chciał.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – rozzłościł się Janek.

– Usiądź i sobie zapal. Przyda ci się trochę spokoju – stwierdził Horst, który nie odczuwał potrzeby poinformowania go, że oczywiście myślał też o matce Sirene.

Śledził jej mieszkanie od tygodnia, ale dopiero we wtorek Barbara Wrzesińska wyłoniła się z bramy późnym wieczorem, niosąc w rękach podróżne walizki. Rozejrzała się na prawo i lewo i ruszyła do niebieskiego clio. Nie odpaliła silnika. Horst widział, jak wysiada i szybkim krokiem wraca do mieszkania. Po pięciu minutach wyszła z niego z kolejnymi walizkami. Właściwie to najpierw wystawiła z klatki swoją siwiejącą głowę, rozejrzała się po rzędzie zaparkowanych samochodów i prawie pustej ulicy. Dopiero potem poszła do swojego auta.

Włączyła światła i ruszyła w kierunku obwodnicy.

Toyota Horsta jechała za nią. Było już ciemno, eska opustoszała.

Matka Sirene jechała na północ, w kierunku Wrocławia.

Horst śledził ją dobre trzydzieści kilometrów, ale w pewnym momencie zjechała na stację benzynową. Horst zaklął i włączył

kierunkowskaz.

Był teraz widoczny jak na dłoni. Barbara Wrzesińska nie podjechała do dystrybutora. Stała na poboczu z wyłączonymi światłami. Była czujna. Spozstrzegła już, że jest śledzona.

Horst, nie widząc innej możliwości, podjechał do niej i wysiadł z toyoty. Zapukał w okno, obserwując każdy ruch zdenerwowanej kobiety.

– Dziwna pora roku jak na wakacje – powiedział, kiedy opuściła szybę.

– Nie pana sprawa. Kim pan w ogóle jest?

– Tym, który zadaje pytania.

– Jest pan policjantem?

Horst nie odpowiedział. Spojrzał na tylne siedzenia. Leżała tam duża torba z prowiantem.

– Dokąd pani jedzie?

– Proszę mi pokazać odznakę albo zadzwonię na policję.

– Proszę dzwonić. Dziewięćset dwanaście.

Kobieta nie odpowiedziała. Spojrzała na niego ze złością i zamknęła szybę. Ponieważ Horst nadal obserwował każdy jej ruch, po chwili znowu ją opuściła.

– Zamierza mnie pan śledzić? – spytała.

– Tak.

Kobieta wysiadła z samochodu.

– Gdzie jest Helena? – spytał Horst.

– Nic panu nie powiem – oznajmiła ze złością.

– Dokąd pani jedzie?

Kobieta pokręciła głową. Nic z tego, mówił ten gest. Mierzyli się wzrokiem.

Horst zbliżył się do niej. Chwilę rozważał coś w myślach. Nagle chwycił ją za kark i podniósł pięć centymetrów nad ziemię. Kobieta wytrzeszczyła oczy. Zbladła.

– Jak już znajdę twoją córkę, to po ciebie wrócę. A wtedy nie będę taki miły.

Trzymał ją, nie zastanawiając się, jakie słowa próbowała wypowiedzieć, zanim zaczęła charczeć. Rozluźnił uchwyt, żeby mogła nabrać powietrza, a ona krztusiła się i kaszłała. Horst zbliżył swój nochal do jej nosa.

– Spytam po raz ostatni: gdzie jest Helena?

Kobieta pokręciła głową na znak, że nie ma pojęcia. Pięść Horsta zacisnęła się. Oczy kobiety nabiegły krwią. Puścił ją, zanim zemdląca. Z jej torebki wyjął telefon, który kazał jej odblokować. Posłusznie spełniła prośbę. Sprawdził historię połączeń i esemesów. Niestety nie kontaktowała się z córką. Na pewno nie przez telefon.

– Przynajmniej nie udaję, że lubię teściową – powiedział i odszedł w stronę swojego auta. Zobaczył po jakimś czasie, że clio wyjeżdża ze stacji. Nadal ją śledził. Zorientował się, że zmierza w stronę Brzegu.

– A co z policjantami, do których dzwoniłeś? Masz z nimi jakiś kontakt? – zapytał Janek.

– Sprawdzenie śladów potrwa kilka dni. Może nawet kilkanaście.

– Będziesz czekać?

– Masz lepszą propozycję? – zapytał Horst. Lubił Janka, ale uważał, że w kwestiach wymagających spokoju i systematyczności jest do niczego. – Skoczysz po coś do picia? W lodówce jest sok albo piwo.

– Sam sobie skocz.

Horst zignorował jego sugestię. Wybrał innego tulipana, tym razem białego, i wziął się do ustawiania lamp i blendy.

Janek skręcił papierosa. Szukając zapalniczki, uświadomił sobie, że rzeczywiście przydałoby się coś do picia.

– Chcesz sok czy piwo? – spytał pojednawczym tonem.

– Sok.

Janek po minucie wrócił z puszką lecha i szklanką soku. Otworzył piwo i zaciągnął się dymem. Spokój, który wraz z nikotyną szybko spłynął na niego, skłaniał do rozmowy na trochę bardziej filozoficzne tematy.

– Chciałbyś znać prawdę, Horst? Mówię czysto hipotetycznie. Chciałbyś wiedzieć, gdzie ona jest i co naprawdę się z nią stało?

Horst niewielką ściereczką starł z kwiatu kilka kropel wody, którą spryskał go chwilę wcześniej. Nie odpowiedział, ale położył aparat na kolanach. Słuchał uważnie.

– No wiesz. Mnie na przykład czasem zastanawia, czy warto znać prawdę, nawet jeśli jest brutalna, czy lepiej się łudzić. Jakby się okazało, że Sirene nie kochała cię tak mocno, jak ty kochałeś ją, to czy chciałbyś o tym wiedzieć?

– Nie wiem – przyznał Horst. – Ale wiem, że w miłości nie ma miejsca na prawdę.

– Wolałbyś się łudzić.

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że albo miłość, albo prawda.

– Jakby się okazało, że Sirene żyje...

– Słuchaj, młody. Może sam zadawaj sobie te głupkowate pytania. Jeśli Alicja by cię zdradzała, to wolałbyś wiedzieć czy nie?

Janek nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie. Jeśli nie byłoby to nic poważnego, to chyba nie.

– No widzisz. Wybieramy uludę. Może dlatego po prostu czekam, aż Sirene pojawi się w moich drzwiach.

Janek nie wyglądał na przekonanego.

– Ale ty pół życia poświęciłeś na docieranie do prawdy.

– I mam jej po dziurki w nosie.

Horst wyłączył jedną z lamp i skadrował kwiat pod innym kątem. Wyglądało na to, że od nowa zaczyna całą zabawę.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki wrażliwy – skwitował Janek.

– To nie wrażliwość, tylko dobre oko. Niewiele tego ponad techniki, których uczyłem się na kursie fotografii.

– A ten chłopak, o którego ostatnio pytałeś?

– Jej były? Jak on miał na imię?

– Piotrek.

– A, tak. Co z nim? – Horst wykonał kilka kolejnych zdjęć.

– Nie wiem. Pytam tylko, czy coś znalazłeś.

– Nazywa się Piotr Bzdęga. Był notowany za posiadanie gandzi. Sirene zresztą też. Sprawę umorzono.

– Sirene też?

Horst kiwnął głową. „Grzechy młodości”, mówił ten gest.

Nie widział potrzeby, żeby mówić Jankowi o tym, że zdobył adres współlokatora Piotrka i złożył mu wizytę.

Kiedy chłopak nie wpuścił go do pokoju Piotrka, oberwał paralizatorem, a kiedy się ocknął przywiązany do krzesła, zobaczył przed sobą ponurą twarz człowieka, który już od dawna nie ma nic do stracenia.

Horst w dłoni trzymał wkrętarkę. Zadawał pytania spokojnie, a jego ton miał w sobie nutę współczucia.

– Piotrek miał dziewczynę?

Związany facet nie odpowiedział.

– Przychodziła tutaj? Kiedy ostatnio ją widziałeś?

– Nigdy jej nie widziałem – odpowiedział w końcu chłopak.

Horst wyciągnął z kieszeni kobiece stringi.

– Nie umiesz kłamać. Znalazłem je na łóżku.

Chłopak patrzył na niego, najpewniej zastanawiając się, o co chodzi temu starszemu mężczyźnie o uporczywym spojrzeniu, ale ten nagle wstał, przystawiając mu do czaszki wiertło udarowe.

– Był taki seryjny morderca – powiedział Horst. – Wwiercał się w czaszki swoich ofiar, kiedy jeszcze żyły. Wiercił o tutaj. – Palec Horsta dotknął tylnej części czaszki przerażonego chłopaka. – Wiertło wchodziło na całą głębokość, a ofiara jeszcze żyła. Chodziła, biegała, nie mogła tylko mówić. Potem do czaszki wlewał jej kwas albo wrzątek. Musiało boleć.

Horst położył mu dłoń na ramieniu, drugą ręką włączył wkrętarkę. Czuł, jak chłopak wzdrygnął się z przerażenia. Podsunął mu pod nos telefon ze zdjęciem Sirene. Prosto do ucha, niemal szeptem, powiedział:

– Teraz się skup, bo to ty będziesz mówił. Na początek powiesz mi, kiedy i ile razy widziałeś tutaj tę dziewczynę.

– Spotykali się – wyjąkał chłopak. – Przychodziła jesienią, chyba jeszcze w zimie, ale potem jej nie widziałem. Piotrek zrobił się dziwny, drażliwy. Chyba...

– Co chyba?

– Chyba się rozstali. W lutym przyszła po swoje rzeczy. Mówiła, że w jej życiu pojawił się ktoś nowy.

– Kto? – warknął Horst. – Kto to był?

Wiertarka zawyła po raz kolejny. Chłopak wytrzeszczył przerażone oczy. Wpatrywał się w Horsta, jakby teraz dopiero zrozumiał, kim jest jego gość.

– Pan. Mówiła o panu.

– Czyli jednak była uduchowiona, zanim cię poznała – powiedział Janek z czającą się w głosie ironią.

– Stępia ci się poczucie humoru.

– A z tobą ciężko się rozmawia.

– Starzeję się – burknął Horst i ustawił statyw tak, żeby sfotografować kwiat z góry.

– Nie bierz tego do siebie, Horst, ale zastanawiałeś się, kim była, zanim cię poznała? Jakie prowadziła życie? Jakich miała znajomych? Pytam, bo to zazwyczaj świadczy o człowieku bardziej niż maślane oczy na pierwszej, drugiej czy którejś tam randce.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki specjalista.

– Specjalistą nigdy nie będę, ale miałem trochę więcej związków niż ty. Mogłeś się dopytać, zanim zadurzyłeś się po uszy w lasce, która mogła być twoją córką.

– Faktycznie, szkoda, że nie przyszło mi to do głowy – cynicznie stwierdził Horst.

Nie zamierzał mu mówić, że gdy tylko dowiedział się o porwaniu, sprawdził większość jej przyjaciół i znajomych.

W jednej z podwrocławskich wiosek znalazł studio, gdzie najprawdopodobniej pracowała Sirene. Najprawdopodobniej, bo kolorowo ubrani ludzie nie wyglądali, jakby przejmowali się prowadzeniem ksiąg podatkowych. Liczyć jednak z całą pewnością umieli. Z kobietą o różowych włosach i w turkusowych szarawarach umówił się na wieczór oczyszczenia. Zapłacił pięć stów za masaż energią i prywatną ceremonię kakao. Zwykle kakao za pięć stów, pomyślał Horst, kiedy dziewczyna z powagą godną spraw najwyższych tłumaczyła mu, że ma zablokowaną czakrę serca. Horst stwierdził, że to całkiem możliwe, i opowiedział o Helenie Bednarek, swojej zaginionej córce, która uparła się myśleć, że jest syreną. Kobieta nie okazała złości, kiedy wyszło na jaw, że klientowi nie zależy na odblokowaniu czakr, tylko na informacjach. Zasugerowała jedynie, że musi zapłacić więcej, a kiedy kolejne pięć stów zniknęło w jej kieszeni, sprzedała mu przekonującą bajeczkę o duchowych poszukiwaniach Sirene.

– Sirene wierzyła w siłę sióstr. Siłę kobiet. Wierzyła, że kobieta, która wie, czego chce, może wszystko i nie musi podporządkowywać się zasadom rządzącym światem, który został zbudowany przez mężczyzn. Dla Sirene najważniejszy był jej projekt. „Nowa ja”, tak go nazwała. Chciała zbudować siebie od nowa, z dala od tradycji, ludzkich sądów czy moralności.

Horst słuchał tego z niewzruszonym wyrazem twarzy, a potem po prostu spytał:

– Wiesz, jak zamierzała tego dokonać?

Kobieta spojrzała na niego z drwiącą iskrą w oku. Rozgryzła go lepiej niż on ją.

– Przez miłość. Opowiadała nam, że poznała pewnego mężczyznę, starszego od niej. Grubą kreską oddzieliła swoją przeszłość. Pokasowała wszystkie swoje wcześniejsze związki,

choć kilka facetów, którzy przewinęli się przez jej życie, kochała naprawdę mocno. Takiego Piotrka na przykład... Latał za nią, pisał do niej, ale ona miała go gdzieś. Nie chciała ranić tego, z którym się związała. Z tego, co opowiadała, facet był silny, niezbyt ładny, ale emanujący z niego spokój był jej bardzo potrzebny. Właściwie to był podobny do pana.

Mile połechtany Horst drwiącą nutę w jej głosie wziął za szczerą sympatię.

– Ale to nie pan, prawda? Pan przecież jest jej ojcem.

– Horst, wszystko okej? – Janek, który dopiero teraz zauważył, że jego przyjaciel od dwóch minut wpatruje się w pustkę, był zaniepokojony.

– Tak, zamyśliłem się – odparł Horst.

– Ja tylko tak gadam. Wierzę, że Sirene się znajdzie. Na pewno nic jej nie jest.

– Umiała sobie poradzić – przyznał, wyłączając lampy. – Bądźmy dobrej myśli. Co innego nam pozostaje?

– Ciągle ją kochasz?

Horst zrobił ostatnie zdjęcia i wprawnym ruchem zwinął fotograficzną blendę.

– Chodźmy do środka – powiedział. – Robi się zimno.



Glaca nie wiedział, gdzie jest ani na jak długo stracił przytomność. Próbował się skupić i to ustalić, ale myślało mu się ciężko, łeb pękał, a wdzierające się do jego mózgu słońce raziło żywym ogniem. Zamknął powieki i ponownie zanurzył się w chłodną czerń.

Kiedy otworzył oczy, oprócz bólu głowy poczuł przemożną chęć, żeby się czegoś napić. Wydawało mu się, że zamiast języka ma w ustach wyschniętą ścierkę. Obraz, który ujrzał przed sobą, był rozmazany i nieostry, a on nie umiał skupić się na tyle, żeby odgadnąć, co przedstawia. Chciał wstać, ruszyć ręką, nogą, zrobić cokolwiek, żeby opuścić to nieprzyjemne miejsce, ale ciało było jak nie jego. Nie czuł rąk ani nóg, a kiedy spróbował zawołać kogoś, suchość w ustach tylko się wzmogła.

Tkwił tak dość długo, zawieszony między jawą a snem, a kiedy ból na chwilę się oddalił, jeszcze raz wyteżył wzrok. Ostrość się ustabilizowała, rzeczy i zdarzenia odzyskiwały powoli kształt, jednak w niczym mu to nie pomogło. Odkrył tylko jedno: jest w czarnej dupie. Widział swoje związane nogi, rozumiał, że prawdopodobnie związane mu też ręce, a sucha gula w gardle to prawdopodobnie jego własny język, bo go zakneblowano. Najdziwniejsze jednak było to, co widział.

Kobieta, której mokre ciało stanowiło ostatnie z jego wspomnień, teraz tkwiła przed nim całkiem ubrana, ale żeby ją poznać, musiał przekrzywić głowę i mocno się wysilić. Sirene stała na głowie, a jej twarz nie wyrażała żadnego ze znanych mu

uczuc. Załatwiła mnie, pomyślał, a teraz wydurnia się jak gdyby nigdy nic.

Głaca jęknął, walcząc z omdleniem, i wtedy zobaczył też jej chłopaka.

To on pewnie przyjechał mi pierwszy, pomyślał i pożałował, że dał się podejść jak dziecko.

Ten chudzielec o włosach jak rozdeptana mysz wyglądał na kogoś, kogo mógłby zabić jednym ciosem. W dodatku musiał być niespełna rozumu, bo siedział dwa metry od swojej dziuni i bawił się pistoletem. Głaca po raz kolejny poczuł coś w rodzaju nabożnego lęku, bo zobaczył, że chłopak wali jego glockiem o kamień, a potem trzęsie nim jak grzechotką i patrzy w otwór lufy. Po kolejnej minucie zmagania z pistoletem wypadł tkwiący w komorze nabój. Facet roześmiał się i wzniosł go jak trofeum.

Załatwiła mnie para kretynów, pomyślał Głaca.

Potem poczuł, że ból głowy wraca. Zamknął oczy i odpłynął.

– Zostawisz mnie z nim? – spytała Sirene.

– Nie mamy wody i jedzenia, a koleś przyplynał tutaj łódką.

– Zostawmy go i ucieknijmy.

– Jak? Zostawimy tu faceta, który wie, jak wyglądamy? – Piotrek pogładził ją po twarzy. – Ciągłe masz czystą kartę. Jeśli dziadek zgłosił porwanie, to...

Nie musiał kończyć. Sirene wtuliła się w niego. O ich ucieczce myślała już wielokrotnie. Wiedziała, że jeśli złapią ich razem, to uznają za współników. Aresztują, napiętnują, zabiorą wszystko, co z takim trudem zdobyli. Matka nie dawała znaku życia. Może jej się coś stało, a może boi się, że mimowolnie naprowadzi kogoś na ich ślad. Pewnie nie miałyby za złe ukochanej córce, gdyby ta uciekła bez niej, ale Sirene już dawno postanowiła sobie, że zrobi to tylko w ostateczności.

– Wiem – powiedziała, patrząc na związanego bandziora. Nie mogli zostawić świadka, a nie mieli sumienia go zabijać. – Tylko wróć szybko, dobrze?

– Jasna sprawa. Zostawię ci pistolet.

Sirene uśmiechnęła się i znacząco podniosła prawą dłoń.

– No tak – przyznał Piotrek. – Jesteś tak dzielna, że zapominam o twoim braku palca.

– Kup mi ibuprom. Bardziej mnie swędzi, niż boli, ale wolę mieć.

– Oczywiście, Syrenko. Kupię też wino i coś na deser.

– Czytasz w moich myślach. Chodzi za mną jakieś ciasto z kremem.

– Nie ma sprawy.

Pocałowali się. Sirene gładziła jego szyję, mając ochotę na więcej, ale on nie był w nastroju do pieszczot. Nie musiała pytać dlaczego. Wystarczyło, że obrócił głowę, aby popatrzeć w kierunku armaty. Mimowolnie ona także podążyła za jego spojrzeniem.

Do armatniego koła przywiązany był zbir, którego wczoraj pokieraszowali. Ten napompowany sterydami osiłek ruszał się coraz częściej, więc najprawdopodobniej odzyskiwał przytomność. Nie lubili takich karków. Nawet gdy ci dawali im dwa miliony.

– Nie gadaj z nim, dopóki nie wrócę – powiedział Piotrek.

– Oczywiście, nie będę.

– Nie gadaj, nie zbliżaj się, po prostu nic nie rób. Okej?

Sirene uśmiechnęła się do niego.

– Jasne, kochanie. Wracaj szybko.

Piotrek zapiął kieszeń, w której trzymał gotówkę, wziął plecak i odszedł.

Wiedziony wątpliwościami jeszcze się obrócił.

– Pamiętaj, buzia na kłódkę – powiedział, wykonując przy ustach gest przekręcania kluczyka.

Sirene zrobiła to samo i wyrzuciła niewidzialny kluczyk.

Została sama.

Spojrzała na związanego faceta, który przez chwilę szarpał się, próbując wypluć knebel, a potem dał za wygraną i zmrużył oczy. Wydało jej się, że jest dziwnie blady, ale obiecali sobie nie zaprzętać głowy stanem jego zdrowia. Ustalili, że jeśli nie odzyska przytomności, to obciążą ciało kamieniami i utopią w jeziorze. Jeszcze nie zdecydowali, co zrobią, jeśli jednak się ocknie.

Pogoda była całkiem ładna. Kwiecień, do tej pory wietrzny i deszczowy – zamieniał się powoli w prawdziwą wiosnę. Sirene była w miejscu, gdzie przyroda pozwalała na docenienie tego faktu. Poszła w kierunku dawnej plaży, rozłożyła jeden ze znalezionych leżaków, zdjęła sweter i wyciągnęła się na słońcu.

Opalała się dobre piętnaście minut, ale miała wrażenie, że ten relaks jest kiepskiej jakości. Nie mogła przestać myśleć o swojej mamie i o tym bandycie, który zakneblowany jęczał sto metrów od niej. Zaczęła zadawać sobie pytania, które do tej pory ginęły w natłoku pytań o ich własną przyszłość. Kim jest ten wytatuowany typek? Skąd mieli tyle pieniędzy? Dlaczego oszukał współnika, próbując przywłaszczyć sobie kasę? Ułożyła się wygodniej, zmrużyła oczy i próbowała odespać stresującą noc, ale nie mogła uspokoić gonitwy myśli. Piotrek kazał mi z nim nie gadać, bo nie docenia kobiet, pomyślała, wstając z leżaka.

Poszła do domu, wzięła z niego butelkę wody. Po namyśle zabrała też turystyczny nóż mora. Był nieduży, ale poręczny i niezawodny. Dobrze kroił nawet pomidory.

Tylko z nim pogadam, pomyślała. Może dowiem się czegoś istotnego.

Kiedy stanęła na drewnianym podeście, związany facet spojrzał na nią z nadzieją i niepewnością. Najwyraźniej nie obchodziło go, że ona ma na sobie tylko szarawary i górę od bikini. Widziała, że patrzy na jej zmrużone oko, ale nie zamierzała mu tłumaczyć, że ma tak od dziecka. Tatuaze na jego głowie – kwiaty, czaszki i Joker – były ubrudzone zakrzepłą krwią. Ręce związali mu z tyłu, a przedtem przełożyli je przez szprychy armatniego koła. Musiały mu zdrętwieć, bo wygiął je nienaturalnie, najpewniej próbując zmniejszyć napięcie. Pokazała mu wodę, a on utkwiał w niej psie spojrzenie.

– Chcesz? – spytała.

Kiwnął głową.

– Słuchaj, kolego. Dam ci się napić, ale najpierw ustalimy kilka zasad, dobrze?

Tym razem nie przytaknął. Wpatrywał się w butelkę wody.

– Po pierwsze: jesteś grzeczny i nie robisz numerów. Zgoda?

Głaca kiwnął głową po namyśle. Była tak blisko. Armatnie koło przymocowano blaszanymi obejmami. Namacał jedną ze śrub, którymi przykręcono je do podestu. Ruszała się.

– Po drugie: nie obrażasz mnie, nie przeklinasz, po prostu zachowujesz się jak dżentelmen. Po trzecie i ostatnie: kiedy pytam, to mi odpowiadasz. Piotrek myśli, że kobiety nie radzą sobie z bezstresową komunikacją, ale ja wierzę w porozumienie bez przemocy. Wiem, że jak dwoje ludzi chce się dogadać, to się dogadają. Prawda?

Głaca, który był trzy razy większy od niej, kolejny raz przytaknął. Łeb pękał mu z bólu, a gardło paliło.

– Dobrze – powiedziała Sirene i ściągnęła mu knebel.

Głaca wypił prawie pół butelki wody.

– Spokojnie. Będzie ci się chciało sikać. – Sirene spojrzała na jego dzinsy. Ciągłe były suche. Na razie kontrolował swoje potrzeby.

– Rozwiąż mnie – powiedział Głaca.

Sirene, która uważnie wpatrywała się w jego oczy, tylko pokręciła głową.

– Chociaż nogi. Muszę je rozprostować.

– Najpierw kilka pytań. Co robisz na wyspie?

– A jak myślisz, idiotko? Lubię czasem powędkować.

Sirene pogroziła mu palcem. Lewym.

– Przypominam drugi punkt umowy. Nie obrażasz mnie i nie przeklinasz. Postanowiłam otaczać się ludźmi, którzy uszlachetniają moją wewnętrzną boginię. Nie pozwolę ci brukać jej pałacu.

Głaca zbył to milczeniem. Pękał mu łeb. Chciało mu się szczać. Gdyby mógł, wyruchałby jej wewnętrzną boginię w drobny mak.

– Chciałeś okraść swojego kolegę, prawda?

Głaca spojrzał na butelkę wody, stojącą obok jej sportowego buta.

– Jeszcze – powiedział.

– Najpierw odpowiedz. Dlaczego akurat tutaj?

– Co?

– Dlaczego ta wyspa? Nie mogliście schować tego w lesie? Albo nie wiem, w banku, w mieszkaniu?

Głaca patrzył na nią z coraz większą niechęcią. Ta nawiedzona baba chyba naprawdę nie wiedziała, z kim zadarła. Udało mu się odkręcić pierwszą ze śrub. Żeby nie potoczyła się po podeście, schował ją w swojej wielkiej dłoni.

– Posłuchaj – powiedział w końcu. Jego zachrypnięty basowy głos naprawdę miał w sobie coś niedźwiedziego. – Zabraliście coś, co należy do mnie. Jeśli zaraz mnie odwiążesz i mi to oddasz, to uznam wszystko za drobne nieporozumienie. Odejdę i nie zabiję ani ciebie, ani twojego chłopaka debila.

Sirene ponownie pogroziła mu palcem. Prawą dłoń (i tak bezużyteczną w takiej sytuacji) trzymała w kieszeni spodni, ściskając w niej rękojeść noża.

– Chłopaka debila. Drugie ostrzeżenie.

Głaca poczuł, że energia, która zaczęła wracać mu po tym, jak napił się wody, domaga się ujścia. Gotował się z upokorzenia. Na jego czerwonej z gniewu twarzy naprężył się każdy mięsień.

Sirene kucąca przed nim, ciągle patrząc mu w oczy.

– Porozumienie bez przemocy. Czytałeś?

– Przestań pierdolić, głupia krowo! – wrzasnął. – I oddawaj moją kasę, bo urwę ci ten cholerny łeb!

Sirene nie zamierzała tego tolerować. Błyskawicznie wyciągnęła nóż i wbiła go w jego pierś. Ostrze weszło do połowy. Tuż pod barkiem.

Głaca, który początkowo nie poczuł nawet bólu, patrzył na tkwiącą w nim rękojeść z mieszaniną zdziwienia i przerażenia.

– Kurwa mać, popierdoliło cię!?

Sirene wydawała się nie mniej zdziwiona od niego. Chwyła rękę noża i wyjęła go z ciała zbira. Jego czarna podkoszulka zawilgotniała.

Dopiero teraz zaczęło boleć.

– Dźgnęłaś mnie, głupia dziwko! Naprawdę mnie dźgnęłaś!

– Drugi punkt umowy. Nie przeklinasz, nie obrażasz.

– Pierdol się z twoją umową! Sram na twoją umowę! Kurwa, ja pierdolę, jak boli...

Sirene, która stała nad nim, ściskając nóż i trzęsąc się z oburzenia, nie zamierzała tolerować takiego chamstwa. Nie po to ściągnęła mu knebel i dała wody, żeby zachowywał się jak ostatni wieśniak. Podniosła lewą rękę i palec wskazujący prawie wbiła mu w nos.

– Jeszcze raz! – wrzasnęła. – Mam powyżej uszu świata, w którym faceci myślą, że można nami pomiatać. Myślicie, że macie władzę, tak? Myślicie, że jak jesteście silniejsi, to wszystko wam wolno? Tak?!

– Zamknij się, cholerna dziwko! Jesteś chora na łeb!

Sirene syknęła jak zmija. Jej prawa ręka ponownie zaatakowała. Nóż wbił się w jego udo.

Głaca wrzasnął. Zaczął machać nogami, próbując pozbyć się noża, który wyglądałby groteskowo, gdyby nie ten cholerny ból.

– Zabierz to, kurwa, przestań! – krzyczał, czując, że nogawka dżinsów robi się wilgotna. – Zabijesz mnie...

Sirene, która w dalszym ciągu stała nad nim, gotowa do ponownego ataku, wycodziła przez zaciśnięte zęby:

– Zasada druga. Nie obrażasz mnie. Przestrzegasz czy nie?

Głaca zmrużył oczy.

Co za pierdolony absurd, przemknęło mu przez głowę, ta wariatka naprawdę jest gotowa mnie zabić.

– Dobrze, kurwa, już dobrze, tylko schowaj ten jebany nóż.

– Przekląłeś.

– Co?

– Powiedziałeś brzydkie słowo. – Sirene wyszarpała ostrze z jego nogi. Nawet tego nie zauważył. – Dwa brzydkie słowa. Nie pozwolę ci przeklinać i obrażać.

– Co?! – Glaca miał już serdecznie dosyć. Nie rozumiał połowy z tego, co słyszy, ale chyba zaczynał rozumieć zasady, według których toczy się ta rozmowa. – Dobra, przepraszam, już nie przeklinam. Jestem grzeczny jak je... jak papież. Jestem grzeczny jak papież, kur... tylko nie dźgaj.

Sirene pochyliła się nad nim. Glaca skrzywił się, przestraszony, ale nie miał gdzie uciec. Kiedy wytarła nóż o jego spodnie, odetchnął z ulgą. Stojąca przed nim kobieta napawała go coraz większym strachem.

Sirene wiedziała, że trochę przegięła i że Piotrek będzie na nią zły, ale nie po to przez lata walczyła o własną wolność, żeby faceci mówili jej, co ma robić. Adrenalina sprawiła, że pogrążyła się w swoim własnym świecie. Czuła potrzebę wyjaśnienia kilku rzeczy. Bardziej sobie niż przywiązanemu do armaty bandziorowi.

– Ojciec traktował mnie jak idiotkę – mówiła, patrząc gdzieś przed siebie. W dłoni ciągle trzymała nóż. – Nie zabierał do lasu, bo byłam dziewczynką. Nie zabierał na piłkę, bo byłam dziewczynką. A ja uwielbiałam grać w piłkę! Za to kiedy zdradzał matkę, traktował mnie jak kogoś równego sobie. „To nasza tajemnica”, mówił. „Podrośniesz, to zrozumiesz”. – Sirene całkiem dobrze naśladowała męski pełen fałszywej troski

ton. – „To twoja ciocia. Mama nie może dowiedzieć się, że tu jesteśmy”. „Kup sobie coś i nie wchodź do sypialni, dopóki ci nie pozwolę”. Uważał mnie za głupią, bo byłam dziewczynką. Na studiach było tak samo. Wiesz, że studiowałam mechatronikę?

Glaca na wszelki wypadek przytaknął.

– Byłam najlepsza na roku, ale rzuciłam studia. Wiesz, co bolało najbardziej? Żaden profesor nigdy nie spytał faceta o kwestie związane z jego wyglądem. Ani razu nie słyszałam: „Adam, masz takie pryszczki, bo się nie myjesz?” albo: „Ej, stary, ten wielki nos to masz po ojcu czy po matce?”. Ani razu. Ale nie mieli problemów z tym, żeby pytać: „Co ci się stało w oko?”. Albo teksty typu: „Ładna z ciebie dziewczyna. Będziesz je operować?”.

Sirene buzowała nienaturalnym podnieceniem.

Glaca chyba to wyczuł, bo wolał milczeć. Odruchowo spojrzął na jej zmrużone oko, ale szybko odwrócił wzrok.

– Facet, który chce być wolny, jest obieżyświatem, niebieskim ptakiem, awanturnikiem. A kobieta? Patrzą na nią jak na dziwkę. Ale wiesz co? – Sirene ukucnęła przed Glacą. Ostrze mory niebezpiecznie zbliżyło się do jego oka. – Mam projekt, przy którym blednie wszystko inne. „Nowa ja”. Stać mnie na to. Wiem, że mnie stać. Mogę już wybić się na wolność, na niepodległość. Stać mnie, żeby realizować swoje pasje, żeby robić to, co zawsze chciałam robić. I wiesz co?

Glaca pokręcił głową. Wiedział, że jest stuknięta, ale wiedział też, że lepiej jej tego nie mówić.

– Osiągnę to, co sobie zamierzyłam. Mój świat, moje zasady. Muszę realizować siebie, nie zważając na przeszkody. Wiem, że nie będzie łatwo, ale mam jedną przewagę. Wiesz jaką? – Sirene pokazała mu bliznę po uciętym palcu. – Nikt nie posądza mnie

o siłę. Ten świat jest światem mężczyzn i nikt nie podejrzewa, że kobieta może być silniejsza od nich. A w projekcie „Nowa ja” Sirene jest silna. Rozumiesz? Ja po prostu jestem silna. Niezniszczalna. Jonia i moja wewnętrzna bogini to moje sprzymierzeńczynie. Razem zbudujemy nową energetyczną jakość. „Nowa ja” zaczyna się tutaj. Teraz. Na tej wyspie. Rozumiesz?

Naprawdę chciała upewnić się, czy rozumie, ale było to wyjątkowo trudne. Głowa miała zamknięte oczy, a głowa spoczywała na jego ramieniu nienaturalnie przekrzywiona.



Przechodząc obok placu zabaw, spojrzała na bawiące się maluchy. Nie powiedziała Jankowi, że będą mieli dziecko. Stwierdziła, że to nie najlepszy moment, sama nie wiedząc, czy chodzi jej o ciążę, czy wszystko, co dzieje się wokół nich.

Moment rzeczywiście nie był dobry. W torbie oprócz laptopa miała teczkę z *Persefoną*, dramatem, który pisała przez ostatnie miesiące. Właśnie wybierała się do teatru, aby pokazać go nowemu dyrektorowi i spróbować namówić go na wystawienie sztuki. Wiedziała, że nie będzie to łatwe. Chociaż przez ostatnie lata grywała trochę w Lesznie i we Wrocławiu, to żadna z jej ról nie zebrała oszałamiających recenzji. Dramaturgicznego doświadczenia miała jeszcze mniej, ale czuła się wystarczająco dojrzała, żeby zmierzyć się z tą materią. Dramat o kobiecie, która w wypadku traci męża i jedyne dziecko, był dość mroczny, ale nie widziała w tym nic złego. Często miała wrażenie, że tuż pod powierzchnią zdarzeń czai się rządzona przez śmierć otchłań, zupełnie jakby rzeczywistość była taflą lodu, po której ludzie ślizgają się bezmyślnie, pracując, jedząc i czekając na ocieplenie.

Zanim przekroczyła dwupasmową ulicę, zachwiała się, ale po kilku głębszych oddechach doszła do siebie. Chłopak, który stał obok niej, nic nie zauważył. Kiedy wszedł na jezdnię, ruszyła jego śladem. Od kilku dni prawie nic nie jadła. Była przekonana, że mdłości spowodowane są przede wszystkim stresem. Niepotrzebnie zaangażowała się w historię miłosną faceta, który mógłby być jej dziadkiem.

Dyrektor teatru – kumpel lokalnych notabli, który zanim nim został, nie odróżniał Sofoklesa od Szekspira – spóźnił się dwadzieścia minut. Wiedziała, że ma kilka innych etatów, więc się tego spodziewała. Nawet dziwiła się, że w ogóle tu przychodzi.

– Proszę, proszę – powiedział, otwierając jej drzwi. – Napije się pani kawy czy herbaty?

– Herbaty.

– Proszę usiąść. – Wskazał jej krzesło po drugiej stronie biurka. – Jest pani coraz ładniejsza. Żałuję, że zespół się rozpadł. Byłaby pani ozdobą tej sceny.

Zespół miał cię dosyć, pomyślała, ale zachowała tę uwagę dla siebie.

– Trochę dlatego tu jestem. – Uśmiechnęła się, kładąc na biurku teczkę ze swoim dramatem.

– To *Ariadna*?

– *Persefona*.

Dyrektor wyciągnął się na krześle. Przez chwilę patrzył na czubki swoich butów. Kiedy znowu na nią spojrział, jego ton był rzeczowy.

– Widzi pani, właśnie o tym mówię. Dzisiaj nikogo nie interesuje mitologia. Moja córka niedawno miała to w szkole. Męczyła się z tym strasznie, a to mądra dziewczyna.

– Tytuł można zmienić, jeśli wydaje się zniechęcający.

– Tytuł można zmienić – jak echo powtórzył dyrektor. – Ale co dalej? Skąd weźmiemy aktorów? No i premiera. Wie pani, jak jest z premierami. Więcej, za przeproszeniem, pierdolenia, niż to warte. Scenografia, kostiumy... Żeby to chociaż było coś o patriotyzmie.

– To o silnej kobiecie. – Alicja była świadoma współczesnych trendów. – Traci męża i dziecko, ale nie poddaje się. Do teatru przychodzą raczej starsi widzowie. Temat śmierci na pewno ich zainteresuje.

Dyrektor patrzył na nią jak na ciekawy okaz przyrodniczy. Jak na egzotycznego ptaka, który niespodziewanie wpadł w podniszczone sieci.

– A fundusze? – zapytał i podrapał się po udzie. Kiedy mu nie odpowiedziała, kontynuował: – Nie mówię tak. Nie mówię nie. Po prostu nie chcę, żeby się pani nastawiała na cokolwiek.

– Czyli weźmie to pan? – Alicja przesunęła teczkę w jego stronę.

Dyrektor wyciągnął rękę, uważnie patrząc jej w oczy. Jego palce ślizgały się po *Persefonie*, wystukując rytm. Alicja nie umiała stwierdzić, czy to wesoła, czy smutna melodia. Wiedziała natomiast, że gdyby nie to całe #metoo, pewnie już teraz zaproponowałby jej randkę.

– Zostawię pana z tymi myślami – stwierdziła. – Proszę przeczytać chociaż trzy pierwsze sceny. Dobrze?

Dyrektor westchnął.

– Proszę odezwać się za jakiś czas – powiedział.

– Kiedy?

Alicji wydało się, że jego uśmiech jest lubieżny.

– Kiedy pani pasuje. Jestem otwarty na nowe talenty.

Podziękowała i wyszła. Gdy zamknęła za sobą drzwi, odruchowo starła z tyłka jego spojrzenie.

Cholerny buc, pomyślała.

Chciała ochłonać, więc zatrzymała się w niewielkim parku przy dawnym pałacu Sułkowskich. Pogoda była ładna,

bezwietrzna. Kilka starych platanów pochyliło się nad stawami. Zadzwonila do Janka, ale nie odbierał.

Może to i dobrze, że jest zajęty pracą, pomyślała.

Przypomniała sobie, że jakieś cztery lata temu właśnie tutaj się poznali. Podszedł do niej na parkingu przy zamienionym na urząd wojewódzki pałacu i wyglądał jak reklama ucieczki od codzienności. Gdyby wówczas wiedziała, że od codzienności nie ma ucieczki...

Wpatrywała się w łukowaty mostek nad jednym ze stawów i sama zdziwiła się myślą, która właśnie pojawiła się w jej głowie. „Zostawiła ogon”, powiedział Janek, żartując sobie z dziwnego hobby dziewczyny, na której ratowanie był gotów spłukać się do zera. Alicja wiedziała, że po drugiej stronie ulicy jest filia jednego z banków. Sirene. Pieniądze. Woda. Jej myśli krążyły coraz szybciej.

Pieniądze. Woda. Ucięty palec.

Jeśli intuicja jej nie myli i Sirene nie jest osobą, za którą usiłuje uchodzić, to być może ciągle jest w kraju. Nikt nie ubezpieczałby się na dwa miliony, aby nic z tego nie mieć.

Laska będzie chciała odzyskać odszkodowanie, pomyślała Alicja i zaraz, mniej pewna swego, dodała: chyba że całkiem rozplynie się w powietrzu.

Może jest już na Szeszelach albo w Hiszpanii? Leży na plaży, popija drinki i śmieje się z tych, którzy jej uwierzyli.

Alicja wzięła głęboki oddech. Na samą myśl o tym, że dała się wciągnąć w historię jej tajemniczego zniknięcia i razem z innymi zastanawiać się, co się stało z biedną Sirene, czuła ogromną złość.

Nawet jeśli ta cała Sirene zniknie, myślała, to przecież i tak dużo ryzykuje. Historia jej porwania prędzej czy później ujrzy

światło dzienne. Ktoś może ją rozpoznać, nawet na jakiejś odległej wyspie...

Alicja, ilekroć próbowała postawić się w jej sytuacji, nie miała przed oczyma obrazu przerażonej i trzymanej w piwnicy kobiety. Raczej kogoś, kto wkurzony pomysłem intercyzy, postanowił dokonać zemsty i zabrać to, co w jego mniemaniu mu się należało. Uświadomiła sobie, że dla Sirene dużo bezpieczniejsza będzie sytuacja, kiedy po prostu się zjawi, powie, że udało jej się uciec, ale nawet nie widziała twarzy porywaczy. Miałyby czyste konto. Mogłaby odzyskać kasę z ubezpieczenia.

Ta laska ciągle jest w kraju, myślała, jestem tego niemal pewna...

Pełna detektywistycznego zapału zapragnęła raz jeszcze zajrzeć do komputera. Ruszyła w kierunku Korpo.

Lokal świecił pustkami. Witalij, który właśnie robił cappuccino, uśmiechnął się na jej widok.

– Hej, Alicja.

– Hej. Zrób mi też. Ta pogoda nie działa na mnie najlepiej.

– Kwiecień... – stwierdził Witalij i zabrał się do przyrządzania jeszcze jednej kawy. – Te zanieś tym paniom pod oknem. Zaraz zrobię dla ciebie.

Alicja obsłużyła klientki i weszła za bar.

– Musimy pogadać – powiedziała, sięgając po laptop.

– I co? Dziewczyna się znalazła? – zapytał Witalij, ścisząc głos.

Alicja pokręciła głową i streściła mu historię poszukiwań.

– Może zasnęłam, a może coś ominęłam – powiedziała, widząc jego pytające spojrzenie. – Czy jesteś w stanie jeszcze

raz prześledzić lokalizację tamtego telefonu? Może znajdziesz coś, co przegapiliśmy? Sama nie wiem, po prostu wkurza mnie ta sprawa...

– Pokaż. – Chłopak wziął od niej komputer. – Zastąp mnie na chwilę, dobra?

– Jasne.

Alicja stała za barem, obsługując nielicznych klientów i zerkając mu przez ramię. Po czterdziestu minutach Witalij, ciągle pochylony nad laptopem, oznajmił:

– Dane trasy nie były problemem, ale z ustaleniem dokładnego czasu jest trochę więcej zachodu. Poprawiłem znaczniki... Chodzi ci o ostatnią środę, tak? Mam nadzieję, że teraz coś się rozjaśni.

Alicja spojrzała na ekran. Kiedy przesunęła myszką, zauważyła całą trasę telefonu z dokładną datą i godziną. Zaczynała się w Trzebani i kończyła na leśnym parkingu pod Gniezmem.

– Weź to i usiądź przy stoliku – powiedział barman, widząc, że Alicja nieco chaotycznie operuje kursorami.

– Dzięki.

– Jeszcze twoja kawa.

Alicja wzięła komputer i kawę, a potem jeszcze raz przeklikała wszystkie dane, które widziała już wcześniej. Znaczniki wytyczały miejsca, w których telefon był dłużej niż pięć minut. Z grubsza przypominało to mapę, nad którą ślęczała, posyłając Janka i Horsta z jednego miejsca na drugie, ale było dokładniejsze, a na spokojnie mogła lepiej kojarzyć fakty. Dłuższy postój nad rzeką, po południowej stronie Warty. Potem jazda na północ. Zaniemyśl i znowu jazda na północ.

Zastanawiała się, kiedy znaleźli ten cholerny telefon, i niemal natychmiast sobie odpowiedziała:

Wtedy, kiedy przeliczali kasę.

Czyli kiedy?

Na pierwszym postoju. W Zaniemyślu.

Alicja jeszcze raz powiększyła ekran. Czerwona lezka, którą początkowo wzięła za jeden znacznik, tak naprawdę była aż trzema. Nie do wiary, przemknęło jej przez głowę. Poczła się jak po podwójnym espresso, chociaż z cappuccino wzięła zaledwie łyk. Trzy znaczniki! Jeden ze znaczników wskazywał na Wyspę Edwarda. Byli na niej dwie godziny i dwadzieścia sześć minut.

Powiększyła obraz wyspy. Wyglądała jak płynąca na południe kijanka. Na oko jakieś trzysta metrów długości, głównie las i pozostałości jakichś budynków. Sprawdziła w wyszukiwarce, że to rezerwat ścisły, była własność hrabiego Edwarda Raczyńskiego. Wśród zdjęć zrobionych najpewniej kilka lat temu był ośrodek wczasowy, plac zabaw i zgliszcza dawnej restauracji. „Po prostu muszę być blisko wody”, powiedziała jej Sirene, kiedy siedzieli u Horsta.

Mam cię, pomyślała Alicja. Była już niemal pewna, że na wyspie znajdzie ślady pobytu Sirene. Może nawet pieniądze albo ją samą. A nawet jeśli nie znajdzie tam nic, to przynajmniej zaśnie z poczuciem, że zrobiła wszystko, co mogła, aby pomóc przyjacielowi.

– Wszystko okej? – zapytał Witalij, którego zaniepokoiła jej nerwowość.

– Tak. Bardzo mi pomogłeś. Chyba wiem już, od czego należy zacząć poszukiwania.

– Tylko nie rób nic głupiego. Potrzebujemy cię tutaj.

Miało to zabrzmieć jak żart albo wyznanie sympatii, ale Alicji zrobiło się przykro. Knajpiana rzeczywistość, która była czystym relaksem dla przychodzących tu ludzi, wydawała jej się czystym wyzyskiem. Pewnie zostanie tu, dopóki będzie mogła ustać na nogach. Zazdrościła koleżankom, które po stwierdzeniu ciąży szły na zwolnienie lekarskie. Umiała jednak panować nad swoimi emocjami.

– Bez obaw. Jutro wieczorem mamy razem zmianę, więc będzie okazja pogadać. – Alicja schowała laptop do torby. Wzięła dwa szybkie łyki kawy i oddała filiżankę.

– Lecisz już?

– Muszę coś załatwić. Dzięki serdeczne, bardzo mi pomogłeś.
– Pocałowała Witalija w policzek.

Poszła do domu, ale tylko po to, żeby skorzystać z toalety i zgarnąć jabłko. Jadła je, schodząc po schodach i potem, kiedy przekreślała kluczyk w swoim renault.

Jechała do Horsta. Przejeżdżając przez las, wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać ich rozmowa. „Jest nadzieja”, powie, a on podrepce do kuchni, żeby zaparzyć jej okropnej rozpuszczalnej kawy. Kiedy usiądą przy stoliku, opowie mu o swoim odkryciu, o tym, że połączyła fakty, i myśli, że jego narzeczona była (a może ciągle jest) na pewnej wyspie, która wydaje się kryjówką doskonałą. Horst oczywiście poprosi o szczegóły, a wtedy ona pokaże mu mapę i nakreśli drogę, którą przemierzył jej telefon. Potem zada mu kilka zmuszających do myślenia pytań: „Dlaczego zatrzymali się akurat na wyspie, skoro jest rezerwatem ścisłym?”. „Dlaczego spędzili tam prawie dwie i pół godziny?” Odpowiedź mogła być tylko jedna. Znali teren i dokładnie to zaplanowali. Może byli tam wcześniej, a może nawet ciągle tam są. Wjeżdżając na wąską leśną drogę,

wyobrażała sobie minę zdumionego Horsta. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy mu to wszystko powie.

Zaparkowała przed bramą i wcisnęła przycisk domofonu. Nikt nie odbierał. Spróbowała się do niego dodzwonić, ale skutek był taki sam. Zaczęła dreptać w miejscu.

Co jest? Pomachała do kamery, a potem wspięła się na płot i zajrzała do środka. Nic. Ani śladu Horsta.

Jeszcze raz sięgnęła po telefon.

- Hej, Janek, czy Horst mówił ci, że gdzieś się wybiera?
- Nie, ale o ile mi wiadomo, jest dorosły.
- Przestań być złośliwy.
- Gdzie jesteś?
- Domyśl się – powiedziała Alicja i pewnie skończyłaby rozmowę, gdyby nie łączyły ich pewne kwestie. – Odebrałeś Rafałka?
- Właśnie po niego idę.
- Zrobisz to spaghetti?
- Tak, wszystkim się zajmę. Spokojnie, Ala. Byłaś w teatrze?
- Tak, dyrektor próbował mnie zbyć. Potem ci opowiem... – Alicja rozejrzała się po okolicy: las, ścieżka rowerowa, wąwozy i cisza. – Czy Horst trzyma jakiś zapasowy klucz?
- Nie wiem. Możesz do niego zadzwonić nawet z domu. Wracaj.
- Jeszcze chwila... – powiedziała i wcisnęła czerwoną słuchawkę. Powtórnie spróbowała z domofonem, a kiedy ten milczał, ponownie podciągnęła się na betonowy płot i przeskoczyła na drugą stronę.

Jego toyota hilux stała przed garażem.

– Horst! – zawołała, idąc w kierunku domu. Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte, więc weszła do środka. – Horst...

Cisza. Obeszła parter, wspięła się na piętro. W sypialniach i gabinecie Horsta także nie było. Kiedy zapukała do łazienki i nie usłyszała odpowiedzi, zaczęła mieć złe przeczucia.

Skoro nie ma go w kiblu, to pewnie jest w ogródku, pomyślała, zerkając przez duże okna w salonie.

Na zewnątrz także nie było po nim śladu.

– Horst! – zawołała, wychodząc z domu. – Jak tu jesteś, to się odezwij!

Ostatnim miejscem, gdzie mogła ewentualnie go znaleźć, wydawał się garaż. Poszła tam. Zapukała i otworzyła drzwi. W środku było pusto i cicho.

– Horst...

Kubelwagen jak zwykle lśnił czystością. Narzędzia tkwiły nad stołami we wzorowym porządku. W szafie, którą uchyliła, wisały robocze ciuchy i niemiecki mundur z czasów drugiej wojny światowej. Pachniało smarem i naftaliną. Metalowe szafy były zamknięte. Z wyjątkiem jednej. Miała wrażenie, że dobiega stamtąd muzyka. Uchyliła drzwi szerzej.

Janek pokazywał jej kiedyś ukryte w szafie pomieszczenie. Na ścianach wisały zdjęcia pomordowanych kobiet, a regały pełne były zapisków i akt z prowadzonego przez niego śledztwa. Wtedy przypominało to horror.

Teraz wyglądało zupełnie inaczej.

Po drastycznych zdjęciach nie było nawet śladu. Pomieszczenie zostało odmalowane i wysprzątane. Amarantowe ściany ozdobione były mandalami i obrazami, zapewne autorstwa Sirene. Kilka wydrukowanych w dużym formacie zdjęć przedstawiało czarno-białe zbliżenia kwiatów.

W jednej ze ścian wybito duże okna i balkonowe drzwi, które teraz wychodziły na ogród. Z głośnika sączyła się spokojna muzyka. Ale najdziwniejsze było zupełnie co innego.

Najdziwniejszy w tym wszystkim był Horst.

Siedział na piętach, skupiony i nieobecny. Patrzył na ogród. Obok niego wisiała klatka z jastrzębiem. Ptak zaskrzeczał kilka razy, wyczuwając obecność Alicji, ale Horst nawet nie drgnął. Pokój emanował wręcz nierzeczywistym spokojem.

Horst w końcu wstał. Wszedł na taboret i zdjął klatkę z wkręconego w sufit haka. Postawił ją na stole ogrodowym.

Alicja, mimowolny świadek tego dziwnego przedstawienia, widziała, jak Horst omiata wzrokiem nieodległy las. Jak otwiera klatkę i podwija rękawy swojej kraciastej koszuli. Widziała, jak stuka w metalowe pręty, bo zdezorientowany jastrząb wydawał się nie dostrzegać otwierających się przed nim perspektyw. Ptak w końcu zaskrzeczał i usiadł na podstawionym mu przedramieniu. Alicja nawet z oddalenia widziała jego rozcinające skórę szpony. Horst był spokojny. Jak zawsze. Pochylił głowę i szeptał do drapieżnika; była w tym swoista czułość, chociaż krew barwiła ogrodowe płytki. Nagle ręka Horsta wyprostowała się i ptak zerwał się do lotu. Chwilę szybował nad ogrodem, wkrótce przysiadł na pobliskiej sośnie. Horst podniósł głowę, wyglądało to tak, jakby wymienili spojrzenia, a potem uwagę jastrzębia przyciągnęło coś innego. Zatrzepotał skrzydłami i odleciał w niebo.

Alicja ukradkiem się wycofała.

Nieważne, co jest prawdą, ważne, w co wierzymy, pomyślała.

Uzmysłowiła sobie, że Sirene najwidoczniej wprowadziła coś pozytywnego do tego przesiąkniętego cierpieniem i cynizmem życia. Była hochsztaplerką czy nią nie była, jakie to ma teraz

znaczenie? Ważne, że zniknęła, pozostawiając po sobie spokój.
Alicja nie miała sumienia go burzyć.



Piotrek wrócił po kilku godzinach. Obładowany prowiantem plecak postawił na ziemi i swoim młodzieńczym uśmiechem zwabił Sirene, która jak prawdziwa pół kobieta, pół ryba wpadła w sieć jego rozpostartych ramion.

- Tęskniłam – powiedziała, namiętnie go całując.
- Mówiłem, że wrócę, Syrenko. Zawsze dotrzymuję słowa.
- Masz piwo bezalkoholowe?

Piotrek sięgnąwszy do plecaka, wydobyl z niego malinowego radlera. Z puszki ciągle jeszcze spływały krople, pozostałość szronu, którym była pokryta. Otworzył, upił spory łyk i podał swojej dziewczynie.

– Tak bardzo chciało mi się pić – powiedziała Sirene. – Chcę stąd spadać. Mam już serdecznie dosyć tego miejsca.

– A on? – Piotrek wskazał gestem starą armatę, która stała jakieś dwadzieścia metrów od nich. – Mówił coś?

- Obrażał mnie.
- W kneblu?

Sirene zrobiła niewinną minę.

– Chciałam dać mu pić. I tak od słowa do słowa... To zwykły cham. Nazwał mnie głupią krową.

Piotrek się oburzył. Nikt nie będzie obrażał mojej ukochanej, mówiło jego ego. Ale był to tylko pierwszy odruch. W spokoju jego dziewczyny było coś niepokojącego. Spojrzał na

przywiązanego do armaty draba. Jego wytatuowana głowa opadła na ramię.

Teraz uważnie przyjrzał się Sirene.

– Kochanie, czy ty zrobiłaś coś naszemu więźniowi?

Sirene pokręciła głową i spuściła wzrok.

– Pytam poważnie. – W głosie Piotrka było zdecydowanie, które tak uwielbiała. – Zrobiłaś mu coś czy nie?

– Tylko trochę.

– Co tylko trochę?

– Tylko trochę go... dźgnęłam. Nie przestrzegał zasad. Nazwał cię debilem.

Piotrek podbiegł w kierunku Glacy. Najpierw dostrzegł kałużę wokół jego nienaturalnie zgiętych nóg. Krew i mocz. Śmierdziało. Knebel wisiał na jego piersi. Dżinsy były bordowe; krew wylewała się nawet z jego butów.

Zabiła go, pomyślał, czując przyływ paniki.

Sam nie był święty, ale nigdy nikogo nie skrzywdził. Zatrzymywał się, żeby przenieść na pobocze idące ulicą ślimaki. Powalenie Glacy łopataą było pierwszym nokautem, jakiego dopuścił się w życiu.

– Kochanie, coś ty najlepszego zrobiła?!

Sirene, która stanęła za nim, chlipała.

– Przepraszam. Trochę mnie poniosło. Obrażał mnie i mój projekt. Musiałam nauczyć go szacunku.

– Dźgając go nożem?!

Mina Sirene była miną dziecka, które niechcący zrzuciło coś ze stołu.

– Przepraszam – powtórzyła.

Piotrek szybkim krokiem ruszył do chaty. Po chwili wrócił z rondlem, który napełnił wodą z jeziora. Chlusnął w twarz Glacy.

Więzień jednak żył.

Podniósł głowę. Warknął i chrząknął. Odzyskał przytomność i przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Twarz miał wykrzywioną bólem i wściekłością.

– Nawet nie wiecie, jak bardzo macie przejebane – wycedził ze spokojem. Tego przestraszyli się bardziej niż wybuchu gniewu.

Piotrek odciągnął Sirene na bok.

– Przesłuchiwałaś go? – spytał.

Przytaknęła.

– Powiedział coś?

– Nie. Obrażał mój projekt.

– Twój projekt – jak echo powtórzył Piotrek. Czasami miał dosyć jej graniczącego z obłędem uporu. Wziął jej twarz w dłonie. – Posłuchaj, kochanie, nie możemy tak po prostu zabijać ludzi. I bez tego oceniają nas, bo nie pasujemy do ich schematu myślenia. To, czego się podjęliśmy, wymaga od nas spokoju... – mówił niemal szeptem.

Glaca, który usłyszał tylko „zabijać”, szarpnął związanymi z tyłu rękami. Zagryzając wargi, powiedział:

– Wiecie, czym tu tak śmierdzi? Trupem. – Próbował się zaśmiać, ale tylko zacharczał przeraźliwie. – Wiecie, że już po was? Nie ma was. Nie żyjecie.

– Zamknij się! – rzucił Piotrek.

Glaca tylko się uśmiechnął.

– Wiecie, co właśnie robię? Siedzę sobie i patrzę na dwa jebane trupy.

– Morda w kubeł! – warknął Piotrek. Zdecydowanie wołał go nieprzytomnego.

– Ty zginiesz pierwszy – kontynuował niezrażony Glaca. – To ty znalazłeś pieniądze, tak?

Odpowiedziała mu cisza.

Glaca mówił dalej. Nawet związany wydawał się groźny.

– Ty. Na pewno ty... Widziałeś pewnie, że nie przypląnąłem sam. Mój kumpel będzie tu jeszcze dzisiaj. Jak zobaczy, co mi zrobiliście, to was zajebie. Pourywa wam te puste łby.

– Zamknij się! – wrzasnęli jednocześnie.

– Będzie tu dziś wieczorem. Nie żartuję. Właśnie tak się umawialiśmy. Jeśli dzisiaj o trzeciej nie zjawię się w Poznaniu, to ma przeszukać wyspę. Serio. Która godzina?

Sirene zbliżyła się do niego, ale nie więcej niż na dwa metry.

– Kłamiesz – powiedziała.

Glaca zachował kamienny spokój.

– Po co miałbym kłamać? Przecież znaleźliśmy waszą łódkę. Wiedzieliśmy, że ktoś jest na wyspie, i doszliśmy do wniosku, że pieniądze nie są tu bezpieczne. Po co niby pułapka? Umówiliśmy się, że jak do trzeciej nie wrócę, ma tutaj przypląnąć. – Widział ich niepewność, więc mówił dalej. – Jak mnie tu zobaczy, to was zapierdoli. Nie wiecie, z kim zadarliście.

– Z kim? – Sirene, chociaż przestraszona, była naprawdę ciekawa.

Glaca zbył jej pytanie milczeniem. Interesowały go tylko pieniądze.

– Oddajcie kasę i mnie wypuście, to będziecie żyć. Obiecuję, że nic się wam nie stanie. Serio. Ej, kurwa, nie odchodźcie, jak do was mówię!

Piotrek i Sirene oddalili się, żeby spokojnie porozmawiać. Wyszli na porośniętą dzikim bzem polankę przed domem. Czuli na twarzach zawiewający od jeziora wiatr.

– Myślisz, że mówi prawdę? – spytała Sirene. – A co jeśli jego kumpel naprawdę wie, że on tu jest?

Piotrek chodził w przód i w tył. Był zdenerwowany. Pocierał czoło i targał przetłuszczone włosy.

– Nie wiem, Syrenko. Naprawdę nie wiem, co robić.

– Ucieknijmy już teraz.

– Musielibyśmy go zabić.

Spojrzeni po sobie. Sirene była blada ze zdenerwowania, ale jej oczy wydawały się niewzruszone.

– Zabić? – powtórzyła, jakby pierwszy raz w życiu słyszała to słowo.

Piotrek podniósł płaski kamień i cisnął w taflę jeziora, a on podskoczył pięć razy, zanim zatonął.

– Przetarłaś szlaki. Dźgnęłaś go.

– Nie jesteś na mnie wściekły? – Kiedy spojrzała na niego, przekonała się, że po jego złości nie było już śladu. Piotrek naprawdę myślał o tym, że powinni się go pozbyć. – Piotruś... Czy ty naprawdę sugerujesz mi, że powinnam...

– Wystarczy, że dźgniesz go jeszcze raz. W serce. Ewentualnie w szyję. Albo w wątrobę.

Sirene patrzyła na niego jak na obcą osobę.

– Nie wierzę, że to mówisz – oznajmiła.

Rozłożył ręce.

- Masz lepszy pomysł?
- Może znowu ogłuszymy go łopata? – zapytała.
- Działalem w silnym stresie. Nie umiem tak z zimną krwią...
- A ja? Myślisz, że zrobiłabym to, gdyby mnie nie obrażał? – Ukucnęła zrezygnowana. Wiatr rozwiewał jej włosy. Przeplatające je niebieskie i różowe warkoczyki poruszały się, jakby tańczyły.

Jezioro, zazwyczaj ciemne, było niemal czarne. Teraz wydawało się bezdenną otchłanią, w której bez trudu można zatopić przeszłość.

Piotrek ukucnął obok niej i delikatnie objął ją ramieniem.

- Mamy trzy miliony, za które możemy żyć tak, jak zawsze chcieliśmy. To warte wspięcia się na wyżyny.

Sirene słyszała jego słowa, ale jeśli oczekiwał od niej, że dla kasy stanie się morderczynią, to nadzieja okazała się nietrafiona. Zresztą jej myśli zaprzętał jeszcze jeden problem.

- Myślisz, że jego kolega naprawdę tu przyplynie? – spytała cicho.

– Nie wiem. Musimy wziąć to pod uwagę.

- Drugi raz może nam się nie udać. W sensie... Wiesz, związać go i w ogóle...

– Wiem. – Piotrek spuścił głowę. Też prześladowała go ta myśl. Jeśli kumpel tego draba zjawi się na wyspie, będzie ostrożniejszy. I uzbrojony. – Cholera...

Sirene przytuliła się do niego.

- Coś wymyśliłam – oznajmiła, a widząc pytające spojrzenie Piotrka, kontynuowała: – Mamy jego telefon, prawda? Niech zadzwoni do tego kumpla i powie mu, że wszystko okej.

Piotrek ponownie podrapał się w głowę.

– Jest to jakaś myśl – przyznał.

Kiedy podeszli do niego, Glaca wyglądał dużo lepiej niż przed godziną. Był blady, ale jego oczy zachłannie śledziły każdy ich ruch. W przywiązanej do armatniego koła dłoni ścisnął dwie zardzewiałe śrubki. Sirene wyciągnęła z torebki telefon i podsunęła mu pod nos.

– Dzwon! – rozkazała. – Powiedz swojemu koledze, że ma tu nie przyjeżdżać. Że wszystko jest okej.

Glaca się zaśmiał. Śmiech miał szorstki i nieprzyjemny.

– Rozwiążcie mnie.

– Nie ma mowy – powiedział Piotrek. Ukucnął obok niego i zabrany swojej kochance nóż przyłożył do grubej wytatuowanej szyi.

– Zamierzasz mnie tym zabić? Zabiłeś kiedyś kogoś?

Sirene miała już dosyć tego chama.

– Słuchaj, palancie – powiedziała. – Jeśli nie zadzwonisz do swojego kumpla, to ja cię zabiję. Żaden problem, wystarczy wycelować w serce, o tutaj. – Wbiła mu palec w klatkę piersiową. – Więc zrobimy tak. Porozmawiasz z kolegą albo już nigdy go nie zobaczysz. Nie żartuję.

Glaca wciągnął powietrze. Spojrzał na nią z pogardą.

– Narysuj „U” – powiedział z lodowatym spokojem.

Sirene odblokowała telefon.

– Jak się nazywa twój kumpel?

– Fifty Grosz.

– Jak?

– Głucha jesteś? Wpisz Fifty. Po angielsku to...

– Znam angielski... – Sirene wyszukała kontakt i wcisnęła zieloną słuchawkę. Kiedy Fifty odebrał, włączyła tryb

głośnomówiący i przysunęła telefon bliżej Glacy.

– Co jest? – pytał Fifty.

– Słuchaj. Nie przyjeżdżaj na wyspę. Wszystko w porządku.

– Co?

– Z dupą się na uszy zamieniłeś? Mówię, że z kasą wszystko okej. Nie musisz przyjeżdżać na wyspę.

– Glaca, kurwa, co ty pierdolisz? – Fifty zamilkł.

Glaca znał go na tyle, żeby wiedzieć, że dopiero teraz zaczyna myśleć.

– Nie przyjeżdżaj tutaj. Mówię przecież.

Fifty nie miał szans odpowiedzieć, bo Sirene wyłączyła telefon.

Glaca patrzył na nią z nienawiścią. Adrenalina, która napędzała jego mózg, odkąd go ocucili, powoli się ulatniała. Znowu zaczął odczuwać ból. Pojawiło się zmęczenie. Mimo to nie przestawał się uśmiechać.

– Macie przejebane – powtórzył.



Fifty przetarł oczy i usiadł na brzegu łóżka. Stopami namacał kapcie i siedział tak, a ból głowy tańczył w jego czaszce, domagając się kolejnego kieliszka. Ostatnio nie miał najlepszej passy i niewiele zapowiadało, żeby w najbliższym czasie coś się zmieniło. Dni spędzał w kolejnej melinie, pijąc i paląc. Wyszedł tylko raz. Kiedy chciał pożegnać się z ojcem, zobaczył, że pod jego domem stoi policyjny radiowóz. Podniósł kołnierz i się wycofał, kiedy w przejściu pomiędzy blokami spotkał Konia, dawnego kumpla. Fifty w jego oczach dostrzegł szczere zdziwienie, które świadczyło o tym, że doskonale wie, kto stoi za napadem na konwojenta Baszty. Na wszelki wypadek Fifty zdzielił go w pysk, potem w brzuch, a kiedy tamten się skulił, oberwał jeszcze kolanem w nos.

Chyłkiem uciekł z osiedla, które przez większość życia było jego całym światem, a teraz pił w samotności, zastanawiając się, dlaczego z pełnej pieniędzy torby zostało mu kilkadziesiąt tysięcy.

Odpowiedź była coraz bardziej jasna, chociaż długo jej do siebie nie dopuszczał. Glaca go wychujał. Gadka o kormoranach, czy jakichś cholernych rybołowach, była tylko mydleniem oczu. Fifty uświadomił sobie też, że od początku był na gorszej pozycji niż jego kumpel, który po prostu to wykorzystał. Glaca jeździł beemką, miał pracę i kasę, mógł sobie pozwolić na czekanie, bez obawy, że ich łup zeżre inflacja albo robaki. Ale on nie może czekać.

Fifty czuł, że policyjna pętla coraz bardziej się zaciska. Dzień po napadzie w jednym z internetowych serwisów zobaczył swoje zdjęcie. Broda, ciemne okulary, naciągnięta na oczy bejsbolówka. Mogła tak wyglądać połowa facetów w kraju. Ale policja nie była głupia. Wczoraj Fifty znalazł w necie aż sześć portretów. Ze zgoloną brodą, z wąsami, w okularach i bez. Ostatni z nich bardzo przypominał tego gościa, którego Fifty widział codziennie w lustrze.

Jebany Glaca. Załatwił pracę w Baszcie, lewe papiery, ułożył plan napadu i wszystko miało być pięknie. Tyle że nie było mowy o zabójstwie gliniarzy. Fifty wiedział, że teraz jest jednym z najbardziej poszukiwanych facetów w kraju, a nie ma z tego nic, nawet porządnej kasy.

Sprawa była tak jasna, że trafiała nawet do jego wiecznie pijanego łba. Kończył mu się czas. Koń na pewno zgłosił pobicie. Sprawdzili monitoring. Dotrą do niego wcześniej czy później, bo przecież nie może ukrywać się w nieskończoność. Nie była to wesoła perspektywa.

Jęknął i poczłapał do stolika, na którym stała pusta szklanka i ledwie otwarta półlitrowka jacka daniel'sa. Nalał whisky na dwa palce i już miał ją wypić, kiedy zadzwonił telefon. Glaca.

Zaczął pierdolić coś o wyspie, ale nie szło zrozumieć, o co mu chodzi. Przecież dopiero co tam byli.

Co, do chuja? – pomyślał.

Glaca dalej pierdolił swoje, więc Fifty stwierdził, że albo się najebał, albo ma go za kompletnego kretyna.

Zrozumiał wszystko dopiero, kiedy siedział na kiblu, wykonując czynność, podczas której myślało mu się najlepiej. Podcierając tyłek, uświadomił sobie oczywistą prawdę: Glaca go wychujał i właśnie mu to oznajmił. Spuścił wodę i wrócił do pokoju.

Był wściekły. Cisnął butelką whisky, która z głośnym hukiem rozbiła się gdzieś w salonie. Z szuflady wyjął służbową broń. Sprawdził magazynek. Przed oczami stanęła mu wiecznie ponura twarz Glacy.

Zabije go. Po prostu rozwali mu ten fałszywy wytatuowany łeb i zabierze kasę, na którą tamten nigdy nie zasługiwał.



Słońce już zaszło i nad wodą zaczęła pojawiać się mgła. Niebo było jeszcze granatowe, kiedy skończyli jeść kolację i szybko opłukali się w jeziorze. Z otwartego wina upili tylko po kieliszku. Chociaż nie padło żadne słowo, to zarówno Piotrek, jak i Sirene zastanawiali się, ile prawdy może być w rzucanych przez ich więźnia groźbach i czy na pewno skutecznie zniechęcili jego współnika do przyplłynięcia tutaj.

– A co jeśli nas okłamał? – Sirene odważyła się wypowiedzieć na głos jedną z ich wątpliwości.

Piotrek, który jeszcze wciąż trząsał się z zimna po krótkiej kąpieli, nie miał ochoty odpowiadać. Ten aspekt przemyślał sobie dość dobrze. Jeśli zjawi się kumpel tamtego, użyje pistoletu. Wiedział już, jak go przeładować i odbezpieczyć. Pociągnięcie za spust nie będzie łatwe, ale przecież chodzi o ich życie. Rzecz jasna, nie zamierzał o tym mówić swojej dziewczynie.

– Bo patrz... – Sirene się nie poddawała. – Może ten drugi w ogóle nie wiedział, że jego kumpel jest na wyspie. Po co mieliby zadawać sobie tyle trudu, żeby ukryć pieniądze, skoro już następnego dnia chcieli je zabrać?

Piotrek stanął za nią i pocałował ją w szyję.

– Wszechświat sprzyja odważnym – powiedział, obejmując jej piersi.

Odrącała go.

– Ej... Co jest, maleńka?

Co jest? – pomyślała, przedrzeźniając jego słowa.

Właśnie uświadomiła sobie całą grozę ich sytuacji. Co z tego, że mają mnóstwo kasy, skoro mają też na głowie jej narzeczonego, byłego policjanta, a może nawet zawiadomioną przez niego policję. Co jest? Może to, że właśnie spieprzyliśmy sprawę. Facet blefował, ewidentnie chciał orznać swojego kumpla, a oni zadzwonili do niego i powiedzieli, że ma nie myśleć o różowym słoniu. Jasne, że będzie teraz myślał o słoniu, chciała wykrzyknąć Sirene. Będzie myślał tak długo, aż uświadomi sobie, że trzeba ruszyć dupę i tu przyjechać, choćby dlatego, że pewnie nie może dodzwonić się do tego wytatuowanego draba, którego musiałam nauczyć kultury.

Sirene odetchnęła głęboko i ponownie, tym razem z sympatią, przyjrzała się swojemu ukochanemu. Miała dosyć tej bezludnej wyspy, którą sami zamienili na jakieś cholerne Alcatraz.

– Moja mama nie przyjedzie – powiedziała, idąc w stronę domu. Było jej zimno. Chciała jak najszybciej włożyć na siebie coś ciepłego i wsiąść do łódki.

– Ej, Syrenko... Sirene! – Ruszył za nią.

Kiedy byli już w domu, Sirene wydawała się jeszcze bardziej niespokojna. Kilka ciuchów, które kupił jej tuż przed porwaniem, schowała do reklamówki. Dołożyła do niej trochę prowiantu i butelkę wody. Kiedy zamienioną na ścierkę podkoszulką zaczęła wycierać odciski palców ze wszystkiego, czego dotykali, nie wytrzymała.

– Tylko spokój może nas uratować – powiedział, chwytając ją za łokieć. – Sama to mówiłaś.

Spojrzała na niego. W jej oczach były strach i wściekłość.

– Nie pamiętam, co mówiłam kilka dni temu. Tracę cierpliwość. Tracę nerwy. Mam już dosyć tej wyspy. Nie chcę tu być ani godziny dłużej.

– A plan? A wszystko, co ustaliliśmy?

– Jaki plan? Taki, że zjawi się tutaj napakowany testosteronem łotr, a my będziemy rozmawiali o tym, czy lepiej dźgnąć go w szyję, czy w serce?

Była roztrzęsiona i bliska łez. Nie wyrwała ręki, za którą ją trzymał. Być może chciała, żeby ją przytulił, ale on jak zwykle był taki rzeczowy.

– Miałem kupić auto i jechać do Hiszpanii. – Spróbował ją pogłaskać. Bezskutecznie. – A odszkodowanie? Sama mówiłaś, że czekanie, aż skończy się karencja, to był koszmar...

– Wiesz co? Pieprzę to odszkodowanie. Mamy więcej kasy, niż planowaliśmy. O wiele więcej. Pieniądze miały być na start, a nie po to, żeby obrastać tłuszczem i kupować rzeczy, bez których można się obejść. Pamiętasz?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Nie możemy być chciwi. To pułapka.

– Jesteś świadoma tego, że nie możemy być chciwi, ale jednocześnie postępujesz pod wpływem emocji. Opanowanie i spokój. Sama to mówiłaś. „Nowa ty”.

Sirene przestała wycierać stolik i usiadła na łóżku. W jej rękę ciągle tkwiła szmata, którą ścierała odciski palców.

– Kiedy się kąpałeś, wszystko sobie przemyślałam. – Wzrok utkwiała w podłodze, ale jej głos miał w sobie niepokojącą gorączkowość. – Możemy spać gdziekolwiek, byle nie tu. Odplyniemy stąd. Jutro pojedziemy po auto. Pieniądze schowamy w szafce, pod kanapą, gdziekolwiek. W vanie mogę się ukryć. Mogę udawać, że śpię, mogę udawać autostopowiczkę

albo że mnie w ogóle nie ma. Możesz nawet mnie związać i ciągle udawać, że mnie porwałś... – Pociągnęła nosem, nieświadoma tego, że jej oczy napełniły się łzami. – Będziemy jechać dniem i nocą. Możemy się zmieniać. Dojedziemy aż na La Palmę. Ale zaczniemy teraz, dobrze? – Chwyciła go za ramiona i wpatrywała się w jego zdziwione oczy. – Piotrek, ucieknijmy stąd, błagam, mamy wszystko, czego potrzeba.

– A jeśli oskarżą cię o współudział? Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo.

– O czym ty mówisz? Rozejrzyj się. Jakie bezpieczeństwo?

Piotrek omiół wzrokiem niewielki pokoik. Turystyczna lampka oświetlała schodzącą ze ścian farbę i plamy wilgoci, które wyłaziły niemal z każdego kąta. Wyrwane ze ściany kable straszyły, podobnie jak połamana szafa. Skotłowane łóżko, na którym leżała reklamówka ze wszystkim, co zabierali na nowy start, też nie wyglądało imponująco.

Może rzeczywiście tkwimy tu za długo, pomyślał.

– No dobra – powiedział. – Masz trochę racji. Ale nie wzięłaś pod uwagę wszystkiego.

– Czego? – Rękawem otarła nos.

– A facet, którego dźgnęłaś? Jeśli go zostawimy, to umrze. Ktoś prędzej czy później go znajdzie. Choćby jego kumpel...

Sirene drgnęła, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że nie są tu sami. Przybliżenie tych zbirów rzeczywiście trochę komplikowało sprawę.

– Nie byliśmy w stanie tego przewidzieć – stwierdziła, jakby to rozwiązywało sprawę.

– No nie – zgodził się Piotrek. – Ale to już się stało. Musimy się dostosować.

Sirene zakręciła się na łóżku i niespodziewanie pocałowała go w usta. Kiedy chciał ją objąć, odskoczyła. Teraz dla odmiany się uśmiechała.

– Pakuj się, kochanie – powiedziała. – Ja tu posprzątam, a ty idź po pieniądze. Dobrze?

Piotrek się wahał. Erekcja, którą właśnie wywołała, utrudniała myślenie, ale niektóre sprawy były dość oczywiste. Ryzykował więcej niż ona. To on grał porywacza. To on uciął jej palec. Dziadek, którego zbajerowała, zabiłby go tylko za to, że z nią sypia. Sporo pracy włożył w to, żeby nie zostawiać śladów, ale to mogło nie wystarczyć. Sam najlepiej wiedział, że każdy system można obejść.

– Nie ma czasu do stracenia – powiedziała Sirene. – Idź po nasze pieniądze.

Piotrek wolno wstał.

– Skoro uważasz, że tak będzie lepiej...

Sirene odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Kocham cię – powiedziała, obserwując, jak zmierza do wyjścia.

Obrócił się, ale ku jej zdziwieniu nie spojrzał na nią ani nie powiedział, że też ją kocha.

– Po co ci to? – spytała, kiedy sięgnął po butelkę z wodą.

– Po drodze dam mu pić. – Uśmiechnął się i wyszedł.

W dali coś zapiszczało. Może rybołów. Zapiszczało, a po jej plecach przebiegł dreszcz.

Kiedy wrócił po dwóch minutach, nie poznała go. Był blady, trząśł się jak w gorączce. Zamknął drzwi na klucz i w kilku susach dopadł do nocnej szafki, w której trzymali pistolet.

– Co się stało? – wydusiła Sirene, chociaż w gruncie rzeczy wiedziała to, co on.

Stało się coś bardzo złego.

– Uciekł – powiedział Piotrek. – Łysol, którego zdzieliliśmy łopata, uciekł i jest gdzieś na wyspie.

– Co?!

Piotrek wciąż dygotał.

– Nie ma go. Może za słabo go związałem, nie wiem...

– Co teraz?

Piotrek nie odpowiedział. Oparł się o drzwi, a potem zsunął z nich, zrezygnowany. W dłoniach ścisnął pistolet.

– Nie wiem, Syrenko. Po prostu uciekł.

Sirene patrzyła to na niego, to na leżące na łóżku rzeczy, które zamierzali zabrać.

– Sprawdzałeś, czy pieniądze są tam, gdzie je schowałeś?

Piotrek pokręcił głową. Kiedy wszedł na podest i zobaczył, że po ich więźniu zostały tylko ubrudzone krwią deski, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Wrócił najszybciej, jak zdołał, potykając się o swoje nogi. Teraz miał nadzieję, że zbir nie zdążył się dowiedzieć, w którym mieszkają domku.

– Zgaś to – powiedział, wskazując niewielką turystyczną lampkę.

Sirene posłusznie wypełniła polecenie. Zapadła ciemność. Przez umieszczone pod sufitem okno widać było migoczące gwiazdy. Tkwili tak, nasłuchując każdego szmeru. Nerwy mieli napięte jak postronki.

Mijały minuty. Potem godziny.

Wiał wiatr. Kiedy stawali na palcach, aby wyjrzeć przez okno, widzieli szarość i czarne smugi dębowych gałęzi, które

przypominały ogromne wyciągnięte na boki ręce.

Coś spadło na dach, szyszka albo kamień. Wzdrygnęli się. Kiedy nie usłyszeli kroków, odetchnęli z ulgą.

– Może odpłynie – powiedziała w końcu Sirene. Nie dodała, że tego właśnie się obawiali. Na wyspie była tylko jedna łódka.

Piotrek milczał. Siedział na podłodze, skupiony i wściekły. Gdyby sprawdził wcześniej te cholerne więzy! W końcu podszedł do Sirene. Usiadł obok niej i chwycił jej dłonie. Ostrożnie wsadził w nie zdobycznego glocka.

– W razie czego odbezpieczasz i strzelasz. Prawą ręką tylko podpieraj. Dla pewności.

– Nie umiem. – Sirene odłożyła pistolet z obrzydzeniem. – Nie chcę.

– Posłuchaj, wrócę i wszystko będzie dobrze. Ale musisz być bezpieczna. On jest wielki jak ta ściana. Na pewno bez trudu go trafisz, nawet lewą ręką.

Sirene zachlipała. Łzy spływały na jej kolorowy sweter.

– A ty? – spytała z przejęciem.

– Ja muszę go znaleźć, zanim on znajdzie nas.

– Nie idź... – Chwyciła się jego rękawa jak małe dziecko. – Piotrek...

– Siedź tu i patrz na drzwi. Zapukam pięć razy. Puk-puk. Puk. Puk-puk. Powtórz.

Powtórzyła rytm, cicho wystukując go o stolik.

– Właśnie tak. Jeśli usłyszysz cokolwiek innego, po prostu strzelaj. To ważne, rozumiesz?

Skinęła głową i ostrożnie podniosła pistolet.

Pogłaskał ją po głowie.

– Mądra dziewczynka – powiedział i pocałował ją. – Za to kocham cię najbardziej.

– Ale Piotrek...

Delikatnie ścisnął jej dłonie.

– Posłuchaj. Już raz go znokautowałem. Teraz jest ranny, stracił dużo krwi. W razie czego walnę go tym. – Piotrek wziął łopatę do ręki i dotknął ostrej części sztychu. – Wróć, nic się nie bój. I zamknij za mną drzwi. – Uśmiechnął się zawadiacko i wyszedł w ciemność.

Sirene zamknęła drzwi na zasuwę i wtuliła się w kąt chatki, ani przez chwilę nie spuszczać z nich wzroku. Pistolet leżał przed nią, naładowany i gotowy do strzału.

Piotrek zastanawiał się, dokąd mógł pójść ranny bandzior. Był niemal pewien, że kręci się gdzieś w pobliżu. Kiedy wciągał nosem chłodne rześkie powietrze, mógłby przysiąc, że czuje zapach jego potu.

Gdzie jesteś, kochaniutki? – pytał w myślach, ściskając oburącz łopatę.

Niebo było bezchmurne. Gwiazdy lśniły wyraźnie. Gdyby nie mgła, która co wieczór nadciągała znad jeziora, widoczność byłaby niemal przyzwoita.

Piotrek obszedł ośrodek wczasowy, który zbudowano jako kilka połączonych ze sobą prostokątów, i ruszył w stronę brzegu śladem dawnych ścieżek. Pieniądze na razie były bezpieczne. Ukrył je w pobliskim szwajcarskim domku zbudowanym jeszcze dla hrabiego Raczyńskiego. Pozostawało tylko zlikwidować zagrożenie. Wytropić bestię. Właśnie tak: wytropić. Pocieszając się takimi myślami, skierował kroki na armatni podest, gdzie ślady były całkiem widoczne. Dopiero teraz odkrył, w jaki

sposób więźniowi udało się uciec. Odkręcił jedną z blaszek, którymi przymocowano armatnie koła. Odgiął ją i przeciął sznur o metal. Kiedy przyjrzał się dokładniej, dostrzegł, że kałuża przeradza się w ślad – najpierw wyraźne plamy, które pewnie wylały się z jego nogawki, kiedy zmienił pozycję, potem kilka kropel. Kończyły się wraz z podestem, prowadziły w kierunku dębów i miejsca, gdzie ukryli łódź. Może jego ucieczka nie będzie najgorszą opcją, pomyślał Piotrek i ruszył śladem zbiega.

Jego ścisły umysł analizował każdy szczegół, każdą zmienną, która przecież mogła zadecydować o ich życiu.

Łotr skierował się w głąb wyspy, myślał Piotrek. Boi się nas.

Fale rozbijały się o brzeg, który w tym miejscu stanowił niemal metrową pełną korzeni skarpe. Coś przefrunęło z drzewa na drzewo. Duży czarny cień był cichy jak nietoperz.

Jest ranny, myślał Piotrek. Nie jadł od bardzo dawna. Mięśniaki męczą się szybciej. Potrzebują dużo więcej paliwa. Dorwę go. Muszę go dorwać...

Piotrek szedł, ostrożnie stawiając nogi. Szpadel trzymał w taki sposób, że w każdej chwili mógł wziąć nim zamach.

W pewnym momencie wydało mu się, że widzi zarys ludzkiej postaci. Mignęła za jednym z dębów i zniknęła we mgle. Piotrek czuł, jak wali mu serce. Od kurczowego ściskania drewnianego trzonka bolały go dłonie. Instynkt, a może resztką rozsądku, podpowiadały mu, żeby wracał. Zapuka pięć razy, przytuli się do swojej syrenki i zaczekają, aż nastanie świt. To oni mają jedzenie i broń. To oni mogą czekać. Ale coś – może adrenalina, a może pewność siebie – mówiło mu, że musi łotra znaleźć. Znokautować. Dokończyć to, co zaczęli. Zabić go, utopić, spakować się i spokojnie stąd odpłynąć.

Wszedł do zagajnika. W jeziorze plusnęła ryba. W dali trzasnęła gałąź.

A więc tam jesteś? – chciał zapytać, ale nie zdążył, bo usłyszał przekleństwo, a zaraz potem wrzask.

Coś zważyło się na niego z łoskotem, wielkie i wściekłe jak niedźwiedź. Stracił równowagę, ale nie wypuścił łopaty. Podparł się o nią, wstając, i zrobił zamach, ale tamten znowu na niego runął, powalił go na plecy i usiadł mu na brzuchu.

– Zapierdolę cię, skurwielu – charczał i był w tym wiarygodny, bo za słowami szły ciosy. Ciężkie jak uderzenia młota. Bam. Bam. Bam. – Po prostu cię, kurwa, zapierdolę.

– Tylko ja wiem, gdzie są pieniądze. – Piotrek wyrecytował przygotowaną wcześniej formułkę. – Tylko ja... – Wypluł krew i znowu poczuł spadające na twarz ciosy.



Alicja nie poszła do pracy. Myśl, że jak nastolatka ma z uśmiechem obsługiwać klientów, podczas gdy mniej więcej raz na godzinę czuje niepohamowaną potrzebę płaczu, była absurdalna. Nie chce tego ciągnąć. Ma dość tego gówna, nawet kosztem pozbywania się oszczędności. Położyła Rafałka i sama poszła do łóżka. Wrócił Janek i kochali się długo i czule. Zasnęła w jego objęciach.

Obudziła się zmarznięta. Kołdra z niewiadomych przyczyn powędrowała na podłogę. Budzik na komodzie wskazywał dwudziestą trzecią trzydzieści. Janka nie było. Zarzuciła jego granatową bluzę z kapturem, wzięła do rąk koszulę nocną i ruszyła w stronę łazienki. Umyła się i przebrała. Potem pomyślała o herbacie, przy okazji chciała upewnić się, że Janek jest w kuchni, ale tam także go nie zastała. Odruchowo wyrzuciła skórki pomarańczy, które jedli po kolacji. W śmieciach były jego antydepresanty. Pomyślała, że nie wróży to nic dobrego. Światła w domu były pogaszone. Chłód ocierał się o nogi jak mokry pies. Drzwi na taras były otwarte.

Zobaczyła go. Opierał się o balustradę i pałac papierosa, patrzył gdzieś przed siebie.

- Janek... – powiedziała cicho, przytulając się do jego pleców. Pogłaskał jej dłoń. Wziął głęboki oddech.
- Co jest? – spytała.
- Nic. Mam ochotę pomyśleć.
- O czym?

Nie odpowiedział, ale i tak wiedziała. Taki już był. Jak sobie wyznaczył cel, to choćby nie wiadomo jak absurdalne wydawało się jego urzeczywistnienie, nie zrezygnował, dopóki nie dopiął swego.

– Myślisz o Horście?

Obrócił się i spojrzał w jej piwne oczy.

– Między innymi. – Powiedział to w taki sposób, że od razu było wiadomo, co jest pierwsze na liście. – Mandala Życia nie daje mi spokoju.

Chciała się odsunąć, ale nie pozwolił jej się oddalić.

– To tylko jeden projekt. Jeden raz i koniec.

– Koniec ze wspinaniem się czy z tobą?

Złośliwość kiepsko maskowała jej strach. Spojrzała na pustą o tej porze ulicę i niewielkie zoo po drugiej stronie. Kiedy była dzieckiem, ktoś zakradł się tam i wypuścił niedźwiedzie. Rozbiegły się po zoo, agresywne i nieobliczalne. Poważnie poharatały dozorcę, który próbował ratować się ucieczką na wybieg żubrów. Teraz wydało jej się, że niedźwiedzie, gotowe do ataku, czają się w ciemności, która rozpostarła się między nią a Jankiem.

– Jestem w dobrej formie. Nic mi nie będzie.

– A ja jestem w ciąży – powiedziała spokojnie, niemal bez emocji.

Spojrzał na nią. Jego źrenice się rozszerzyły.

– Naprawdę?

– Tak.

Uśmiechnął się i przytulił ją z całych sił.

– Ale jak? Tak na serio?

– Na sto procent. Będziemy mieli dziecko.

– O kurwa... – Janek, do którego dopiero teraz dotarła ta informacja, odsunął się i spróbował skręcić papierosa, ale ręka za bardzo mu się trzęsła. Z balkonowej szafki wyjął paczkę chesterfieldów, które trzymał tam na „wszelki wypadek”. Wyciągnął jednego i łapczywie zaciągnął się dymem.

– Tak się boję... – powiedziała. – Kiedy chciałeś wypłacić wszystkie nasze oszczędności, myślałam, że cię zabiję.

Zaśmiał się, ale jakoś bez przekonania.

– Nie wiedziałem...

– Skąd mogłeś wiedzieć? Horst dobrze sobie radzi bez niej. Z czasem zapomni. Nie nasza sprawa.

– Horst kocha ją do szaleństwa. Ale masz rację, że to nie nasza sprawa. – Janek palił zachłannie. Na dwa machy przed końcem spojrzał na papierosa i powiedział: – Myślisz, że będę musiał rzucić?

Alicja przytaknęła.

– Powinieneś już z tego wyrosnąć – przyznała.

– Kurde, ty to umiesz człowieka zaskoczyć... – Zdusił peta w popielniczce i stał zdezorientowany, nie wiedząc, co zrobić z dłońmi.

– Chodź tutaj i mnie przytul.

Przytulił.

– Kochaj mnie – powiedziała. – Po prostu mnie kochaj, a wszystko się ułoży.

Nie odpowiedział.

Poszli do łóżka i kochali się ponownie. Alicja z potrzeby bliskości. Janek – bo wydawało mu się to łatwiejsze niż rozmowa. Po wszystkim zasnęli.

Rankiem Alicja znowu obudziła się w pustym łóżku. Właściwie to nie całkiem pustym. Na miejscu, gdzie spał Janek, leżała wyrwana z zeszytu kartka.

Kocham cię i zawsze będę. Muszę zmierzyć się z własnym strachem. Trzymaj kciuki. Wróć. PS Nie ma skróconych dróg do szczęścia (ostatnie zdanie to Czesław Miłosz, pewnie znasz).

Zmięła liścik w zaciśniętej pięści. Serce zakłuło ją jak podczas zawału. Skuliła się, opierając czołem o łóżko. Z jej piersi dobył się zwierzęcy, pełen bólu jęk.



Sirene nie miała pojęcia, jak długo tkwi tak bez ruchu, skulona i otepiała. Musiała zasnąć, bo teraz trzęsa się z zimna. Nie pamiętała, żeby je czuła, gapiąc się na zamknięte przez Piotrka drzwi. Kiedy patrzyła na broń, brak palca wydał się szczególnie dotkliwy. Lewa ręka ciągle nie była tak sprawna jak prawa, a kiedy trzymała w niej pistolet, jego lufa przechylała się na wszystkie strony, jakby ścisnęła chorągiewkę, a nie kawał żelaza.

Wycelowwała w drzwi, podpierając glocka prawą ręką. Wzięła kilka głębokich oddechów i odłożyła pistolet na łóżko. Zarzuciła na ramiona swoje ulubione peruwiańskie poncho i uświadomiła sobie, że Piotrek chciał zwiększyć jej szanse. Zostawił ją, bezpieczną i gotową do obrony, a sam poszedł walczyć. Kiedy uświadomiła sobie, jak bohatercko postąpił, niemal się wzruszyła. Przecież wcale nie było oczywiste, że wygra, dobrze to wiedziała. Ten zbój, nawet ranny i osłabiony, stanowił poważne zagrożenie. Wyobraziła sobie, co się może wydarzyć, kiedy drzwi się otworzą i do środka wtargnie nabuzowany i żądny krwi napastnik.

Czy ona zdoła zapanować nad nerwami? Musi. Sirene wizualizowała to sobie po raz kolejny, coraz bardziej bliska obłądu. Wyceluje w niego, pociągnie za spust tyle razy, ile zdoła, a potem nastąpi wielki chaos. Któryś ze strzałów powali go albo nie. Jeśli nie, to może jednak pozostanie jej jakaś nadzieja.

Nie, żadnej nadziei, poprawiła się w myślach. Wtedy zrobię tak.

Przytuliła pistolet jak maskotkę, przykładając wylot lufy do podbródka. Widziała to kiedyś na filmie. Tak właśnie ginęły kobiety, które chciały uniknąć zgwałcenia przez bandę rozwścieczonych Indian. Jeden strzał i po wszystkim. Żadnej przyszłości. Żadnej „nowej ja”. Żadnej pieprzonej nadziei. Tylko przyjemna ciemność, miła i ciepła. Lepsza od tej, w której tkwi, trzęsąc się z zimna i przerażenia.

Myśli o samobójstwie dodawały jej odwagi. Pistolet dawał złudzenie panowania nad własnym losem, przynajmniej na tyle, żeby jakoś funkcjonować. Zebrała siły. Rozprostowała nogi. Właśnie miała wstać i na gazowym palniku zrobić sobie herbatę, kiedy usłyszała coś, co na nowo wytrąciło ją z równowagi.

Krzyk.

Przeraźliwy ludzki krzyk okrążył wyspę jak chmara nietoperzy, wpadając nawet tutaj, w jej włosy, w jej myśli, wprost do przerażonego serca. Najgorsze było to, że poznawała ten głos. Wiedziała, do kogo należy.

Piotrek. To jego był ten długi pełen bólu wrzask.

Echo dochodzącego z oddali skowytu prześlizgnęło się jak widelec po szkle. Nie wiedziała, co robić. Nie wiedziała, dokąd iść. Nie miała dokąd uciekać. Przez moment chciała wstać, wziąć broń i biec na ratunek, ale potem ten ryk rozległ się jeszcze raz. Przeciął nocne niebo jak błyskawica. Sirene pomyślała, że tak wyje człowiek zaatakowany przez niedźwiedzia. Człowiek, który jest pożerany żywcem i patrzy na swoje wywlekane z brzucha wnętrzności.

Boże mój... – pomyślała, bo w chwilach takich jak ta wdrukowane w dziecięcą świadomość chrześcijaństwo lepiej współgrało z reakcjami ciała niż trzy lata jogi i medytacji.

Nie widziała możliwości ucieczki, rozejrzała się po pokoju. Częściowo spakowane rzeczy stały pod ścianą. Na statywie

w przeciwległym rogu ciągle znajdowała się kamera, którą nagrywali filmiki, mające nastraszyć Horsta. Na stole, zrobionym ze starej skrzyni i przeciętych na pół drzwi szafy, zalegały szklanki, butelka niedopitego wina i leżała komórka Piotrka. Może zapomniał, a może nie wziął jej specjalnie. W każdym razie leżała teraz przed nią jak ostatnia deska ratunku. Myśli Sirene zaczęły krążyć po pokoju, układając się w kombinacje, które mogłyby przybliżyć wolność. Pistolet. Zamknięte drzwi. Stół. Telefon. Jeszcze raz: pistolet, stół, telefon, kamera.

Kamera. Sirene spojrzała na nią ponownie, a że chwilowo nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, ustawiła statyw naprzeciwko łóżka i skierowała na siebie obiektyw. Obróciła ekran w taki sposób, żeby go widzieć, i zapaliła dołączoną do kamery lampę. Światło mogło zwabić tutaj bandytę, ale miała to gdzieś. Przynajmniej przestanie torturować Piotrka. Uśmiechnęła się smutno i patrząc w obiektyw, zaczęła mówić:

– Hej, nazywam się Helena Bednarek, ale wolę, jak mówi się do mnie Sirene. Zmieniłam imię, bo wierzę, że człowiek jest wolny i może określać się w sposób, jaki pasuje jemu, a nie jego otoczeniu. – Westchnęła. Jej oczy się zaszklily. – Prawda jest taka, że nagrywam to dla ciebie, Horst. W pokoju, w którym spędziłam prawie dwa tygodnie, znalazłam dwie rzeczy. Telefon, więc mogę do ciebie zadzwonić, i tę kamerę. Nie wiem jeszcze, z której możliwości skorzystam. Wiem natomiast, że jeśli to oglądasz, to mnie już nie ma. Moja podróż dobiegła końca. Umarłam. Trudno. Nie ma co rozpaczać. Wyspa, gdzie się znajdujemy, to dobre miejsce na śmierć. – Sirene przeczesła włosy gestem świadczącym o zdenerwowaniu. – Zaryzykowałam i nie udało się. Ale posłuchaj, teraz będzie o tobie. Wiem, że to, co ci zrobiłam, było bardzo kiepskie, i nie

oczekuję przebaczenia. Ale należą ci się przeprosiny. Przeprosiny i wyjaśnienia...

Sirene mówiła przez dobre dwadzieścia minut, a kiedy skończyła, poczuła się dużo lepiej. Podłączyła kamerę do laptopa i raz jeszcze wsłuchiwała się w noc. Krzyki ucichły. Piotrek, gdyby żył, na pewno dałby jej jakoś znać. Bała się o niego, ale jeszcze bardziej bała się o siebie. Świadomość tego nie wiązała się ze wstydem. Była raczej kolejną prawdą, którą poznała na własnej skórze.

Niebo na wschodzie pojaśniało. Zbliżał się brzask. Czuła się słaba, zmęczona i pokonana.

Może to dobrze, pomyślała i opadła na łóżko. Patrzyła na leżący na stole telefon. Ciągle pamiętała numer do Horsta.



Alicja odprowadziła Rafała do szkoły, a kiedy wróciła, usiadła w pustej kuchni, przy pustym stole, wpatrując się w pusty kubek i kawałek posmarowanej dżemem bagietki. Talerzyk postawiła trochę zbyt daleko, żeby chciało jej się po niego sięgać. Telefon nadal nie dzwonił, co skutecznie psuło jej nastrój. Janek postąpił jak gówniarz, a ona nie umiała tego olać. Ciągle miała nadzieję, że ogarnie się i przeprosi, że pojawi się w drzwiach z bukietem kwiatów i powie, że jego niepotrzebne ryzykowanie własnego życia to tylko taki żart, kiepski ekwiwalent codziennej rutyny. Przecież, do cholery, powiedziała mu, że jest z nim w ciąży! Nie z Witalijem, Maciejem, Łukaszem czy którymś z facetów, którzy wodzili za nią maślanymi oczami, ale właśnie z nim, z tym czterdziestoletnim uroczym dzieciakiem, który uparł się zaniedbywać swój muzyczny talent, jakby był on czymś, czego należy się wstydzić.

Wstała, włączyła muzykę i dopiero teraz sięgnęła po bagietkę. Miała całą listę rzeczy do zrobienia, przecież nie mogła siedzieć i się zamartwiać, chociaż coś w głębi duszy mówiło jej, że właśnie została porzucona. Musiała umówić wizytę u ginekologa, zadzwonić do dyrektora i spytać, czy zajrzał do tekstu, który mu zostawiła. No i powinna spróbować wydebić od szefa umowę, chociaż wiedziała, że kiedy tylko powie mu, że jest w ciąży, zwolni ją i będzie udawał, że nigdy u niego nie pracowała.

Wzięła kilka gryzów i wstawiła kawę. Zrobiła rundkę po mieszkaniu w poszukiwaniu telefonu, a kiedy znalazła go koło

umywalki (co on tam robił?), od razu wybrała jedno z nazwisk, o których w ostatnim czasie myślała najbardziej intensywnie.

– Michał Matelski, słucham.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Tutaj Alicja Gardias. Dzwonię, bo jestem ciekawa, czy zaglądał pan do sztuki, którą zostawiłam panu kilka dni temu.

– Tak, zaglądałem – odpowiedział tak szybko, jakby czym prędzej zamierzał o tym zapomnieć.

Alicja chciała spytać, czy mu się podobało, ale w ciągu sekundy uświadomiła sobie, że gdyby tak było, to on zadzwoniłby do niej. Jeśli zada mu to pytanie, on ją spławi. Musiała obrać inną strategię.

– Możemy się spotkać? – spytała. – Pewnie ma pan jakieś uwagi albo cenne rady...

– Teraz jestem trochę zajęty.

– Aha. Przepraszam, że zajmuję czas.

Alicja spodziewała się, że zaraz skończą rozmowę, ale zamiast pożegnania usłyszała szelest papieru i słowa:

– Proszę przyjść po dwunastej.

– Dzisiaj?

– Tak. Chyba że woli pani za miesiąc.

– Nie, dzisiaj jest okej. Będę.

– Dobrze, wobec tego do zobaczenia.

– Do zobaczenia, panie dyrektorze.

Zawsze, kiedy z nim rozmawiała, miała wrażenie, że nie mówi jej tego, co naprawdę myśli, ale tym razem w jego „do zobaczenia” usłyszała szczerłość.

Będę nagrywać tę rozmowę, pomyślała, na wypadek gdybym musiała opędzać się od seksualnych aluzji. Jej były mąż

twierdził, że znał dziewczynę, która sypiała z tym facetem, zanim został dyrektorem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że chodziła wtedy do gimnazjum. Chociaż miasto plotkowało o bogatym życiu seksualnym Matelskiego, to nikt nigdy nie sformułował konkretnych zarzutów. Alicja nie należała do osób, które zaglądały komuś do łóżka, ale nie była też głupią gęsią. Postanowiła sobie, że jeśli tylko usłyszy jakąś seksualną aluzję, to nagłośni sprawę, choćby już nigdy miała nie zobaczyć na scenie swojej *Persefony*.

Pozostałe dwie rozmowy były przyjemniejsze, chociaż jej szef powiedział, że będzie w mieście dopiero w przyszłym tygodniu. W głębi duszy ucieszyła się na myśl, że rozmowa o umowie została odwleczona o te kilka dni. Do lekarza zapisała się na pojutrze.

Do południa były jeszcze trzy godziny. Poszła na długi spacer, poczytała książkę i wykąpała się, a potem włożyła białą bluzkę i czarną garsonkę, neutralny biurowy strój, którego już dawno nie miała na sobie. Do torby schowała dodatkowe przybory do makijażu. Idąc przez rynek, zatrzymała się w kawiarni i jeszcze raz ze smutkiem odkryła, że w telefonie nie ma wiadomości od Janka. Gorzką gulę smutku zapiła kawą, schowała telefon do torebki i ruszyła w stronę teatru.

Tym razem nie musiała czekać. Matelski był w środku i sprawiał wrażenie, jakby jej wyglądał. Na przywitanie pocałował jej dłoń i gestem zaprosił, żeby usiadła. On sam nie siedział za biurkiem. Krążył po swoim gabinecie jak pająk, próbujący spętać ją swoją siecią.

– Przejrzałem pani dramat – powiedział, stając za jej plecami.

– I jak wrażenia, panie dyrektorze?

Głos tymczasem dobiegł ją gdzieś z boku.

- Dobrze, niezłe. Umie pani pisać...
- Ale...
- Ale kwestie, które sygnalizowaliśmy sobie na ostatniej rozmowie, pozostają.
- To znaczy? – Alicja nie spodziewała się wiele. Nawet zadając to pytanie, dbała o to, żeby jej ton był miły.
- To znaczy, pani Alicjo, że nie mamy scenografii, budżetu i aktorów. Każdy głupi, za przeproszeniem, może napisać dramat i przynieść go do teatru w nadziei, że ktoś go wystawi.
- Nie rozumiem. – Alicja poprawiła się na krześle. Spojrzała w oczy dyrektora, który tym razem stał za swoim biurkiem. – Przecież chciał się pan ze mną spotkać. Chyba nie tylko po to, żeby sugerować mi, że jestem głupia.

Matelski wyszczerzył bielutkie zęby.

- Źle mnie pani zrozumiała. Ja naprawdę życzę pani i sobie, żeby ta... *Persefona* była wystawiona. I to najlepiej u nas.
- Czy na przeszkodzie stoją tylko kwestie finansowe?

Matelski spojrzał na nią z niekłamanym zainteresowaniem.

- Leszno to małe miasto – powiedział. – Mieszkańcy nie pójną do teatru na mitologię. Oni przyjdą tu, jeśli damy im coś, co znają. Musiałaby pani dodać lokalne akcenty. Niech to się dzieje tutaj, niech będzie odnowiony ratusz, stadion, żużel, coś, co znają.

– Odnowiony ratusz – powtórzyła Alicja beznamiętnie.

- To moja propozycja. – Matelski usiadł za biurkiem. Z szuflady wyciągnął napisany przez Alicję dramat. – Proszę pomyśleć. Facet ginie w wypadku samochodowym. Nuda do wyrzygania, za przeproszeniem. A dlaczego nie mógłby być

żuźlowcem? Dlaczego nie ginie na torze? Przecież to dość proste poprawki...

– Może ma pan rację – nieśmiało przyznała Alicja.

– Jasne, że mam. Proszę pokombinować w ten sposób, to pomyślimy o tym, skąd wziąć kasę.

– Myślałam o tym, że rola przypadku może tu być ciekawym tworzywem dramaturgicznym...

Zbył jej uwagę milczeniem. Zastanawiało go coś innego.

– Pani nie grała już od...

– Od dwóch lat i czterech miesięcy. Tęsknię za powrotem na scenę.

– To może nie być łatwe. – Matelski skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na nią, przekrzywiając głowę. – Pewnie jeszcze chciałaby pani w tym zagrać...

– Jakby pan zgadł.

– A kogo, jeśli można spytać?

– Persefonę. Śmierć. – Alicja się uśmiechała. Ostatnie, z czym mogła się kojarzyć dyrektorowi, to śmierć.

– A już myślałem, że jesteśmy w stanie się dogadać... – westchnął Matelski.

– Jeśli ma pan piętnaście minut, to możemy zrobić małą próbę.

– Casting. Bo właśnie po to pani przyszła, prawda?

Spojrzała w jego niewielkie skośne oczka. Miała wrażenie, że kiedy tak rozsiadł się na swoim dyrektorskim fotelu, pojawiły się w nich iskierki przebiegłości.

– Przeczytam kwestię śmierci, ale wcześniej muszę skorzystać z toalety. Jeśli to nie problem.

Wykonał ręką zapraszający gest.

– Dziękuję. Wrócę za chwilę.

Poszła do damskiej toalety, gdzie stanęła przed dużym lustrem, wyciągnęła z torebki kosmetyki i przybory do makijażu. Przyglądając się swojemu odbiciu, stwierdziła, że nie musi się malować tak bardzo, jak początkowo zakładała. W swoich smutnych oczach dostrzegła zmęczenie i strach. Strach o Janka i o to, że coś mu się stanie, a ona zostanie sama, strach o to, że dziewczyna, której palec trzymała w dłoni kilka dni temu, naprawdę oszukała Horsta, i wreszcie strach o swoją przyszłość. O to, że oprócz tej tłącej się w sercu iskry miłości nie ma nic do zaoferowania swojemu dziecku, które za jakieś osiem miesięcy przyjdzie na świat.

Mimo to przystąpiła do zadania.

Kiedy po piętnastu minutach weszła do dyrektorskiego gabinetu, facet zerwał się z fotela, zdziwiony i przestraszony.

– Wielkie nieba! – zawołał.

Alicja majestatycznie przemierzyła dzielącą ich przestrzeń i sięgnęła po leżący na biurku maszynopis. W niczym nie przypominała dziewczyny, która niedawno słała mu uśmiechy. Jej czarne włosy kłębiły się w nieładzie. Biała bluzka była rozpięta aż do pępka, a jej rękawy podciągnięte. Ruchy miała spokojne, pozbawione uczuć. Najdziwniejsza była jednak jej twarz. Pomalowana na biało, z czarnymi oczami, z których spływały czarne łzy, wyglądała jak obrzędowa maska.

Matelski wprost pożerał ją wzrokiem.

Alicja nie tylko wyglądała jak śmierć. Ona nią była.



Glaca czuł się słaby i obolały. Kręciło mu się w głowie, a każdy ruch kosztował go sporo wysiłku. O ile na dźgniętej nożem nodze mógł jakoś się przemieszczać, o tyle prawe ramię drętwiało, gdy tylko próbował je podnieść. Promieniujący ból rozchodził się po klatce piersiowej i ramieniu. Nawet w stopie czuł wkurzający go niedowład.

Dziwka uszkodziła mi jakiś nerw, pomyślał, kiedy kuśtykał, aby sprawdzić, czy łódka ciągle jest na swoim miejscu.

Była.

Glaca patrzył na nią, myśląc o forsie, która powinna się w niej znajdować. W jego wyobraźni zamiast torby z pieniędzmi pojawiły się twarze parki, która sprowadziła na niego kłopoty. Pierdolone tępe dzidy. Nie dość, że przywłaszczyli sobie jego własność, to jeszcze rozwalili mu głowę, więzili i dźgali nożem. Poczul przyływ adrenaliny, która działała jak środek znieczulający. Zanim odbierze im swoją własność, połamię im wszystkie kości. Będzie zadawał im ból, aż sami poproszą o śmierć.

Glaca oparł się o drzewo i myślał tak intensywnie, że rozboleła go głowa. Bał się broni, którą mu zabrali. Poza tym był w kiepskiej formie. Kiedy jednak przypomniał sobie głupkowaty uśmiech chłopaka i ten wypadający z komory nabój, wiedział, że poradzi sobie gołymi rękami. Ta jego jednooka laska też dostanie za swoje. Najgorzej, że zadzwonili do Fiftiego. Udało mu się uwolnić, ale to wciąż był poważny problem. Fifty, ten

napalony głąb, nie był aż tak głupi, żeby się nie domyślić, że chciał go wyruchać.

Głaca jeszcze raz spojrzął na łódkę i wrócił w pobliże zabudowań. Przez jakiś czas przyzwyczajał wzrok do mgły, która wpełzała na wyspę wprost z wody. Mimo to widać było księżyc.

Obawiał się, że będzie czekać do rana, aż uda mu się ich rozdzielić, ale sprawy potoczyły się szybciej, niż się spodziewał. Już godzinę po tym jak się uwolnił, do armaty podszedł posrany ze strachu chłopak. Głaca niemal nie wybuchnął śmiechem, kiedy widział, jak zasuwa do domku, żeby ostrzec swoją panienkę.

Napił się wody z jeziora. Smakowała jak herbaciane fusy, ale przynajmniej orzeźwiała. Usiadł oparty o drzewo, gapiąc się na ścieżkę prowadzącą do starego drewnianego domu. Czekał.

Około północy dostrzegł jakiś ruch. Jedna postać. Chłopak. Szedł powoli, przyuczajony i ostrożny. W dłoniach ścisnął łopatę. Głaca zadbał o to, żeby go zauważył, i ponownie schował się za drzewem. Kiedy tylko Piotrek się zbliżył, rzucił się na niego i zakleszczył go w uścisku. Nie chciał ryzykować, że facet wymknie mu się z rąk. Zdzielił go w twarz, ale tamten okazał się przygotowany. Udało mu się wziąć zamach łopatą. Krawędź spadła minęła o włos wytatuowaną czaszkę.

– Ty kurwo niemyta – warknął Głaca i złapał go za nogi.

Piotrek nie miał pojęcia o ulicznej walce. Nogi miał bezwładne i miękkie. Wystarczyło chwycić za staw skokowy i przekręcić. Coś chrupnęło, a tamten zawył z bólu. Głaca przyciągnął go do siebie i okładał pięściami. Wolno i metodycznie. Młotkowe ciosy spadały na twarz chłopaka, zmieniając jego nos i usta w krwawą miazgę. Przez jakiś czas się bronił, ale w końcu zwiotczał i odpłynął.

Glaca pożałował, że nie dostosował siły do wagi przeciwnika, bo ten długo nie dawał znaku życia. Dopiero, kiedy przyciągnął go do jeziora i wsadził mu głowę pod wodę, doszedł do siebie, ale ciągle nie umiał sklecić sensownego słowa. Cucony otwierał oczy, ale szybko zasnuwały się mgłą.

Pierdolona wyspa, myślał Glaca, zastanawiając się, jak sprawić, żeby to złodziejskie truchło zaczęło gadać.

Poprawa przyszła dopiero o brzasku. Chłopak otworzył oczy i rozejrzał się, gotowy do ucieczki. Glaca, który spostrzegł to, odlewając się kilka metrów dalej, uśmiechnął się do siebie. Piotrek wstał i oparł się o drzewo. Nie widząc swojego przeciwnika, chciał uciec, ale skręcona noga zabolęła; wrzasnął i wyłożył się jak długi.

Glaca, kulejąc, podszedł do niego od tyłu, klęknął nad nim i chwycił za rozczochrane włosy.

– Miło cię widzieć, gnoju – powiedział, wduszając jego twarz w mokrą od rosy trawę.

– Spierdalaj – odciął się Piotrek, kiedy tylko mógł podnieść się na tyle, żeby mówić.

Glaca chwycił jego ucho i pociągnął tak mocno, że urwałyby je, gdyby chłopak nie podniósł się z ziemi. Kolano Glacy uderzyło go w policzek. Zabolęło, jakby wpadł na skałę, ale nie stracił przytomności. Szkoda, bo to, co nastąpiło później, było najgorsze.

Glaca ukucnął i patrząc mu w oczy, spytał:

– Gdzie są moje pieniądze? – Mówił powoli i spokojnie. Cedził słowa jak ktoś, kto nie zamierza się powtarzać.

– Spierdalaj – powiedział Piotrek.

– Wiedziałem, że jesteście parą amatorów, ale nie wiedziałem, że jesteście aż tak głupi – stwierdził Glaca,

rzucając go na ziemię. Sam nadal kucał. Przystawił tylko stopę. Teraz jego ciężki but stał na chudej dłoni leżącego przed nim chłopaka. – Spytam jeszcze raz. Naprawdę ostatni. Gdzie są moje pieniądze?

– Zostaw nas w spokoju, to może jeszcze... – Piotrek chciał powiedzieć, że może jeszcze je zobaczy, ale zamiast własnych słów usłyszał krzyk. Nawet nie wiedział, że może być tak straszliwie głośny. Glaca podniósł jego środkowy palec i wygiął go tak mocno, że paznokieć dotknął ubłoconego buta. Ból był nie do zniesienia. Chłopak wył, przebierając nogami, jak złapany w sidła lis.

– Aua, kurwa, puszczaj, błagam. Auuaaa...

– Gdzie są moje pieniądze?

Piotrek milczał, a właściwie to dalej wył. Nie chciał albo nie umiał sklecić sensownej odpowiedzi. Wolną ręką próbował uderzać w nogę, która postawiła but na jego dłoni, ale na niewiele się to zdało. Kiedy walnął w łydkę na tyle mocno, że Glaca poczuł ból, kolejny palec chłopaka powędrował w górę. Chrząst wyłamywanego stawu przypominał odgłos łamanego patyka.

Po wyspie ponownie rozniósł się jego przeraźliwy krzyk.

– Ty masz jeszcze osiem paluchów, szuszwolu, a ja mam mnóstwo czasu.

– Spier... Auua, auua, auuaaa...

Glaca podniósł w górę jego kolejny palec. Tym razem mały.

Piotrek spojrział na niego nieprzytomnymi z bólu oczami i chciał coś powiedzieć, ale strach paraliżował mu język.

Glaca był naprawdę wkurzony. Nie miał czasu, w każdej chwili na wyspie mógł zjawić się jego kumpel, a ten tutaj bawił się w bohatera. Trzymany w dłoni palec był mały i miękki, jakby

już należał do trupa. Glaca podniósł go w górę, niemal oddzielając od reszty dłoni, ale szybko pożałował swojego pośpiechu. Piotrek, zamiast krzyknąć, stracił przytomność.

Cucił go dobre dziesięć minut, a kiedy posadził pod drzewem, uświadomił sobie, że musi zmienić strategię. Poklepał go po policzku i upewniwszy się, że facet kontaktuje, zaczął mówić.

– Kiedy byłem jeszcze w technikum, nienawidziłem języka polskiego. – Glaca z udawaną troską patrzył na jego palce. Nawet Joker na jego łysinie wydawał się bardziej ludzki. – Jakbym spotkał Mickiewicza, to rozwalilibym mu łeb. Najbardziej nienawidziłem pisać. Jebane opowiadania... Moja nauczycielka twierdziła, że to dlatego, że jestem pozbawiony empatii. Oczywiście nie wiedziałem nawet, co to jest, ale nie byłem głupi, sam sobie sprawdziłem. W internecie pisało, że to zdolność do odczuwania stanów psychicznych innych osób. – Glaca się zaśmiał. – Nadal nie umiałem sobie wyobrazić, co to jest.

Piotrek otrzeźwiał na tyle, żeby ocenić swoje szanse. Wiedział, że są mizerne. Wszystkim, co mógł zrobić, było uniesienie głowy i udanie, że interesuje go to, co tamten mówi.

Im dłużej będzie mówił, myślał Piotrek, tym dłużej będę żył.

– Słyszałeś o poznańskiej mafii? – spytał Glaca, a Piotrek przytaknął, chociaż mafia obchodziła go tyle co skład drużyny Lecha Poznań. – Jest ich kilka, ale ludzie boją się naprawdę tylko jednej. Tej, dla której pracowałem. – Glaca ponownie się uśmiechnął. Piotrek dostrzegł, że kiedy mówi, ma nerwowy tik po prawej stronie ust. – Jedno z moich pierwszych zleceń, zaraz potem jak skończyłem z ju-jitsu, było bardzo proste. Dziad, jeden z Cyganów, nie chciał podzielić się kasą, którą zarabiał na naszym terenie. Powiedzieli mi: „Glaca, pogadaj z nim. Ty umiesz gadać z ludźmi”. No to pogadałem. Posadziłem go na

krześle, przywiązałem ręce do poręczy i pokazałem torbę z narzędziami do gadania. Obcęgi, skalpel, młotek, imadło do kciuków. Dziad był twardym zawodnikiem i nawet z przetrąconymi girami kłamał jak z nut. Ale nie miał cierpliwości. A ja miałem. Pracowałem nad nim metodycznie, palec po palcu, paznokiec po paznokciu... Już po godzinie zaczął plątać się w zeznaniach, ale wymiękł dopiero, kiedy opowiedziałem mu o swoim dziadku. – Glaca przerwał, aby przyrzeć się Piotrkowi. Wyglądał na mózgowca. Tacy zawsze lepiej reagują na opowieści niż na czystą przemoc. – Wiesz, kim był mój dziadek? Dentystą amatorem. Właściwie to był moim pradziadkiem. Nie miał żadnego wykształcenia, ale jego pasją były zęby. Miał takie stare zardzewiałe obcęgi, ale umiał tak się ustawić, że zawsze, kiedy wkładał je komuś do gęby, to wychodziły z zębem. Widziałem, że ten jebany Cygan ma dwa złote zęby. Musiał mieć do czynienia z dentystą. Opowiedziałem o dziadku i pokazałem te obcęgi. Potem wsadziłem mu w gębę rozwierak. Nie musiałem nawet rwać. Dziad zeszczął się w gacie i wszystko wyśpiewał... – Glaca zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. – Może nie mam empatii, ale i tak trochę znam się na ludziach. Do każdego można dotrzeć. Do ciebie też... Możemy się tak bawić z twoimi paluszkami, ale szczerze mówiąc, nie mam na to czasu. Pewnie po prostu cię zajebię i wezmę się za twoją cizję.

Piotrek spojrział na niego. Zęby miał zaciśnięte.

– Co, pewnie myślisz, że jak zostawiłeś jej pistolet, to sobie poradzi? Gwarantuję ci, że nie. Dostanie w łeb, a potem, kiedy wpadnie w moje łapy, nie poprzestanę na palcach. Będę rznął ją tak długo, aż zacznie śpiewać jak kanarek. Każda śpiewa...

Piotrek drgnął. Do jego zamroczonego bólem umysłu właśnie dotarł prosty fakt: Sirene jest twarda, ale nie aż tak. A on nie

wybaczyłby sobie, gdyby coś jej się stało.

– Dobra – powiedział, spluwając krwią. – Powiem ci, gdzie jest kasa, ale bierzesz ją i stąd spierdalasz.

Głaca się roześmiał.

– Widzisz, wiedziałem, że się dogadamy.

– Pójdiesz do starego domu, tam...

– Nie. – Głaca pokręcił głową i wstał. Podniósł Piotrka jedną ręką i pchnął na ścieżkę. – Pójdziemy tam razem. Ty pierwszy.

Szli w stronę willi, którą przed laty kazał sobie zbudować zafascynowany Szwajcarią hrabia. Piotrek kulał i powłóczył skrzywą nogą. Kiedy tylko musiał postawić ją na ziemi, czuł przeszywający ból. Prawą rękę trzymał przed sobą, starając się nią niczego nie dotykać. Powykręcane palce strasznie bolały.

– Nie rznij głupa, masz jeszcze drugą girę – powiedział Głaca, dźgając go w plecy łopatą, na której się podpierał.

Na szczęście do domu było nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Kiedy wyszli spomiędzy drzew, widzieli białe domki kempingowe. Piotrek miał nadzieję, że Sirene jest w jednym z nich, tak jak ją zostawił, i nie będzie wychodzić. Nawet nie dał po sobie poznać, że spojrzał w tamtą stronę. Włókł się, noga za nogą, powoli zbliżając się do domu, w którym ukrył pieniądze.

– Zrobisz coś głupiego, to skręcę ci kark. A potem to samo zrobię twojej panience. Pewnie czeka na swojego bohatera, co?

Piotrek milczał.

Jezioro, które mieli tuż po swojej lewej, zaczynało błyszczeć. Pierwsze promienie słońca, które wschodziło gdzieś za drzewami na drugim brzegu, ślizgały się po powierzchni, różowiąc i srebrząc fale.

Dotarli do schodów, które prowadziły do starej willi. Piotrek zawahał się, ale kiedy tylko usłyszał tuż za plecami warknięcie, wszedł na pierwszy stopień. Miał sprawną tylko lewą rękę i lewą nogę. Każdy kolejny stopień okazywał się wyzwaniem. Dobrze, że nie było ich dużo. Dziesięć metrów, które dzieliły ich od dwupiętrowej willi, pokonali dość szybko. Kiedy stanęli przed drzwiami, Piotrek obrócił się do swojego prześladowcy i podniósł dłoń z wyłamanyimi palcami.

– Tam jest klucz – powiedział, ale nie umiał wskazać konkretnego kierunku.

– Gdzie?

– Tam, na parapecie, pod tą łatą.

Głaca znalazł klucz i włożył go do zamka. Starał się zachować spokój, ale cieszył się, że wkrótce wszystko dobrze się skończy. Skręcę mu łeb i odpłynę z kasą, myślał, kiedy wpychał obolałego chłopaka przez próg.

Weszli do środka.

Willa wyglądała elegancko, ale najlepsze lata miała już za sobą. Pozabijane deskami okna, zmurszała podłoga i śmierdzące wilgocią sofy stanowiły ponury widok. Wyglądało na to, że regularnie ktoś włamywał się tutaj, aby ukraść jeszcze coś, co można zapakować na łódkę. Nad kamiennym kominkiem wisały poroża, które najwidoczniej nikogo jak dotąd nie zainteresowały.

– Tędy – powiedział Piotrek, wybierając drogę przez salon.

Głaca jak wielki czarny cień podążał za nim.

– Dalej są dwie sypialnie – mówił Piotrek. – Za nimi jest salonik. Idź tam. Pod kanapą znajdziesz kasę.

Głaca uderzył go w głowę otwartą dłonią.

– Mówiłem, że bez żadnych sztuczek. Sam tam idź. No już!

– Dobra, spokojnie...

Było ciemno. Piotrek ostrożnie stawiał nogi. Szczególnie trudne było podniesienie tej prawej, skręconej w kostce. Zacisnął zęby tak mocno, że niemal stracił przytomność, ale podniósł ją na tyle, że ominęła przeciągnięty przez próg drucik. Odetchnął i ruszył w kierunku saloniku. Kiedy tam dotarł, ukucnął przy metalowej ramie łóżka. To właśnie pod nią zrobił prowizoryczną klapę z dwóch desek podłogowych i wykopał niewielki schowek. Nie zamierzał go jednak otwierać. Zamiast tego zawołał:

- Kurwa, naprawdę zostawiłem ją tutaj!
- Co ty pierdolisz? – zdziwił się Glaca.
- Zostawiłem forszę tutaj! Musi gdzieś tu być!
- Zajebię cię – warknął Glaca i ruszył w jego stronę.

Dokładnie tak, jak spodziewał się Piotrek.

Glaca nawet nie poczuł, że zawadził o drut, który wyciągnął zawleczkę z granatu. Z jego własnego granatu. Zorientował się, że coś jest nie tak, bo Piotrek wprost pożerał wzrokiem jego nogi. Śledził najmniejszy krok, nawet się z tym nie kryjąc, a nagle padł na ziemię i próbował wsunąć się pod łóżko.

Glaca zrozumiał.

– Ty luj... – powiedział, zatrzymując się na sekundę. Wtedy zobaczył granat, a chwilę później błysk.

Pokojem wstrząsnął ogłuszający wybuch.

V ŠMIERĆ



– Dawno się nie widzieliśmy. – Alicja w głosie miała dziewczęcy smutek. Błada i potargana obróciła się w kierunku okna i wydawała się patrzeć na wymaginowanych widzów teatralnych.

– Może pani usiąść, pani Alicjo – powiedział dyrektor, który z niewiadomych sobie przyczyn przestał mówić jej na ty.

Zignorowała go.

Przeczesała włosy i zmusiła się do uśmiechu. Kiedy ponownie się odezwała, jej głos brzmiał ciepło i serdecznie.

– Ludzie wolą myśleć, że mieszkam pod ziemią, odgradzona od nich rzeką i doliną. Wolą myśleć o mnie jak o abstrakcji, czymś zbędnym, brzydkim, trochę przestarzałym; a kiedy mnie widzą, odwracają wzrok. Nawet ty... – Alicja uśmiechnęła się jak na widok znajomego. – Tak, ty. Nawet ty myślisz, że zapowiadają mnie deszcze i jesienne chłody, że dzwonię i dzwonię, aż odbierzesz, łaskaw. Wiesz, bardziej trafne byłoby powiedzenie, że mieszkam w cieniu. Stoję spokojnie, błada jak porzucona kochanka, i wiem, że do mnie wrócisz tak jak każdy inny. Nie doceniasz, nie pytasz, nie chcesz odgadywać, ale ciągle pamiętam o naszych przysięgach, więc czekam tu, cierpliwa i dosyć subtelna. – Alicja robi krok do przodu. Jeden niewielki teatralny krok. Kiedy zaczęła mówić, jej ton był inny; znikła gdzieś jego dziewczęca barwa. – Boisz się? Dziwisz się, że podeszłam tak blisko, prawda? Ależ, kochany, gdybyś wiedział, że zawsze jestem blisko, nie mógłbyś zasnąć! Dlatego lepiej myśleć, że jestem filmową fikcją, westchnieniem dobrej

książki i niezłej muzyki. Patrzysz tak obojętnie na groby minionych, stąpasz po nich, jesz na nich, mieszkasz i się bawisz, czasem niewielka zmarszczka przetnie twoje czoło, nic, co przesadnie trąci zamyśleniem. Śpisz tak smacznie, wtulony w tę iluzję władzy, w malutkim zamku malutkie książątko, że nawet kiedy pukam, patrzę w twoje okno, prędzej psami poszczujesz, niż dośnisz mą postać. Często patrzysz tak śmiesznie, tak po ludzku głupio, „kto zabił?“, „kto jest winny?“, „jak?“, „gdzie?“ i „dlaczego?“. Nie wiesz, że racjonalność, siostra bezpieczeństwa, lubi stroić się w habit, znam ją z dawnych czasów. Prędzej bym zawierzyła pijanej oszustce niżli tej starej dziwce, udatnej zgrywusce. – Alicja oparła pupę o biurko. Z torebki wyjęła puderniczkę i przypudrowała i tak blady nos. – Powinieneś raczej spytać: kiedy czas na mnie? Kiedy zjawisz się, moja droga, by zabrać mi oddech?

– Bardzo ładnie, pani Alicjo, tylko nie rozumiem po co...

– Ććśśś... Stoję w deszczu. Uśmiechnięta dziewczyna z czarno-białego filmu. Patrzysz na mnie, ale nie poznajesz. Wiesz, że się znamy, boisz się zagadać. – Alicja się uśmiechnęła. Jej uśmiech miał w sobie dziewczęce zawstydzenie. – Dzisiaj znowu się spotkaliśmy?... Spytaj gdzie.

– Gdzie?

– Patrzyłam, jak masturbujesz się pod prysznicem. Wybacz wścibskość, taka już jestem. Potem się goliłeś, a ja nie mogłam się powstrzymać. Dotknęłam twojego ramienia i chuchnęłam w lustro. Wzdrygnąłeś się, coś zakłuło cię w piersi i pomyślałeś o swoim synku, że taki mały, że na wiosnę kupisz mu rowerek. Zrobiło się trochę niezręcznie. Na łazienkowym lustrze zakwitła iluzja twoich planów. Starłam ją ręką, najsubtelniej jak mogłam. Widzisz... Jak na introwertyczkę jestem dość towarzyska.

Prawda jest prosta jak wiersz nastolatki. Podobasz mi się tak jak wielu innych. – Alicja westchnęła. Jej twarz przeciął grymas nudy. – Ale że co? Chcesz znać moje imię? Mam nazwać lęk, który kazał wymyślać Niebiosą? Powiem tylko: nie koniec, nie meta i ulga są tymi imionami, choć miewałam gorsze. Jak już musisz, nazwij mnie ładem. To jak miejsce dla innych, co przyjdą po tobie, dla dzieci twych, ich dzieci i dzieci ich dzieci. To jak poczucie sensu, i wiedział to już twój pradziadek. Staruszek patrzył na kwitnące grusze i myślał o końcu niemalże z godnością. Więc zabrałam go godnie, choć w zaszczanych spodniach.

Matelski znowu chciał jej przerwać, ale zobaczył, że Alicja patrzy mu w oczy. Poczuli się dziwnie. Tym razem naprawdę patrzyła na niego, grożąc mu palcem jak niesfornemu dziecku. Nie wyszła z roli, kiedy swoim naturalnym głosem zapytała:

– Chciałbyś zaprosić mnie na kawę? Jasne, jestem otwarta na nowe znajomości... Widzę, że trochę się wkurzasz. Nie lubisz mnie. Myślisz, że jestem okrutna, bo zabrałam tamtą dziewczynkę. Miała dopiero trzynaście lat. Widać oboje takie lubimy, prawda? – Alicja uśmiechnęła się złośliwie.

Po twarzy dyrektora przebiegł ledwie zauważalny tik. Plotkują na mój temat, pomyślał Matelski, cholerna wiocha.

– Nie bój się. I tak nie będą zeznawać. Pochwalą się koleżankom, wspomną mężowi o grzechach młodości, ale pozwolić sędziom grzebać w życiorysie to już zupełnie nie rodzinna sprawa... Ja też nie lubię rozgłosu. Jak mówiłam, stoję w deszczu, błada dziewczyna z czarno-białego filmu. Czekam. Czy to nie sprawiedliwość, którą sobie cenisz? – Alicja milczała. Na chwilę opuściła głowę. Potem wzdrygnęła się, jakby naprawdę zrzucała z siebie maskę. – I co pan sądzi, panie dyrektorze?

– Nie podoba mi się.

– Pomoże mi pan to wystawić?

– Tak.

– Dziękuję.

– Pani naprawdę płacze? Coś się stało? – Dyrektor dopiero teraz zobaczył, że nienaturalna bladość Alicji to nie tylko makijaż, jak początkowo sądził.



Janek nie czuł się najlepiej. Spakowanie torby z liną i butami wspinaczkowymi było ucieczką, podstawowym instynktem, któremu poddał się właściwie bezrefleksyjnie, ale potem, kiedy siedział za kierownicą swojego multivana i pokonywał kolejne kilometry, zaczynała do niego docierać powaga sytuacji.

Alicja jest w ciąży, a z nim jest coś nie tak.

Większość ludzi skakałaby ze szczęścia, wydzwaniając do kogo popadnie, a on? Pierwsze, o czym pomyślał, to niedokończone sprawy. Zupełnie jakby wspinaczka bez zabezpieczenia na ścianie, której nazwa kusiała go od lat, nie była fanaberią, ale poleceniem od nieznoszącego sprzeciwu szefa. Problem w tym, że ten szef nie istniał. Dlaczego więc jechał w monotonnym tempie dziewięćdziesiąt na godzinę, myśląc o kolejnych przechwytych na granitowej skale? W jego głowie wspinaczka już się rozpoczęła. Rozpoznawał to całkiem łatwo – pociły mu się dłonie, a serce waliło jak młotem.

Janek podniósł znad kierownicy prawą dłoń i kilkanaście razy zacisnął i rozluźnił pięść. Potem to samo zrobił z lewą ręką. Telefon, który wskazywał drogę, zawibrował i na ekranie pojawiło się zdjęcie Alicji. Przecież wytłumaczył jej, że musi to zrobić! Nie miała pojęcia, że każda myśl o niej i dziecku, które w sobie nosi, nie oddała go od realizacji tego, co sobie zamierzył, a jedynie zabiera cenne skupienie. To coś jak komponowanie piosenek. Wtedy musi odciąć się od wszystkiego i zapomnieć o bożym świecie, bo tylko wówczas w głowie pojawia się melodia, której nie słyszał nigdy wcześniej. Telefon

dzwonił i dzwonił, a on niemal go odebrał. Prawie odebrał i powiedział jej, że wszystko będzie dobrze. Problem był taki, że sam w to nie wierzył.

Po dwóch godzinach dotarł do Janowic, gdzie w lokalnym sklepie kupił sobie kilka przekąsek. Bił się z myślami. Pojechał w stronę Sokolików. Zatrzymał się i chwilę patrzył na pustą wiejską drogę. Skądś, pewnie z pobliskiego kempingu, dobiegała cicha muzyka. Stary polski rock. Wziął to za dobry znak. Przez drogę leniwym truchtem przeszła krowa. To też dobry znak. Ale co zrobić z kołującymi nad polem krukami, które wyglądały, jakby szukały padliny? Żeby nie zwariować od myśli, z których nie wynika nic dobrego, postanowił działać.

Kawę zawsze woził ze sobą. Chciał ją zaparzyć już teraz, ale stwierdził, że lepiej będzie smakowała tam, na jednej z dwóch bliźniaczych gór, której częścią była Jastrzębia Turnia. Spakował ją do plecaka razem z kawiarką, gazowym kartuszem, butelką wody i kilkoma batonikami, same puste kalorie, ale jakie znaczenie ma dieta w ostatnim dniu życia?

Wziął linę, która miała mu się przydać do zejścia. Zabrał też uprząż i ekspresy, bo jakoś tak głupio było iść bez szpeju. Jakby spotkał któregoś ze starych znajomych, to łatwiej by mu było zachować spokój, udać, że to dzień jak co dzień, wiosna jak wiosna, jest sucho i nie piździ, więc trzeba się powspinać. Gdyby go zagadali, być może nawet dołączyłby do nich, a potem wytłumaczył sobie jakoś, że to jeszcze nie dzisiaj, następnym razem będzie lepiej przygotowany.

Szedł pięknie położoną łąką, przypominając sobie wszystkie dobre chwile, które spędził w okolicy. Pamiętał, że kiedy zaczynał wspinaczkową przygodę, jeździł tu z koleżanką, śliczną modelką, w której sercu mruczał górski zew. Była tak chuda, że wydawała się łamać pod ciężarem plecaka. Flirtowali,

żartując, że o świcie warto ustawić aparat i po prostu biec nago w stronę słońca. Przypominał sobie takie fragmenty, zastanawiając się, czy to nie właśnie dlatego ludzie ryzykują życie – żeby spojrzeć na wszystko z uśmiechem i życzliwością, tak jak patrzy się ostatni raz.

Krowy pasły się jak zwykle, a nad ich grzbietami unosiła się mgiełka, złudzenie optyczne albo różnica temperatur. Było dość chłodno, ale sucho. Prognozy nie kłamały. Warunki do wspinania były idealne i to właśnie dlatego tutaj przyjechał.

Wszedł w las i mijał ukryte między drzewami skały. Sezon wspinaczkowy jeszcze się nie zaczął. Nic dziwnego, że nie słyszał dobiegających z góry komend ani okrzyków zmęczenia, które organizm wydaje mimowolnie przy szczególnie trudnych ruchach. Dotarł do miejsca piknikowego, gdzie musiał zboczyć ze szlaku, aby wydeptaną przez wspinaczy ścieżką dotrzeć do zawieszanej ponad lasem Jastrzębiej Turni. Kilkadziesiąt metrów pięknej skały, której położenie powodowało, że błędnik lekko wariował. Dopiero kiedy po głazach wspiął się na jej boczną ścianę, perspektywa wróciła do normy. Miał przed sobą swój cel – Mandagę Życia. Nie napotkał żadnych wspinaczy.

– A więc dzisiaj – powiedział sam do siebie i zrzucił ciężki plecak.

Przez chwilę po prostu sapał, uspokajając myśli. Wejście tutaj dało mu się we znaki. Usiadł i odpoczywał, a potem zmielił kawę w ręcznym młynku i nastawił kawiarkę. Kiedy usłyszał charakterystyczny bulgot, zakręcił gaz i wciągnął w płuca woń gwatemalskiej arabiki. Nalał kawy do emaliowanego kubka i pił, zagryzając kolejne łyki czekoladowym batonikiem.

Nie spieszył się. Dopiero po dwudziestu minutach, kiedy kawa zaczęła działać, dokładniej przyjrzał się skale. Dostrzegł kilka zacieków, ale droga, którą miał ruszyć, była sucha. Wielkie

głazy o ostrych krawędziach jak zwykle uruchamiały wyobraźnię, ale tym razem udało mu się uspokoić umysł na tyle, że szybka śmierć, którą zwiastowały, była nawet zaletą. Wstał, rozciągnął się i zaczął rozgrzewkę. Włożył buty i uprząż. Wszedł na banalnie prostą drogę po lewej stronie i umieścił linę w stanowisku nad zacięciem. Schodzenie zawsze wychodziło mu gorzej niż wchodzenie. Opuścił się na niej i przez dobre pięć minut uspokajał oddech.

Nie udało mu się osiągnąć spokoju, ale chciał to już mieć za sobą. Jeśli mu się uda, to zyska wiarę w siebie i pewien rodzaj spełnienia. Jeśli mi się uda, dopowiedział w myślach, to powiem Horstowi, że jego ukochana jest dziwką. Jeśli mi się nie uda, to znaczy, że byłem po prostu głupi. Tak czy inaczej, nigdy więcej żywcowania. To pierwszy i ostatni raz.

Zastanawiał się, czy powinien napisać parę słów. Nie, to by znaczyło, że nie wierzy w siebie. Kusiło go, żeby spojrzeć na telefon, ale przezornie go wyłączył.

Istniał tylko on i czekające go zadanie. Wokół było zupełnie pusto. Od skał bił pierwotny majestat. Janek porozciągał się i sprawdził, czy za małe o dwa i pół numeru buty są dobrze zawiązane. Zanurzył dłonie w magnezji. Palce umieścił na chwytach startowych. Lewą nogę postawił na stopniu.

Ruszył.



Alicja wracała z teatru, dzierżąc pod pachą torbę, a w niej pisany z takim poświęceniem dramat. Trzęsły jej się ręce, chodnik, który przemierzała swoimi długimi krokami, falował, jakby w każdej chwili mógł usunąć się jej spod stóp. Mijani ludzie patrzyli na nią z nieudolnie skrywanym zdziwieniem, a potem obracali się, zawstydzeni, jakby przez przypadek zerknęli w jej duszę. Pomyślała, że to вина jej nastroju, bo czuła się dziwnie, jakby wkrótce miała się rozchorować. Z jednej strony cieszyła się, bo wszystko wskazywało na to, że *Persefona* ma szansę na wystawienie, z drugiej jednak strony milczący telefon budził w niej poważne obawy.

Jeśli Janek ciągle żyje, to i tak skręcę mu kark, stwierdziła, kiedy wyobraźnia podsuwała jej obrazy partnera – dziesiątki, setki obrazów. Janek uśmiechający się do niej w łóżku, Janek za kierownicą swojego zdezelowanego auta, Janek w eleganckiej koszuli ze stójką na weselu jej kuzyna.

Niech go szlag, pomyślała. I jak na zawołanie we wspomnieniach pojawił się Janek w swoich gorszych chwilach, wkurzony, zajęty, otrzepujący magnezję ze wspinaczkowych spodni, czy kupujący kolejne muzyczne gadżety, z których prawie nie korzystał.

Myślenie o ukochanym zdecydowanie psuło jej nastrój. Kiedy przechodziła koło lodziarni, zobaczyła swoje odbicie w szybie i niemal podskoczyła. Zapomniała zetrzeć makijaż. Jej pomalowane na czarno oczodoły i przecięte śladami łez policzki przyciągały uwagę ludzi. Kiedy przechodziła przez ulicę, patrol

straży miejskiej, który zatrzymał się, przepuszczając ją na przejściu dla pieszych, przyglądał się jej badawczo i dopiero kiedy kiwnęła im na znak, że wszystko w porządku, odjechał, jeszcze długo obserwując ją w lusterkach.

Ech, prowincja, pomyślała, szukając miejsca, gdzie może wejść i się umyć. Musiała dojść aż na rynek, gdzie w kawiarni rzuciła na krzesło kurtkę i niemal od razu zamknęła się w toalecie.

Cholerny egoista, pomyślała teraz, kiedy oczyma wyobraźni ponownie ujrzała Janka. Tym razem brała prysznic, a on brzdąkał na gitarze jedną ze stu smutnych piosenek o miłości, które potrafił zaśpiewać naprawdę dobrze.

– Może łaskawie zadzwonisz i powiesz, czy żyjesz? – zapytała. – Nie? – Zmywała makijaż, próbując powstrzymać się od płaczu.

Czy ja tracę rozum? Nawet nie wiedziałam, że tak mocno go kocham...

Próbowwała nie myśleć o tym, że jej dzieci mogą nie mieć ojca, ale to było silniejsze od niej. Milczący telefon tylko wzmagał rozpacz. Dobra, wygrałeś, stwierdziła, zalewając się łzami. Jeśli jednak żyjesz, to pewnie ci przebaczę, tylko, błagam, wróć i bądź ze mną, chyba jednak potrzebuję cię bardziej, niż mi się wydawało.

Kiedy wychodziła z toalety, wyglądała okropnie. Spuchnięte usta, zapłakane oczy i blada, pozbawiona makijażu cera nie stanowiły zachęty do interakcji, ale jedna z kelnerek i tak podeszła do niej i z uśmiechem spytała, czego sobie życzy.

- Cappuccino – powiedziała Alicja.
- Coś jeszcze?
- Dziękuję. To wszystko.

Po pięciu minutach kelnerka wróciła, stawiając przed nią apetycznie wyglądającą kawę.

Alicja sączyła ją, nie odrywając ust od filiżanki, kiedy usłyszała wibracje w torebce.

Chyba jednak skręcę mu kark, pomyślała, przypominając sobie, że Janek zawsze dzwonił do niej około południa, nawet jeśli rano uważał, że ma wyjątkowo dużo pracy.

Ale to nie był Janek. Dzwonił Horst.

– Słucham – powiedziała, z trudem maskując rozczarowanie.

– Hej, czy Janek jest gdzieś w pobliżu?

– Nie.

– Szkoda, nie mogę się do niego dodzwonić. Wiesz może, kiedy będzie?

Alicja chciała coś powiedzieć, ale przez ściśnięte gardło przedostał się tylko cichy jęk.

– Ej, wszystko w porządku?

– Nie – powiedziała Alicja i przytoczyła Horstowi treść zostawionego na łóżku liściku.

– A to kretyn – skwitował Horst.

Milczenie, które zapadło, trwało tylko krótką chwilę. Tyle, ile trzeba na wzięcie kolejnego łyku kawy.

– Nie wiem nawet, kogo mam powiadomić – mówiła Alicja. – Policję? GOPR?

– Wiem, że zabrzmiałoby to nietaktownie, ale jest dorosły. Zrób coś dla siebie, spotkaj się z kimś...

– Łatwo ci mówić, Horst...

– Życie nauczyło mnie nie powstrzymywać samobójców.

Znowu zapadła cisza.

Horst, świadomy tego, że trochę przesadził, stwierdził, że najlepiej będzie zmienić temat.

– Rano odebrałem dziwny telefon – powiedział.

– Porywacze? – Alicja mówiąc to, instynktownie przykryła usta dłonią.

– Nie. Sirene.

– Co?!

– Żyje. Dzwoniła, żeby powiedzieć mi, że uciekła i ma się dobrze.

– Powiedziała, gdzie jest? – Miała nadzieję, że jej pytanie zabrzmiało naturalnie.

– Tak. Jakies sto kilometrów stąd. Na Wyspie Edwarda.

– Co?! I czemu cię tam nie ma?

– Znasz mnie. Musiałem się przygotować.

Zaśmiali się. Była w tym ulga i nadzieja.

– Szkoda, że mój facet akurat dzisiaj postanowił się zabić. Pomógłby ci... – Jak to było? „Jeśli nie możesz zmienić rzeczywistości, zmień swój stosunek do niej”.

– Nie po to dzwonię. Chciałem powiedzieć mu... Właściwie to mogę powiedzieć to tobie. – Horst chrząknął. Kiedy ponownie zaczął mówić, z jego głosu zniknęła familiarność. – Nie wiem, co tam zastanę, musiałem wziąć pod uwagę kilka możliwości. Powinno być dobrze, ale jeśli nie wrócę do wieczora...

– Horst...

– Słuchaj, jeśli nie wrócę do wieczora, na stole w kuchni znajdziesz pendrive’a z wszelkimi informacjami niezbędnymi do śledztwa. Jest tam kontakt do prokuratora Friskego. Powołaj się na mnie, powiedz mu, co wiesz, i prześlij mu te dane, dobrze? Zadzwoń, jak tylko wrócę.

– Horst, czy nie lepiej będzie zawiadomić...

– Wieczorem. Nie martw się. – Horst spróbował się uśmiechnąć. Takie przynajmniej wrażenie odniosła Alicja, bo coś zakłóciło rozmowę. – Słuchaj, Alicjo, wiem, że zabrzmiało to dziwnie, ale jestem pewien, że Jankowi nic nie będzie. Widziałem, że jest w formie. Trzeba wierzyć, że nie zrobiłby nic ponad swoje siły.

– Nie jestem pewna...

– Życz mi powodzenia z Sirene.

Alicja przez chwilę milczała. Doskonale pamiętała, dlaczego nigdy jej nie lubiła. Miała na Horsta zły wpływ. Młodniał, ale głupiał.

– Powodzenia.

– Dzięki. Wszystko będzie dobrze. Do wieczora!

Odłożyła telefon i rozejrzała się po lokalu. Dwie dziewczyny przy oknie obróciły głowy. Pewnie obserwowały ją podczas rozmowy, zastanawiając się, o czym mówi ta ubrana na galowo wariatka. Kelnerka stała za ladą, wycierając szklanki. Złote zdobienia na ciemnozielonych ścianach kołysały się, jakby widziała je spod wody. Spojrzała na stolik. Torebka była otwarta. Wystawał z niej zbindowany i oprawiony w folię maszynopis. Na pierwszej stronie widniało jej imię i nazwisko i oczywiście tytuł. *Persefona*.

Doskonale pamiętała motto dramatu i uświadomiła sobie, że oddałaby wszystko za to, żeby sztuka nie miała związku z życiem jej twórcy.

„Wszyscy umrzemy, a podziemia są zimne i wilgotne”.



Dzień zapowiadał się pogodnie. Chmury, które nadchodziły od Zaniemyśla, ciągnąc w kierunku Warty, wydawały się niższe niż zazwyczaj, ale może dlatego, że widziane przez okno zahaczały o konary dębów, oplatając je miękką bielą. Sirene słyszała uderzające o brzeg fale i ucieszyła się na myśl, że to jej ostatni dzień na wyspie. Bliskość wody, która zazwyczaj dawała jej siłę, teraz tylko potęgowała strach i odczuwaną boleśnie kruchość.

Nie tylko ponury szum fal działał na nią przygnębiająco. Na łóżku przed sobą miała Piotrka. Teraz spał, nafaszerowany ibuprofenem, ale wiedziała, że kiedy tylko się obudzi, znowu będzie wił się i kopał, a wszystko przez ból palców i rozerwany wybuchem pośladek. Jeden z odłamków przeorał mu tyłek i kawałek ucha. Miał szczęście, że przeżył, bo kiedy znalazła go w kałuży krwi i flaków tamtego, to nie dawał znaków życia. Nie słyszał, co do niego mówiła. Wydawało się, że nie widzi nic oprócz dwóch czarnych toreb z gotówką, które wskazywał palcami zdrowej ręki, powtarzając, że są bogaci, że są, kurwa, bogaci i właśnie o to chodziło. Sirene przytuliła go i powiedziała, że tak, są bogaci i przed nimi całe życie, a potem przyniosła go aż tutaj. Była ledwo żywa ze zmęczenia.

Teraz, kiedy w dziurę na jego tyłku wlała prawie pół flaszki wódki, nie była tego taka pewna. Jeśli w ogóle z tego wyjdą, to strasznie poharatani i świadomi, że spełnione marzenia, o których śnili tak długo, nie mają w sobie nic ze słodyczy.

Patrzyła na chmury i z braku lepszego pomysłu sięgnęła po jointa. Odgłos fal stał się wyraźniejszy, a słońce, które wpadło teraz przez okno, zatańczyło dokładnie na jej policzku. Zmrużyła lewe oko bardziej niż zazwyczaj. Ciągle siedziała na podłodze, gładząc dłonią plecy i owłosiony pośladek ukochanego. Piotrek zaimponował jej odwagą i sprytem, kochała go bardziej niż kiedykolwiek. Bardzo żałowała, że w chwili słabości zadzwoniła do Horsta. Dziadek był powolny, ale na pewno nie głupi. Były małe szanse na wytłumaczenie mu, że porywaczem jest rozerwany na strzępy zbir, a ten tutaj, przystojniaczek o oczach jak błękitna laguna, to tylko przypadkowy wybawca.

Piotrek jakby usłyszał jej myśli, bo stęknął i obrócił się na bok. Spojrzał na ukochaną i po raz pierwszy nie wydał z siebie bolesnego jęku. Zamiast tego spróbował się uśmiechnąć.

– Będzie dobrze, mała – powiedział słabym głosem.

Sirene poczęstowała go resztką jointa, a on wypalił ją, łapczywie zaciągając się dymem. Zobaczyła, że kiedy otwiera usta, odruchowo mruży oczy. Najwyraźniej pamiętał ciężkie ciosy, które spadły na niego w nocy.

– Wiem. Odpoczywaj.

Piotrek nie wyglądał jak ktoś, kto chce odpoczywać. Zakręcił się na łóżku, próbując poprawić niewygodną pozycję, ale rana na pośladku była głęboka. Gdy tylko podkulił nogę, jęknął z bólu i zagryzł zęby na poduszce.

– Nie możemy tu zostać – powiedział, kiedy odzyskał zdolność mówienia. – Ten facet... Ten, którego dźgnęłaś... Śpieszył się. Wiedział, że jego kumpel jest już w drodze.

Sirene pogłaskała jego rozpalone czoło.

– Już dobrze, kochany. Wszystko będzie dobrze – powiedziała.

– Nie rozumiesz? Jedzie tu... – Zaczął rozglądać się po pokoju. Nie mogąc ruszyć głową, nie widział zbyt wiele, więc zapytał: – Gdzie on jest?

– Nikogo nie ma, kochanie. Masz gorączkę.

– Pistolet. Gdzie jest pistolet?

– Mam go. Spokojnie. Jest bezpieczny. Schowałam.

Piotrek myślał o czymś przez chwilę, a potem przytaknął i zamknął oczy. Sirene dokładniej otuliła go kocem.

W pokoju panował chłód. Tegoroczny kwiecień był jak przedłużenie zimy, chłodny i wietrzny.

Sirene wstała i na gazowej kuchence zrobiła herbatę. Obok łóżka postawiła taboret. Na nim dymiący kubek.

– Napij się – powiedziała, gładząc Piotrka po policzku.

Ocknął się. Spojrzał na nią z wyraźną ulgą.

– Śniło mi się, że jestem w jaskini – powiedział, ciągle zawieszony pomiędzy jawą i snem. – Było ciemno, a ze ścian kapiała woda. Szedłem wąskim korytarzem, byli tam też inni poszukiwacze. Nie wiem, skąd się tam wzięli i czego szukali...

– Ćśśś... Nic nie mów. Odpoczywaj.

Piotrek nie zamierzał jej słuchać.

– W końcu trafiłem do dużej groty. Wszędzie była woda. Po kostki, potem po pas. Była zimna, więc wdrapałem się na ścianę i przytuliłem do skalnego grzyba. To ma jakąś nazwę? Wiesz, takie coś jakby półka, tylko zaokrąglone na wierzchołku...

– Nie, skarbie, ale to bez znaczenia. Ciągle masz gorączkę.

– Słuchaj, siedziałem na tej skale, z trudem utrzymywałem równowagę, a wtedy ktoś powiedział, że tutaj mieszkają Buki.

Dopiero wtedy się przestraszyłem. Czułem, że to prawda, że ta mroczna jaskinia to wylęgarnia Buk i że one zaraz tu wrócą. – Zaśmiał się, ale śmiech wkrótce zamienił się w kaszel. – Kurwa, nigdy nie lubiłem Muminków.

– Ja też nie. – Sirene chwyciła go za lewą rękę. Jego prawa dłoń, ta spoczywająca na łóżku, była dwa razy większa od lewej. Rankiem próbowała owinąć ją bandażem, ale Piotrek szarpał się i wrzeszczał. Dała spokój.

– W nocy powiedziałem ci, że pieniądze są najważniejsze. – Piotrek, który po marihuanie zawsze funkcjonował lepiej, odczuwał dużą potrzebę mówienia. – Kasa to tylko przyjemny dodatek.

Sirene mocniej ścisnęła jego lewą dłoń.

– Wiem.

– Tak naprawdę chodzi o przygodę. O to, żeby życie było sumą chwil, w których z zachwyty wstrzymujesz oddech.

– Wiem, głuptasie, nie musisz nic mówić. – Sirene poczuła wzruszenie. Wyobraziła sobie Horsta jako mroczną uzbrojoną Bukę i na myśl, że ten stwór zjawi się tutaj, chcąc wyrównać rachunki, ogarniał ją przejmujący smutek.

– Ale ja chcę mówić. – Piotrek uśmiechał się lekko. – Od początku traktowałem to jak przygodę. Nie ciebie. Ciebie kocham nad życie... To... – Uniósł dłoń, za którą ciągle go trzymała, wskazując ściany dawnego domku letniskowego i ogólnie wyspę. – To był początek wspaniałej przygody. Na La Palmie będziemy się z tego śmiali. Będziemy wspominali to jako jedną z lepszych rzeczy, które nam się przytrafiły.

– Tak będzie. – Sirene chciała powiedzieć coś jeszcze, ale poczuła, jak jej oczy napełniają się łzami. – Śpij. Musisz odpocząć.

Pokręcił głową.

– Musimy uciekać.

– Później. – Wskazała na swoje umazane krwią ręce. – Idę się obmyć, dobrze?

Skinął głową i utkwiał oczy w punkcie ściany, gdzie podchodząca od ziemi wilgoć spotykała się z odłóżką farbą, przypominając w zarysie Półwysep Apeniński.

Sirene wzięła ręcznik i wyszła z domku. Kiedy przeszła dwadzieścia metrów – dokładnie tyle, żeby nie mógł jej słyszeć – wybuchnęła płaczem. Uklękła i wylewała z siebie emocje z żarliwością dziewczynki, która wie, że narozrabiała.

On mnie naprawdę kocha, myślała, niemal wypowiadając to na głos. Kocha mnie tak bardzo, że oddałby za mnie życie. Kolejna fala płaczu spowodowała, że pochyliła głowę tak nisko, że czołem dotknęła mokrej trawy.

Wiatr rozwiewał jej przetykane kolorowymi warkoczykami włosy.

Sirene wytarła zasmarkany nos. Wszystko będzie dobrze, pomyślała, chociaż nawet nie wiedziała, kogo chce pocieszyć. Wszystko będzie dobrze, maleńka.

Woda miała chyba tylko kilka stopni. Sirene starała się zmyć krew, także z szyi i dekoltu. Miała wrażenie, że cała się od niej lepi. Rozebrała się do naga i najszybciej, jak to możliwe, zanurzyła po szyję. Odpłynęła od brzegu jakieś dziesięć metrów, trzęsąc się z zimna, i już miała zawrócić, kiedy zobaczyła coś dziwnego. Słońce zasłonił nieregularny podłużny cień, z gracją prześlizgując się po falach. Nie jeden – dwa cienie. Podniosła głowę i wtedy je zobaczyła.

Rybołowy.

Wielkie ptaki kołowały tuż nad nią, rozciągając niemal dwumetrowe nakrapiane brązem skrzydła. Nie polowały. Po prostu latały w jej pobliżu, kreśląc ósemki i wielkie koła, jak uszponione latawce.

One tańczą, pomyślała Sirene. Patrzyła w ślad za nimi, nawet kiedy poleciały tak wysoko, że stały się tylko ciemnymi plamkami na tle białych obłoków. Dopiero gdy zniknęły, przypomniała sobie o przesywającym na wskroś zimnie i dopłynęła do brzegu.

Jak tu nie wierzyć w znaki, pomyślała, przytrzymując się korzenia starej wierzby, żeby wyjść na ląd.

Chciała jak najprędzej się ubrać. Wiatr sprawiał, że krople wody na jej ciele zamieniały się w kłujące szpilki. Z zimna szczykała zębami. Ale kiedy podeszła do pieńka, na którym zostawiła ubranie, ze zdumieniem odkryła, że jej ciuchów tam nie ma. Rozejrzała się i szybko pożałowała decyzji o kąpieli.

Dostrzegła swój stanik wiszący na palcu draba, który zjawił się tutaj nie wiadomo skąd. W dłoni trzymał wycelowany w nią pistolet.

– Mamy do pogadania – powiedział Fifty, uśmiechając się do niej lubieżnie.

– Kim jesteś?

– Tym, który zadaje pytania.

– Oddawaj moje rzeczy.

Facet zaśmiał się jak z dobrego dowcipu. Zrobił dwa kroki do przodu.

Lufa pistoletu zbliżyła się do czoła Sirene. Potem do jej nosa. Widziała obły kształt naboju. Wyglądał jak larwa szerszenia w komorze lęgowej. Odruchowo zmrużyła oczy i zasłoniła piersi.

– Jesteś tu sama? – zapytał Fifty.

Sirene milczała.

– Pytałem, czy jesteś sama. – Lufa pistoletu znalazła się w prawym oczodole Sirene. – Jak nie odpowiesz, zostanie ci tylko pół oka.

– Tak. Jestem sama.

Lufa się odsunęła. Facet cmoknął i zadał kolejne pytanie.

– Co tu robisz?

– Przyjechaliś... Przyjechałam, bo lubię się kapa... – Nie miała szansy dokończyć, bo facet lewą dłonią, tą bez pistoletu, uderzył ją w policzek.

– Jeszcze raz mnie, dziwko, okłamiesz, to urwę ci łeb. Gdzie jest twój chłopak?

Sirene chlipała. Z rozciętej wargi spływała strużka krwi.

– Jestem sama – skłamała, odruchowo spoglądając w stronę domku, w którym zostawiła ранego Piotrka. Znowu oberwała. Tym razem w lewy policzek. Skuliła się zdezorientowana. – Pozwól mi się ubrać – powiedziała.

Na trawę, tuż obok, spadła jej koszulka.

Fifty nie przestawał w nią celować, obserwując każdy jej ruch.

Ona też miała okazję się mu przyjrzeć. Był duży i nabity. Miał więcej tłuszczu niż rozszarpany przez granat kolega, ale tak jak tamten ubierał się na czarno i miał skłonność do ekstrawagancji. Na szyi nosił złoty łańcuch, a czapka z logo New York Yankees w ogóle nie pasowała do jego nalanej twarzy. Takie samo logo miał przy pasku, pod którym rysowała się erekcja.

Zgwałci mnie, jak tylko dostanie kasę, pomyślała Sirene. Trzęsącymi rękami wkładała na siebie spodnie. Szarawary

i sweter sprawiły, że czuła się trochę pewniej. Przynajmniej na tyle, żeby spróbować go powstrzymać, kiedy ruszył w kierunku, w którym spojrzała chwilę wcześniej.

– To nie tam – powiedziała. – Forsa jest gdzieś indziej.

– Jeszcze nie mówiłem nic o forsie. – Facet uśmiechał się oblesnie. Ścisnął w dłoni jej majtki. Obwąchał je, zanurzając w nich nos, a potem zmiął i schował do kieszeni. – Idź przodem. Spróbuj uciekać, to strzelę ci w plecy.

Sirene zrobiła kilka kroków, ale zaraz zatrzymała się, niepewna, dokąd właściwie ma iść. Tak jak się spodziewała, poczuła na szyi zaciskające się palce. Głos, który usłyszała, dyszał w jej ucho.

– Idziemy do twojego chłopaka.

– Ale...

– Zamknij się i prowadź.

Minęli podest ze stojącą na nim armatą. Po chwili znaleźli się pod drzwiami domku.

– Macie jakiś kod? – usłyszała w swoim uchu.

– Co takiego?

Wdusił jej twarz w drzwi, a do ucha ciągle sączył złowrogi szept.

– Spróbuj jakiejś sztuczki, to cię zgwałcę i zakopię żywcem. Rozumiesz?

Skinęła głową. Tyle, na ile mogła.

Wyciągnęła dłoń i zapukała. Puk-puk-puk. Puk-puk-puk. Puk.

– To kod? – szepnął facet.

Znowu skinęła.

Fifty puścił ją, ale stał tak blisko, że czuła zapach jego potu. Jego penis ocierał się o jej biodra, przyprawiając ją o dreszcz obrzydzenia.

– Co tak długo? – zapytał.

– Piotrek jest chory. Spał, kiedy wychodziłam.

– Piotrek... – mruknął facet. Zniecierpliwiony odepchnął ją od drzwi i tym razem zapukał sam.

Puk-puk-puk. Puk-puk-puk. Puk.

– To ty, Syrenko? – rozległo się ze środka.

Sirene, która lufę czuła tym razem między żebrami, potwierdziła.

– Tak. To ja.

– Chwila. Dupa boli mnie coraz mocniej... – Piotrek wstał z łóżka. Za plecami schował gotowego do strzału glocka.

Kiedy przekręcił zamek, drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wymachujący bronią facet, wepchnął Sirene do środka.

– Oboje, kurwa, na łóżko! Siad! Ale już! – rozkazał.

Sirene usiadła. Piotrek stał obok łóżka, wskazując ręką na zakrwawione ręczniki.

– Jestem ranny w dupę. Muszę stać.

– Siad, mówię!

Piotrek zacisnął zęby i usiadł. Poczuł, że przez ciało przelewa mu się fala gorącego bólu. Jakby polano go wrzątkiem.

– A teraz słuchać! Odpowiadacie jednocześnie. Za każde kłamstwo jest kara. Zrozumiano?

Przytaknęli. Jednocześnie.

Fifty skierował broń w stronę bladej ze strachu Sirene.

– Imię?

- Sirene.
- Imię, kurwo.
- Helena. Helena Bednarek.
- A to Piotrek, tak?
- Piotr Bzdęga – potwierdził chłopak.

Fifty, którego mózg pracował na najwyższych obrotach, podrapał się po czole lufą pistoletu. Przyjrzał się im po raz kolejny. Obita twarz chłopaka i poharatane ucho wskazywały na to, że jego kompan rzeczywiście był tutaj przed nim.

– Był tutaj mój kolega. Łysy. Duży. Tatuaze na głowie. Gdzie jest teraz?

- Nie wiemy – powiedział Piotrek.
- Nie żyje – powiedziała Sirene.

Ich wypowiedziane równocześnie słowa zabrzmiały jak źle zestrojona muzyka.

– Kurwa, miałem nadzieję, że chociaż na chwilę przestaniecie łąć – warknął Fifty, celując Piotrkowi w pierś.

Sirene, przytulona do niego, głaskała go po plecach. Wyczuła pod dłonią kolbę pistoletu.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Gdzieś pod sufitem brzęczała mucha.

Gdybym tylko miała palec, pomyślała Sirene, zaciskając powieki.

Wszyscy czekali na strzał, który nie nastąpił. Nabuzowany i wściekły bandyta, który siedział przed nimi, za bardzo potrzebował informacji.

- Co tu robicie? – spytał.

Piotrek nie odpowiedział. Znacząco rozejrzał się po zrujnowanym domku.

– Przyjechaliśmy na kilka dni – wyręczyła go Sirene. – Zawsze tak jeździmy. W ciemno. W nowe miejsca.

– Co ci się stało w palec?

– Miałam wypadek...

– Motorówka – wyręczył ją Piotrek.

Fifty siedział na niewielkim stole na środku pokoju. Nogi miał najwyżej metr od ich stóp. W swojej głowie słyszał ciche głosy. Jeden z nich podpowiadał mu, że tych dwoje wie za dużo i powinien ich zastrzelić. Drugi głos zgadzał się tylko z pierwszą częścią tego stwierdzenia. Za dużo wiedzą, owszem, ale właśnie dlatego nie powinien ich zabijać. Nie teraz. Jeszcze nie.

– Sprawa jest prosta – zaczął. – Oddacie mi pieniądze, to pozwolę wam tu zostać.

– Odjedziesz? – spytała Sirene, która czuła, że trzeba go ułagodzić. Był uzbrojony i dużo silniejszy od nich.

Facet skinął głową, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał szorstko i groźnie.

– Gdzie jest kasa?

Lufa pistoletu przesuwiała się z Piotrka na Sirene, a potem wracała. Fifty nie mógł się zdecydować, które z nich oberwie pierwsze. W końcu ponownie zatrzymała się na Sirene.

– Ty. Chodź tu – rozkazał Fifty.

– Zostaw ją.

– Zamknij mordę, bo ci łeb odstrzelę.

Sirene poklepała Piotrka po udzie i wolno podniosła się z kanapy.

– Już dobrze. Idę – powiedziała.

Znalazła się tuż obok Fiftiego. Nagle wstał i za włosy przyciągnął ją do siebie.

– Mówiłem, że się doigrasz – wysapał, rzucając ją na fotel. Chciał zedrzeć z niej spodnie, ale ona wierzgała i kopała, w ogóle nie przejmując się wycelowaną w siebie bronią.

– Zostaw ją, cwelu! – krzyknął Piotrek.

Fifty potraktował go jak brzęczącego nad uchem komara. Chwyił szarawary lewą dłonią i ciągnął je, siłując się z Sirene, która przytrzymała spodnie obiema rękami.

Wtedy padł strzał.

Z sufitu posypała się farba i ukruszony beton.

Fifty się obrócił. Zobaczył, że Piotrek celuje do niego z glocka.

– Zostaw ją, skurwysynu, bo następną kulkę wpakuję w twój bebech. Nie żartuję.

Fifty się zaśmiał. Był zdenerwowany, ale działał całkowicie racjonalnie. Błyskawicznie znalazł się za fotelem, zmuszając Sirene, żeby się podniosła. On sam tkwił za nią, przytrzymując ją w talii lewą ręką. Pistolet trzymał tuż przy jej skroni. Znad jej długich blond włosów wystawał tylko kawałek jego głowy.

– Taki jesteś kozak? – zapytał. Wprost kipiał ze złości. – Rzucaj kłamkę, bo ją rozwalę.

– To ty rzucaj.

– Już, kurwa!

Fifty wycelował w Piotrka. Ten zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Stał z wyciągniętą bronią. Ręka mu się trzęsała.

– Rzucaj kłamkę, kurwo, bo rozwalę was oboje! Ale już!

Piotrek spojrzał na ukochaną. Była przerażona.

– Dobra, spokojnie – powiedział. Położył pistolet na stole.



Sirene ocknęła się na fotelu. Leżała z głową na podłokietniku, zwieszoną ręką dotykała podłogi. W głowie pulsował jej tępy ból, a zatoki piekły, jakby włożono do nich nawilżoną kwasem szmatę. Dopiero po chwili przypomniała sobie uderzenie pięścią w nos, które zaserwował jej rozjuszony zbir. Oprzytomniała na tyle, że widziała, co dzieje się wokół niej. Skupiła się na krzykach, które wypełniały pokój letniskowego domku.

– Gdzie są, do kurwy nędzy, moje pieniądze?! – wrzeszczał bandzior, miotał się i przetrząsał kolejne szafki.

Sirene spostrzegła, że na łóżku obok drzwi leży Piotrek. Pewnie też oberwał, bo poduszka była czerwona od krwi. Ledwo się ruszał, ale żył. Podniósł nawet głowę, żeby posłać jej uśmiech na znak, że wszystko będzie dobrze.

Nie zapowiadało się na to. Fifty kończył właśnie demolować kuchnię, zrzucając na podłogę ostatnią z wybebeszonych szuflad.

– Pierdolone brudasy, lachociągi niemyte... – warczał, jakby adrenalina uruchamiała w nim zespół Tourette'a. Za paskiem miał dwa pistolety. Złoty łańcuch na jego szyi był jedyną rzeczą w innym kolorze niż czerń. Uśmiechnął się, kiedy w jego ręce znalazł się tłuczek do mięsa, jakimś cudem przeoczony przez szabrowników.

Sirene widziała, że głowa Piotrka znowu opadła na poduszkę, oczy miał zamknięte. Ona też postanowiła nie zdradzać, że jest przytomna. Nie poruszyła się, ale dyskretnie obserwowała, co dzieje się wokół niej.

Fifty zbliżył się do Piotrka i kopnął go w piszczel. Chłopak się nie poruszył, więc oprawca poszedł do kuchni. Na blacie stała miska, którą napełniali w jeziorze, żeby zmywać talerze. Fifty chlusnął brudną wodą w twarz Piotrka.

– Wstawaj, brudasie! – wrzasnął.

Piotrek podniósł się, skrzywiony ze strachu i zimna.

– Będziesz gadał? – pytanie było niemal pozbawione agresji. Fifty wiedział, że wszystkie asy z talii są w jego ręku. Wszystkie oprócz jednego. – Gdzie moja kasa?

– Dostaniesz, jak nas wypuścisz – odparł Piotrek, który myślał zaskakująco trzeźwo. Kulił się i zaciskał zęby, bo rozdarty pośladek dokuczał mu niemiłosiernie. Ale nadal się trzymał.

– Nie ty stawiasz warunki.

– Ale tylko ja wiem, gdzie są pieniądze. Tu ich nie znajdziesz.

Fifty rozejrzał się po zrujnowanym pokoju. Odłaząca farba, wystające ze ściany kable, zniszczona posadzka, stare meble, nic tu nie pasowało do dwóch milionów.

A przecież kasa gdzieś tu musi być, myślał rozwścieczony.

– Ostatni raz pytam po dobroci. Mów! Gdzie są moje pieniądze?

Piotrek wiedział już, że facet i tak ich zabije. Nie wyglądał na takiego, który zostawiłby świadków.

– Puść dziewczynę – powiedział. – Puść ją, to dostaniesz swoje pieniądze.

Fifty podszedł do niego. Kucnął i chwilę patrzył mu w oczy. W końcu powiedział:

– Wiesz, co jej zrobię, jak za dziesięć minut nie będę miał tutaj kasy? Wiesz, kurwo? – Fifty wstał. Chwycił Piotrka za

włosy i pociągnął w stronę stołu. Jego głową walnął o blat i przydusił ciężkim butem. – Będę ruchał ją tak długo, aż zdechnie. Pierdolona dziwka dostanie za swoje. Będę ją ruchał, a ty będziesz patrzeć.

– Puścisz ją – wycedził Piotrek. Dostał kopniaka w ucho. Głową znowu uderzył o drewniany blat.

– Będziesz, kurwa, patrzeć. Zrozumiano?

Piotrek milczał.

– Pytam, czy zrozumiano.

Piotrek się uśmiechnął. Było to trudne, bo podeszwa glana przyciskała mu policzek. W końcu się udało.

I tak mamy przesrane, pomyślał.

– Ruszysz ją, to zapomnij o kasie. Nie żartuję.

W Fitym się zagotowało. Jeszcze żaden brudas nie okazał mu tyle pogardy. Wziął jego rękę, tę z wykręconymi paluchami, i rozciągnął na stole. Butem przycisnął spuchniętą dłoń.

– Zaśpiewasz, kurwo, inaczej – powiedział i podniósł tłuczek.

Piotrek zamknął oczy. Kiedy tłuczek opadł na palce, starał się nie wrzeszczeć, naprawdę się starał, ale ból był okropny, wypełnił i rozrywał ciało, pędząc razem z krzykiem gdzieś dalej.

Sirene otworzyła oczy.

On go zatłucze, pomyślała, widząc, że ciało jej ukochanego drga jak rażone prądem.

Gorączkowo rozejrzała się wokół siebie. Właśnie, prąd. Spojrzała na bezpieczniki w kuchennej ścianie.

„Jakbyśmy mieli zostać tu dłużej, naprawiłbym gniazdko”, powiedział kiedyś Piotrek, próbnikiem sprawdzając napięcie. Prąd ciągle był w gniazdkach, ale dla bezpieczeństwa wyłączyli

bezpiecznik. Sirene patrzyła na obróconego plecami Fiftiego. Podniosła się z fotela. Myślała trzeźwo, nieludzko trzeźwo. Zaczekaj na krzyk, szepnęło jej coś w głowie, zaczekaj na krzyk Piotrka. Nie musiała czekać długo. Krzyk wypełnił pomieszczenie ogłuszającym charkotem, a wtedy ona podniosła w górę niewielką wajchę. Cichy pstryk bezpiecznika, ledwie kropla w morzu tego rozpaczliwego krzyku.

– Gadasz, kurwo, gdzie kasa, czy mam rozwalić ci łeb? – Fifty stał rozkraczony z jedną nogą na stole. W dłoni trzymał tłuczek, który teraz wyglądał, jakby naprawdę rozbijał nim jakieś kotlety. Po trzonku ściekała strużka krwi.

Sirene dygotała. Kręciło się jej w głowie. Jeszcze trzy kroki. Dwa...

– Schowaliśmy – powiedział Piotrek, pociągając nosem. Płakał, może smarkał, ale jednak mówił. – Jest niedaleko...

– Gdzie?

– Trzeba wyjść, iść kawałek... – Piotrek widział skradającą się Sirene. Szła pod ścianą, cicha jak kot. Wiedział, że musi mówić, po prostu skupiać na sobie uwagę i mówić. – Schowałem ją dość dobrze. Są takie deski. Chyba dębowe.

– Nie pierdol mi tu o deskach... – Fifty uniósł tłuczek.

– Dobra, dobra, za dużo szczegółów. Wiem... Musisz...

Sirene była już blisko. Metr od wielkich pleców oprycha. Przy ścianie widziała przewody. Ktoś, kto kiedyś próbował je wyrwać, zniechęcił się w połowie pracy. Najwyraźniej nie opłacało się wyszarpywać ich ze ściany. Sirene wzięła je do ręki.

– Wkurwiasz mnie, brudasie. – Fifty szarpnął Piotrka za włosy. – Zaraz zmiażdżę ci kolejną łapę.

Sirene otworzyła usta i wzięła głęboki oddech. Obolałe zatoki piekły. Patrzyła na szeroko rozstawione nogi w czarnych

dżinsach. Zacisnęła zęby i z całych sił kopnęła faceta w jaja. Fifty skulił się i wrzasnął, że teraz to zajebie jedno i drugie, po prostu, kurwa, zajebie.

Chwilowo jednak szanse na to były niewielkie, bo jego ostatnie słowo zamieniło się w długi jęk. Kopniak wszedł, a on nie zdążył sięgnąć po broń.

Sirene złapała za ten jego złoty łańcuch i przepłotła przez niego przewody. Chciała zawiązać mocniej, ale nie udało się, bo Fifty wrzeszczał i wierzgał. Upadł na podłogę i skakał, nie odrywając od niej tyłka, cały czas trzymając się za łańcuch. Obrócił się w kierunku kuchni, zatelepał, wrzasnął i popędził w jej stronę na czworakach jak wielki czarny bobas.

– Chodź! – zawołała Sirene. Pomogła Piotrkowi wstać. – Spierdalamy stąd.

Wybiegli, a raczej wydostali się na zewnątrz. Po kilku krokach musieli stanąć, żeby odpocząć. Piotrek musiał się wspierać na ramieniu Sirene, bo ledwie powłóczył nogami i upadał, kiedy tylko luzowała chwyt.

– Chodź, kochanie, on nas zabije. Musimy uciekać.

Wiatr, który od wczesnego ranka, wyginał gałęzie drzew i sprawiał, że trawa wyglądała, jakby tańczyła, teraz jeszcze się wzmógł. Fale na jeziorze były spienione.

– Staram się – powiedział Piotrek, z najwyższym trudem kuśtykając w stronę szwajcarskiego domku.

– Dobrze, dalej, dalej... – Sirene szarpała go, próbując prowadzić, ale była zbyt słaba, żeby go nieść. Czuła, że sama też słabnie, zwalniała z każdym krokiem.

Tymczasem Fifty, który wyrwał zaplątane w złoty łańcuch kable, usiłował wstać z podłogi. Gotował się z gniewu i upokorzenia. Piekło go w gardle. Czapka z logo New York

Yankees leżała na podłodze. Czuł, że rozsadza go krwista wściekłość. W końcu wstał i wszedł do łazienki, żeby napić się wody. Przejrzał się w łazienkowym lusterku, a potem zdjął skórzaną kurtkę i zdarł czarny podkoszulek. Skóra w miejscu, gdzie dotykał jej złoty łańcuch, była poparzona.

Zajebię skurwysynów, pomyślał, i półnagi, z jednym pistoletem za pasem, a drugim w prawej dłoni, wyszedł przed chatę.

– Nie mogę. Nie dojdę tam – powiedział Piotrek, opierając się o ścianę. – Wybacz, kochanie.

– Chodź, łódka jest tylko dwieście metrów stąd. Uda nam się.

Piotrek pokręcił głową. Był wykończony. Gdyby nie buzująca w nim adrenalina, już dawno by zemdlął.

– Chodź – prosiła Sirene. – Po forszę możemy kiedyś wrócić. Chodź, damy radę.

Chwyciła go pod ramię i próbowała podnieść, ale on zrobił tylko krok. Sirene nie musiała pytać, co się stało. Cała nogawka po stronie rannego poślodka była czerwona od krwi.

– Przepraszam, Syrenko, naprawdę przepraszam...

– Chodź – powiedziała Sirene, ale bez przekonania. Jej oczy zaszkliły się łzami. – Piotruś...

Ukucnęła, zrezygnowana. Uświadomiła sobie to, co wiedziała od rana. Nie mają szans z uzbrojonym po zęby zbirem. Nie w dwójkę.

– Zostanę – powiedział Piotrek, jakby czytał jej w myślach. Wyjął z kieszeni ich piknikowy nóż i wcisnął jej w dłoń. – Schowaj. Mnie już się nie przyda.

Sirene pokręciła głową, ale umocowała nóż za paskiem spodni.

- Nie zostawiaj mnie – jęknęła.
- Nie zostawiam. – Piotrek próbował się uśmiechnąć.
- Kocham cię. – Sirene wybuchnęła płaczem i oparła głowę na jego piersi.

Przytulali się, świadomi tego, że być może robią to ostatni raz.

– Zatrzymam go – powiedział Piotrek, odsuwając ją od siebie. Do ręki wziął ciężki kij. – Idź w stronę brzegu i go zawołaj. Potem biegnij w stronę łódki.

Sirene pokręciła głową.

– Nie.

Piotrek ujął jej twarz i pocałował.

– Idź, Syrenko. Przyjdę do ciebie. Obiecuję.

Spojrzała na niego przez łzy.

– Obiecujesz?

– Tak. Idź już.

Odeszła, obracając się co kilka kroków, a on machał na nią jak na psa, który ma jak najszybciej opuścić posesję.

Idź już, myślał, przyciskając do piersi solidny dębowy drąg. Był słaby, ranny i nawet nie umiał się bić, ale coś w nim – może odwieczny instynkt, a może adrenalina, od której wręcz buzował – szeptało: chodź tutaj, skurwielu, zobaczymy, na co cię stać.

Sirene miała zawołać bandziora, ale nie musiała, bo już po chwili usłyszała dobiegające z bliska przekleństwa.

– Wy, niemyte świnię! Gdzie jesteście?

Piotrek przytulił się do ściany drewnianej willi. Widział kant budynku i wiodącą w pobliżu ścieżkę. Idąc w tę stronę, trudno

było nie przejść dwa metry od niego. Wystarczająco, żeby zrobić krok i...

– Tutaj jesteś – powiedział Fifty, wynurzając się zza węgła.

Od razu dostrzegł Piotrka. Jakby się go tu spodziewał.

Piotrek nie miał czasu na myślenie. Szarpnął ciałem najmocniej jak mógł i machnął kijem w stronę przeciwnika. Miał tylko jedną sprawną dłoń. Nie wyszło to najlepiej. Fifty zachwiał się, parując uderzenie barkiem, ale nie wypuścił trzymanego w dłoni pistoletu.

– Teraz cię zajebię – warknął i rzucił się na Piotrka, trzymając jak młotek pistolet, którym próbował walnąć go w głowę.

Piotrek jeszcze raz podniósł kij, ale szybko poczuł, że ta półnaga kupa mięsa zwała się na niego i przygniata swoim ciężarem.

Już po mnie, pomyślał, padając na plecy.

Na chwilę został unieruchomiony, ale Fifty też nie był w pełni sprawny, bo jakimś cudem Piotrek wyślizgnął się z jego objęć i chwycił za trzymającą pistolet rękę. Szamotali się, spleceni, zbyt blisko, żeby któryś z wyprowadzanych na oślep ciosów mógł okazać się skuteczny. Poturlali się w stronę jeziora. Piotrek ugryzł tamtego w rękę, ale on strząsnął go z siebie i niemal odruchowo pociągnął za spust.

Po wyspie rozeszło się echo wystrzału.

Piotrek chwycił Fiftiego za ramiona. Jego twarz była dziwnie wykrzywiona. Zbliżył głowę do jego głowy, zęby do jego nosa, ale to było najgłupsze, co mógł zrobić, bo tamten ciągle trzymał w ręku pistolet, a lufa nadal była wycelowana w brzuch Piotrka.

Bam. Bam. Dwa kolejne strzały, ich echo zadrgało w koronach drzew.

Rybołowy zapiszczały i opuściły gniazdo. Zdezorientowane krążyły nad drzewami.

Sirene, która widziała to wszystko skryta za pochyloną nad brzegiem wierzbą, wrzasnęła rozpaczliwie. Zwierzęcy mimowolny odruch. Ból był taki, jakby rozdzierano jej serce na pół.

Fifty spojrział w tamtą stronę. Chyba nawet się uśmiechnął. Na pewno wypuścił z rąk wiotczące ciało Piotrka, a on opadł na trawę jak wielka lalka. Potem wsadził za pas pistolet i ruszył w jej kierunku.

Rzuciła się do ucieczki.



Horst lewą ręką dotknął zabandażowanego przedramienia. Rana po jastrzębich szponach ciągle bolała. Był spokojny. Siedział w cukierni, wpatrując się w kawałek tortu. Wolno wbijał widelec i manewrował nim w taki sposób, aby we właściwych proporcjach nabrać biszkopt, czekoladową masę i wiśniowy dżem, którego kwaskowatość idealnie uzupełniała kompozycję. Potem równie wolno brał do ust kolejne kawałki i uśmiechał się samymi kącikami ust, czując na nich słodki posmak. Żałował tylko, że nie mieli kawy rozpuszczalnej. Ta z ekspresu, która wypełniała bielutką filiżankę z kawiarnianym logo, smakowała mu tylko dlatego, że przetykał każdy łyk kolejną porcją tortu, którego nie jadł już kilka miesięcy, odkąd postanowił zadbać o swoje zdrowie i potencję w najbardziej drastyczny ze sposobów. Przez całe życie jadł to, na co miał ochotę, ale kiedy kobieta, w której się zakochał, poklepała go po brzuchu, mówiąc: „Horścinku, trzeba coś z tym zrobić”, uległ jej, jak ulegał we wszystkim.

Kiedy przyjechał do Zaniemyśla, to zamiast rzucić się na ratunek kobiecie, która zadzwoniła do niego nad ranem, błagając o pomoc, po prostu zatrzymał auto i postanowił się rozejrzeć. Odwiedził ośrodek wczasowy położony na północnym krańcu jeziora. Powoli przejechał alejką obok starego cmentarza. Po prawej stronie miał działki rekreacyjne, a po lewej widok na jezioro. Zatrzymał auto. Przespacerował się zarośniętą ścieżką wzdłuż jego brzegów i przez cały ten czas

obserwował malowniczo położoną wyspę, na której – jak wynikało z porannego telefonu – jego ukochana została uwięziona przez porywaczy. Coś mu się nie zgadzało. Schylił się, aby podnieść wyrzucony przez fale kamień.

I wtedy wreszcie do niego dotarło.

Później stwierdził, że wiedział to już dawno, niemal od samego początku. Wiedział, ale wolał się łudzić. Usprawiedliwiał, wybaczał i szukał wyjaśnień. Nie dopuszczał do siebie myśli, że został oszukany. Przyjęcie oświadczyń, wzniosłe deklaracje, amatorskie pornosy – wszystko było tylko zasłoną dymną. Panna robiła go w chuja, a on jak zakochany gówniarz łudził się, że jest tym jedynym. Odpowiedź była w oczach jej matki, w drżącym głosie Sirene, w widoku na tę pieprzoną wyspę, która bardziej pasowała do gustu porwanej niż porywaczy. Horst gubił się w domysłach. Nie wiedział, co robić, więc działał najwolniej, jak mógł. Z jednej strony przysięgłby, że ukochana sama maczała palce w swoim porwaniu, a z drugiej oddałby wszystko za to, żeby się mylić. W uszach ciągle mu brzmiał jej przerażony głos, przed oczami miał jej ucięty palec, a w sercu wspomnienie wspólnych nocy.

By to szlag, pomyślał, ciskając do wody różowawy kamień.

Kiedy obszedł jezioro, zdziwił się, że łódkę znalazł dopiero na południu, tuż za niewielkim cyplem zasłaniającym widok na wyspę. Myślał, że będzie ich pełno, tylko wsiąść i płynąć, tak jak bywało to w Osiecznej, Oleśnicy albo na Dębcu, gdzie okazyjnie łowił przez ostatnie trzydzieści lat.

Łódka, którą w końcu znalazł, była przymocowana grubym łańcuchem do palika mocno wbitego w ziemię. Musiał więc pojechać do Castoramy aż pod Poznań, żeby kupić akumulatorową kątówkę i tarcze do cięcia metalu.

Przyda mi się też w garażu, pomyślał, wracając do Zaniemyśla.

Zrobił się głodny. Jeszcze raz pomyślał o narzeczonej (coś w stylu: „nawarzyła sobie piwa, to niech ma nauczkę”). Potem pomyślał o piwie, o samochodzie, do którego wsiądzie, i w końcu pomyślał też o kawie i ciastku.

Potem, kiedy brał już ostatni kęs tortu, pomyślał o swoim położeniu i planach na najbliższą przyszłość. W samochodzie miał dokumenty i telefon. Za pasem colta. Wiedział, że tak jest lepiej. Gdyby musiał kogoś zabić, nie udowodnią mu, że był na wyspie. Na krześle obok niego leżał plecak, do którego zapakował kątówkę, kilka trytek, które doskonale imitują kajdanki, i butelkę wody. Zamierzał wstać. Pójść do łódki. Przeciąć łańcuch i popłynąć na ratunek kobiecie, z którą związał swoje losy. Ale czy na pewno chciał?

Z kieszeni wyjął pięciozłotówkę.

Jeśli wypadnie orzeł, to po nią płynę, jeśli reszka, to wracam, pomyślał.

Rzucił.

Orzeł.

Westchnął. Wstał.

Idąc, myślał o wietrze, który rozkołysał jezioro i pewnie sprawi, że wiosłowanie mocno da mu się we znaki.



Sirene biegła poznaczonymi wcześniej ścieżkami, potykając się o kępy trawy i dysząc tak głośno, że nawet jakby ścigający ją zbir nie widział blond włosów kołyszących się nad zieloną trawą, to na pewno usłyszałyby jej sapanie, przetykane jękami przypominającymi pisk ranionej sarny. Biegła, potykała się i spoglądała za siebie, w nadziei, że tym razem nie zobaczy czarnej zwalistej sylwetki. Ale ona zbliżała się nieubłaganie.

– Chodź, maleńka – mówił tropiący ją Fifty. – Nie zrobię ci krzywdy. Tylko się zabawimy. Spodoba ci się.

Kiedy potknęła się o korzeń i upadła jak długa, usłyszała jego śmiech.

– Już leżysz? Dobrze. To będzie najlepsze ruchanie w twoim życiu.

Jak daleko może być? Siedemdziesiąt? Pięćdziesiąt metrów? Sirene zastanawiała się, ile czasu zajmie mu dogonienie jej, i wychodziło na to, że niewiele. Naprawdę niewiele. Wstała i pobiegła w kierunku brzegu, ale ten ochryply śmiech niósł się tuż za nią, jakby za chwilę miał wplątać się jej we włosy.

– Nie uciekniesz, głupia suko. To wyspa, a ja cię widzę. Halo, maleńka, wiem, że mnie słyszysz. Widzę twoją dupę...

Starła się myśleć, ale brakowało jej na to sił. Zatoki paliły ją żywym ogniem, więc nie mogła zebrać myśli. Bolący nos coraz bardziej dawał się we znaki. Odruchowo potarła go ręką. Nawet się nie zdziwiła, kiedy na dłoni zobaczyła krew. Biegła przed siebie, okrążając wyspę od zachodu, ale kiedy wygadujący

świństwa głos wydawał się jeszcze bliższy, zrezygnowała i oparła się o drzewo. Rozglądała się. Za sobą miała drzewa. Dęby, kilka wierzb i starych sosen. Przed sobą jezioro. Metrowy klif był dość łagodny. Pewnie wchodziły tędy kaczki albo łabędzie. Śmierdziało ptasimi odchodami. Nie myśląc długo, zsunęła się do wody.

Było tu głęboko. Stopy tonęły w mule, ale trzymając się korzenia, mogła utrzymać głowę na powierzchni. Zbliżyła się do brzegu i zastygła tak, trzęsąc się ze strachu i zimna. Aby dać odetchnąć myślom, patrzyła na fale.

Słońce znalazło szczelinę w chmurach i teraz oświetlało fale niemal dokładnie w połowie drogi do lądu. Woda była brązowa, ale tam w słońcu wydawała się granatowa, prawie turkusowa.

Wariuję, pomyślała, kiedy przed oczami stanęła jej twarz Piotrka. Patrzył na nią, umierając, a jej wydawało się, że to właśnie ona skazała go na śmierć. Gdyby nie jej pomysły, opowieści o spokojnym życiu na rajskiej wyspie, pewnie nie znaleźliby się tutaj, w tym cholernym czyścću, gdzie nocami spacerują bezgłowe duchy. Rozpłakała się. Utrata ukochanego dopiero teraz dotarła do jej świadomości.

Woda zalała jej usta. Ocknęła się. Było jej coraz zimniej. Chciała już wyjść. Nasłuchiwała. Nigdzie ani śladu prześladowcy.

Poszedł sobie, pomyślała, skurwiel nie wypatrzył mnie i sobie poszedł.

Jej radość nie trwała długo. Nagle tuż nad głową usłyszała ten obleśny rechot.

– Ha, ha, ha... Tu jesteś, maleńka!

Odkoczyła. Chciała odpłynąć. Odpłynąć i umrzeć z zimna albo się utopić. Wszystko, byle nie patrzeć na ten nalany tępy

pysk.

Gapił się na nią, rozbierając wzrokiem. Lufa pistoletu, zaledwie metr od niej, pozbawiła ją wszelkich złudzeń.

– Wyłaż stamtąd, kurwo. Ale już!

Odrzuciła wyciągniętą rękę i na czworakach wdrapała się na suchy ląd.

Stała w kałuży wody. Przemoczony sweter, który miała na sobie, musiał ważyć z dziesięć kilo. Wełniane szarawary też.

Fifty usiłował ją chwycić.

Sirene zrobiła unik i sięgnęła za pasek. Mora, którą przyczepiła plastikowym klipsem, ciągle tkwiła na swoim miejscu. Wyciągnęła nóż i zaczęła machać nim przed sobą, wściekła jak osa.

– Ha, ha, kurwa, nie wierzę, gorąca z ciebie milfica.

– Zamknij się, grubasie.

Spojrzał na nią z wściekłością. Trzymany na spuście palec naprężył się.

– Daj mi jeden powód – powiedział. – Jeden pieprzony powód, dla którego miałbym nie odstrzelić ci łapy i nie wydupczyć. Jeden powód!

Sirene trzęsa się ze strachu i z zimna. Była blada jak papier. Na jej szyi pulsowała tętnica. Czuła, że jest u kresu wytrzymałości. Wiedziała to.

Zrobił krok w jej stronę, ciągle celując w nią z pistoletu.

– Stój! – wrzasnęła, przystawiając sobie ostrze do szyi. – Tylko mnie dotknij, a nigdy nie zobaczysz swoich pieniędzy.

Chciał się zaśmiać, ale w jej głosie było coś psującego mu nastrój.

– Jeden, kurwa, krok! – Sirene przycisnęła ostrze do skóry. Zabolało, ale nie tak bardzo, jak się spodziewała.

Fifty patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Dobra, spokojnie – powiedział. – Możemy się dogadać.

– Odłóż broń.

– Bez przesady.

– Schowaj, kurwa, gnata! Ale już! – Sirene wyprężyła szyję. Jej prawe oko wytrzeszczyło się. Każdy mięsień na jej ciele drgał.

Wcisnął pistolet za pasek. Śpieszyło mu się. Nie mógł tego ciągnąć w nieskończoność.

Woda za plecami Sirene ciągle falowała. Przez głowę znowu przemknęło jej, że mogłaby wskoczyć do niej i się utopić. Przecież pewnie tak giną syreny. Ale nie straciła jeszcze woli walki.

– Przysięgnij... – zażądała. – Przysięgnij na swoją matkę, że zostawisz mnie w spokoju, kiedy odzyskasz pieniądze.

– Gdzie one są?

– Dostaniesz je. Przysięgnij!

– Dobra, kurwa, przysięgam.

– Na życie swojej matki.

– Ona nie żyje, głupia suko.

Sirene wbiła czubek ostrza w swoją szyję. Zamknęła oczy i zacisnęła usta.

– Dobra, przysięgam, że zostawię cię w spokoju. Ale muszę dostać kasę. Rozumiemy się?

Sirene patrzyła na niego. W tych małych wtopionych w tłuszcz oczkach nie dostrzegła nic godnego zaufania. Ale nie miała innego wyjścia.

– Jak tylko dam ci kasę, wsiądziesz na łódkę i zostawisz mnie w spokoju, rozumiesz?

Skinął głową.

Sirene opuściła nóż.

– Dobra, chodź za mną – powiedziała, chowając morę do kieszeni. – Tylko mnie dotkniesz, to zapomnij o pieniądzach.

Nie odpowiedział. Szedł za nią, patrząc na ściekające z jej spodni krople, które szybko wsiąkały w trawę.

Przeszli obok ruin dawnej restauracji i skierowali się w stronę szwajcarskiej willi, gdzie ciągle były ukryte torby z pieniędzmi.

– Co się stało z moim kumplem? – zapytał, bo nagle wydało mu się, że ta idąca przed nim kobieta jest podejrzenie spokojna.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wskazała na drzwi.

– Za salonem jest sypialnia – powiedziała. – Za nią jeszcze jedna sypialnia. Trochę mniejsza...

Zamiast odpowiedzieć, sięgnął po broń.

– Wchodzisz pierwsza. Tylko bez kombinowania.

Sirene weszła na stare drewniane stopnie.

Słysząc było brzęczenie. Jakby w pobliżu znajdował się rój os.

Na pierwszy rzut oka granat nie wyrządził tutaj szkód. Dopiero kiedy dokładniej przyjrzała się bladym kwadratami, miejscami, gdzie kiedyś wisiały obrazy, zobaczyła, że znaczone są odpryskami. Rozglądanie się przerwało jej dźgnięcie w plecy pistoletem.

– Ruszaj się. Nie mamy czasu – powiedział Fifty.

– Idę. Uspokój się.

Przez spustoszony salon weszli do sypialni. Dopiero teraz zrozumieli, że to nie osy. W pokoju kłębiło się od much.

– Kurwa – jęknął Fifty, zakrywając usta rękawem.

Przy ścianie obok łóżka leżało ciało Glacy. Wybuch odrzucił je na metr, a Sirene przeciągnęła je tylko tyle, ile zdołała, aby nogi nie były widoczne z salonu. Rozerwane ciało oświetlały smugi światła wpadającego do środka przez zabite dechami okna. Muchy, które wyłaziły z nosa i z dwóch otworów, gdzie jeszcze niedawno były oczy, uwijały się, podniecone.

– Pieniądze są schowane – powiedziała Sirene, bojąc się, że facet będzie się teraz chciał mścić za śmierć kumpla.

Fifty fachowo obejrzał pomieszczenie, które ucierpiało na skutek wybuchu.

– Granat. To była pułapka na ciebie. Przystawiliśmy ją. Sam się w nią wpakował.

– Przestań pierdolić i dawaj kasę.

– Tam. – Sirene wskazała na łóżko. Chwilę siłowała się ze stalową ramą. – Pomóż mi.

Odsunęli łóżko, które pewnie kiedyś było całkiem ładnym meblem. Zrobiona przez Piotrka skrytka była prawie niewidoczna. Sirene z trudem odchyliła prowizoryczną klapę. Pod podłogą tkwiły dwie czarne torby.

Fifty wydawał się zaskoczony tym widokiem.

– Jedna jest nasza – powiedziała Sirene. – Powinniśmy to podzielić... – Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przed nosem zobaczyła pistolet, którym tamten chaotycznie wymachiwał.

– Zamknij się – powiedział. – Otwieraj.

Otworzyła torby.

Uśmiech na twarzy Fiftiego oznaczał tylko jedno. Po brzegi wypełnione były gotówką.

– Odsuń się, szmato.

Sirene spełniła polecenie.

Bzyczenie much było nieznośne. Oboje chcieli jak najszybciej stąd wyjść.

Fifty założył sobie torby na ramię i uzbrojoną ręką skinął na Sirene.

– Idziesz przodem i nie uciekasz, zrozumiano? – warknął. – Ale już!

Sirene ruszyła w stronę wyjścia.

Nie wypuści mnie, przemknęło jej przez myśl. Jestem głupia.

Pogoda była wciąż taka sama – niebo z przewagą chmur i wiatr – ale kiedy znaleźli się na zewnątrz, mieli wrażenie, że z nocy wkroczyli w środek dnia.

Sirene stanęła, nie wiedząc, co robić. Jej facet leżał martwy zaledwie dziesięć metrów dalej, widziała jego plecy i nogi w dżinsach. Wyglądał jak rzucony na trawę manekin. Jej marzenia, jej szczęście, wszystko oddalało się od niej, powodując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nie to jednak było najgorsze. Kiedy obróciła się, tchnięta niejasnym przeczuciem, zobaczyła, że uzbrojony facet, któremu oddała wszystkie pieniądze, położył torby na ziemi i teraz patrzy na nią, głupio się uśmiechając. Chciała mu powiedzieć, że ma przestać się gapić. Po prostu wziąć kasę i spierdalać, ale nie mogła. Przewaga była po jego stronie.

– Co jest? – spytała tylko.

Nie poruszył się. Ciągłe gapił się na nią z obleśnym uśmiechem.

– Mieliśmy umowę – powiedziała. – Wiesz, gdzie jest łódka.

Facet zrobił krok do przodu. Oblizał wargi.

– Rozbieraj się – powiedział wreszcie.

– Co? – Zdziwienie w jej głosie było trochę udawane. Przecież wiedziała, że nie dotrzyma słowa.

– Nie udawaj głupiej i nie graj na czas. Ściągaj ciuchy, kurwo. Ale już!

Stała, patrząc na wycelowaną w siebie broń, prawie nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Oto straciła wszystko i myślała, że gorzej być nie może, ale znowu okazało się, że jest w błędzie. Może. Zawsze może być gorzej.

– Puść mnie – powiedziała, a jej głos był łagodny jak głos matki mówiącej do dziecka. – Masz pieniądze, masz wszystko. Ja nie mam nic.

– Zamknij się i ściągaj ciuchy.

Sirene przetykała łzy. Były gorzkie. Jej trzęsące się ręce zbliżyły się do swetra, z którego ciągle kapała woda.

Kap. Kap. Kap.

Może to jej łzy, nie wiedziała tego, bo wszystko, co musiała wiedzieć, było w małych złych oczach wpatzonego w nią łotra. Podniosła ciężki przemoczony sweter, którym zakryła oczy. Świat na chwilę zniknął w wilgotnej czerni. Kiedy się pojawił, pierwszym, co zarejestrowała, były te obleśne oczy. Wydawały się większe niż przed chwilą.

– Teraz reszta – mówił Fifty. W ręku trzymał jej majtki, które przez cały czas miał w kieszeni. Zanurzył w nich okrągły nos. – Powoli. Lubię, jak dziwki robią to powoli.

Sirene chlipała, ale drżącymi palcami podniosła koszulkę. Pożałowała, że nie założyła bikini.

Fifty się oblizał. Mimowolnie podrapał się po jajach.

– Dobrze – powiedział. – Grzeczna milficzka.

– Puść mnie. Mieliśmy umowę.

– Zamknij się i ściągnij spodnie. Ale już!

Sirene patrzyła przed siebie. Jej wzrok zignorował świńskie oczka gapiącego się na nią faceta i nad jego ramieniem powędrował dalej. Przestała płakać. Na ścieżce prowadzącej tu od strony dawnego mostu ujrzała kogoś. Łysa głowa Horsta była nie do pomylenia z żadną inną.

– Sam sobie ściągnij – powiedziała i zakryła piersi.

– Coś powiedziała, kurwo?

– To, co słyszałeś.

Tym razem głos należał do Horsta.

Fifty spojrzał w jego stronę zdziwiony. Błyskawicznym ruchem dopadł Sirene, schował się za nią i przedramieniem oplótł jej szyję.

Horst wyciągnął z za pasa rewolwer.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – Zostaw ją. To koniec.

Fifty skierował w niego lufę swojego glocka.

– Nie wiem, co tu robisz, dziadku, ale spierdalaj. – Jego oczy śledziły każdy ruch emerytowanego policjanta. – I to już!

– Horst, kochanie...

Fifty się uśmiechnął. Zaczynał rozumieć, kim jest ten gość. Ścisnął Sirene tak mocno, że aż się zakrztusiła. Lufę glocka wbił jej w skroń.

– Rzuć broń i odejź. Jak tego nie zrobisz, rozwalę jej łeb – oznajmił głosem nieznoszącym sprzeciwu.



Co za dziwaczny dzień, myślała Alicja, kiedy z trzymanym pod pachą dramatem wchodziła do klatki. W jej głowie kłębiło się tyle sprzecznych myśli, że sama nie wiedziała już, czy którakolwiek z nich ma jakieś znaczenie. Wchodząc po schodach, spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po pierwszej. Zaraz będzie musiała iść po Rafała, a potem wytłumaczyć mu, że facet, którego kocha jak rodzzonego ojca, pewnie wróci, tylko nie wiadomo kiedy i nie wiadomo, w jakim stanie. Na wypucowanej klatce schodowej pachniało ziołami i smażoną cebulą. Wciągnęła ten zapach, przypominając sobie, że dzisiaj właściwie nic nie jadła. Weszła na drugie piętro i zdziwiła się, że drzwi nie są zamknięte na zamek.

Zapach dobiegał z kuchni. Podobnie jak muzyka *Elektrycznych Gitar*. Na stołku stał Rafał, który z poważną miną mieszał sos pomidorowy, a obok Janek, pochylony nad garnkiem, bujał się w rytm jednego z dawnych przebojów. Złość minęła jej w jednej chwili. Zawód, wbity w serce jak wędkarski haczyk, pozostał na swoim miejscu.

– Cześć – powiedziała.

– Gotujemy ci obiad – odparł chłopiec, obracając głowę w jej stronę.

– Jesteś głodna? – spytał Janek, jakby nic się nie stało.

Alicja dopiero teraz zobaczyła, że na kuchennej wyspie stoi bukiet kwiatów i butelka czerwonego wina.

– Trochę zgłodniałam – stwierdziła, odkładając *Persefonę* na komodę. Pogłaskała chłopca po głowie i surowym wzrokiem spojrzała na Janka. Uśmiechał się od ucha do ucha. – Pójdę się przebrać – powiedziała i wyszła.

Dziesięć minut później, kiedy siedzieli przy stole, Alicja słuchała opowieści Rafałka o nowych piłkarskich butach, które kupił mu Janek, zastanawiając się, czy jest to akt skruchy czy miłości. Kiedy chłopiec skończył jeść i poszedł się pobawić, zwilżyła usta winem i powiedziała:

– Żyjesz...

– Nigdy nie czułem się lepiej. – Janek zrobił to samo, tyle że jednym haustem wypił prawie pół kieliszka. – Mam dzisiaj jakiś cholerny dzień prawdy. Czuję się jak naćpany.

– A ja czuję się okropnie. Ale jasne, pomówmy o tobie.

– Ej, Ala...

– Co?

Spojrzeni sobie w oczy. Janek dotknął jej dłoni. Chciała odsunąć rękę, ale zamiast tego tylko zamknęła dłoń. Wyglądała jak schowany w skorupie żółw.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie mam nastroju na kłótnie – stwierdził Janek. – Kocham cię i jestem niemalże pewien, że wszystko będzie dobrze.

– Niemalże?

– Wiesz... Zawsze jest jakiś czynnik ludzki.

– Nie śmiesz mnie to.

– Wiem, mnie też. Chcesz posłuchać o moim dniu?

Alicja wzruszyła ramionami. Jesteś tak podjarany, że pewnie i tak mi powiesz, mówił ten gest.

– Rano pojechałem w Sokoliki. Przepraszam cię, ale nie widziałem innego wyjścia. Jakbym powiedział ci wcześniej, to – jeśli w ogóle byś mnie puściła – i tak nie mógłbym się wspinać. Zżarłoby mnie poczucie winy.

– Cieszę się, że go uniknąłeś – stwierdziła Alicja, spoglądając w stronę okna. Duży kasztan, ostatnie drzewo, które jakimś cudem ocalało przed deweloperami, kołysał seledynowymi liśćmi. – Mów, ile musisz, i zamknijmy ten temat.

– Dobrze. – Janek zgodził się bez wahania. – Zanim mnie ocenisz, najpierw posłuchaj. Jakbym czekał z tym do momentu, kiedy oswoję się z myślą, że będziemy mieli dziecko, to pewnie odłożyłbym ten pomysł na nie wiadomo kiedy. A on nie zniknąłby tak po prostu. Gdybym wspinał się solo jako pięćdziesięciolatek, miałbym mniejsze szanse. Dzisiaj było sucho, warunki dobre. – Janek czuł się jak nowo narodzony, tyle że bogatszy o całą wiedzę, którą zapamiętał ze swojego życia. – Wspinało mi się bardzo dobrze. Mandala jest świetna na rozruszanie. Do połowy łagodna, ale wymagająca skupienia. Skupiłem się i myślałem tylko o ruchu. Byłem tylko ruchem, Ala! Niesamowite uczucie. Potem przyszedł kryzys, jednak pomyślałem sobie, że wszystko jest tak, jak powinno być. Dzień prawdy. Palce pociły mi się jak cholera, ale kiedy uświadomiłem sobie, że jedyna droga prowadzi w górę, zrobiło się łatwiej. Wspinało mi się łatwiej niż z liną!

Alicja spojrzała na bukiet kwiatów. Gdyby nie one, pewnie wyszłaby z kuchni, może nawet z mieszkania.

– Janek, przepraszam cię, ale chyba jednak nie chcę tego słuchać.

Janek nic sobie z tego nie robił.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie popełniłem błędu. Wszystko zrobiłem tak jak trzeba. Z taką siłą jak trzeba. A kiedy

ominąłem stanowisko i po prostu wszedłem na szczyt, poczułem się wspaniale. Lepiej niż wspaniale. Siedziałem na skale, patrząc na Dolny Śląsk, śmiejąc się i płacząc, wszystko w tym samym momencie. – Spojrzał na nią. Tym razem się nie uśmiechał. – Skoro mogę to, to mogę wszystko, pomyślałem wtedy. Mogę być ojcem. Mogę rzucić prochy. Pokonałem strach.

Alicji ciągle kiepsko wychodziło złoszczenie się na niego.

– Dzień prawdy? – rzuciła tylko.

– Żebyś wiedziała! Nie mówię tylko o tym. Potem, kiedy zszedłem, włączyłem telefon i chciałem do ciebie zadzwonić, ale zobaczyłem połączenie od Horsta i pomyślałem, że to nie przypadek. – Janek miał wrażenie, że Alicja dopiero teraz zaczyna go słuchać. W progu stanął Rafałek.

– Mogę włączyć telewizor? – spytał.

– Odrobiłeś lekcje?

– Mamo, nie mam nic zadane.

– Poucz się piętnaście minut. Rozmawiam z tatą. Potem włączysz, dobra?

– Dobra – zgodził się niechętnie chłopiec i podreptał do swojego pokoju.

– Czemu tak patrzysz? – zapytał Janek, instynktownie ścisząc głos.

– Zobaczyłeś połączenie od Horsta i...?

– I przypomniałem sobie naszą rozmowę, kiedy postanowiłem, że jeśli przesoluję Mandalę, to powiem mu o naszych podejrzeniach.

– Chyba nie powiedziałaś, prawda? – W oczach Alicji czaił się strach.

– Nie oddzwoniłem do niego. Wtedy jeszcze nie...

– Janek...

– Słuchaj dalej. Wraciałem właśnie do Trzcieńska, kiedy zadzwoniła Salomea. Przyznasz, że to dziwne, że zadzwoniła chwilę potem, jak pomyślałem o jej dziadku, prawda?

– Janek, przestań pieprzyć i powiedz, co się stało. Bo z tym, że mogłeś się zabić, to już się oswoiłam.

– Sala zadzwoniła i powiedziała, że coś mają. Jej facet uruchomił swoje kontakty i przyspieszył sprawę z tymi odciskami.

– Jakimi odciskami?

– Tymi na pontonie. Mówiłem ci kiedyś, że Horst zadzwonił po gliny, tylko oczywiście nie mówił o porwaniu.

– No tak, ale skąd o tym wiedziała Salomea?

Janek dolał sobie wina i dokroił kawałek parmezanu. Jego mina zdradzała więcej niż słowa.

– Tylko nie mów Horstowi, dobra? W każdym razie okazało się, że na pontonie są ślady dwóch osób. Zgadnij czyje.

– Nie wiem.

– Sirene i Piotra Bzdęgi! Z obu stron poszycia, na burcie i tak dalej. Ten facet Salomei oczywiście nie był głupi. Jemu też wydało się dziwne, że na pontonie są ślady osoby, która – jak to zakładniczka – raczej powinna być związana. Zaczął szperać na własną rękę i znalazł to. – Janek podsunął Alicji telefon. Na ekranie widniała fotografia wykonana przez system drogowego monitoringu, opatrzone datą i godziną zdjęcie Sirene i Piotrka Bzdęgi jadących w stronę Poznania. Uśmiechali się, spoglądając na siebie. Sirene miała rękę na jego policzku. Wyglądali, jakby właśnie przestali się całować.

Alicja nie wiedziała, co powiedzieć. Zbladła. Co innego spodziewać się, że porwanie to fikcja, a co innego zobaczyć

niepodważalne dowody.

– Kompletnie mnie zamurowało – stwierdził Janek. – Dlatego po prostu przesłałem to zdjęcie Horstowi.

Alicja zrobiła się czujna. Bardzo czujna.

– Oddzwonił?

– Nie. Co jest? Wszystko w porządku? Co niby miałem zrobić? Pozwolić mu, żeby ciągle się łudził? Prawda, nawet najgorsza...

– Zamknij się – stwierdziła Ala, która wyglądała na nieźle przestraszona. – Czy wiesz, co zrobiłeś?

– Pomogłem odkryć prawdę.

– W dupę sobie wsadź tę swoją prawdę! – wykrzyczała mu w twarz. – Zdajesz sobie sprawę z tego, coś nawyprawiał? Czy nie dociera do twojej niedojrzałej egoistycznej głowy, że może właśnie skazałeś dziewczynę na śmierć?!

– Uspokój się, Ala, niby jak?

– A tak, że Horst dzwonił do mnie po tym, jak nie mógł skontaktować się z tobą. Poinformował, że w nocy dzwoniła do niego Sirene. Powiedziała, gdzie jest, i prosiła, żeby po nią przyjechał.

Teraz Janek wyglądał na przerażonego.

– Co? Ale jak?

– Wymknęła się porywaczom, przynajmniej tak twierdzi Horst, i poprosiła go o pomoc. Powiedziała, gdzie jest. Na Wyspie Edwarda, tak jak myślałam. Horst pewnie jest już na miejscu. – Alicja starała się panować nad sobą tylko przez wzgląd na Rafałka, który w każdej chwili mógł się tu zjawić. W środku cała się trzęsła. – Co się tak gapisz? Dzwon i staraj się to odkręcić! – W oczach Alicji pojawiły się iskry. – On ją zabije, ty idioto!

Janek zerwał się od stołu i chwycił za telefon. Wybrał numer Horsta. Potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Nie odbierał.



Horst patrzył na głowę trzymającego Sirene osiłka, mrużąc oczy i pilnując, żeby muszka jego rewolweru siedziała na jego nosie jak prawdziwa mucha. Nie było to łatwe. Facet ruszał się, ciągle schowany za przerażoną Sirene.

– Rzucaj giwerę, dziadek, bo rozkwaszę jej łeb! – krzyczał Fifty. – Dalej, kurwa, głuchy jesteś?!

– Puść ją i odejdziemy stąd. Każdy w swoją stronę – powiedział Horst.

Był o połowę mniejszy i ze trzy razy starszy od tamtego, ale może właśnie to dawało mu psychiczną przewagę. Jego głos był spokojny, a ręce, zaciśnięte na kolbie rewolweru, zachowywały się jak na policyjnej strzelnicy.

– Rzucaj giwerę, mówię! Nie żartuję! Rozwalę ją!

– A wtedy ja rozwalę ciebie.

– Pomóż – jęknęła Sirene. Mówienie przychodziło jej z trudem. Przedramię Fiftiego ciągle miała zaciśnięte na szyi.

– Słyszysz, dziadek? Laska chce żyć. Kto to w ogóle jest? Twoja córka czy dupa?

– Nie znam jej – skłamał Horst.

– To co tu, kurwa, robisz? – Po jego czole spłynęła kropla potu. Ciągle pamiętał o tym, że jest poszukiwany. W stojącym przed nim facecie było coś, co uporczywie mu o tym przypominało. – Jesteś gliniarzem? Przysłała cię firma?

– Możemy pogadać, jak odłożysz broń. Wyspa jest otoczona.

– Kłamiesz. Niby, kurwa, jak?

Blef jednak zadziałał. Fifty instynktownie rozglądał się na boki. Jego glock trochę rzadziej celował w Horsta. Raczej krążył od skroni Sirene do pustej przestrzeni między nimi, jakby nie mógł się zdecydować, kto powinien być celem numer jeden.

– Połóż broń na ziemię, to pozwolę ci odejść – powiedział Horst. – Tylko tak możesz wyjść z tego cało.

Fifty się zaśmiał i ugryzł Sirene w ucho. Nie mocno, ale i tak zabolalo. Poczula, że jego ślina ścieka po małżowinie.

– Jeśli chcesz, żeby żyła, to przestań pierdolić i rzucaj giwerę. Ale już!

Horst po raz pierwszy się zawahał.

– Okej. Dobra, porozmawiajmy jak dorośli.

– Czy ja, kurwa, jestem dzieckiem? Broń na ziemię, dziadek, albo zobaczysz jej mózg!

Horst wiedział, co się stanie, jak rzuci broń. Tamten zabije ich oboje. Był zbyt prymitywny na wymyślne tortury albo inne niespodzianki. Był też zbyt przerażony, żeby zostawiać świadków.

Stali tak dobre pięć minut. Każdy zdenerwowany. Każdy z palcem na spuście.

Horst odnalazł spojrzenie Sirene i mrugnął do niej okiem. Zrób coś, mówił ten gest.

– Mówiłeś, że jej nie znasz, zwiędły fiucie! – krzyknął Fifty.
– Rozwalę cię. Rozwalę cię i ją! Od kogo zacząć?! Co?! Od kogo, kurwa, zacząć?!

Lufa jego pistoletu znowu zaczęła krążyć pomiędzy głowami. Sirene-Horst. Sirene-Horst.

– Rzucaj broń, stara kurwo! Ale już! – wrzeszczał Fifty, nie widząc, że Sirene lekko rozszerzyła nogi i stanęła na palcach. Te palce zaczęły przesuwając się na zewnątrz. – Dalej, bo rozwalę ci milficę! – Wcisnął lufę w nos zakładniczki tak mocno, że skrzywiła się z bólu.

Sirene spojrzała na Horsta i zmrużyła oczy. Zewnętrzne części nogawek szarawarów obciskały jej uda. Jej białe stopy były czerwone z wysiłku. Ciągle stała na palcach.

Czas nagle zwolnił. Prawie się zatrzymał – jest jak filmowa taśma, którą ktoś rozciągnął w dłoniach, aby obejrzeć pod światło, ujęcie po ujęciu, scena po scenie.

Słońce, które wyszło zza chmur, oświetla ich łysy głowy. Z góry wyglądają jak bilardowe bile na kursie kolizyjnym.

– Dobra, spokojnie – mówi Horst. – Już odkładam. Celuj gdzieś indziej. – Czekają na jego ruch. Bezskutecznie. Lufa broni bandyty ciągle wciska się w bok kobiecego nosa.

– Odkładaj giwerę, skisła pała, ale już! – Ręka Fiftiego drży. Palec ciągle dotyka spustu. W każdej chwili może strzelić, nawet tego nie planując.

Horst patrzy w lewo, gdzieś na fale jeziora, i mówi:

– O!

Potrzebował czasu, odrobinę, dokładnie tyle, żeby tamten spojrzał na tańczące na falach słońce i przez ćwierć sekundy spuścił Horsta z oczu. Ten lekko opuszcza colta i celuje w nogi. Bam! Strzał.

– Na bok! – wrzeszczy do Sirene, która wyrywa się z uścisku.

Fifty tańczy na jednej nodze, wykonując dziwaczny piruet. Udaje mu się wystrzelić, ale kula przechodzi tuż nad głową Horsta.

Bam! Bam! Kolejne strzały, klasyczny dublet wałkowany latami na milicyjnej strzelnicy. Horst strzela i odruchowo odskakuje w prawo. Fifty pada na ziemię. Wszystko trwa sekundę, może dwie.

– Horst! – krzyczy Sirene i rzuca mu się na szyję. Ten, zanim ją obejmie, spojrzy na leżącego na ziemi faceta.

Fifty leży z szeroko otwartymi oczami. Jedna ręka wędruje ku przestrzelonemu sercu. Druga wypuszcza pistolet i zaciska się na kępie trawy.

Horst przytula narzeczoną i zaciąga się wonią jej blond włosów. Pachną jak jezioro. Dziwaczna mieszanka zapachu wiosny i kaczego gówna.

– Już dobrze – mówi Horst. – Wszystko będzie dobrze.

Sirene płacze. Spazmy wstrząsają jej ciałem.

– Już dobrze – powtarza Horst, oddychając z ulgą. Zdejmuje kurtkę i przykrywa nią narzeczoną, która wciąż nie może dojść do siebie.

– Już myślałam, że nie przyjedziesz – mówi w końcu Sirene.
– Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło.

– Chyba nie – mówi Horst, świadomy tego, że muszą pogadać. Chce wiedzieć, co się stało, skąd wzięło się w jej życiu to usiłujące ją zgwałcić bydlę i co robią tutaj dwie czarne wypchane po brzegi torby, z których kojarzy tylko jedną. Kojarzy ją i pamięta związane z nią nerwy.

– Wszystko ci opowiem, wszystko – mówi Sirene, która w końcu dochodzi do siebie. – Muszę wziąć kilka rzeczy. Nic

takiego, drobiazgi, ale nie chcę ich tu zostawiać.

– Pomóc ci?

– Nie, ale jeśli możesz... – Sirene wymownie patrzy na ciało Fiftiego. Stara się omijać wzrokiem Piotrka. W jej wyobraźni on nadal żyje. Nadal kocha i jest kochany.

– Jasne, wszystkim się zajmę i spadamy z tej przeklętej wyspy.

Całują się. Jej usta są słone. Widocznie nie wypłakała jeszcze wszystkich łez.

Jakieś pół godziny później na wyspie wybucha pożar. Oni są już w łódce, która z trudem pokonuje fale. Jak na właścicieli toreb z trzema milionami, wydają się dość smutni. Horst wiosłuje, a Sirene siedzi na dziobie i próbuje nie oglądać się za siebie. Ma w sobie majestat aflastonów umieszczanych na okrętach, które ku uciesze hrabiego Raczyńskiego staczały tutaj morskie bitwy.

Przybijają do brzegu i idą w kierunku auta. Horst niesie jedną torbę, Sirene drugą. Mijają zawalony wędkarski pomost i kępy traw. Wrzucają torby na pakę terenowej toyoty i wsiadają. Dłoń Sirene czule dotyka ramienia Horsta, a on wsuwa za pasek rewolwer, w bębunku ciągle tkwią dwa naboje.

– Jedziemy do domu? – pyta Sirene.

– Najwyższy czas – mówi Horst i odpala silnik.

Jadą przez las. Przez długi nadwarciański las w kolorze jasnej zieleni, bo liście brzoź, które posadzono w trzech rzędach po obu stronach drogi, są młode i soczyste.

Horst patrzy na dłoń swojej ukochanej. W miejscu palca wskazującego ma krzywo zarośnięty kikut, ciągle jeszcze spuchnięty i pokryty strupem.

– Bolało? – pyta.

Sirene kiwa głową. To już przeszłość, a bardziej boli ją coś innego, niewidzenie i niekochanie, wielka pustka po chłopcu, który był gotowy zrobić dla niej wszystko. Zawsze sprawiał, że czuła się młoda i piękna. Nie ma go i nie będzie, a projekt „Nowa ja” wkracza w ostatnią fazę.

Boli jak chuj, myśli, ale nie wypowiada tych słów.

– Jesteś głodna?

Znowu skinięcie.

– Na co masz ochotę?

– Na pizzę. Nie pamiętam, kiedy jadłam coś ciepłego.

– Zatrzymamy się po drodze.

Widoki za oknem są malownicze. Morena, zielone pola na jej grzbietach, rzędy drzew na miedzach. Ładnie, tylko ta uporczywa wibracja. Dobiega ze schowka, zakłócając spokój. Pewnie telefon Horsta, myśli Sirene, zastanawiając się, czy odbierze.

Nie odbiera. Patrzy na nią. W jego oczach jest miłość.

Telefon ciągle dzwoni. Drugi raz. Trzeci.

Pięć minut później zatrzymują się na parkingu. Horst sięga do schowka.

– Muszę się wysikać. Wychodzisz? – pyta.

Sirene tym razem przecząco kręci głową.

Syndrom stresu pourazowego, myśli Horst, zamykając za sobą drzwi.

Nie może sikać, trzymając telefon w ręku, więc patrzy na ekran. Siedem nieodebranych połączeń. Pięć od Janka. Dwa od Alicji.

By ich szlag, myśli, ale jest też wiadomość. Otwiera ją. Tekst jest krótki.

Lepsza gorzka prawda niż lata złudzeń.

Coś w tym stylu, Horst nie umie skupić się nawet na tak krótkim tekście, bo do niego Janek załączył opatrzone datą zdjęcie. Jest bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

Sirene i Piotrek – uśmiechnięci, patrzący na siebie tak, jak patrzą zakochani. Zdjęcie zrobiono tuż po przekazaniu okupu.

Horst spogląda na drzewa wokół tego leśnego parkingu i wydaje mu się, że obraz zaciemnia się i oddala. Serce boli, jakby zaraz miało stanąć. Kłuje i brakuje oddechu. Stoi tak, sam nie wie jak długo, a kiedy w końcu zmusza się do ruchu, nie wie, gdzie i na kogo patrzeć. Idzie w stronę toyoty. Spogląda na klamkę. Na kierownicę, na stacyjkę z tkwiącym w niej kluczem, ale nie umie patrzeć na nią. Na samą myśl robi mu się słabo. Jednak pokochał dziwkę. Oszukała go i zraniła, a teraz, jak gdyby nigdy nic, pyta:

- Wszystko w porządku? Kto dzwonił?
- Nikt – mówi Horst i odpala silnik.

Nie jedzie w stronę Śremu. Jedzie po prostu przed siebie, gdzieś, gdzie horyzont spotyka się z chmurami w sposób, który chwilowo wydaje mu się dość pociągający. Patrzy na drogę, ale widzi zdjęcie, które mówi więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Gorzka prawda, powtarza w myślach i nie wie, co robić. Płakałby, ale od śmierci córki nie ma już łez. Kurwa, by to szlag...

- Ilu było porywaczy? – pyta. Jest całkowicie spokojny.

– Nie chcę o tym mówić, Horst. Nie dzisiaj. Proszę.

– Dwóch? Trzech?

Sirene chyba słyszy w jego tonie coś dziwnego.

– Dwóch. Widziałeś ich.

– Zapłaciłem osiemset tysięcy – mówi Horst. – W torbach jest więcej. Niełatwo to wytłumaczyć, prawda?

– To długa historia. Możemy porozmawiać o tym w domu? Jestem zmęczona. Bardzo boli mnie głowa.

Horst milczy. Jadą przez pola. Przed nimi wlecze się traktor z podczepioną z tyłu broną. Nie wyprzedzają go.

– Kto to jest Piotr Bzdęga? – Głos Horsta jest spokojny, ale w gardle mu zaschło.

– Skąd takie pytania, Horst? Przestań, boję się.

– Planowałaś to, zanim się poznaliśmy czy dopiero później? Jak już mieszkałaś u mnie?

Sirene patrzy na niego i wybucha śmiechem. Krótkim nerwowym śmiechem. Jak w kiepskim sitcomie.

Twarz Horsta nie zdradza żadnych emocji. Nie drga w niej ani jeden mięsień.

Prędkościomierz wskazuje trzydzieści na godzinę. Auto wlecze się jak pogrzebowy karawan.

– Ty naprawdę myślisz, że...? Horst! Czy ja wyglądam na kogoś, kto sam się porwał? – Sirene robi się coraz bardziej nerwowa. Spogląda na drzwi. Mogłaby otworzyć je i wyskoczyć, ale byłoby to jak przyznanie się do winy. Zresztą jak by to wyglądało? – Horst, odezwij się, do diabła!

Po nieskończeniu długich dwudziestu sekundach Horst się odzywa. Jego głos jest zimny jak ostrze noża.

– Wpuściłem cię do swojego domu. Utrzymałem cię. Kochałem. Spełniałem każdą twoją zachciankę.

– Horst, ale Piotrek to mój kolega! Dawny kolega... – Sirene czuje, że wszystko ją swędzi. Drapie się, ale ze wszystkich sił stara się zachować spokój. – No dobra, kiedyś byliśmy razem. Dawno temu. Nie wiem, czemu mnie porwał. Skąd mam wiedzieć? Miał jakieś zaburzenia. Uciął mi palec... – Unosi znacząco prawą rękę. Do oczu napływają jej łzy. Coś pęka. – Horst, błagam, spójrz na mnie! Musisz mi uwierzyć! Błagam...

Horst chce na nią spojrzeć, ale nie umie. Nie umie nawet do niej mówić. Wypowiada słowa, ale te brzmią jak skierowane do siebie.

– Oświadczyłem ci się. Klęczałem przed tobą, prosząc, żebyś za mnie wyszła. Kochałem cię.

Lewa ręka Sirene łąduje na jego udzie.

– Ja też cię kocham... – mówi. – Horścinek, błagam, pomyśl, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował. Pomyśl tylko...

– Wybrałem z konta wszystkie oszczędności. Byłem gotowy pożyczyć kolejne dwieście tysięcy...

– Jestem ci za to wdzięczna, Horst. Nawet nie wiesz, jak bardzo... Horst, nie wygłupiaj się. Mamy kryzys zaufania. To się zdarza w związku.

Sirene patrzy na jego zaciśnięte na kierownicy dłonie. Godzinę temu na jej oczach zabił faceta. Nie okazał żadnych emocji. Przeszukał ciało, a potem ją przytulił. Te dłonie zdolne są do wszystkiego. Kiedy to sobie uświadamia, zaczyna się bać. Naprawdę bać.

Auto skręca w boczną drogę. Za polem, na którym widać tylko myśliwską ambonę, rozciąga się brzozowy młodnik.

Telefon znowu dzwoni. Horst wyciąga go ze schowka i odrzuca połączenie. Potem wyłącza go i ciska na tylne siedzenie.

Sirene patrzy na niego. Gorączkowo szuka jego spojrzenia. Przypomina sobie o nożu. W kieszeni ciągle tkwi piknikowa mora.

– Widziałeś, jak było, prawda? Chciał mnie zgwałcić. Pobił mnie... – Chlipie. Po brodzie spływają jej łzy i smarki. – Widziałeś to. Jak możesz myśleć, że cię zdradziłam. No jak?!... Powiedz coś, do jasnej cholery!

– Kryzys zaufania – jak echo powtarza Horst.

Sirene z niedowierzaniem kręci głową.

– Co ty pierdolisz, Horst? Chyba nie zamierzasz?...

Chce mnie tylko nastraszyć, myśli Sirene. Kocha mnie, nie zrobi mi krzywdy, myśli i po raz kolejny spogląda na klamkę.

Automatyczny zamek zamyka wszystkie drzwi.

– Masz ostatnią szansę, żeby się przyznać – mówi Horst.

Przez chwilę jadą w ciszy. Sirene patrzy na niego kątem oka.

– Mówiłam ci już. – Dłoń zaciska się na nożu. – Porwał mnie były chłopak. Był zazdrosny. Potrzebował pieniędzy. Powiedział, że... Powiedział, że skoro kiedyś zniknęła twoja córka, to uwierzysz, że...

Horst spogląda na nią. Sirene uderza prawą ręką. W ostatniej chwili udaje mu się sparować cios.

Toyota robi slalom od pobocza do pobocza.

Horst ściska kikut po jej uciętym palcu. Sirene krzyczy z bólu i wypuszcza nóż, który spada pod siedzenie.

Horst patrzy na nią z nienawiścią.

– Trochę godności, kobieto – cedzi przez zaciśnięte zęby. Zwiera dłonie na kierownicy. Znowu skupia się na jeździe. – Skąd wiedział, że szukałem córki?

Sirene wzrusza ramionami. Niewielka rozbieżność. Chce powiedzieć mu o internecie, że każdy może dowiedzieć się wszystkiego, takie czasy. Ale nie mówi tego. Ma swoją godność.

– I co mi zrobisz? – Sirene się uśmiecha. Przestaje płakać. – Myślisz, że mnie nastraszysz? Po tym, co przeżyłam?

Toyota wjeżdża między drzewa i staje.

Sirene daje upust złości.

– Jesteś niewdzięcznym chujem, wiesz? Myślisz, że tylko ty dawałeś w tym związku?! Gdyby nie ja, to ciągle siedziałbyś przed kompem, waląc gruchę do internetowych panienek! Myślisz, że kobiecie w moim wieku łatwo wiązać się z kimś takim jak ty?! Za kogo ty się masz? Za Boga, kurwa, czy co?! – Sirene zaczyna go szarpać, uderzać w jego udo i ramię. – Odpowiadaj! Powiedz coś!

Horst z trudem przełyka ślinę. Wyciąga zza pasa rewolwer.

– Odsuń się – mówi i wychodzi z auta. Po chwili pojawia się z prawej strony. Otwiera drzwi. – Wychodź.

– Pojechało cię?! Nie zrobiłam ci nic złego!

– Idź przed siebie.

– Horst...

– Przed siebie! – Rewolwer się podnosi. Celuje w jej lędźwie.

Trawa, po której stąpają, jest cienka i wysoka. Brzozy posadzone są rzadko. Długie gałęzie, pełne seledynowych liści, zwieszają się, muskając ich policzki.

– Jak cię mogę przekonać? Zrobię wszystko, błagam... Chcesz się kochać? Możemy choćby tutaj. Uwielbiam się z tobą kochać.

Mam się rozebrać? Chcesz?

Horst milczy. Oddycha z trudem. Ten ucisk w piersi, który zaczął się, gdy tylko zobaczył zdjęcie i powiązał fakty, nie ustąpił ani na chwilę.

Docierają do niewielkiej polanki. Słońce grzeje im plecy. Cienie brzóz są długie, popołudniowe.

– Uklęknij – mówi Horst.

Sirene płacze. Stoi jak sparaliżowana. Nie może zrobić ruchu.

– Uklęknij, mówię.

Sirene się obraca. Patrzy na niego. Patrzy mu w oczy.

– Kocham cię, Horst.

– A ja ciebie. Uklęknij.

– Horst, nie musisz tego robić. Ja już nigdy...

– Uklęknij! – W jego głosie jest coś zmuszającego do posłuszeństwa.

Sirene spełnia polecenie.

Horst podnosi broń. Po drugiej stronie muszki ma grzbiety jej dłoni; odruchowo zasłoniła twarz.

Lasem wstrząsa huk wystrzału. Sójka skrzeczy przeraźliwie. Kilka wron wzlatuje w górę.

Potem nastaje cisza.

Wiatr kołysze gałęziami brzóz.

Słońce oświetla twarz starego człowieka.

Wygląda jak najsmutniejsza twarz na świecie.



Dwa tygodnie później Janek i Alicja z trudem przedostawali się przez wypełniony ludźmi salon Ikei. Było sobotnie przedpołudnie. Tłumy wolno przemierzały klimatyzowane pomieszczenia, dotykając foteli, szaf, krzesel, biurek i setek innych sprzętów. Chcieli jak najszybciej dojść do sali z meblami dla dzieci, ale sklep był zaprojektowany w taki sposób, że aby gdziekolwiek trafić, trzeba było pokonać niekończący się labirynt domowych aranżacji.

– Patrz, jaka wygodna – powiedziała Alicja, siadając na sofie.
– Zapadam się i nie chce mi się wstawać.

– Możemy ją kupić – stwierdził Janek.

– Ta, którą mamy, jest jeszcze dobra. Może za dwa lata, jak się trochę zużyje.

– Jak chcesz. – Janek podał jej rękę i pomógł wstać.

Ruszyli dalej. Kiedy zrozumieli, że termin „szybkie zakupy w Ikei” to oksymoron, zupełnie przestało im się śpieszyć. Wchodzili do niewielkich stylizowanych pomieszczeń, robili kilka zdjęć, a potem wchodzili do innych, urządzonych jak wzorowe salony w niewielkich mieszkaniach.

– Jest tu w ogóle coś z drewna? – zapytał Janek, który bezmyślnie obmacywał blat kolejnego biurka.

– Nie sądzę. Chyba nie o to tu chodzi.

– Funkcjonalność przede wszystkim – zgodził się Janek.

Ludzie dotykali, wzdychali, obliczali i mierzyli.

Muzyka, która leniwie sączyła się z głośników, była tak neutralna, że równie dobrze mogłoby jej nie być.

– Młodopolscy artyści pewnie tak wyobrażali sobie piekło – stwierdziła Alicja. Studia polonistyczne dały jej wiedzę na tematy, które przeciętny człowiek ma kompletnie gdzieś.

– Chodź tutaj. – Janek pociągnął ją za rękę.

Położyli się na dużym łóżku. Z trzech stron mieli ścianki działowe zastawione meblami. W miejscu, gdzie powinna być czwarta ściana, przewalały się tłumy. Ludzie spoglądali na leżącą parę, jakby była częścią wystroju wnętrza, i przechodzili do działu kuchennego.

– Jesteś genialny – stwierdziła Alicja, patrząc na zwisającą z sufitu papierową lampę. – Właśnie bez słów uświadomiłeś mi, że nie chcę takiego życia.

– Nie? Mnie się zaczyna podobać.

Dźgnęła go łokciem.

– Przestań. – Spojrzała na zegarek. – Może po tym wszystkim pójdziemy na obiad?

– Nie ma sensu stąd wychodzić. Mają doskonałe klopsiki i promocję na kawę.

– Przemysleli chyba wszystko. Jesteśmy jak myszy w laboratorium.

– Pewnie, że tak. – Janek nie wstając z łóżka, zsuł buty i ułożył się wygodniej. Podobnie jak Alicja patrzył na okrągłą lampę przypominającą papierowy księżyc w pełni. – Jak urodzi się nam syn, chcesz go nazwać po swoim ojcu?

– Nie. A ty?

– Też nie.

Alicja obróciła się w jego stronę. Pogładziła jego pierś.

– Ponoć jak się odstawia psychotropy, nastrój może się obniżyć.

– Myślałem, że będzie gorzej – odparł Janek. – Może przez to, że mam co robić.

– Ciągłe chcesz nagrać tę płytę?

– Też. Ale przede wszystkim chcę zainwestować w radio. Wynająć jakiś domek, kupić lepszy sprzęt, zatrudnić ze dwie osoby...

– To może się udać – stwierdziła Alicja.

Janek uśmiechnął się. Naprawdę wyglądał na kogoś, kto całkiem nieźle obywateli bez antydepresantów.

– No i koniec z graniem na weselach – stwierdził. – Za żadne pieniądze.

– O pieniądze nie musimy się martwić. – Alicja ściszyła głos.
– Zastanawia mnie tylko jedno.

– Co, kochanie?

– Jak wypierzemy ten milion, który dostaliśmy od Horsta?

Janek zerknął na nią, a potem znacząco spojrział na otaczające ich sprzęty.

– Właśnie tak – powiedział. – Będziemy kupowali to, na co mamy ochotę, i jeździli tam, dokąd mamy ochotę pojechać.

– Kupisz sobie lepszy wóz?

– Nie. Samochody musimy odpuścić. Zbyttno zwracają uwagę.

Alicja się roześmiała. Świadomość tego, że mają więcej, niż mogą wydać, jej także poprawiała humor.

– Wystawię *Persefonę* – oświadczyła. – Założę jakąś fundację, zatrudnię dobrych aktorów, scenografa z prawdziwego zdarzenia.

- Dobry pomysł. Trzymam kciuki.
- Mam tylko jedną wątpliwość.
- Jaką?
- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy częściej zaglądać do Horsta? Został całkiem sam...

Janek się zamyślił. Długo zastanawiał się, czy biorąc od niego kasę, nie skazuje się na dozgonny dług wdzięczności, ale w końcu stwierdził, że jest to nagroda za pomoc mu w trudnych chwilach. Horst opowiedział mu o niesamowitym zbiegu okoliczności, w którego wyniku porywacze Sirene natrafili na kogoś dużo groźniejszego od siebie. Opowiedział, że przybył na wyspę odrobinę za późno. Sirene najprawdopodobniej już nie żyła, a jemu nie udało się wyciągnąć informacji od ciężko rannego draba, który miał przy sobie mnóstwo gotówki. Zabrał tajemnicę do grobu. Brzmiało to dziwnie, ale Janek nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć. Horst był na skraju załamania, widać to było gołym okiem. Zresztą skąd wzięłby wypchaną dwoma milionami torbę? Horst wyglądał tak kiepsko, że przez trzy dni mieszkali u niego, pilnując, żeby nie zrobił sobie krzywdy. W końcu wygonił ich, twierdząc, że sobie poradzi. Rozstali się w nieprzyjemnej atmosferze, chociaż Janek i Alicja trzymali w ręku pełną kasy torbę, którą wepchnął im, wymagając dyskrecji.

– Zajrzymy do niego pod koniec tygodnia, dobra? Przez kilka najbliższych dni będę skręcał meble.

– Tak zrobimy. – Alicja pocałowała go w usta. – Nie myśl już o tym. Wszystko będzie dobrze.

– Pewnie, że będzie. – Janek obrócił się na bok i objął ją, nie zważając na miny przechodzących ludzi.

Patrzyli sobie w oczy.

– To łóżko jest całkiem wygodne – powiedziała Alicja. – Co powiesz na to, żeby kupić je do sypialni?

– Ale z opcją wniesienia i montażu.

Zaśmiali się.

– Pewnie, że tak. Kocham cię.

– A ja ciebie.



Horst właśnie rozwalił drewniany fotel, który kojarzył mu się głównie z tym, że to właśnie na nim Sirene pokazała mu, co to tantryczne fellatio. Porąbał go i zaniósł do ogrodu, paląc razem z resztą jej rzeczy, które znosił z mieszkania z właściwą sobie systematycznością. Patrzył na płomienie, przełykając łzy, coraz bardziej świadomy tego, że nic nie ukoji jego bólu.

Była piękna pogoda. Wiosna zaczęła się na dobre. Ptaki budowały gniazda. Krzewy i drzewa kwitły, a zapracowane pszczoły bzyczały wśród nich, zupełnie ignorując strzelające coraz wyżej płomienie.

Pieprzona wiosna, pomyślał Horst, wypominając sobie dziecięcą naiwność, która sprawiła, że uwierzył w swoją szczęśliwą kartę. Spojrzał na leżący na stole rewolwer. Wziął go do ręki, sprawdzając, czy ciągle jest nabity. Był. Na draba, który próbował zgwałcić Sirene, zużył trzy naboje. Potem w brzozowym lasku wystrzelił kolejną kulę. W bębunku tkwiła jeszcze jedna. Przypadek? Myśl o samobójstwie była całkiem przyjemna. Na tyle, że postanowił odłożyć ją na później. Wetknął rewolwer za pasek i ruszył w stronę domu, aby przynieść ostatnią partię rzeczy do spalenia.

Po dziesięciu minutach zjawił się w ogrodzie ponownie. Tym razem z trzymanym pod pachą kartonem i butelką wódki. Usiadł na ławeczce, odkręcił flaszkę i wziął solidny łyk. Upijał się, patrząc na płomienie, które przypominały mu pożar drewnianej willi, w której wcześniej umieścił zwłoki. Policji udało się zidentyfikować dwa spośród trzech zwęglonych ciał. Gazety

napisały, że sprawców napadu na konwojenta dosięgnęła sprawiedliwość. Spalony obiekt miał podobno wartość zabytkową i to on skupił na sobie większość uwagi mediów.

Horst spojrział na niewielki karton, w którym były głównie drobiazgi. Znalezione pod fotelem skarpety, kapcie, szczoteczka do zębów, płatki kosmetyczne, wszystko to, z czego można oczyścić dom, zmywając z niego resztkę czyjejś obecności. Po kolei rzucał to w ogień, próbując nie płakać chociaż przez chwilę.

W kartonie leżała znaleziona na wyspie kamera. Rzeczy z pokoju Piotrka i Sirene, spalił w pierwszej kolejności, ale kamera została. Nie pozbył się jej od razu. Cisnął ją gdzieś w kąt, podejrzewając, że Sirene mogła nagrać wszystko to, co robiła z Piotrkiem, podczas gdy on odchodził od zmysłów. Teraz trzymał kamerę w dłoniach i już miał ją rzucić w ogień, ale coś – może wrodzona ciekawość, a może świadomość tego, że sięgnął dna – powstrzymywało go od tego.

Kamera miała ekran i guzik „play”. Horst myślał właśnie o nim.

W końcu odchylił niewielki ekran i wcisnął przycisk uruchamiający urządzenie. Bateria ciągle działała. Kamerka wydała z siebie mechaniczny odgłos. Na ekranie pojawiła się twarz Sirene. Horst z trudem przełknął łzy. Dopił wódkę. I wcisnął „play”.

Sirene patrzyła mu prosto w oczy. Była przerażona, ale opanowana.

Nazywam się Helena Bednarek. Wolę, jak mówi się do mnie Sirene. Zmieniłam imię, bo wierzę, że człowiek jest wolny...

Horst trzymał kamerę w drżących dłoniach. Wstrzymywał oddech. Na chwilę zatrzymało się nawet jego serce. Nadludzkim wysiłkiem woli zachował spokój. Oglądał dalej. Ten tembr głosu znał doskonale. Wydawała się bardziej szczerą niż kiedykolwiek.

Prawda jest taka, że nagrywam to dla ciebie, Horst. Wiem, że jeśli to oglądasz, to mnie już nie ma. Moja podróż dobiegła końca. Umarłam... Zaryzykowałam i nie udało się. Ale posłuchaj, teraz będzie o tobie. Wiem, że to, co ci zrobiłam, było bardzo kiepskie i nie oczekuję przebaczenia. Ale należą ci się przeprosiny. Przeprosiny i wyjaśnienia. Kiedy się zjawieś, naprawdę uznałam, że chcę zmienić swoje życie. Miałaś w sobie ten rodzaj spokoju, który lubię najbardziej. Miałaś w sobie mądrość, która pozwalała ci żyć z dala od ludzi i poklasku. Przy tobie czułam się bezpiecznie. Czułam się kochana. Czułam się szczęśliwa. Dziękuję ci za to.

Dłoń Horsta się rozwarła. Kamera prawie upadła na ziemię. Od uszkodzenia powstrzymał ją pasek, który wbijał mu się w pokrytą wątrobowymi plamami skórę. Sirene w nikłym świetle brzasku wyglądała jak w grobie. Przełykała łyżę, podobnie zresztą jak Horst, i kontynuowała swoje wyznanie.

Kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść, byłam szczerą. Nie okłamywałam cię. Nie wzięłam pod uwagę tylko tego, że nie można odciąć się od przeszłości. Nie można odciąć się od marzeń. A ja ciągle marzyłam, Horst. Kiedy leżałam obok ciebie, a za oknem mieliśmy las i taflę wody w basenie, śniłam o domku nad brzegiem oceanu, śniłam o chłopaku, z którym każde szaleństwo byłoby przyprawą poprawiającą smak codzienności. Łudziłam się, że mając zamiennik, zapomnę o oryginale. Kiedy w tamtą niedzielę zobaczyłam cię, jak w mundurze oficera SS wyjeżdżasz na swoją

wyimaginowaną wojnę, wiedziałam, że ty także marzysz. Tylko że nasze marzenia były skrajnie różne. Właśnie wtedy to sobie uświadomiłam. Nasze światy były połączone pośpieszną fastrygą, a ona nie wytrzymałaby próby czasu. Postanowiłam odejść, a przy okazji oszczędzić ci bólu i upokorzeń. Głupie, co? Pomyślałam sobie, że łatwiej ci będzie znieść moje zniknięcie, jeśli będziesz myślał, że mnie uprowadzono, a nie wiedział, że od ciebie odeszłam. Przepraszam, Horst. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Kochałam cię i nadal kocham. Jakaś częśćka mnie będzie kochać cię zawsze. Jesteś wspaniałym facetem. Bądź szczęśliwy! Zastługujesz na to. Pa, najdroższy!

Sirene rozejrzała się, zadzierając głowę. Uśmiechnęła się smutno.

Słyszysz? To rybołowy. Towarzyszyły mi przez ostatnie dni. Może kiedyś popatrzymy na nie wspólnie.

OD AUTORA

Wyspa Edwarda, malownicze miejsce na Jeziorze Raczyńskim, istnieje naprawdę. Dziewiętnastowieczna willa w stylu szwajcarskim i feralna armata stoją do dzisiaj, stanowiąc atrakcję turystyczną. Na potrzeby fabuły zmieniłem nieco ich stan.

Wyspa Edwarda – inaczej niż w książce – nie jest rezerwatem ścisłym; kiedyś prowadziła na nią przeprawa promowa, a dzisiaj jest to pontonowa kładka dla pieszych. Niestety na wyspie ani w jej sąsiedztwie nie ma rybołówów. Kilka par tych pięknych ptaków w ostatnich latach osiedliło się w Wielkopolsce, ale ich liczebność ciągle jest na tyle niska, że wymagają ścisłej ochrony. Trzymajmy za nie kciuki.

Prawem autora jest podziękowanie osobom, które przyczyniły się do tego, że niniejsza książka przybrała taką, a nie inną postać. Dziękuję więc pięknie moim trzem cudownym kobietom – za cierpliwość, wsparcie i podkradany Wam czas. Oby irracjonalny upór Waszego taty i męża był wart tyle, ile poświęć. Kocham Was bardzo.

Dziękuję serdecznie Weronice Mathii za to, że z zapałem godnym spraw najwyższych podeszła do oceny pierwszej wersji

tekstu. A także za coś cenniejszego niż przysługi i złoto – za przyjaźń. Mocno trzymam kciuki, Weroniko, za Twoje literackie dokonania, będąc spokojnym o to, że jeszcze niejeden sukces przed Tobą.

Dziękuję Marcie Wróbel za lekturę maszynopisu i odważne uwagi odnośnie fabularnych zgrzytów. O to chodzi, dzięki!

Dziękuję Justynie Kowalskiej za inspirację i zaraźliwą wiarę w to, że można żyć na swój sposób. Dzięki za Kraków w słońcu i w deszczu. Oby Twoje artystyczne drogi w końcu zawiodły Cię tam, gdzie zawsze chciałaś być.

Dziękuję Wojtkowi Kurtyce za *Chińskiego maharadzę*, w którym ze swadą wytłumaczył niewytłumaczalne. To właśnie ta książka była inspiracją do opisanie wspinaczkowej obsesji jednego z głównych bohaterów.

Dziękuję także wszystkim profesjonalistom z wydawnictwa Muza, którzy przyczynili się do powstania niniejszej powieści. Szczególne podziękowania należą się Małgorzacie Burakiewicz, która nie tylko świetnie odczytuje tekst, ale też wspaniale odgaduje, dokąd książka powinna zmierzać. Powiedziałbym, że praca z Panią, to sama przyjemność, ale to nieprawda – to także intelektualna przygoda i sporo nauki. Dziękuję pięknie, Pani Małgosiu!

No i na koniec wielkie uściski dla Ciebie, Drogi Czytelniku. Wszyscy dobrze wiemy, że na tym świecie jest przecież co czytać. Tym bardziej doceniam Twoje zaufanie i czas poświęcony *Wyspie łotrów*. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy się w kolejnej literackiej odsłonie. Wszystkiego dobrego!

Michał Wierzba

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz